

Michaił Bułhakow
Biała gwardia

Przełożyli
Irena Lewandowska
Witold Dąbrowski

Część pierwsza

Począł sypać drobny śnieg i nagle jął walić płatami. Zawył wicher, rozszalała się zawierucha. W jednej chwili ciemne niebo zmieszało się z morzem śniegu. Wszystko znikło.

— No, panie — krzyknął woźnica — nieszczęście, buran!

Puszkina. *Córka kapitana* *

I osądzono umarłe z tego, co napisane było w onych księgach, wedle uczynków ich.

*Objawienie św. Jana. XX. 12***

*/przekład Tadeusza Stępowskiego

**/ przekład ks. Jakuba Wujka

Pamiętny to był rok i straszny to był rok, ten od narodzenia Chrystusa Pana tysiąc dziewięćsetny i osiemnasty, zaś od rozpoczęcia rewolucji wtóry. Latem w słońce był obfity, a zimą w śniegi, i nad podziw wysoko stały na niebie dwie gwiazdy: gwiazda pastusza, wieczorna Wenus, i drżący czerwony Mars.

Ale i w spokojnych, i w krwawych latach dni jednako mkną lotem strzały i młodzi Turbinowie nie zauważyli nawet, kiedy wśród lutych mrozów nastał biały, kudłaty grudzień. O, gwiazdkowy święty Mikołaju, jaśniejący od śniegu i szczęścia! Mamo, królowo jasna, gdzieżeś?

W rok po tym, jak córka Helena wzięła ślub z kapitanem Siergiejem Iwanowiczem Talbergiem, tegoż tygodnia, kiedy syn najstarszy, Aleksiej Wasiliewicz Turbin, wrócił po trudach żołnierki na Ukrainę, do Miasta, do gniazda rodzinnego, białą trumnę z ciałem matki zniesiono stromym Aleksiejewskim Zjazdem na Podoł, do maleńkiej cerkiewki Nikoły Dobrotliwego, stojącej na Wzwozie.

Kiedy nad matką odprawiano egzekwie, był maj, gałęzie wiśni i akacji wypełniały strzeliste okna. Ojciec Aleksander potykał się smutny i zafrasowany, lśnił i iskrzył się wśród pozłocistych płomyków, a fioletowy

na twarzy i karku diakon, spowity w złoto aż po czubki poskrzypujących butów z cholewami, posepnie mamrotał słowa cerkiewnego pożegnania z matką, która opuszczała swoje dzieci.

Aleksiej, Helena, Talberg i Aniuta, która wychowała się w domu Turbinów, i ogłuszony tą śmiercią Nikołka, z niesfornym kosmykiem opadającym mu na prawą brew. stali u stóp starego brunatnego świętego Nikoły. Osadzone blisko po obu stronach długiego ptasiego nosa błękitne oczy Nikołki były zgaszone, zagubione. Z rzadka tylko wznosił je na ikonostas, na tonące w półmroku sklepienie absydy, gdzie unosił się zatroskany i nieprzenikniony staruszek Bóg Ojciec, mrugał. Za co taka krzywda? Taka niesprawiedliwość? Czemu spodobało się Bogu odebrać im matkę teraz. kiedy wszyscy już są razem, kiedy życie stało się łżejsze? Ulatujący w czarne spękane niebiosa Bóg nie odpowiadał, a sam Nikołka nie wiedział jeszcze, że cokolwiek się dzieje, zawsze dzieje się tak, jak dzieć się powinno i że wszystko obraca się na dobre.

Odśpiewali egzekwie, wyszli na dzwonne płyty przedsionka i odprowadzili matkę przez całe miasto na cmentarz, gdzie pod krzyżem z czarnego marmuru od dawna już spoczywał ojciec. I na matkę posypała się ziemia. Ech... ech...

Na wiele lat przed jej śmiercią, na Aleksiejewskim Zjeździe pod trzynastym kafłowy piec w jadalni ogrzewał i utulał malutką Helenkę, najstarszego Aleksieja i całkiem jeszcze nieporadnego Nikołkę. Jakże często odczytywano w ciepłe buchających żarem płaskich kafli *Cieślę z Saardamu*, kurantowy zegar wygrywał gawota, a pod koniec grudnia zawsze pachniało igliwem i na zielonych gałęziach płonęła kolorowa parafina. Stojącemu w sypialni matki, gdzie teraz śpi Helenka, mosiężnemu, co wygrywał gawota, odpowiadał z jadalni czarny, ścienny, bił spiżowe. Ojciec kupił go dawno, kiedy modne jeszcze były śmieszne, bufiaste rękawy. Panie już noszą się inaczej, czas przeleciał jak iskra, umarł ojciec, który był profesorem, wszyscy są już dorośli, a zegar został taki sam i bił spiżowe. Tak do niego wszyscy przywykli, że gdyby jakimś cudem zniknął któregoś dnia ze ściany, byłoby tak smutno, jakby zamilkł głos kogoś bliskiego, niczym by się nie dało wypełnić tej pustki. Ale zegar na szczęście jest z pewnością nieśmiertelny, nieśmiertelny jest też *Cieśla z Saardamu* i polewane kafle niczym mądra skała, w najcięższych chwilach gorące i zbawcze.

Te właśnie kafle i meble ze starymi obiciami z czerwonego aksamitu, i łóżka z błyszczącymi gałkami w kształcie szyszek, sfatygowane kobierczyki z sokołem siedzącym na dłoni Aleksieja Michajłowicza, z

Ludwikiem XIV spoczywającym na brzegu jedwabistego jeziora w rajskim ogrodzie, tureckie dywany, na których są dziwaczne orientalne esy-floresy. te, co zwiadywały się maleńkiemu Nikołce w malignie, kiedy miał szkarlatynę, lampa z brązu z abażurem, najlepsze na świecie szafy biblioteczne pełne książek pachnących tajemniczą staroświecką czekoladą, mieszczące Nataszę Rostową, i *Córkę kapitana*, filiżanki z pozłotką, srebra, portrety, portiery — wszystkie siedem zakurzonych i zagraconych pokoiów, w których wychowali się młodzi Turbinowie, wszystko to matka w najcięższych czasach pozostawiała dzieciom i, dusząc się już, słabnąc, chwytając za rękę płaczącą Helenę, błagała:

— Żyćcie... w zgodzie.

Ale jak żyć? Jak żyć?

Aleksiej Wasiliewicz Turbin, najstarszy — młody lekarz — ma dwadzieścia osiem lat. Helena — dwadzieścia cztery. Jej mąż, kapitan Talberg — trzydzieści jeden, a Nikołka — siedemnaście i pół. Życie właśnie nadłamane u samego zarania. Dawno już nadciągnęła zamieć od północy, i miecie, i miecie, i nie zacicha, a im dalej, tym gorzej. Po pierwszym wstrząsie, który zachwiał górami nad Dnieprem, wrócił najstarszy Turbin do rodzinnego miasta. No, myśleli, teraz się skończy, zacznie się to życie opisywane w czekoladowych książkach, ale nie dość, że się to życie wcale nie zaczęło, coraz straszniej jest i straszniej wokół. Na północy zawierucha wyje i wyje, a tu głucho grzmi pod nogami i powarkują niepokojone trzewia ziemi. Rok osiemnasty dobiega końca i z każdym dniem spoziera coraz to groźniej, coraz to szczeniściej.

Runą mury, spłoszony sokół śmignie z białej rękawicy, zgaśnie płomyk w lampie z brązu, a *Córka kapitana* zostanie spalona w piecu. Matka powiedziała dzieciom:

— Żyćcie.

Ale czeka je cierpienie i śmierć.

Któregoś dnia, wkrótce po pogrzebie matki, Aleksiej Turbin wstąpił o zmierzchu do ojca Aleksandra i powiedział:

— Cóż, niewesoło u nas, ojczyźnie Aleksandrze. Trudno zapomnieć o mamie, a na domiar złego czasy takie trudne... Dopiero wróciłem, myślałem, że teraz życie jakoś się ułoży, a tymczasem...

Zamilkł i siedząc w półmroku przy stole zadumał się i zapatrzył w dal. Gałęzie na dziedzińcyku cerkiewnym przysłoniły również i domek kapłana. Miało się wrażenie, że tu za ścianą ciasnego, zawałonego książkami gabinetu zaczyna się wiosenna, tajemnicza gęstwina leśna.

Wieczorne miasto huczało głucho, pachniały bzy.

— Cóż robić, cóż robić — mrucał zmieszany duchowny (zawsze onieśmielała go konieczność rozmów z ludźmi). — Wola boska.

— Może się to wszystko kiedyś wreszcie skończy? Ale czy się zmieni na lepsze? — zapytał Turbin nie wiedzieć kogo.

Kapłan poprawił się w fotelu.

— Ciężkie czasy, ciężkie, cóż tu ukrywać — wymruczał — ale nie traćmy otuchy...

Potem nagle wyłuskał z ciemnego rękawa sutanny białą dłoń, położył ją na stosie książek; tę, która leżała na wierzchu, otworzył w miejscu, gdzie między kartkami tkwiła kolorowa haftowana zakładka.

— Nie wolno tracić nadziei — powiedział, nadal zmieszany, ale jakoś bardzo przekonywająco. — Rozpacz to ciężki grzech... Ja wprawdzie sądzę, że i nadal będziemy poddawani próbom. Tak, tak, ciężkim próbom — mówił z coraz większym przekonaniem. — Wie pan, ostatnimi czasy bardzo wiele czytam, przeważnie z mojej dziedziny, oczywiście, dzieła o treści religijnej...

Uniósł książkę tak, aby resztki światła z okna padały na jej kartki i odczytał:

— „I wylał trzeci Anioł czaszę swą na rzeki i źródła wód: i stała się krew.”

2

Był więc zatem biały, kosmaty grudzień. Szybko zbliżała się połowa miesiąca. Odblask Bożego Narodzenia dawał się już ułoić na zaśnieżonych ulicach. Rok osiemnasty miał się ku końcowi.

Nad jednopiętrowym domem pod trzynastym, domem zbudowanym arcyprzedziwnie (od frontu mieszkanie Turbinów znajdowało się na pierwszym piętrze, od małego zaś pochylego przytulnego podwóreczka — na parterze), w ogrodzie, który przywarł do stromego zbocza, gałązki na wszystkich drzewach rozczapierzyły się, obwisły. Zbocze okrył śnieg, zasypał komórki na podwórzu, powstała gigantyczna głowa cukru. Dom przywdział białą generalską czapę i na piętrze dolnym (od ulicy — parter, od podwórza suterena pod werandą Turbinów) zapłonął wątlymi, żółciutkimi światełkami inżynier i tchórz, burżuj niesympatyczny, Wasyl Iwanowicz Lisowicz, na górnym zaś piętrze rozjarzyły się intensywnie i wesoło okna Turbinów.

O zmierzchu Aleksiej i Nikołka poszli po opał do drewnitni.

— Ech, ech, piekielnie mało tego drzewa. Popatrz, dziś znowu podkradli. Z elektrycznej latarki Nikołki buchnął niebieskawy stożek i w jego świetle

widać było, że deski ściany były najwyraźniej odrywane, a potem przybite byle jak od zewnątrz.

— Zastrzeliłbym takiego bydlaka! Jak Boga kocham. Wiesz co, zasadźmy się na nich tej nocy. Głowę dam, że to ci szewcy spod jedenastego. Co za łobuzeria! Mają więcej drzewa niż my.

— A niech ich diabli... Chodźmy. Bierz.

Zaśpiewał zardzewiały zamek, osypał się na braci śniegowy nawis z okapu, powlekli polana. O dziewiątej wieczorem nie sposób było dotknąć kafli Saardamu.

Wspaniały piec dźwigał na swej olśniewającej powierzchni następujące historyczne notatki i rysunki poczynione w różnych okresach roku osiemnastego ręką Fikołki, tuszem. Były one pełne znaczeń i tały w sobie głęboki sens:

Jeśli ci kto powie, że alianci śpieszą nam z pomocą — nie wierz mu. Sojusznicy to dranie.

On sympatyzuje z bolszewikami. Rysunek: gęba Momusa. Podpis:

„Ułan Leonid Juriewicz.”

Wieści groźne, glosy strwożone — Nadciągają bandy czerwone!

Rysunek akwarelą — twarz o obwisłych wusach, w papasze z niebieskim chwościkiem. Podpis:

„Bij Petlurę!”

Ręką Heleny, dłońmi dawnych, dobrych przyjaciół dzieciństwa Turbinów — Myszłajewskiego, Karasia, Szerwińskiego — akwarelą, tuszem, atramentem, sokiem wiśniowym:

Helena Wasiliewna wielce nas roluje:
Jednego z nas kocha, z drugiego żartuje.

Lenoczka. kupiłem bilet na *Aidę*. Paner. łoża numer 8. prawa strona.

W roku 1918. 12 maja zakochałem się.
Jest pan brzydki i gruby. Po tej zniewadze muszę się zastrzelić.

(Bardzo udatnie narysowany browning.)

Niech żyje Rosja! Niech żyje samodzierżawie!

Czerwiec. Barkarola.

Rosja na wieki zapamięta Ów Borodina dzień.

Drukowanymi literami, charakter pisma Nikołki:

ZABRANIAM WYPISYWANIA BYLE CZEGO NA PIECU POD
KARĄ ROZSTRZELANIA I POZBAWIENIA PRAW KAŻDEGO
TOWARZYSZA. KOMISARZ PODOLSKIEGO REJKOMU. MĘSKI.
DAMSKI I MĘŻCZYŹNIANY KRAWIEC ABRAM SPREŻYNER.

30 STYCZNIA 1918

Bucha żar od zapisanych kafli, czarny zegar idzie jak przed trzydziestoma laty: tonk-tank. Najstarszy Turbin, wygolony, jasnowłosy, po dwudziestym piątym października 1917 postarzały i sposepniały, w trenczu z olbrzymimi kieszeniami, w granatowych rajtuzach i w nowych rannych pantoflach siedzi w ulubionej pozie, z nogami na fotelu. U jego stóp na podnóżku Nikołka z opadającym kosmykiem, nogi wyciągnął prawie pod kredens — jadalnia jest maleńka. Na nogach ma buty z cholewami, ze sprzączkami. Przyjaciółka Nikołki, gitara, tkliwie i głucho: tren... Takie nieokreślone tren... bo, widzicie, na razie nic jeszcze dokładnie nie wiadomo. Trwożnie jest w Mieście, mgliście, źle...

Nikołka ma na ramionach podoficerskie szlify z białymi naszywkami, a na lewym rękawie ostrokątny trójkolorowy szewron. (Pierwsza piesza drużyna, oddział trzeci. Formują się już czwarty dzień w przewidywaniu nadciągających wydarzeń.)

Ale pomimo wszystkich tych wydarzeń w jadalni, prawdę mówiąc, jest cudownie. Gorąco, przytulnie, kremowe story są zaciągnięte. Żar rozgrzewa braci, budzi tęsknotę.

Starszy odrzuca książkę, przeciąga się.

— Zagrałbyś *tętniaki*...

Treń-ta-tam... Treń-ta-tam...

Buty wysokie,

Czapki z otokiem,

Idą junkrowie-inżynierowie!

Starszy zaczyna nucić. Oczy posępne, lecz rozpala się w nich ogieniek, w żyłach — żar. Ale cichutko, panowie, cichutko, cichuteńko.

Czołem, letnicy. Czołem, letniczki...

Gitara dudni marszem, wali ze strun kompania, idą inżynierowie — lewa, lewa! Oczy Nikołki wspominają:

Uczelnia. Odrapane kolumny z czasów Aleksandra, działa. Pełzną junkrzy na brzuchach od okna do okna, ostrzeliwują się. W oknach karabiny maszynowe.

Chmara żołnierzy oblega uczelnię, no dosłownie chmara. Cóż było robić? Przestraszył się generał Bogorodicki i skapitulował, poddał się razem z junkrami. Co za hańba!...

Czołem, letniczki.
Czołem, letnicy,
Mamy pokoje do wynajęcia...

Oczy Nikołki zachodzą mgłą.
Słupy upału nad czerwonymi ukraińskimi polami. Pylną drogą maszerują upudrowane kurzem junkierskie kompanie. Było to wszystko, było i oto już tego nie ma. Hańba. Nonsens.

Helena rozchyliła kotarę i w czarnej szczelinie ukazała się jej rudawa głowa. Rzuciła łagodne spojrzenie na braci, a na zegar bardzo, bardzo zaniepokojone. Nic dziwnego. Gdzież u licha przepadł ten Talberg? Siostra się denerwuje.

Żeby się nie zdradzić, chciała przyłączyć się do śpiewu braci, ale nagle znieruchomiała, podniosła palec.

— Poczekajcie. Słyszycie?

Kompania na wszystkich siedmiu strunach zaryła w miejscu: sta-ać! Wszyscy troje zaczęli nasłuchiwać, upewnili się — to armaty. Ciężko, daleko, głucho. O, jeszcze raz: bu-u... Nikołka odłożył gitarę i podniósł się pośpiesznie, za jego przykładem wstał postępując Aleksiej.

W salonie — gabinecie lekarskim — całkiem ciemno. Nikołka potknął się o krzesło. W oknach wypisz-wymaluj opera *Noc wigilijna* — śnieg i ogniki. Światełka drżą, migocą. Nikołka przypadł do okna. Zniknął sprzed oczu upał, zniknęła uczelnia, w oczach napięte nasłuchiwanie. Gdzie? Wzruszył podoficerskimi ramionami.

— Diabli wiedzą. Wygląda na to, że strzelają jakby pod Swiatoszynem. Dziwne, nie może być, żeby tak blisko.

Aleksiej jest w mroku, a Helena bliżej okna, widać, że oczy ma czarne, wylęknione. Co to może znaczyć, że Talberga do tej pory nie ma? Najstarszy wyczuwa jej zdenerwowanie, więc nie odzywa się ani słowem, choć ma na to wielką ochotę. To w Swiatoszynie. Co do tego nie może być dwóch zdań. Strzelają o dwanaście wiorst od miasta, nie dalej. Cóż to znowu za historia?

Nikołka trzyma się za baskwil, drugą ręką naciska szybę, jakby chciał ją wygnieść i wyskoczyć przez okno. nos rozpląszczył na szkle.

— Chciałbym tam pojechać. Dowiedzieć się. co to takiego...

— Tak, ciebie tam tylko brakowało...

Helena mówi to w trwodze, Ot i nieszczęście. Mąż miał wrócić dziś najpóźniej — słyszycie? — najpóźniej o trzeciej po południu, a jest Już dziesiąta.

W milczeniu zawrócili do jadalni. Gitara milczy posepnie. Nikołka dźwiga z kuchni samowar, samowar śpiewa złowieszczo i parska. Na stole filiżanki na zewnątrz w pastelowe kwiaty, od wewnątrz złote, szczególniejsze filiżanki, w kształcie żłobkowanych kolumnienek. Za życia matki, Anny Władimirowny. był to odświętny serwis rodzinny, teraz dzieci używają go na co dzień. Obrus, mimo huku armat i całego tego przygnębienia, niepokoju, niepewności, biały jest i wykrochmalony. To dzięki Helenie, która nie potrafi inaczej, dzięki Aniucie. która wychowała się w domu Turbinów. Podłogi lśnią, i teraz, w grudniu, w wysokim, matowym cylindrycznym wazonie stoją na stole niebieskie hortensje i dwie mroczne upalne róże potwierdzają piękno i niewzruszoność niezależnie od tego, że na przedpola Miasta ściga podstępny wróg, któremu uda się może rozbić śnieżne, piękne Miasto i rozgnieść obcasami okrucy spokoju. Kwiaty. Kwiaty, które przyniósł wierny adorator Heleny, porucznik gwardii Leonid Juriewicz Szerwiński. zaprzyjaźniony z ekspedientką ze słynnej cukierni „Markiza”, zaprzyjaźniony z ekspedientką z uroczej kwiaciarni „Flora Nicei”. Hortensje ocieniają talerzyk w granatowy wzorek, kilka plasterków kielbasy, masło w przezroczystej maselniczce. fragetowską piłę do cukru w cukiernicy i podłużny bochenek białego chleba. Znakomicie można by coś przegryźć i napić się herbaty, gdyby nie ta ponura sytuacja... Ech... ech...

Na czajniku jedzie na oklep pstry kogut z włóczki i w lśniącem boku samowara odbijają się trzy spotworniałe twarze Turbinów, Nikołka ma tam policzki niczym Momus.

W oczach Heleny jest smutek, kosmyki jej rudo podpalanych włosów zwisają smętnie.

Talberg ugrzązł gdzieś ze swoim hetmańskim pociągiem i zmarnował im wieczór. Diabli wiedzą, czy mu się, Boże uchwaj, coś nie stało?... Bracia ospale żują sznytki. Przed Heleną stygnąca filiżanka i *Pan z San Francisco*. Zamglone, niewidzące oczy patrzą na słowa:

...mrok, ocean, zamieć.

Helena nie czyta. Wreszcie Nikołka nie wytrzymuje:

— Co ja bym dał, żeby wiedzieć, dlaczego strzelają tak blisko. Niemożliwe przecież, żeby...

Sam sobie przerwał, poruszył się, wykrzywił w samowarze. Pauza. Wskazówka przepelza przez dziesiątą minutę i — tonk-tank — sunie ku

kwadransowi po dziesiątej.

— Strzelają dlatego, że Niemcy to dranie — burczy nieoczekiwanie starszy brat.

Helena podnosi oczy na zegar i pyta:

— Czy naprawdę, czy naprawdę zostawią nas na łasce losu? — Głos jej jest smutny.

Bracia jak na komendę odwracają głowy i zaczynają łąć.

— Nic pewnego nie wiadomo — powiada Nikołka i wbija zęby w kromkę.

— To, co powiedziałem, to hmm... tylko przypuszczenie. Pogłoski.

— Nie, to nie pogłoski — obstaje przy swoim Helena — to nie plotka, to rzeczywistość. Spotkałam dziś Szczegłową, powiedziała mi, że dwa niemieckie pułki wróciły spod Borodianki.

— Bzdury.

— Zastanów się — zaczyna starszy — czy to w ogóle jest do pomyślenia, żeby Niemcy pozwolili temu opryszkowi zbliżyć się do Miasta? No, zastanów się tylko. Osobiście doprawdy nie wyobrażam sobie, jak mogliby dogadać się z nim choćby na minutę. Kompletny absurd. Niemcy i Petlura. Nie mówią o nim inaczej jak tylko „*Pandit*”. To śmieszne.

— Ach, co też ty opowiadasz. Znam ja tych dzisiejszych Niemców. Sama widziałam kilku z czerwonymi kokardami. I pijanego podoficera z jakąś babą. Baba też była pijana.

— No i cóż z tego? Pojedyncze przypadki demoralizacji mogą się zdarzyć nawet w niemieckiej armii.

— Więc uważacie, że Petlura nie przyjdzie?

— Hm... moim zdaniem to niemożliwe.

— *Absolument*. Nalej mi, z łaski swojej, jeszcze jedną filiżankę herbaty. Nie denerwuj się. Zachowaj, jak to się mówi, spokój.

— Ale, Boże, gdzież ten Siergiej? Jestem przekonana, że napadli na ich pociąg, i...

— I co? Po co niepotrzebnie wyobrażać sobie Bóg wie co? Na tej trasie panuje przecież zupełny spokój.

— Więc dlaczego go nie ma?

— Boże drogi! Przecież sama wiesz, jak się teraz jeździ. Z pewnością na każdej stacji stali po cztery godziny.

— Rewolucyjna jazda. Godzinę jedziesz, dwie godziny stoisz. Helena westchnęła ciężko, popatrzyła na zegar, pomilczała i znowu zaczęła mówić:

— Boże, Boże! Gdyby Niemcy nie dopuścili się tej podłości, wszystko byłoby świetnie. Dwa niemieckie pułki wystarczą, żeby zgnieść tego waszego Petlurę jak muchę. O, nie, widzę, że Niemcy uprawiają jakąś wiarogłomną podwójną grę. A czemu nie widać tych wychwalanych

sojuszników? U-u, co za dranie. Obiecywali, obiecywali...

Samowar, do tej pory milczący, zaśpiewał znieńacka, przyprószone siwym popiołem węgielki posypały się na tacę. Bracia mimo woli spojrzeli na piec. Otóż i odpowiedź. Proszę bardzo:

Sojusznicy to dranie.

Wskazówka zatrzymała się na piętnaście po, zegar solidnie zgrzytnął i wybił raz, i odpowiedział mu zaraz przeciągły melodyjny tryl spod sufitu w przedpokoju.

— Bogu dzięki, otóż i Siergiej — powiedział radośnie najstarszy.

— To Talberg — przytaknął Nikołka i pobiegł otworzyć drzwi. Helena spłonila się, wstała.

Ale okazało się, że to wcale nie Talberg. Stuknęło troje drzwi i dobiegł ze schodów głuchy, zdziwiony głos Nikołki. Odpowiedział mu inny głos. Potem załomotały o schody podkute buty i kolba karabinu. Przez drzwi do przedpokoju wionęło zimnem i przed Aleksiejem i Heleną stanęła wysoka barczysta postać w szynelu do pięt, na połowych naramiennikach narysowane chemicznym ołówkiem trzy porucznikowskie gwiazdki. Baszłyk oszroniały, ciężki karabin z brunatnym bagnetem zajmował cały przedpokój.

— Dobry wieczór — zaśpiewała ochrypłym tenorem postać i ujęła baszłyk w skostniałe palce.

— Witia!

Nikołka pomógł owej postaci rozsupłać wiązanie, opadł kaptur, w ślad za nim opadł naleśnik oficerskiej czapki z pociemniałą oznaką i nad zwalistymi ramionami ukazała się głowa porucznika Wiktora Wiktorowicza Myszłajewskiego. Głowa to była bardzo piękna, dziwną, smutną i fascynującą pięknnością starej dobrej zdegenerowanej rasy. Śmiałe oczy piękne były, choć każde innego koloru, w długich rzęsach. Nos lekko wygarbiony, dumne usta, czoło białe i czyste, bez znaków szczególnych. Ale jeden kącik ust opuszczony żałośnie, podbródek ścięty ukosem, jak gdyby rzeźbiarz modelujący twarz arystokraty w porywie dzikiej fantazji odgryzł kawał gliny i zostawił męskiej twarzy podbródek maleńki, nieregularny, kobiący.

— Skąd ty tutaj?

— Skąd?

— Ostrożnie — odpowiedział słabym głosem Myszłajewski. — Uważaj, nie rozbij. Mam tam wódkę.

Nikołka troskliwie odwiesił ciężki szynel, z kieszeni sterczała szyjka owiniętej w kawałek gazety butelki. Potem powiesił ciężki mauzer w drewnianej kaburze, wieszak z jelenich rogów aż się zachwiał. Dopiero wtedy Myszłajewski odwrócił się do Heleny, ucałował jej dłoń i powiedział:

— Spod Czerwonej Karczmy. Bądź tak dobra, Lena, i przenocuj mnie. Nie dojdę do domu.

— Ach, Boże drogi, oczywiście.

Myszłajewski jęknął nagle, chciał pochuchać na palce, ale wargi nie były mu posłuszne. Białe brwi i posiwiały od szronu aksamit przyszczyżonego wąsika zaczynały już tajać, twarz zwilgotniała. Najstarszy Turbin rozpiął mu trenecz, obejrzał szew wyciągając przy tym brudną koszulę.

— No, oczywiście... Pełno ich. Aż się roi.

— Słuchajcie! — zakrzętała się wystraszona Helena, zapomniała na chwilę o Talbergu. — Nikołka, drzewo jest w kuchni. Biegiem rozpal piec w łazience. Ech, nie mogę sobie darować, że puściłam Anię. Aleksiej, ściągnij z niego trenecz, pośpiesz się.

W jadalni, przy kaflach, Myszłajewski nie powstrzymując już jęków osunął się na krzesło. Helena biegała, podzwaniała kluczami. Turbin i Nikołka uklękli i ściągnęli Myszłajewskiemu wytworne, obcisłe buty ze sprzączkami na łydkach.

— Ostrożnie... Och, ostrożnie...

Rozwinęły się obrzydliwe plamiste onuce. Pod onucami jedwabne skarpetki lila. Trenecz Nikołka natychmiast wyniósł na mroźną werandę, żeby wszy wyzdychały. Myszłajewski w brudnej batystowej koszuli, na której krzyżują się czarne szelki, w granatowych bryczesach ze strzemiączkami jest teraz szczupły i szerniały, chory i żalony. Posiniałe dłonie czepiają się kafla, głaszczą je.

Wieś... strwóż... band... czerw...

...moja... kochałem...

— Cóż za ścierwa! — krzyczy Turbin. — Nie mogli wydać wam walców i półkożuszków?

— Wa-walców — z płaczem przedrzeźnia Myszłajewski. — Walo... W ciepłe stopy i dłonie przeszywa nieznośny ból. Słyszac, że kroki Heleny cichną w kuchni, Myszłajewski płacząco, a zarazem nienawistnie krzyknął:

— Zamtuż!

Chrypiąc opadł w konwulsjach na fotel i wskazując palcem skarpetki wyjęczał:

— Ściągnijcie, ściągnijcie, ściągnijcie...

Śmierdział denaturat, tajała w miednicy śnieżna zaspą; wychyliwszy szklaneczkę wódki, porucznik Myszałajewski w mgnieniu oka zalał się w trupa.

— Czy trzeba będzie amputować? Boże... — Boleśnie zakołysał się w fotelu.

— Ależ, co ty, dajże spokój. To nic... Tak, odmroziłeś sobie duży palec. No... zagoi się. I ten też się zagoi.

Nikołka przykucnął i wciągał mu na stopy czyste czarne skarpetki, zdrewniałe, nie zginające się ramiona Myszałajewskiego trafiły w rękawy włochatego płaszcza kąpielowego. Na policzkach rozkwitły szkarłatne plamy; w czystej bieliźnie, skulony w szlafroku odtajał i ożył zamrożony porucznik Myszałajewski. Gniewne wyzwiska skakały po pokoju niczym grad po parapecie. Lekko zezując na czubek nosa porucznik od ostatnich wyzywał sztabowców, którzy jeżdżą wagonami pierwszej klasy, jakiegoś pułkownika Szczetkina, mróz, Petlurę, Niemców i zadymkę, wreszcie samego hetmana wszej Ukrainy obrzucił najnieprzystojniejszymi ryzsztokowymi wyrazami.

Aleksiej i Nikołka patrzyli, jak zgrzyta zębami odmarzający porucznik, od czasu do czasu wołali: „No-no!”

— Hetman, powiadacie? Taka jego mać! — ryczał Myszałajewski. — Kawalergard? W pałacu? Co? A nas pognali, w czym który stał. Co?

Całą dobę w śniegu, na mrozie... Boże święty! Myślałem, że koniec z nami... o, mać! Oficer od oficera o sto sążni — i to się nazywa tyraliera? O mało nie wytlukli nas do nogi.

— Zaraz! — pytał wytracony z równowagi wyzwiskami Turbin. — Powiedz no, kto tam był. pod Karczmą?

— Et! — Myszałajewski machnął ręką — nie sposób zrozumieć! Wiesz, ilu nas było pod Karczmą? Czter-dzie-stu. Przyjeżdża ta łachudra, pułkownik Szczetkin, i powiada (tu Myszałajewski skrzywił się, usiłując naśladować znienawidzonego pułkownika Szczetkina, zaczął mówić obrzydliwym, piskliwym, pieszczącym się głosem): — „Panowie oficerowie, w panach Miasto pokłada całą swoją nadzieję. Nie zawiedźcie zaufania ginącej macierzy grodów ruskich i jeśli zjawi się nieprzyjaciel — atakujcie śmiało, Bóg jest z nami! za sześć godzin zluzuję panów. Proszę jednak oszczędzać naboje...” (Myszałajewski znowu mówił swoim normalnym głosem) — wsiadł do samochodu i dał dęba razem ze swoim adiutantem. A ciemno jak w dupie! Zięb. Trzaskający mróz. Przenika do kości.

— Ale któż tam był, na rany Chrystusa? Przecież to niemożliwe, żeby Petlura pokazał się pod Karczmą?

— A diabli go wiedzą! Możesz wierzyć albo nie, ale nad ranem o małośmy nie powariowali. Stanęliśmy tam o północy, czekamy, kiedy nas

zmieniają... Nie czujemy ani ręki ani nogi. Nie zmieniają. Rozpalić ognisk oczywiście nie możemy, do wsi dwie wiorsty, do Karczmy — wiorsta. W nocy zwiduje się człowiekowi, że coś się na polu porusza. Jesteś przekonany, że to oni się czołgają... No, myślę, co teraz zrobimy?... Co? Podnosisz karabin, myślisz — strzelać czy nie strzelać? Omam. Stoimy tak i stoimy. Krzykniesz — idzie nawoływanie po tyralierze. Zakopałem się wreszcie w śnieg, nagarnąłem sobie kolbą mogiłkę, usiadłem i staram się zasnąć, zaśniesz — toś gotów. Nad ranem nie wytrzymałem, czuję, że zasypiam. I wiesz, co nas uratowało? Kulomioty. O świcie słyszę — nie dalej niż o trzy wiorsty — zaczęło się! Ale, wyobraź sobie, nic chce mi się wstać. A tu nagle rąbnęło działo. Wstałem, każda noga — pud, myślę sobie: „Moje gratulacje. Petlura raczył przybyć.” Zeszlusowaliśmy w żalostną tyralierę, odliczyliśmy. Postanowiliśmy, że w razie czego zbijemy się w gromadkę, będziemy się ostrzeliwać i wycofywać w kierunku miasta. Wystrzelają, to wystrzelają. W gromadzie przynajmniej raźniej. I, wyobraź sobie — uciszyło się. Rano kolejno po trzech biegaliśmy do Karczmy, żeby się ogrzać. Wiesz, kiedy nas zluzowali? Dziś o drugiej po południu. Dwustu junkrów z pierwszej drużyny. Wyobraź sobie — znakomicie ubrani, w papachach, w walonkach, z obsługą cekaemu. Przyproceedził ich pułkownik Naj-Turs.

— A! Nasz, nasz! — wrzasnął Nikołka.

— Poczekaj, czy aby to nie ten z białogrodzkiego pułku huzarów? — zapytał Turbin.

— Tak, tak, huzar... I, rozumiesz, zobaczyli nas i zgroza ich ogarnęła: „Myśleliśmy, powiadają, że są was tu ze dwie kompanie z kulomiotami. Że też utrzymaliście pozycję!”

Okazuje się, że z tą strzelaniną to było tak: przed świtem nad Sieriebriankę wyszła banda, z tysiąc chłopów, ruszyli do natarcia. Na szczęście nie wiedzieli, że tyraliera tam taka sama jak i u nas, bo inaczej to, sam rozumiesz, cała ta hałastrą jak nic mogłaby złożyć wizytę w mieście. Na szczęście tamci mieli łączność z Rozjazdem Wołyńskim, dali znać i któraś bateria stamtąd obłożyła bandę szrapnelami, no, od razu ostygli w zapalach, przerwali natarcie i poszli sobie do wszystkich diabłów.

— Ale co to byli za jedni? Czyżby Petlura? Niemożliwe.

— A diabli ich wiedzą. Przypuszczam, że tutejsi chłopów, bogonoścy Dostojewskiego... u-u... wasza mać!

— Boże wielki!

— Ta-ak — chrypiał Myszłajewski zaciągając się papierosem — zluzowano nas, chwala Ci, Panie! Odliczamy — jest nas trzydziestu ośmiu. Moje gratulacje, dwóch zamarzyło w cholere. A dwóch zabraliśmy,

trzeba im będzie amputować nogi...

— Jak to? Na śmierć?

— A coś ty myślał? Jeden junkier i jeden oficer. A w Popielusze, to koło Karczmy, było jeszcze lepiej. Poszliśmy tam z podporucznikiem Krasinem po sanie dla tych, co mieli odmrożenia. Wioska jak wymarła — żywej duszy. Wreszcie patrzemy — wlecze się jakiś dziad w kożuchu, z kosturem. Wyobraź sobie, że ucieszył się, kiedy nas zobaczył. Od razu poczułem, że coś jest nie w porządku. W czym rzecz, myślę? Z czego się ten bogonosiec tak cieszy: „*Chłopczyky..*” i „*chłopczyky...*” Mówię do grzyba miodnym głosem: „Czołem, dziadku. Dajcie no tu migiem jakie sanie.” A on mi na to: „*Ne ma. Oficernia usi sani zabrała na Rozjazd.*” Mrugnąłem na to do Krasina i pytam: „*Oficernia? Taak. A deż usi chłopci?*” A dziad jak nie palnie: „*Usi pobihły do Petlury.*” Co? Jak ci się to podoba? Stary trochę ślepy, nie zauważył, że pod baszłykami mamy naramienniki, i wziął nas za petlurowców. Ale tu, widzisz, nie wytrzymałem... Mróz... Wpadłem w furję... Wziąłem tego dziada za kołnierz, tak że o mało co duszy z niego nie wytrząsałem, i krzyczę: „*Pobihły do Petlury? Zaraz cię tu zastrzelę, to będziesz wiedział, jak uciekać do Petlury! Ode mnie, ścierwo, do królestwa niebieskiego uciekniesz!*” Ale na to, jasna sprawa, bogobojny oracz, siewca i żniwiarz (Myszłajewski strącił niczym lawinę kamieni straszliwe przekleństwo) w jednej chwili przejrzał na oczy. Padł. oczywiście, do nóg i drze się: „Oj, wasze wysokobłagorodije, przebaczcie mi, staremu, ja to z głupoty, bo na oczy niedowidzę, dam konie, zaraz dam, *tilki ne wbywajte!*” I znalazły się i konie, i sanie. Tak więc o zmierzchu dotarliśmy do Rozjazdu. W głowie się nie mieści, co się tam działo. Naliczyłem na torach cztery bezużyteczne baterie, okazuje się, że nie ma pocisków. Sztabów do diabła i trochę. Nikt, oczywiście, nie ma pojęcia o niczym. I, przede wszystkim, nie ma co zrobić z nieboszczykami. Znaleźliśmy wreszcie punkt opatrunkowy, czy dasz wiarę, że na siłę wpakowaliśmy im trupy, nie chcieli ich przyjąć: „*Wieźcie do Miasta.*” Ale to już nas doprowadziło do takiej furii, że Krasin chciał zastrzelić jakiegoś sztabowca. Ten mu na to: „*To, powiada, petlurowskie obyczaje.*” I zniknął nam z oczu. Dopiero pod wieczór odszukaliśmy wreszcie wagon Szczetkina. Pierwsza klasa, światło elektryczne... I co powiesz? Stoi jakiś fagas, ordynans nie ordynans, i nie wpuszcza. Dobrze, co? „*Pułkownik śpią, powiada. Nikogo nie kazali wpuszczać.*” No, jak nie walnę kolbą w ścianę, za moim przykładem wszyscy nasi podnieśli raban. Wylazł Szczetkin i dalej się wiercić: „*Ach, mój Boże. Ależ oczywiście. Nie traćmy czasu. Hej, dyżurni, kapuśniak,*

koniak! Zaraz was rozlokujemy. Macie, panowie, wolne. To doprawdy bohaterstwo. Ach, co za strata, ale cóż robić, cóż robić, ofiary są nieuniknione. Taki jestem zapracowany..." A koniakiem jedzie od niego na wiorstę. A-a-a! — Myszłajewski ziewnął nagle, głowa mu opadła. Zamamrotał jak przez sen:

— Przydzielili oddziałowi ciepłuszkę i piecyk... O-o! A mnie się poszczęściło. Widocznie chciał się mnie pozbyć po tym rabaniu. „A pan, poruczniku, uda się z mego polecenia do miasta. Do sztabu generała Kartuzowa. Złóży pan tam meldunek." He-he-he! Wsiadłem na parowóz... skostniałem cały... zamek Tamary... wódka...

Papieros wypadł Myszłajewskiemu z ust, porucznik osunął się na oparcie i natychmiast zachrapał.

— No i macie — powiedział strapiony Nikołka.

— Gdzie Helena? — zapytał zafrasowany najstarszy. — Trzeba mu dać prześcieradło, zaprowadź go do łazienki.

Helena zaś tymczasem płakała w pokoiku za kuchnią, gdzie za perkalową zasłoną obok ocynkowanej wanny w piecyku płomień miały się po suchej narąbanej brzezynie. Zachrypnięty zegar kuchenny wystukał jedenastą. I Helenie ukazał się zabity Talberg. To jasne, był napad na pociąg z transportem pieniędzy, eskortę wybito, na śniegu krew i mózg. Helena siedziała w półmgle, płomień prześwitywał przez wzburzoną koronę włosów, po policzkach spływały łzy. Zabili go. Zabili...

I oto zatrzepotał delikatny dzwonek, wypełnił sobą całe mieszkanie. Helena jak wicher pomknęła przez kuchnię, przez ciemną bibliotekę do jadalni. Światła zapłonęły jaśniej. Czarny zegar zaczął bić. tykać, pędził galopem.

Ale Nikołka i Alosza bardzo szybko przygaśli po pierwszym wybuchu radości. Cieszyli się zresztą głównie z powodu radości Heleny. Paskudne wrażenie robiły na braciach trójkatne naramienniki hetmańskiego ministerstwa wojny na kurtce Talberga. Zresztą i wtedy, kiedy nie było jeszcze tych naramienników, niemal od dnia wesela Heleny pojawiło się jakieś pęknięcie na kryształach rodzinnego życia Turbinów i ożywcza woda niedostrzegalnie przez nie wyciekała. Naczynie wyschło. I głównym chyba powodem tego były dwuwarstwowe oczy kapitana ze sztabu generalnego Siergieja Iwanowicza Talberga...

Ech, ech... Cokolwiek by się powiedziało, pierwsza warstwa była wyraźnie widoczna. Zwykłe ludzkie zadowolenie, że jest ciepło, jasno i bezpiecznie. Głębiej zaś — trwoga. Talberg przywiózł ją ze sobą właśnie teraz. To, co najgłębiej, oczywiście jak zawsze było ukryte. W każdym

razie niczego nie zdradzał wygląd zewnętrzny Siergieja Iwanowicza. Pas — szeroki, twardy. Równomiernie jaśnieją oba białe znaczki — akademii i uniwersytetu. Zgrabna sylwetka jak automat porusza się pod czarnym zegarem. Talberg bardzo zmarzł, ale uśmiecha się do wszystkich życzliwie. I w tej życzliwości także jest trwoga. Nikołka pociągając długim nosem spostrzegł to pierwszy. Talberg, przeciągając słowa, powoli i wesoło opowiadał, jak to pod Borodianką, o czterdzieści wiorst od Miasta, dokonano napadu na pociąg, który wiozł pieniądze na prowincję, a który on, Talberg, eskortował. Nie wiadomo, kto napadł! Przerazona Helena mrużyła oczy, tuliła się do znaczków, bracia znowu wołali: „No, no!” Myszłajewski zaś martwo chrapał i pokazywał trzy złote koronki.

— Co to byli za jedni? Petlura?

— No, gdyby to był Petlura — ciągnął Talberg uśmiechając się lekceważąco, ale zarazem trwożnie — wątpliwie, czy bym tu teraz... e-e... rozmawiał z wami. Nie wiem, co to byli za jedni. Może maruderzy kozaccy. Wdarli się do wagonów, wymachują karabinami, krzyczą: „Czyj transport?” „Kozacki” — odpowiadam. Podreptali w miejscu, podreptali, potem słyszę komendę: „Złazić, chłopcy!” I wszyscy zniknęli. Przypuszczam, że szukali oficerów, sądzili widocznie, że to nie ukraiński transport, ale oficerski — Talberg wyraziście spojrzał na szewron Nikołki, popatrzył na zegarek i nieoczekiwanie dorzucił: — Pozwól, Heleno, chciałbym zamienić z tobą parę słów...

Helena pośpiesznie wyszła za nim do części mieszkania, którą zajmowali Talbergowie, do sypialni, gdzie na ścianie nad łóżkiem siedział na białej rękawicy sokół, gdzie łagodnie paliła się zielona lampa na biurku Heleny, gdzie na frontonie mahoniowego szafkowego zegara stali pastuszkowie z brązu i co trzy godziny wygrywali gawota.

Rozbudzenie Myszłajewskiego wymagało od Nikołki niewiarygodnych wysiłków. Myszłajewski zataczał się, dwukrotnie zawadził z łoskotem o drzwi, a w wannie znowu zasnął. Nikołka dyżurował przy nim, żeby nie utonął. Zaś najstarszy Turbin, sam nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego to robi, przeszedł do ciemnego salonu, przywarł do okna i nasłuchiwał — znowu daleko, głucho jak przez watę, dobrodusznie grzmiały działa, daleko i z rzadka.

Rudawa Helena od razu postarzała się i zbrzydła. Oczy czerwone. Smętnie, ze zwieszonymi ramionami, słuchała Talberga. On zaś wznosił

się nad nią niczym wysmukła sztabowa kolumna i mówił nieubłaganie:

— Heleno, nie mamy żadnego innego wyjścia.

Wówczas Helena, pogodzona już z nieuniknionym, powiedziała tak:

— Cóż, ja to rozumiem. Masz, oczywiście, rację. Za pięć, sześć dni, powiadasz? A może sytuacja jeszcze się poprawi?

To był dla Tallberga trudny moment. Musiał nawet zdjąć z twarzy swój wieczny, opatentowany uśmiech. Twarz mu się zestarzała, wszystko w niej wyrażało podjętą już nieodwołalną decyzję. Heleno... Heleno... Ach, po cóż ta złudna, ulotna nadzieja?... Pięć, sześć dni...

I Talberg powiedział:

— Musimy wyjechać już, natychmiast. Pociąg odchodzi o pierwszej w nocy...

...W pół godziny później wszystko w pokoju pod sokołem przewrócone było do góry nogami. Waliza na podłodze, wewnętrzne wieko na sztorc. Helena surowa i jakby szczuplejsza, zmarszczki w kącikach ust, w milczeniu układała w walizie koszule, kalesony, ręczniki. Talberg na klęczkach dłubał kluczem w zamku dolnej szuflady szafy. A poza tym... poza tym w pokoju jest antypatycznie jak w każdym pokoju, w którym panuje chaos pakowania rzeczy, na domiar złego z lampy zdjęto abażur. Przenigdy nie zdejmujcie z lampy abażuru! Ażur — to świętość. Nigdy przed niebezpieczeństwem nie uciekajcie szurczym truchtem w nieznanne. Śnijcie przy abażurze, czytajcie — cóż, że zamieć wyje? — czekajcie, aż przyjdą po was.

Zaś Talberg uciekał. Depcząc strzępki papieru wznosił się nad zamkniętą już ciężką walizą w swym długim szynelu, w schludnych czarnych nausznikach, z szaroniebieską oznaką hetmańską, z przypasaną szablą.

Na dalekiej bocznicy Miasta Głównego, osobowego, stoi już pociąg — jeszcze bez lokomotywy, jak gąsienica bez głowy. Dziewięć wagonów, oślepiająco białe światło elektryczne. O pierwszej w nocy odjedzie tym składem do Niemiec sztab generała von Biissowa. Zabierają ze sobą Talberga. Talberg miał chody... Hetmańskie ministerstwo to głupia i niesmaczna farsa. (Talberg lubił wyrażać się trywialnie, ale dobitnie, jak zresztą i sam hetman.) Tym niesmaczniejsza, że...

— Zrozum (szepet), Niemcy zostawiają hetmana na łasce losu i bardzo, bardzo możliwe, że Petlura wejdzie... a to, zresztą sama wiesz...

O, Helena wiedziała! Helena wiedziała doskonale! W marcu roku siedemnastego Talberg był pierwszym — zrozumcie to, pierwszym! — który przyszedł do szkoły wojskowej z szeroką czerwoną opaską na rękawie. To były pierwsze dni, wtedy jeszcze wszyscy oficerowie, gdy nadchodziły wieści z Petersburga, purpurowieli i odchodzili

dokądkolwiek, w ciemne korytarze, byle tylko niczego nie słyszeć. Talberg jako członek rewolucyjnego komitetu wojskowego, tak, on właśnie, a nie kto inny, aresztował słynnego generała Pietrowa. Kiedy zaś przed końcem owego świetnego roku Miasto oglądało wiele jeszcze wspaniałych i zdumiewających rzeczy, kiedy zjawili się w nim jacyś mężczyźni, którzy nie mieli butów, ale mieli za to szerokie szarawary wyzierające spod szarych żołnierskich szyneli, i kiedy mężczyźni ci oświadczyli, że w żadnym wypadku nie pójdą na front, bo na froncie nie mają nic do roboty, i że zostaną w Mieście, Talberg zrobił się bardzo rozdrażniony i oświadczył oschle, że to nie to, o co chodzi, tylko niesmaczna farsa. I w pewnym stopniu miał rację — rzeczywiście zrobiła się z tego farsa, nie zwyczajna jednak, ale z wielkim krwi rozlewem. Ludzi w szarawarach w mgnieniu oka przepędziły z Miasta zdziesiątkowane szare pułki, które przyszły nie wiedzieć skąd, z lasów, z ciągnącej się ku Moskwie równiny. Talberg oświadczył, że ci w szarawarach to awanturnicy, a korzenie mamy w Moskwie, choć są to korzenie bolszewickie.

Któregoś dnia jednak, w marcu, weszły do Miasta szare szeregi Niemców, Niemcy mieli na głowach rude metalowe miski, zabezpieczające ich przed szrapnelami, huzarzy zaś jechali w takich włochatych czapach i na takich koniach, że popatrzysz na nich Talberg od razu zrozumiał, jak to naprawdę jest z tymi korzeniami. Po kilku basowych wystrzałach niemieckich armat pod Miastem moskiewscy dali nura gdzieś za wilgotne lasy, by tam się żywić padliną, zaś ci w szarawarach przywlekli się z powrotem w ślad za Niemcami. To była wielka niespodzianka. Talberg uśmiechał się niepewnie, nie bał się jednak niczego, bo szarawary przy Niemcach były bardzo spokojne, nie ośmiały się nikogo mordować, a nawet same chodziły po ulicach jakby z niejakim lękiem, jak goście, którzy czują się niezbyt swobodnie. Talberg powiedział, że szarawary nie mają żadnych korzeni i przez dwa miesiące nigdzie nie służył. Nikołka Turbin kiedyś uśmiechnął się, kiedy wszedł do pokoju Talberga. Talberg siedział i wypisywał na wielkim arkuszu papieru jakieś ćwiczenia gramatyczne, przed nim zaś leżała cieniutka książeczka wydrukowana na tanim, szarym papierze:

Inhatyj Perpyłło — *Gramatyka języka ukraińskiego*.

W kwietniu, w osiemnastym, na Wielkanoc, w cyrku wesoło huczały matowe lampy elektryczne i ludzie mrowili się aż pod kopułą. Talberg trwał na arenie jak kolumna, wesół i dziarski, i liczył podniesione ręce — koniec z szarawarami, będzie Ukraina, ale Ukraina hetmańska —

wybijano „hetmana wszej Ukrainy”.

— Nie mamy nic wspólnego z krwawą farsą moskiewską — mówił Talberg i jaśniał w dziwnym mundurze hetmańskim w domu, na tle kochanych starych tapet. Zegar krztusił się pogardliwie: tonk-tank, i wyciekała woda z kryształowego wazonu. Nikołka i Aleksiej nie mieli o czym rozmawiać z Talbergiem. Zresztą bardzo trudno byłoby im rozmawiać, bo Talberg wpadał w straszny gniew przy każdej rozmowie o polityce, wtedy zwłaszcza, gdy Nikołka, doprawdy nietaktownie, zaczynał: „A coś ty, Sierioża, mówił w marcu?...” Talberg natychmiast wyszczerzał górne zęby, rzadkie, ale duże i białe, w oczach zapalały mu się żółciutkie iskierki, zaczynał się denerwować. I w ten sposób rozmowy wyszły z mody.

Tak, farsa... Helena wiedziała, co znaczy to słowo na pulchnych nadbałtyckich wargach. Ale teraz farsa zagrażała, i to już nie szarawarom, nie moskiewskim, nie jakiemuś tam Iwanowi Iwanowiczowi, ale Siergiejowi Iwanowiczowi Talbergowi we własnej osobie. Każdy człowiek ma swoją gwiazdę i nie na darmo w średniowieczu nadworni astrologowie sporządzali horoskopy, przepowiadali przyszłość. O, jakże byli mądrzy! A więc Talberg, Siergiej Iwanowicz, gwiazdę miał nieodpowiednią, niefortunną. Dobrze by się wiodło Talbergowi, gdyby wszystko szło po prostej, po raz wytyczonej prostej, ale wydarzenia w Mieście w owym czasie nie rozwijały się tak zgodnie z Euklidesem, zakreślały wymyślne zygzyki i daremnie Siergiej Iwanowicz próbował przewidzieć przyszłość. Nie przewidział jej. Jeszcze daleko, o sto pięćdziesiąt, może nawet o dwieście wiorst od Miasta stoi na oświetlonym białym światłem torze salonka. Po salonce lata niczym ziarnko po strąku wygolony człowiek, dyktuje coś swoim pisarczykom i adiutantom. Biada Talbergowi, jeśli człowiek ten wejdzie do Miasta, a może wejść! Biada. Wszyscy znają numer gazety „Wiesti”, a także nazwisko kapitana Talberga, który wybierał hetmana.

W gazecie jest artykuł pióra Siergieja Iwanowicza, a w artykule tym takie słowa:

„Petlura to awanturnik, jego farsa grozi krajowi zagładą...”

— Sama rozumiesz, Heleno, że nie mogę cię zabrać na poniewierkę, na niepewne. Prawda?

Helena nie odpowiedziała ani słowem, była nazbyt dumna.

— Sądzę, że bez przeszkód zdołam się przedostać przez Rumunię na Krym, a potem nad Don. Von Biissow obiecał mi to ułatwić. Wiedzą, ile jestem wart. Okupacja niemiecka zamieniła się w farsę. Niemcy już

odchodzą. (Szept.) Petlura według moich przewidywań także niebawem upadnie. Prawdziwa siła nadciąga znaną Donu. Rozumiesz, że nawet nie mogę nie być tam, gdzie tworzy się armia prawa i porządku. Jeśli mnie tam nie będzie, zaprzepaszczę swoją karierę, wiesz przecież, że Denikin był dowódcą mojej dywizji. Jestem pewien, że nie miną trzy miesiące, no, najpóźniej w maju, a wejdziemy do Miasta. Niczego się nie obawiaj. Ciebie w żadnym razie nikt nie ruszy, no, a w ostateczności masz przecież dokumenty na panińskie nazwisko. Poproszę Aleksieja, żeby się tobą zaopiekował.

Helena ocknęła się.

— Słuchaj — powiedziała — przecież trzeba natychmiast uprzedzić braci, że Niemcy nas zdradzają! Talberg strasznie się zaczerwienił.

— Oczywiście, oczywiście, ja oczywiście... A zresztą — sama im to powiedz. Choć to przecież niewiele zmienia.

Helena miała przez moment jakieś dziwne uczucie, ale nie było czasu na medytację — Talberg już całował żonę i była taka chwila, kiedy jego dwuwarstwowe oczy wyrażały jedno tylko — tkliwość. Helena nie wytrzymała i rozplakała się, ale cicho, cichutko, miała w sobie siłę, nie darmo była córką Anny Władimirowny. Potem w saloniku odbyło się pożegnanie z braćmi. W lampie z brązu rozgorzało różowe światło, zaalało cały kąt pokoju. Pianino pokazało białe, przytulne zęby i partyturę *Fausta*, to miejsce, gdzie czarne zawijasy nut biegną zwartym rzędkiem, a feeryczny rudobrody Walenty śpiewa:

O. litość miej dla siostry mej. Użalić ty się nad nią chciej. W opiece miej ją swej.

Nawet Talberg, któremu obce były wszelkie sentymentalne wzruszenia, zapamiętał w owej chwili i czarne akordy, i sfatygowane nuty nieśmiertelnego *Fausta*. Ech, ech... Talberg nigdy więcej nie będzie miał okazji usłyszeć cavatiny o Panu Bogu wszechmogącym, nie usłyszy akompaniującej Szerwińskiemu Heleny! A jednak, kiedy Turbinów i Talberga nie będzie już między żywymi, klawisze odezwą się znowu, wyjdzie na proscenium feeryczny Walenty, łoże będą pachniały perfumami, a w domach zasiądą do pianina kobiety, którym światło przydało urody, bowiem *Faust*, podobnie jak *Cieśla z Saardamu*. jest zaprawdę nieśmiertelny.

Talberg powiedział wszystko od razu, przy pianinie. Bracia uprzejmie zmilczeli, starali się nie unosić brwi. Młodszy, bo był dumny, starszy zaś dlatego, że był szmatą. Talbergowi zadrżał głos.

— Opiekujcie się Heleną — nieprawdziwe oczy Talberga popatrzyły błagalnie i lękliwie. Zmieszał się, spojrzął z zakłopotaniem na kieszonkowy zegarek, powiedział niespokojnie: — Już czas!

Helena objęła męża za szyję, przyciągnęła go, pośpiesznie przeżegnała go niepewną dłonią, ucałowała. Talberg ukłął obu braci szczotkami czarnych przystrzyżonych wąsików. Zajrzał do portfela, niespokojnie przejrzał plik dokumentów, przeliczył wyjęte z wewnętrznej kieszonki portfela ukraińskie papierki i marki niemieckie i uśmiechając się, uśmiechając się z wysiłkiem i odwracając co chwila, poszedł. Dzyń... dzyń... w przedpokoju żarówka pod sufitem, potem postukiwanie walizki o schody. Przewieszona przez poręcz Helena zobaczyła po raz ostatni szpiczasty czubek baszłyka.

O pierwszej w nocy, z toru piątego, z cmentarzyska pustych wagonów towarowych, z mroku, od razu nabierając wielkiej rozdygotanej szybkości, buchając czerwonym żarem z popielnika odjechał szary jak ropucha pociąg pancerny, zawył dziko. W siedem minut przejechał osiem wiorst, wpadł na Rozjazd Wołyński, w harmider, w stukot, w gruchot, między latarnie, nie zwolnił, po podskakujących zwrotnicach skręcił z głównej linii w bok i budząc niejasne nadzieje i dumę w sercach przemarzniętych junkrów i oficerów, kulących się w ciepłuszkach i w tyralierach pod samym Rozjazdem, odważnie, nikogo, ale to nikogo się nie bojąc, odjechał w kierunku niemieckiej granicy. W dziesięć minut później w ślad za nim przejechał przez Rozjazd jaśniejący dziesiątkami okien osobowy z olbrzymim parowozem. Mignęli masywni, opatuleni po same oczy niemieccy wartownicy na pomostach wagonów, podobni do okrągłych słupów ogłoszeniowych, mignęły ich szerokie czarne bagnety. Zwrotnicowi dławiając się mrozem widzieli, jak zarzucało na złączach szyn długie pulmany, okna rzucały na zwrotnicowych snopy światła. Potem wszystko to znikło, serca junkrów napełniły się zawiścią, złością i niepokojem.

— U-u... s-s-wołocz! — sieknęło skądś znad wajchy, zwała się na ciepłuszki parząca zamieć. Śnieg zawiewał tej nocy Rozjazd.

A w trzecim wagonie od lokomotywy, w *coupe* z pasiastymi pokrowcami, uśmiechając się uprzejmie i przymilnie siedział naprzeciwko pruskiego leutnanta Talberg i rozmawiał z nim po niemiecku.

— *O, ja* — rzucał od czasu do czasu otyły leutnant i żuł cygaro. Kiedy leutnant zasnął, pozamykały się drzwi wszystkich przedziałów i ciepły olśniewający wagon wypełniło monotonne, senne mamrotanie podróżnych, Talberg wyszedł na korytarz, rozsunał bładą zasłonę z przezroczytymi literami „J.Z.Ż.D*” i długo wpatrywał się w ciemność. W

mroku chaotycznie podskakiwały iskry i płatki śniegu, a parowóz na przedzie mknął i wył tak groźnie, tak przeraźliwie, że nawet Talberg poczuł się nieswojo.

*/ *Jugo-Zapadnaja Żeleznaja Doroga* — Południowo-Zachodnia Kolej Żelazna.

3

Na dole, w mieszkaniu gospodarza domu inżyniera Wasyla Iwanowicza Lisowicza cisza o owej nocnej godzinie panowała zupełna, zamącała ją tylko od czasu do czasu mysz w małym pokoju stołowym. Przeklinając skąpstwo małżonki inżyniera, Wandy Michajłowny, mysz natrętnie, pracowicie gryzła i gryzła w kredensie starą skórkę od sera. Przeklinana, koścista i zawistna Wanda spała kamiennym snem w ciemnej sypialence, zimnej i wilgotnej jak całe mieszkanie. Sam inżynier zaś czuwał jeszcze, siedział w swym zagraconym, pełnym kotar i książek, i wskutek tego nadzwyczaj przytulnym gabineciku. Stojąca lampa w kształcie egipskiej królowny pod kwiecistą zieloną parasolką tajemniczo i delikatnie upiększała cały pokój, sam inżynier w głębokim skórzanym fotelu również był tajemniczy i zagadkowy. Tajemniczość i dwoistość niepewnego czasu w tym się przede wszystkim wyrażała, że człowiek siedzący w fotelu nie był bynajmniej Wasylem Iwanowiczem Lisowiczem, ale Wasylisą... To znaczy sam wprawdzie przedstawiał się ludziom „Lisowicz”, wielu spośród tych, z którymi się stykał, mówiło o nim „Wasyli Iwanowicz”. ale tylko w oczy. Poza oczy natomiast, w trzeciej osobie, nikt nie mówił o inżynierze inaczej, tylko „Wasyliś”. Poszło to stąd, że gospodarz domu od stycznia 1918, kiedy to w mieście już całkiem niewątpliwe działały się cuda, zmienił swój czytelny dotąd charakter pisma i miał wyrazistego „W. Lisowicz” zaczął ze strachu przed jakąś przyszłą odpowiedzialnością podpisywać się pod ankietami, zaświadczeniami, poświadczeniami, zleceniami, a także na kartkach żywnościowych „Was. Lis.”

Nikołka, który otrzymał był z rąk Wasyla Iwanowicza kartkę na cukier, osiemnastego stycznia roku osiemnastego zamiast cukru dostał na Kreszczatiku kamieniem między łopatki, ale to tak, że przez dwa dni pluł

krwią. (Pocisk eksplodował akurat nad kolejką po cukier, w której stali najbardziej nieustraszeni.) Nikołka wrócił do domu zielony, trzymając się ścian, uśmiechnął się mimo wszystko, żeby nie napędzać strachu Helenie, napluł całą miednicę krwawych płwocin i na lament Heleny:

— Boże wielki! Co się stało? Odpowiedział:

— To cukier Wasylisy, niech go diabli porwą! — a potem całkiem zbiełał i przewrócił się na bok. Nikołka wstał po dwóch dniach, ale Wasyl Iwanowicz Lisowicz przestał istnieć. Najpierw wszyscy spod trzynastego, a potem i całe miasto zaczęło nazywać inżyniera Wasylisą i już tylko sam właściciel tego damskiego imienia przedstawiał się: przewodniczący komitetu domowego Lisowicz.

Upewniwszy się, że na ulicy ostatecznie zapanował spokój i że nie słychać już za oknem skrzypiących od czasu do czasu płóz, przysłuchawszy się uważnie dobiegającym z sypialni żony poświstom, Wasylisa ruszył do przedpokoju, starannie sprawdził zasuwy, sztabę, łańcuch i haczyk, i wrócił do gabinetu. Z szuflady swego masywnego biurka wyjął cztery lśniące pinezki. Potem na palcach wyruszył gdzieś w ciemność, pojawił się zaś z prześcieradłem i z pledem. Znów jął nasłuchiwać, położył nawet palec na ustach. Zdjął surdut, zawinął rękawy, wziął z półki puszkę kleju, starannie zwinięty rulon tapety, nożyczki. Potem przywarł do okna i przesłaniając oczy dłonią wpatrzył się w ulicę. Lewe okno zawiesił do połowy prześcieradłem, prawe zaś, przy pomocy pinezek, pledem. Sprawdził troskliwie, czy nie pozostała żadna szpara. Przysunął krzesło, wspiął się na nie, zmacał coś nad najwyższym rzędem książek na regale, powiódł scyzorykiem pionowo w dół po tapecie, potem pod kątem prostym w bok, wsunął ostrze w rozcięcie, odsłonił niedużą, na dwie cegły, starannie przez niego samego poprzedniej nocy wykonaną skrytkę. Drzwiczki — kawałek cienkiej blachy cynkowej — odsunął na bok, zszedł z krzesła, lęklonie popatrzył na okna, wygładził prześcieradło. Z głębin dolnej szuflady, którą otworzył po dwakroć przekręciwszy klucz w szczękliwym zamku, wyrzwał na świat boży schludnie przewiązany sznurkiem na krzyż i zalakowany, zawinięty w gazetę pakiecik. Wasylisa urządził mu pochówek w skrytce i zasunął drzwiczki. Na czerwonym suknie biurka długo wykrawał i przymierzał do siebie kawałki tapety, aż wreszcie pasowały jak ulał. Nasmarowane klajstrem paski legły na rozcięciach tak nienagannie, aż dziw: pół bukiecika przy połowie bukiecika, kwadracik przy kwadraciku. Inżynier zszedł z krzesła, upewnił się, że nie ma na ścianie niczego, co by zdradzało skrytkę. Uskrzydłony Wasylisa zatarł ręce, zmiął zaraz i spalił w piecyku ścinki tapety, zmieszał

popiół, schował klej.

Na czarnej bezludnej ulicy obdarta wilcza sylwetka bezgłośnie zlazła z konara akacji, na której siedziała od pół godziny, drętwiejąc z zimna, ale chciwie śledząc przez zdradziecką szczelinę ponad górną krawędzią prześcieradła poczynania inżyniera, który sam sobie napytał biedy właśnie zawieszając to prześcieradło w malowanym na zielono oknie. Sylwetka sprężyste zeskoczyła w zaspę i odeszła w górę ulicy, potem wilcze jej kroki zgubiły się gdzieś w zaułkach, a zawieja, ciemność i zaspę pochłonęły ją, zatarły wszelki po niej ślad.

Noc. Wasylisa w fotelu. W zielonym półmroku Wasylisa — wypisz-wymaluj Taras Bulba. Wąsy obwisłe, puszyste —jakaż to, u diabła, Wasylisa? — toż to mężczyzna. Słodko zadźwięczały szuflady i oto na czerwonym suknie przed Wasylisą paczki podłużnych papierków, zielony rzucik jak na kartach do gry:

Znak derżawnoi skarbnyci

50 karbowanciw

chodyt nariwni z kreditowymy bilelamy.

Na rzuciku kmieć o obwisłych wąsach, zbrojny w łopatę, i włościanka z sierpem. Na drugiej stronie w owalnej ramce, w powiększeniu, czerwone twarze tegoż włościanina i teźże włościanki. Tu także wąsy obwisłe, jak na Ukrainca przystało. A nad tym wszystkim ostrzegawczy napis:

Za fałszuwannia karajetsia triurmoju,

dufny podpis:

Dyrektor derżawnoi skarbnyci Lebid'—Jurczyk.

Miedzianokonny Aleksander II w rozwianej spiżowej pianie bakenbardów, na czele jazdy, zezuje w rozdrażnieniu na wytwór artystyczny Lebidia-Jurczyka i łaskawie — na lampę-królową. Ze ściany patrzył na banknoty z przerażeniem czynownik ze Stanisławom na szyi. olejny antenat Wasylisy. W zielonym świetle łagodnie pobłyskiwały grzbiety Gonczarowa i Dostojewskiego, w niepokonanym szeregu stała złotoczarna gwardia konna Brockhausa i Efrona. Jak miło.

Pięcioprocentowa jest bezpieczna w pewnym schowku pod tapetą, tam też znajduje się piętnaście katarzynek, dziewięć piotrów, dziesięć mikołajów pierwszych, trzy pierścionki z brylantami, broszka, anna i dwa Stanisławy. W skrytce numer dwa — dwadzieścia katarzynek, dziesięć piotrów, dwadzieścia pięć srebrnych łyżek, złoty zegarek z dewizką, trzy papierośnice („Drogiemu koledze", aczkolwiek Wasylisa nie palił), pięćdziesiąt złotych dziesiątek, solniczki, srebra na sześć osób i srebrne siteczko (duża skrytka jest w drewni, dwa kroki od drzwi prosto, krok w lewo, krok od kreski kredą na belce na ścianie. Wszystko to w skrzynkach

po einemowskich herbatnikach, w ceracie, szwy zasmołowane, na dwa arszyny głęboko).

Trzeci schowek — strych; pół arszyna od komina na północny wschód w glinie pod belką: szczypce do cukru, sto osiemdziesiąt trzy złote dziesiątki, papierów wartościowych na dwadzieścia pięć tysięcy.

Lebid'-Jurczyk — na bieżące wydatki.

Wasyliśa rozejrzał się — robił tak zawsze, ilekroć liczył pieniądze — i zaczął ślinić rzucik. Twarz miał teraz jakby natchnioną przez niebiosą. Potem pobałdł nagle.

— *Falszuwanna, falszuwanna* — kręcąc głową zawarczał wściekle — a to nieszczęście. Co?

Błękitne oczy Wasyliśy zasmuciły się na zabój. W trzeciej dziesiątce — jeden. W czwartej dziesiątce — dwa, w szóstej — dwa, w dziewiątej — trzy pod rząd papierki bez wątpienia takie, za jakie Lebid'-Jurczyk grozi więzieniem. Raptem sto trzynaście banknotów i patrzcie no tylko, na ośmiu najoczywistsze dowody *falszuwanna*. Włóścianin także jakiś tam ponury, a powinien być wesół, i koło snopa nie ma znaków potajemnych, niezawodnych, przecinka odwróconego i dwóch kropek, papier też lepszy niż Lebidiowy. Wasyliśa popatrzył pod światło — Lebid' najwyraźniej fałszywie przeświecał z drugiej strony.

— Jedna będzie dla dorożkarza jutro wieczorem — rozmawiał Wasyliśa sam ze sobą. — Jechać muszę i tak, no i, oczywiście, na bazar.

Ostrożnie odłożył na bok fałszywe, przeznaczone dla dorożkarza i na bazar, paczkę zaś ukrył za szczęśliwym zamkiem. Drgnął. Nad głową przebiegły po suficie czyjeś kroki, martwą ciszę rozdarł śmiech, niewyraźne głosy. Wasyliśa powiedział do Aleksandra II:

— No, proszę, ani chwili spokoju...

Na górze się uciszyło. Wasyliśa ziewnął, pogładził wiechcie wąsów, zdjął z okien pled i prześcieradło, w bawialni, gdzie matowo pobłyskiwała tuba gramofonu, zapalił małą lampkę. W dziesięć minut później w całym mieszkaniu panowały ciemności. Wasyliśa spał u boku żony w wilgotnej sypialni. Pachniało myszami, pleśnią, markotnym sennym smutkiem. I oto, we śnie, przycwałował na koniu Lebid'-Jurczyk i jacyś Tuszyńscy Złodzieje otworzyli skrytkę wytrychem. Walet czerwieny wlaźł na krzesło, splunăł Wasyliśie w wąsy i wystrzelił prosto w twarz. Zerwał się Wasyliśa z krzykiem, zimnym oblany potem, a pierwsze, co usłyszał, to była mysz trudząca się wraz z rodziną nad woreczkiem z sucharami w stołowym, i zaraz dobiegły go tęskne nadzwyczaj tony gitary znad sufitu, poprzez dywany i śmiech...

Znad sufitu zaśpiewał głos o niezwyklej mocy i namiętności, gitara zagrała marsza.

— Jedyne wyjście to wymówić mieszkanie — zaplątał się w prześcieradłach Wasylisa. — To przecież nie do zniesienia. Nie ma spokoju ani w dzień, ani w nocy.

Junkierska maszeruje brać, gwardyjski korpus idzie!

— Choć znowu, z drugiej strony, w razie czego... Jedno jest pewne — czasy nastały straszne. Nie wiadomo, kogo się wpuści, a to bądź co bądź oficerowie, w razie czego obronią... A psik! — krzyknął Wasylisa na zachłanną mysz.

Gitara... gitara... gitara...

Na żyrandolu w jadalni płoną cztery światła. Chorągwie błękitnego dymu. Kremowe kotary na głucho zasłoniły oszkloną werandę. Zegarów nie słyszeć. Na bieli obrusa świeże bukiety cieplarnianych róż, trzy flaszki wódki i smukłe niemieckie butelki białych win. Kieliszki do burgunda, jabłka w roziskrzonych szlifach pater, plasterki cytryny, okruszyny, okruchy, herbata...

Na fotelu zmięta płachta tygodnika satyrycznego „Czortowa Kukła”. Po głowach snuje się opar. to zniesie go na bok, na pozłocisty ostrów beztroskiej radości, to znów ciska nim o zmętniała falę niepokoju. Majaczą w oparze nieprzystojne słowa:

Gołym profilem nie siadaj na jeża!

— Ale się bawią, dranie... A armat już nie słyszeć. Dowcipasy, niech mnie diabli wezmą! Wódka, wódka i ten opar. — Ar-ra-ta-tam! Gitara.

Arbuza nie zjesz w jednej chwili. Amerykanie zwyciężyli.

Gdzieś za zasłoną dymu roześmiał się Myszłajewski. Jest pijany.

Gogol i Breitman — satyrycy,

Gdzież, *par bleu*, ci Senegalczycy?

— No, gdzie? Rzeczywiście! No, gdzie? dopominał się podchmielony Myszłajewski.

Rodzą się owce pod brezentem.

Rodzianko będzie prezydentem.

— Ale jednak zdolne są dranie, nie ma co!

Helena, której nie pozwolili przyjść do siebie po odjeździe Talberga... Białe wino nie usuwa bólu, przygłusza go jedynie. Helena więc prezyduje, siedzi na fotelu w końcu stołu. Naprzeciwko — Myszłajewski, kudłaty, biały, w szlafroku, twarz w plamach, wódka i śmiertelne zmęczenie. Oczy w czerwonych obwódkach — mróz, przeżyty strach, wódka, cicha furia. Po bokach siedzą z jednej strony Aleksiej i Nikołka. z drugiej Leonid Juriewicz Szerwiński, byłego pułku ułanów lejbgwardii porucznik, a obecnie adiutant ze sztabu księcia Biełorukowa, a obok niego podporucznik Stiepanow, Fiodor Nikołajewicz, artylerzysta. jeszcze od czasów gimnazjum Aleksandra znany jako Karaś.

Niewysoki, krępy i rzeczywiście nadzwyczaj podobny do karasia, Karaś, wpadł na Szerwińskiego przed samą bramą Turbinów, w jakieś dwadzieścia minut po odjeździe Talberga. Obydwaj nieśli coś do picia. Szerwiński miał zapakowane cztery butelki białego wina. Karaś dwie flaszki wódki. Szerwiński dźwigał prócz tego ogromny bukiet otulony trzema warstwami papieru, jasne — róże dla Heleny. Karaś od razu przed bramą podzielił się z Szerwińskim nowiną — miał na szlifach złote armatki, dość już tego, wszyscy powinni iść do walki, z zajęć na uniwersytecie i tak przecież nici, a jeżeli Petlura wlezie do Miasta, tym bardziej nici. Każdy powinien iść, artylerzyści. oczywiście, do dywizjonu haubic. Dowodzi dywizjonem pułkownik Małyszew, to wspaniały dywizjon, nawiasem mówiąc, nazywa się „studencki”. Karaś jest w rozpaczy, że Myszłajewski zaciągnął się do tej idiotycznej drużyny. Głupio zrobił. Strugał bohatera. zanadto się pokwapił. Diabli wiedzą, gdzie teraz jest. Może poległ pod Miastem...

Aliści Myszłajewski odnalazł się, tu właśnie, na górze! Złota Helena w półmroku sypialni pod owalnym tremem owitym srebrnymi liśćmi pośpiesznie przypudrowała twarz i wyszła do gości, by przyjąć róże. Hura! Są wszyscy. Złote Karasiowe armatki na zmiętych naramiennikach były dosłownie niczym wobec jaśniutkich kawaleryjskich epoletów i granatowych zaprasowanych bryczesów Szerwińskiego. Na wieść, że Talberg musiał zniknąć, radość zapaliła się w bezczelnych oczkach malutkiego Szerwińskiego. Mały ułan od razu wyczuł, że dziś jest przy głosie, i różowy salonik wypełnił zaiste potworny huragan dźwięków: Szerwiński śpiewał *epithalamion* na cześć boga Hymenajosa, i to jak śpiewał! Tak, na tym świecie diabła warte jest chyba wszystko oprócz takiego głosu, jaki miał Szerwiński. Jasne, teraz są sztaby, ta idiotyczna wojna, bolszewicy i Petlura, i głos obowiązku, ale z czasem, kiedy

wszystko wróci do normy. Szerwiński rzuca służbę w wojsku nie bacząc na swoje petersburskie kontakty, a wiecie państwo, jakie on tam ma znajomości — o-ho-ho... — i idzie na scenę. Będzie śpiewał w La Scali i w moskiewskim Teatrze Wielkim, kiedy bolszewików w Moskwie powywieszają na latarniach na Placu Teatralnym. W Żmerynce zakochała się w nim hrabina Lendrikowa, kiedy śpiewając *epithalamion* zamiast *fa* wziął *la* i wytrzymał je przez pięć taktów. Powiedziawszy „pięć” Szerwiński zwiesił głowę i powiódł po obecnych stropionym spojrzeniem, jak gdyby to nie on sam to powiedział, ale ktoś inny mu o tym właśnie zakomunikował.

— Ta-ak, pięć... Ale dajmy temu pokój, kolacja czeka. I otóż chorągwie, dym...

— Gdzież, *par bleu*, ci Senegalczyki? Co wy, sztabowcy, na to? Lenoczka, napij się wina, złociutka moja, napij się. Wszystko będzie w porządku. Dobrze zrobił, że wyjechał. Przedostanie się nad Don i wróci razem z armią Denikina.

— Przyjdą! — dźwięknął Szerwiński. — Przyjdą! Pozwólcie, że wam zakomunikuję ważną nowinę: nie dalej jak dziś na własne oczy widziałem na Kreszczatiku serbskich kwatermistrzów, pojutrze, no, najpóźniej za dwa dni wejdą do Miasta dwa serbskie pułki.

— Naprawdę? Wiesz na pewno? Szerwiński zbrązowił.

— To wręcz dziwne. Jeżeli mówię, że widziałem coś na własne oczy, pytanie takie wydaje mi się niestosowne.

— Dwa pułki... Cóż to jest... dwa pułki?...

— Dobrze, w takim razie zechciejcie wysłuchać mnie do końca. Sam książę powiedział mi dziś, że w Odessie już się wyokrętowują transporty

— przyплыnęli Grecy i dwie dywizje Senegalczyków. Bylebyśmy utrzymali się jeszcze przez tydzień, a możemy kichać na Niemców.

— Zdrajcy!

— No, jeżeli to prawda, to Petlurę trzeba złapać i powiesić. Powiesić!

— Własnoręcznie go zastrzele.

— Jeszcze po kropelce. W wasze ręce, panowie oficerowie! Rraz — i ostateczna już mgła. Mgła, panowie. Nikołka wypiwszy trzy kieliszki poszedł do siebie po chustkę do nosa i w przedpokoju (kiedy nikt nie patrzy, można być samym sobą) przypadł do wieszaka. Krzywa szabla Szerwińskiego z błyszczącą od złota gardą. Prezent od perskiego księcia. Damasceńska klinga. Ani książę mu jej nie podarował, ani to nie damascenka, ale jedno pewne — szabla jest piękna i kosztowna. Posepny mauzer w kaburze na rzemieniach, „Steyer” Karasia z oksydowaną lufą.

Nikołka przywarł do zimnego drewna kabury, popieścił palcami drapieźny ryj mauzera i omal się nie rozpląkał ze wzruszenia. Tak bardzo by chciał walczyć, już teraz, w tej chwili, tam, za Rozjazdem, w zaśnieżonym polu. To przecież wstyd! Głupio jakoś... Tutaj wódka, ciepło, a tam mrok, zawierucha, śnieg wali, junkrzy zamarzają. O czym oni myślą, tam, w sztabach? E, drużyna jeszcze nie w gotowości, studenci jeszcze nie przeszkoleni, a Senegalczyków jak nie ma, tak nie ma, czarni są na pewno jak szuwaks... Ale oni tu chyba wymarzną w cholere? Przywykli przecież do gorącego klimatu.

— Ja bym tego waszego hetmana — krzyczał starszy Turbin — pierwszego powiesił! Przez pół roku natrząsał się z nas wszystkich. Kto zabronił formowania rosyjskich oddziałów? Hetman. A teraz, jak trwoga, to do Boga, zaczynamy rosyjskie jednostki formować? Nieprzyjaciel o dwa kroki, a oni — drużyny, sztaby? Uważajcie, oj, uważajcie!

— Siejesz defetyzm — powiedział chłodno Karaś. Turbin się rozeźlił.

— Ja? Defetyzm? Po prostu nie chcecie mnie zrozumieć. Nie sieję żadnego defetyzmu, chcę tylko wygarnąć wreszcie wszystko, co mam na sercu. Defetyzm? Możesz się nie martwić. Już postanowiłem, jutro idę do tego dywizjonu, a jeśli wasz Małyszew nie weźmie mnie na lekarza to się zaciągnę jako zwykły szeregowiec. Mam tego po dziurki w nosie! Żadnej paniki — kawałek ogórka uwiązał mu w tchawicy, rozkaszał się okropnie, nie mógł złapać powietrza, Nikołka zaczął go grzmocić po plecach.

— Słusznie! — zaakceptował Karaś i uderzył pięścią w stół. — Pal diabli szeregowca, urządzimy cię jako lekarza.

— Jutro wszyscy pójdziemy razem — mamrotał pijany Myszłajewski — wszyscy razem. Całe gimnazjum imperatora Aleksandra. Hura!

— To łajdak — ciągnął z nienawiścią Turbin — przecież on sam nie zna tego języka! Co? Przedwczoraj spotykam ja tę kanalię, doktora Kurickiego. Czy dacie wiarę, że od listopada roku ubiegłego zapomniał po rosyjsku? Był Kuricki, jest teraz Kuryćkyj... Pytam go zatem, jak będzie po ukraińsku „kot”? „Kit” — odpowiada. „Kit” to przecież po rosyjsku „wieloryb”. A jak w takim razie będzie „wieloryb”? — zapytuję. Przystanął, wybałuszył się na mnie, milczy. I przestał mi się kłaniać.

Nikołka zachichotał głośno, powiedział:

— Oni nie mogą mieć słowa na oznaczenie wieloryba, na Ukrainie nie ma przecież wielorybów, to tylko w Rosji wszystkiego w bród. Są i wieloryby w Morzu Białym...

— Mobilizacja — jadowicie ciągnął Turbin — szkoda, żeście nie wiedzieli. co się wczoraj działo w cyrkułach. Każdy waluciarz wiedział o

mobilizacji na trzy dni przed jej ogłoszeniem. Dobrze, co? I każdy ma jak nie przepuklinę, to kawernę w prawym płucu, a jeśli który miał płuca w porządku, to po prostu przepadał — kamień w wodę, szukaj wiatru w polu. A to już, moi kochani, groźne symptomy. Skoro jeszcze przed mobilizacją szepczą o niej po kawiarniach i nikt się nie zgłasza, to znaczy, że wszystko wzięło w łeb. O, kanalia, kanalia! Przecież gdyby w kwietniu zaczął formować jednostki oficerskie, to teraz zdobywalibyśmy Moskwę. Zrozumcie, tu, w samym tylko Mieście, zebrałby pięćdziesięciotysięczną armię, i to jaką armię! Doborową, niezrównaną, bo każdy junkier, każdy student, licealista, oficer, a są ich w Mieście tysiące, każdy by poszedł z radością. Nie dość, że na Małorusi nie byłoby już śladu po Petlurze, ale i Trockiego złapalibyśmy w Moskwie jak wróbla. Najdogodniejszy moment, tam przecież, jak słychać, koty jedzą. Mógł, sukinsyn, ocalić Rosję.

Twarz Turbina pokryły plamy, słowa wylatywały mu z ust wraz z drobnymi bryzgami śliny. Oczy gorzały.

— Ty... ty... wiesz, żeś ty powinien być nie lekarzem, ale ministrem obrony, słowo daję — odezwał się Karaś. Uśmiechał się ironicznie, ale to, co powiedział Turbin, przypadło mu do serca, zapalał się.

— Aleksiej niezastąpiony jest na wiecach, prawdziwy Cycero — powiedział Nikołka.

— Nikołka, już dwa razy ci mówiłem, że dowcipkowanie nie jest twoim żywiołem — odparł Turbin. — Lepiej już pij.

— Zrozum — zaczął Karaś — że Niemcy nie pozwoliliby na sformowanie armii. Boją się jej.

— Nieprawda! — zawołał cieniem głosem Turbin. — Z hetmanem zawsze można by się dogadać, trzeba było tylko mieć głowę na karku. Należało wytłumaczyć Niemcom, że im nie zagrażamy. Skończyło się. Przegraliśmy wojnę. Grozi nam teraz co innego, coś straszniejszego niż wojna, niż Niemcy, niż wszystko w świecie. Grozi nam Trocki. Oto co należało powiedzieć Niemcom: potrzeba wam cukru, zboża? Bierzcie, żryjcie, odkarmiajcie swoich żołnierzy. Udławcie się choćby, ale pomóżcie nam, na litość boską. Pozwólcie nam sformować armię, przecież to będzie lepiej i dla was, pomożemy wam utrzymać porządek na Ukrainie, żeby i nasi bogonoścy nie zapadli na moskiewską chorobę. A gdyby teraz były w Mieście rosyjskie wojska, bylibyśmy odgradzeni od Moskwy ścianą z żelaza. A Petlurę... phi! — Turbin zakasłał wściekle.

— Zaraz! — Szerwiński wstał. — Poczekaj! Muszę stanąć w obronie hetmana. Popełniano różne błędy, nie przeczę, ale zamysł hetmana był

słuszny. O, to dyplomata. Ukraiński kraj... W rezultacie hetman zrobiłby jota w jotę tak samo, jak mówisz: rosyjska armia i nie ma o czym gadać. Proszę bardzo — Szerwiński uroczyście wskazał ręką w nieokreślonym kierunku. — Na Włodzimirskiej już powiewają trójkolorowe sztandary.

— Spóźnili się z tymi sztandarami.

— Hm, tak. To prawda. Trochę się spóźnili, książę jest jednak przekonany, że ten błąd da się jeszcze naprawić.

— Daj Boże, życzę mu tego ze szczerego serca — i Turbin przeżegnał się w stronę ikony Matki Bożej w kącie.

— Zamysł zaś był taki — dźwięcznie, uroczyście powiedział Szerwiński.

— Po zakończeniu wojny Niemcy zbierają siły i dopomagają nam w walce z bolszewikami. A po zajęciu Moskwy hetman uroczyście złożyłby Ukrainę u stóp Jego Cesarskiej Mości miłościwie nam panującego Mikołaja Aleksandrowicza.

Po tym oświadczeniu w jadalni zapanowała grobowa cisza. Nikołka pobałdł boleśnie.

— Najjaśniejszy Pan został zabity — wyszeptał.

— Jakiego Mikołaja Aleksandrowicza? — zapytał oszołomiony Turbin, a Myszłajewski zachwiał się i zajrzał z ukosa do kieliszka sąsiada. Jasne, trzymał się, trzymał, aż wreszcie zalał się jak parasol).

Helena wsparła brodę na dłoniach i ze zgrozą popatrzyła na ułana. Ale Szerwiński nie był przesadnie pijany, podniósł rękę i powiedział dobitnie:

— Poczekaj, słuchajcie dalej. Al-le, proszę was, panowie oficerowie (Nikołka spąsował i pobałdł), żebyście na razie zatrzymali dla siebie to, co wam teraz powiem. No cóż, wiecie, co zaszło na dworze cesarza Wilhelma, kiedy przedstawiano mu świtę hetmana?

— Nie mamy zielonego pojęcia — oświadczył z zainteresowaniem Karaś.

— No. cóż, ja za to wiem.

— Fiu! Ten to wie wszystko — zdumiał się Myszłajewski. — Tyś tam przecie nie jeź...

— Panowie! Dajcie mu powiedzieć.

— Cesarz Wilhelm porozmawiał łaskawie ze świtą, a potem powiedział:

„Teraz żegnam panów, *meine Herren*, a pozostałe sprawy omówi z panami...” Rozsunęła się kotara i wszedł na salę nasz Najjaśniejszy Pan. Najjaśniejszy Pan powiedział: „Jedźcie, panowie oficerowie, na Ukrainę i formujcie tam wasze jednostki. Kiedy zaś nadejdzie odpowiedni moment, stanę osobiście na czele armii i poprowadzę ją do serca Rosji — na Moskwę” — i łzy stanęły mu w oczach.

Szerwiński powiódł jasnym spojrzeniem po całym towarzystwie, duszkiem wychylił kielich wina i przymrużył oczy. Pięć par źrenic wpatrywało się w niego i milczenie królowało aż do chwili, kiedy usiadł i

zakąsił szyneczką.

— Słuchaj... to legenda — z bolesnym grymasem powiedział Turbin. — Opowiadano mi już tę historię.

— Zabito wszystkich — powiedział Myszłajewski. — I Najjaśniejszego Pana, i imperatorową, i następcę tronu. Szerwiński pozezował na piec, nabrał powietrza w płuca, mówił:

— Niesłusznie mi nie wierzycie. Wieści o śmierci Jego Cesarskiej Mości...

— ...są nieco przesadzone — pijacko zażartował Myszłajewski. Helena wzdrygnęła się z oburzenia i wychynęła z mgły.

— Witia, jak ci nie wstyd. Jesteś oficerem. Myszłajewski dał nura we mgłę.

— ...zmyślili je sami bolszewicy. Najjaśniejszy Pan zdołał się uratować dzięki pomocy swego wiernego gubernera... to jest, pardon, gubernera następcy tronu, monsieur Gillarda i kilku oficerów, którzy wywieźli go... ee... do Azji. Stamtąd pojechali do Singapuru i dalej morzem do Europy. Teraz więc Najjaśniejszy Pan jest gościem cesarza Wilhelma.

— Ale przecie Wilhelma także przegonili? — zaczął Karaś.

— Obaj składają obecnie wizytę na dworze duńskim, jest też z nimi Jej Wysokość Cesarzowa Matka, Maria Fiodorowna. Skoro mi nie wierzycie, to wiedzcie, że powiedział mi to osobiście sam książę.

Dusza Nikołki cierpiała, smagana niepewnością. Chciał wierzyć.

— Skoro tak — powiedział nagle z uniesieniem i zerwał się, ocierając pot z czoła — to proponuję, żebyśmy wypili zdrowie Jego Cesarskiej Mości!

— Błysnął kieliszkiem, a barwiste strzały szlifu przeszyły białe wino reńskie. Ostrogi zadzwoniły o krzesła. Myszłajewski wstał chwiejąc się i przytrzymując za skraj stołu. Podniosła się Helena. Rozluźniła się jej złota korona, kosmyki opadły na skroń.

— Dobrze! Dobrze! Dobrze, niech sobie nawet będzie zabity — zawołała ochryplym, łamiącym się głosem. — Wszystko jedno. Piję. Piję.

— Nigdy, nigdy nie zostanie mu wybaczone to zrzeczenie się tronu na stacji. Dno. Nigdy. Ale tak czy owak teraz, nauczeni gorzkimi doświadczeniami naszymi, wiemy, że ocalić Rosję może jedynie monarchia. Więc jeśli nawet monarcha nie żyje, niech żyje monarcha! — zawołał Turbin i wznosił kielich.

— Hur-ra! Hur-ra! Hur-ra-a-a! — przegrzmiało po trzykroć po jadalni. Wasyliśa na dole zerwał się oblany zimnym potem. Na pół rozbudzony wrzasnął przeraźliwie i obudził Wandę Michajłównę.

— Boże mój... Bo... Bo... — wczepiając się w jego koszulę mamrotała Wanda.

— Cóż to ma znaczyć? Trzecia w nocy! — zaszlochał Wasylisa dedykując swój lament ciemnemu sufitowi. — Nie, ja w końcu złożę skargę!

Wanda zaczęła labidzić i nagle osłupieli oboje. Z góry, najwyraźniej w świetle, przesączaając się przez strop spływała gęsta oleista fala, nad którą górował potężny jak dzwon, dźwięczny baryton:

...si-ilny, mo-ocarny, władaj szczęśliwie.

Serce Wasylisie bić przestało, nawet stopy spłynęły mu cygańskim potem. Ze zdrewniałym językiem wymamrotał:

— Nie... oni, tego, powariowali... Ściągną na nas takie nieszczęście, że się nie pozbieramy. Hymn jest przecież zakazany! Boże ty mój, co oni wyprawiają! Przecież z ulicy to słyhać, z ulicy!

Ale Wanda już opadła na łóżko ciężko jak kamień i zasnęła znowu. Wasylisa natomiast położył się dopiero wtedy, kiedy na górze ostatni akord rozplynał się w niewyraźnych stukotach i w rozgwarze podniesionych głosów.

— Na Rusi jedno tylko być może: wiara nasza- prawosławna i władza samodzierżawna! — krzyczał chwiejąc się Myszłajewski.

— Tak jest!

— Ja... byłem na *Pawle Pierwszym*... przed tygodniem... — zacinając się bełkotał Myszłajewski — i kiedy aktor wymówił te słowa, nie mogłem się pohamować i zawołałem: „Święta prawda” — i co powiecie? Wszyscy naokoło zaczęli bić brawo. Tylko jakaś swołocz z jaskółki krzyknęła:

„Idiota!”

— Gud-łaje! — posepnie krzyknął zamroczony Karaś. Mgła. Mgła. Mgła. Tonk-tank... tonk-tank... Wódki już pić nie sposób, wina już pić nie sposób, idzie do serca i wraca. W wąskim parowie maleńkiej toalety, gdzie żarówka podskakiwała i tańczyła po suficie jak zaczarowana, wszystko zmętniało, tańcowało trepaka. Blady, wymęczony Myszłajewski wymiotował straszliwie. Turbin, sam także pijany, przerażający, z rozedrganym policzkiem, z włosami przyklejonymi do czoła, podtrzymywał Myszłajewskiego.

— A-a...

Wreszcie Myszłajewski z jękiem wyprostował się nad muszlą, żałośnie potoczył gasnącym spojrzeniem i zwiśł na ramionach Turbina niczym pusty worek.

— Ni-kołka! — przebrzmiał w oparze, w czarnych pasmach czyjś głos i dopiero po paru sekundach Turbin zdał sobie sprawę z tego, że to jego

własny głos. — Nikołka! — powtórzył. Biała ściana toalety zatoczyła się, zzieleniała. „Boże-e. Boże-e. jakże mnie mdli, jak mi niedobrze. Nie będę, przysięgam, że nigdy już nie będę mieszał wódki z winem.” — Nikoł...

— A-a... — chrypiał Myszłajewski i osuwał się na podłogę. Poszerzyła się czarna szczelina, zjawiała się w niej głowa Nikołki i szewron.

— Nikoł... pomóż mi. trzymaj go. Chwyć go tu, pod pachami.

— C... c... c... ech, ech... — żałośnie kręcąc głową mrucał Nikołka i natężał siły. Na wpół martwe ciało przelewało się przez ręce, nogi wlokły się za Myszłajewskim. szurając rozjeżdżały się w różne strony, martwa głowa zwisała jak na nitce. Tonk-tank. Zegar spełzał ze ściany, znów na nią wracał. Tańczyły bukiety kwiatów na filiżankach. Na twarzy Heleny płonęły czerwone plamy, kosmyk włosów tańczył nad prawą jej brwią.

— Dobrze. Kładź go.

— Zapnij mu chociaż szlafrok. Jakże tak można, przecież ja tu jestem. Diabły przekłete. Nie umiecie wy pić. Witia! Witia! Co się z tobą dzieje? Wit'...

— Daj spokój. To na nic. Nikołuszka, słuchaj. Na półce... w moim gabinecie... słoik z etykietą *Liguor ammonni*, rozek etykiety jest oddarty, zresztą... to zajeżdża amoniakiem.

— Już... już... ech. ech...

— Ty też jesteś dobry, doktorze.

— Dobrze już, dobrze.

— Co? Nie ma tętna?

— To głupstwo, przejdzie

— Miednicę, żywo!

— Proszę o miednicę.

— A-a-a...

— Ech, wy...

Jakże śmierdzi ten wściekły amoniak. Helena i Karaś otwierali Myszłajewskiemu usta. Nikołka podtrzymywał go, a Turbin po dwakroć wlewał mu do ust białą zmętniałą ciecz.

— A... chrrr... u-uchch... Tff... ffe...

— Śnieg, dajcie śniegu.

— Panie Boże wielki. Że też to tak...

Mokra ściereczka spoczywała na czole, kapąły na prześcieradło krople, spod ściereczki wyzierały niktne, wywrócone pod obrzękłymi powiekami rozpalone białka oczu, błękitnawe cienie kładły się po bokach wyostrzonego nosa. Przez jakiś kwadrans wśród krzątaniny, wśród wzajemnego popychania się łokciami, uwijali się przy pokonanym

oficerze, póki ten wreszcie nie otworzył oczu i nie wychrypiał:

— Ach... puść mnie...

— Już, już... Dobrze, niech się tu prześpi. Zapaliły się światła we wszystkich pokojach, ruch, gwar, przygotowywano posłania, pościel.

— Leonid, proszę, niech się pan położy tutaj, u Nikołki.

— Rrozkaz!

Szerwiński w czerwieniach barwy miedzi zadzwonił ostrogami i skłoniwszy się ukazał wszystkim przedziałek. Białe dłonie Heleny rozmigotały się nad poduszkami na kanapce.

— Proszę nie sprawiać sobie kłopotu... ja sam...

— Niech pan odejdzie, proszę. Czemu pan ciągnie za róg tę poduszkę? Pana pomoc nie jest potrzebna.

— Niech mi wolno będzie ucałować dłoń.

— A to z jakiej racji?

— Z wdzięczności, tyle kłopotów...

— Nie ma o czym mówić... Nikołka, ty na swoim łóżku, tak? No, jakże tam on?

— Bogu dzięki, wraca do siebie, wyśpi się i będzie w porządku. Zaścielono dwa posłania w pokoju przed pokojem Fikołki, za dwiema zsuniętymi ze sobą ciasno szafami pełnymi książek. Tak też ten pokój w rodzinie profesora nazywano — biblioteka.

Pogasły już światła, pogasły w bibliotece, u Nikołki. w jadalni. Przez wąziutką szparę między brzegami portiery pada do jadalnego ciemnoczerwona smuga z sypialni Heleny. Światło jej przeszkadza, więc na stojącą przy łóżku na nocnym stoliku lampkę włożyła ciemnoczerwony teatralny kapturek. W kapturku tym Helena jeździła niegdyś do teatru, futro, dłonie i wargi pachniały wtedy perfumami, twarz była starannie a dyskretnie upudrowana, wyzierała z obramowania kapturka niczym twarz Lizy w *Damie pikowej*. Kapturek jednak zleżał się prędko a dziwnie, w ciągu ostatniego roku — zaszewki popruły się i wyblakły, przecierały się wstążki. Rudawa Helena niczym Liza w *Damie pikowej* siedziała na rozesłanym łóżku z rękoma złożonymi na kolanach. Bose stopy zanurzała w starej wyliniałej skórze niedźwiedziej. Nietrwałe oszołomienie minęło już zupełnie, bezgraniczna posepna beznadzieja otulała głowę Heleny niczym ów kapturek. Z sąsiedniego pokoju przez zasunięte szatą drzwi dobiegało delikatne poświstywanie Nikołki i rześkie, dziarskie chrapanie Szerwińskiego. Z biblioteki — milczenie umęczonego Myszłajewskiego i Karasia. Helena była sama, więc nie krępując się, to półgłosem, to

bezgłośnie, ledwie poruszając wargami rozmawiała z rozświetlonym kapturkiem, z dwiema czarnymi plamami okien.

— Pojechał...

Wymamrotała to, przymrużyła oczy bez łez, zadumała się. Jej myśli były niezrozumiałe dla niej samej. Wyjechał, i to w takiej chwili. Ale, na litość boską, to przecież taki rozsądny człowiek, dobrze zrobił, że wyjechał... To przecież dla ich dobra...

— Ale jednak, w takiej chwili... — wyszeptała Helena i westchnęła głęboko.

Co to za człowiek? Pokochała go niby i nawet przywiązała się do niego. I oto teraz ten niezwykły smutek w samotności pokoju, przy tych oknach, które dziś zdają się być trumienne. Ale ani teraz, ani przez cały ten czas — półtora roku — który przeżyła z tym człowiekiem, nie było w jej sercu śladu tego najważniejszego, tego, bez czego ani rusz nie może istnieć nawet tak udane małżeństwo pięknej, rudej, złotej Heleny i karierowicza ze „sztabu generalnego”, małżeństwo pełne czepeczków, perfum, ostróg i ułatwień, małżeństwo ich bezdzielne. Małżeństwo z generalnie-sztabowym, rozważnym nadbałtyckim człowiekiem. A co to za człowiek? Czegóż to brak takiego najważniejszego, bez czego puste jest moje serce?

— Wiem ja, wiem — odpowiedziała sama sobie Helena — nie szanuję go. Nie mam dla ciebie szacunku. Sierioża — powiedziała znacząco do czerwonego kapturka i uniosła w górę palec. I przeraziło ją to, co powiedziała, przeraziła ją samotność. Zapragnęła, żeby Sierioża był tu teraz, natychmiast. Nie szanowany, bez tego, co najważniejsze, ale żeby był tu w tej ciężkiej godzinie. Wyjechał. I bracia go ucałowali. Czy naprawdę tak być musi? Zaraz, co też ja wygaduję? A co mieli zrobić? Powstrzymywać go? Nie, za nic. Lepiej już, że w tej ciężkiej chwili nie ma go tutaj, byle nie to, byle go tylko nie zatrzymywać. Nie, za nic. Niech jedzie.

Pocałować się pocałowali, ale przecież w głębi duszy nienawidzą go. Tak, tak. Człowiek nieustannie sam siebie okłamuje, ale kiedy się tak zastanowić, wszystko staje się jasne — nienawidzą go. Nikołka ma przynajmniej dobre serce, ale starszy... Chociaż nie, Alosza to też dobry chłopak, ale jakoś mocniej nienawidzi. Boże drogi, cóż to za myśli przychodzą mi do głowy? Sierioża, jak ja mogę tak o tobie myśleć? A jeśli zostaniemy odcięci... On tam, ja tu...

— Mój mąż — powiedziała westchnąwszy i zaczęła rozpinać lizeskę. — Mój mąż...

Kapturek słuchał, zaciekawiony, policzki rozświetlał mu gęsty czerwony

rumieniec. Pytał:

— A co to za człowiek, ten twój mąż?

— Kanalia — powiedział sam do siebie Turbin, samotnością swoją, pokojem i przedpokojem oddzielony od Heleny. Udzieliły mu się myśli Heleny i nękały go od paru już minut — kanalia, a ja rzeczywiście jestem szmata. Skoro go już nie przepędziłem, to powinienem był przynajmniej wyjść bez słowa. A jedź sobie do stu diabłów. To kanalia nie dlatego nawet, że porzucił Helenę w takich czasach, to ostatecznie głupstwo, drobnostka, nie, nie dlatego. Dlaczego więc? U diabła, widzę go na wskroś. Wstrętna kukła bez pojęcia o honorze. Mówi od rzeczy. I to ma być oficer po rosyjskiej akademii wojskowej! Kwiat rosyjskiej inteligencji...

Dom milczał. Zgasła padająca z sypialni Heleny smuga światła. Helena zasnęła, zagasły jej myśli. Turbin jednak długo jeszcze się męczył w swoim maleńkim pokoiku przy małym biurczku. Wódka i niemieckie wino źle mu posłużyły. Siedział i patrzył rozgorączkowanymi oczyma na stronicę przypadkowej książki i czytał, czytał, ciągle bezmyślnie powracając do tej samej frazy:

Honor jest dla Rosjanina jedynie zbyt ciężkim brzemieniem...

Dopiero nad ranem rozebrał się i zasnął, i oto zjawił mu się we śnie niedużego wzrostu koszmara w spodniach w wielką kratę i powiedział szyderczo:

— Gołym profilem nie siądziesz na jeża!... Święta nasza Ruś, kraj to drewniany, biedny i... niebezpieczny, a honor jest dla Rosjanina jedynie zbyt ciężkim brzemieniem.

— Ach ty! — zawołał we śnie Turbin. — Ty gadzino, ja cię tu zaraz! — Turbin sięgnął we śnie do szuflady biurka po browning, wyjął go, rozespany, chciał zastrzelić koszmara, pobiegł za nim, aliści koszmara zniknął. Przez dwie godziny sączył się zmętniały czarny sen bez snów, a kiedy już za oknami pokoju wychodzącymi na przeszkloną werandę blade i delikatnie jęło się rozwidniać. Turbin zaczął śnić o Mieście.

4

Niczym wielowarstwowe plastry pszczele dymiło, huczało i mrowiło się Miasto. Piękne w mrozie, w mgłach na naddnieprzańskich wzgórzach. Po całych dniach z nieprzeliczonych kominów spiralami ku niebu wzbijał się

dym. Ulice przesuwaly się mgiełką, skrzypiał ubity gigantyczny śnieg. Domy wypiętrzały się na pięć, na sześć, na siedem kondygnacji. W dzień okna ich były czarne, wieczorem rzadki okien jarzyły się na ciemnogramatowych wysokościach. Jak okiem sięgnąć rozbłyskiwały łańcuszkami, niczym drogie kamienie, elektryczne lampy podwieszane wysoko na zawijasach smukłych siwych latarni. Za dnia z miłym miarowym dzwonieniem pędziły tramwaje ze słomianożółtymi wydętymi siedzeniami na wzór zagranicznych. Stromymi ulicami gnali pokrzykując dorożkarze, a ciemne kołnierze — futra srebrzyste i czarne — przydawały kobiecym twarzom tajemniczości i urody.

Ogrody trwały w milczeniu i bezruchu przywalone białym nieskałanym śniegiem. A ogrodów było w Mieście tak wiele jak w żadnym innym mieście świata. Wielkie ich przestrzenie rozpościerały się wszędzie pełne alej, kasztanów, parowów, klonów i lip.

Ogrody rozstaczały się na nawisłych pięknych wzgórzach i wznosząc się ukosami, coraz rozleglejszy. raz migocący milionami słonecznych pobłysków, kiedy indziej pograżony w delikatnym zmierzchaniu królował między nimi wiekowy Park Cesarski. Stare przegniłe czarne belki poręczy nikomu nie wzbraniały podejścia nad samo urwisko na straszliwej wysokości. Strone, ośnieżone mury opadały ku tarasom daleko w dole, te zaś rozpościerały się coraz dalej, coraz rozległej, przechodziły w nadbrzeżne zarośla nad szosą wijącą się obok wielkiej rzeki, a ciemna, znieruchomiła pod lodem wstęga wody niknęła tam, w mgiełkach, gdzie oko ludzkie nie sięgnie nawet z miejskich wyżyn, gdzie siwe porohy. Sicz Zaporoska i Chersonesz. i dalekie morze.

W zimie, jak w żadnym innym mieście na świecie, spokój przenikał ulice i zaułki górnego Miasta na wzgórzach, i Miasta dolnego, co się rozłożyło w zakolu zamrożonego Dniepru, a cały ten pomruk maszyn uchodził do wnętrza gmachów, łagodniał, huczał dość głucho. Cała energia, którą Miasto nagromadziło w ciągu słonecznego i burzliwego lata, przemieniała się teraz w światło. Od czwartej po południu światło zapalało się w oknach, w kulach latarni elektrycznych, w latarniach gazowych, w latarniach z ognistymi numerami domów nad bramami i w wielkich głuchych oknach elektrowni, które nasuwały myśl o strasznej, czczej, elektrycznej przyszłości człowieka, w wielkich oknach, przez które widać było maszyny nieustannie obracające swe oszalałe koła. maszyny, których dygot wstrząsał posadami ziemi. Miasto jarzyło się i migotało, i jaśniało rozświetlone i hulające, po całych nocach, aż do białego rana. rankiem zaś wygasało, odziewało się w dymy i mgły.

Ale najwspanialej jaśniał biały elektryczny krzyż w rękach olbrzymiego Włodzimierza na Włodimirskiej Górze, a było go widać z daleka, i często latem, w czarnej mgle, w pokrętnych rozlewiskach i zatonach starowinkirzeczki łódzie spostrzegły go między wiklinami i według niego odnajdywały wodną swoją drogę ku Miastu, ku jego przystaniom. Zimą krzyż gorzał w czarnej gęstwie nieba i zimno, niewzruszenie władał nad równinnymi przestworami moskiewskiego brzegu, z którym łączyły Miasto dwa ogromne mosty. Jeden —łańcuchowy, ciężki. Nikołajewski — wiódł na przedmieście za rzekę, drugi wysoki był. strzelisty, przejeżdżały po nim pociągi z bardzo, bardzo daleka, stamtąd, gdzie rozpościerając pstrą swoją czapkę siedziała zagadkowa Moskwa.

I oto zimą roku tysiąc dziewięćset osiemnastego Miasto żyło dziwnym, nierzeczywistym życiem, jakie — co bardzo prawdopodobne — nie powtórzy się już więcej w wieku dwudziestym. Wszystkie mieszkania za ceglanymi murami były przepełnione. Z dawien dawna tu zasiedzali stali ich mieszkańcy zaczęli się ścieśniać i ścieścili się tak coraz bardziej, chcąc nie chcąc przyjmując coraz to nowych przybyszów zdążających do Miasta. A przybysze przyjeżdżali przez ten właśnie strzelisty most. stamtąd, od strony owych wilgotnych, tajemniczych zamgleń.

Uciekali szpakowaci bankierzy ze swymi żonami, uciekali przedsiębiorczy handlowcy pozostawiając w Moskwie ludzi pewnych, którzy mieli przykazane utrzymywać kontakt z owym nowym światem rodzącym się właśnie w carstwie moskiewskim, kamienicznicy. co pośpiesznie, po cichu, przekazali swoje domy zaufanym plenipotentom, przemysłowcy, kupcy, adwokaci, działacze społeczni. Uciekali dziennikarze, moskiewscy i petersburscy, sprzedajni, chciwi, tchórzliwi. Kokotki. Uczciwe damy z arystokracji. Ich wypiełgnowane córki, blade petersburskie ladacznice o karminowych umalowanych ustach. Uciekali sekretarze dyrektorów departamentów, młodzi kochankowie pederastów. Uciekali księżęta i sklepikarze. poeci i lichwiarze, żandarmi i diseuse'y cesarskich scen. Cała ta rzesza przesączaając się przez szczelinę brała kurs na Miasto.

Przez całą wiosnę, od obioru hetmana poczynając. Miasto wypełniało się przybyszami. Po mieszkaniach spano na kanapkach i na krzesłach. W bogatych domach zasiadały do stołu ogromne towarzystwa. Pootwierwały się niezliczone sklepiki, pasztecziarnie obsługujące gości do późna w noc, kawiarnie, gdzie można było wypić kawę i kupić kobietę, nowe teatrzyki rewiewe, w których wyglupiali się na estradach i śmieszili publikę wszyscy najpopularniejsi aktorzy, którzy sfrunęli tu z obu stolic, otwarto

znakomity teatr „Liliowy Negr” i niezrównany, do białego rana podzwaniający talerzami klub „Marność” (poeci-reżyserzy-aktorzy-malarze) na Nikołajewskiej. Zaraz wychodzić zaczęły nowe gazety i najlepsze pióra Rosji pisywały w nich felietony, a w tych felietonach mieszały z błotem bolszewików. Dorożkarze po całych dniach wozili pasażerów od restauracji do restauracji, a wieczorami grały po kabaretach kwartety smyczkowe i w tytoniowym dymie jaśniały nieziemską pięknnością twarze białych, wycieńczonych, zatrutych kokainą prostytutek. Miasto pęczniało, rosło, kipiało niczym zaczynione ciasto w dzieży. Aż do świtu szeleściły domy gry, a grały w nich osobistości petersburskie i osobistości lokalne, grali nadęci i wyniośli niemieccy leutnanci i majorowie, których rosyjscy bali się i szanowali. Grały niebieskie ptaki z moskiewskich klubów, grali ukraińsko-rosyjscy wiszący już na włosku ziemianie. W *cafe* „Maxim” dobywał ze skrzypiec słowicze trele czarujący a dorodny Rumun, oczy miał cudowne, pełne smutku, rozmarzone, o białkach aż błękitnych, włosy — jak aksamit. Otulone cygańskimi szalami lampy rzucały dwa światła — ku dołowi białe, elektryczne, na boki i ku górze — pomarańczowe. Pułap wybuchał gwiazdą błękitnego przykurzonego jedwabiu, w błękitnych łóżach iskrzyły się wielkie brylanty i tęczały rudawe syberyjskie futra. Pachniało palonym ziarnem kawowym, potem, spirytusem i francuskimi perfumami. Przez całe lato osiemnastego roku po Nikołajewskiej śmigali nadęci dorożkarze w wywatowanych kaftanach i sznurkiem pędziły automobile rzucając stożki światła. W witrynach sklepów kosmaciły się kwietne lasy, jak polana złocistej tłustości zwisały jesiotry, kusząco pobłyskiwały orłami i medalami butelki wybornego szampana „Abrau”.

I przez całe lato, przez całe lato pchali się i upychali nowi. Pojawili się biali i chrząstkowaci tenorzy o bezczelnych oczach, z niebieskawą wygoloną szczecinką na policzkach, w lśniących lakierowanych kamaszach; posłowie do Dumy Państwowej, kurwy o dźwięcznych nazwiskach, bilardziści-zawodowcy... Oprawadzali dziwki po sklepach, kupowali im szminki i damskie pantalony z batystu, z niebywałym rozcięciem. Kupowali dziewczuchom lakier do paznokci.

Wrzucali listy w jedyny dymnik, jaki był, przez niespokojną Polskę (sam diabeł, nawiasem mówiąc, nie wiedział, co się tam wyrabia i co to za państwo raptem takie nowe — Polska) do Niemiec, do tego wielkiego kraju solidnych Teutonów, błagali o wizy, przekazywali pieniądze, przeczuwając, że, być może, trzeba będzie jechać dalej i jeszcze dalej, tam, gdzie już na pewno nie dogoni ich straszliwy łoskot bitewny i werbel

bolszewickich pułków. Marzyli o Francji, o Paryżu, zamartwiali się na myśl o tym, jak niesłychanie trudno tam dojechać, że to niemal niemożliwe. W jeszcze większą wpadali depresję, kiedy ogarniały ich owe straszne i niezupełnie jasne myśli, które nachodziły ich w czarne bezsenne noce na cudzych szezlongach.

— A jeśli? a jeśli? a jeśli? pęknie ten żelazny kordon... I runie szara rzeka. Och, strach pomyśleć...

Myśli takie nachodziły ich, kiedy z daleka, z bardzo daleka dobiegały przytłumione armatnie wystrzały: pod Miastem nie wiedzieć czemu strzelano przez całe olśniewające, upalne lato, kiedy wszędzie niezawodnie strzegli ładu metaliczni Niemcy, a w samym Mieście nieustannie słyszało się przygłuszoną palbę z dalekich przedmieść: pa-pa-pach.

Kto i do kogo strzela — nie wie nikt. Strzelano nocami. A we dnie wracał spokój, od czasu do czasu przechodził główną ulicą, Kreszczatikiem albo Włodimirską, pułk niemieckich huzarów. Ach, cóż to był za pułk! Kudłate bermyce nad dumnymi obliczami, łuskowate pasy obramiały podbródki jak wykute z kamienia, strzały rudych wąsów sterczały ku niebu. Konie w szwadronach tej samej maści, rosłe gniadosze, a szaro-niebieskie kurtki tak leżały na sześciuset jeźdźcach jak szpizowe mundury ich krępych germańskich wodzów na pomnikach miasteczka Berlin.

Na ich widok serca rosły, uspokajali się i mówili do dalekich bolszewików ze złośliwą satysfakcją szczerząc zęby zza pogranicznych drutów kolczastych:

— Ano, spróbujcie!

Nienawidzili bolszewików. Ale nie tą nienawiścią twarzą w twarz, kiedy nienawidzący chce walczyć i zabijać, ale nienawiścią tchórzliwą, syczącą, zza węgła, z ciemności. Nienawidzili po nocach, zasypiając wśród niejasnych lęków, nienawidzili we dnie czytając w restauracjach gazety pełne opisów tego, jak to bolszewicy strzelają z mauzerów w potylice oficerom i bankierom i jak to sklepikarze sprzedają w Moskwie koninę, która jest zarażona nosacizną. Nienawidzili wszyscy — kupcy, bankierzy, przemysłowcy, adwokaci, aktorzy, kamienicznicy, kokotki, lekarze. Posłowie do Dumy Państwowej, inżynierowie i literaci...

Byli tu oficerowie. Oni także uciekali, z północy i z zachodu — z byłego frontu — a wszyscy podążali do Miasta, było ich bardzo wielu i gromadziło się coraz więcej, ryzykując życie, bowiem im, w większości bez grosza przy duszy, za to z niezatartym piętnem swej profesji, najtrudniej było zdobyć fałszywe papiery i przedrzeć się przez granicę. A

jednak udawało im się przedostać i zjawiali się w Mieście, zawszeni i zarośnięci, spojrzenia mieli zaszczute, dystynkcje poodpruwane, urządzali się jakoś w Mieście, żeby móc jeść i żyć. Byli między nimi dawni rdzenni mieszkańcy Miasta, którzy powracali z wojny do swoich rodzinnych domów marząc, jak Aleksiej Turbin, tylko o jednym — wypocząć, wypocząć i budować od nowa nie żołnierskie już, ale zwyczajne ludzkie życie, były też setki i tysiące innych, takich, co już ani chwili dłużej nie mogli pozostawać w Moskwie czy Petersburgu. Jedni — kirasjerzy. kawalergardzi, oficerowie gwardii konnej i gwardyjscy huzarzy — z łatwością wypływali w zbełtanej pianie wzburzonego Miasta. Hetmańska eskorta nosiła fantastyczne szlify, a przy hetmańskich stołach zasiadało do dwustu ludzi o wybrylantynowanych przedziałkach, ze złotymi plombami w żółtych, wygniłych zębach. Kto się nie znalazł w eskorcie, ten się odnajdywał w kosztownym futrze z bobrowym kołnierzem, w półmroku zastawionych dębowymi meblami mieszkań w najwytworniejszej dzielnicy Miasta — na Lipkach, w restauracjach i pokojach hotelowych...

Inni — sztabskapitanowie z piechoty, z pułków, które wybito albo które się rozpadły, dziarscy huzarzy liniowi jak pułkownik Naj-Turs, setki praporszczyków i podporuczników, eks-studentów, jak Stiepanow-Karaś, których wojna i rewolucja wytrąciły z kolein życia, porucznikowie, także byli studenci, ale dla uniwersytetów na zawsze już straceni, jak Wiktor Wiktorowicz Myszałajewski. W szarych postrzępionych szynelach, z nie zagojonymi jeszcze ranami, z cieniem śladu po zdartych naramiennikach przyjeżdżali do Miasta i u własnych czy obcych rodzin spali na krzesłach przykrywając się tymi szynelami, pili wódkę, krzatali się, o coś tam zabiegali i kipieli z wściekłości. O, ci nienawidzili bolszewików nienawiścią płomienną, żarliwą, taką, co to może popchnąć do bójki.

Byli i junkrzy. W chwili wybuchu rewolucji w Mieście istniały cztery uczelnie junkierskie — saperów, artylerii i dwie szkoły piechoty. Rozpadły się, przestały istnieć w łaskocie żołnierskiej palby, wypłuły na ulicę poturbowanych świeżo upieczonych maturzystów, studentów, co ledwie rozpoczęli studia, już nie dzieci, jeszcze nie dorosłych, nie cywilów i nie wojskowych, takich ot, jak siedemnastoletni Nikołka Turbin...

Wszystko to jest oczywiście bardzo miłe i nad wszystkim panuje hetman. Ale, jak mi Bóg miły, nie wiem do tej pory i nie dowiem się pewnie do końca życia, co sobą reprezentuje ten niesłychany władca o tytule, który byłby właściwy raczej w wieku siedemnastym niż dwudziestym.

— Kim on właściwie jest, doktorze?

— Kawalergard, generał, z bogatej ziemiańskiej rodziny. Paweł

Pietrowicz...

Dziwne jakieś szyderstwo losu i historii sprawiło, że wybór hetmana, który dokonał się w kwietniu owego przesławnego roku, odbywał się w cyrku. Dla przyszłych historyków będzie to zapewne znakomita okazja do żartów. Ale ludności, zwłaszcza osiadłej w Mieście, doświadczonej już przez pierwsze eksplozje wojny domowej, nie żarty były w głowie ani nie żadne w ogóle medytacje. Obioru dokonano z oszalamiającą szybkością — i dzięki Bogu! Hetman objął władzę — znakomicie! Byleby tylko na targowiskach było mięso i chleb, byleby tylko nie strzelali na ulicach, byle, przez Boga żywego, nie przyszli bolszewicy i byleby prosty lud nie zaczął grabić. No cóż, wszystkie te marzenia w mniejszym lub większym stopniu urzeczywistniły się przy hetmanie, bodaj nawet raczej w większym niż mniejszym. W każdym razie przybywający tu moskwiczanie i petersburzanie, a także większość stałych mieszkańców Miasta, śmiali się wprawdzie z dziwaczного hetmańskiego państwa, o którym, podobnie jak kapitan Talberg, mówili, że jest operetkowe i nierealne, ale przecież hetmana szczerze wynosili pod niebiosa i... „Daj Boże, żeby to trwało jak najdłużej.”

Nikt wszelako, nawet sam hetman, nie był w stanie powiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa. Tak to, tak.

Bo Miasto to Miasto, jest tu i policja — *warta*, i ministerstwa, i nawet wojsko, i wychodzące pod różnymi tytułami dzienniki, ale co się dzieje dookoła, na owej prawdziwej większej od Francji Ukrainie, która ma dziesiątki milionów mieszkańców — tego nikt nie wiedział. Nie wiedzieli, nic nie wiedzieli nie tylko o odległych miejscowościach, ale nawet, śmiech powiedzieć, o wsiach oddalonych od Miasta o pięćdziesiąt wiorst. Nie wiedzieli, ale nienawidzili z całego serca. I kiedy docierały niepewne wieści z owych tajemniczych regionów, o których się mówi — wieś, o tym, że Niemcy grabią ludność i pacyfikują wioski bez litości rozstrzeliwując z karabinów maszynowych, nie dość, że nie podnosił się ani jeden głos oburzenia, ani jeden głos, który by wziął w obronę ukraińskich chłopów, ale pod jedwabnymi abażurami po hotelach wilczo wyszczerzały się zęby, słyhać było mamrotanie:

— Dobrze im tak! Mają, czego chcieli, wszystko to jeszcze za mało! Ja bym ich nie tak! Popamiętają rewolucję! Dadzą im Niemcy nauczkę - nie chcieli swoich, niech zobaczą, co obcy potrafi!

— Och, jak nierozsądne jest to, co pan mówi, och, jak nierozsądne.

— Co też pan, Aleksieju Wasiliewiczu!... Przecież to taka hołota. Gorszi, doprawdy, od dzikich zwierząt. Dobrze. Niemcy im pokażą!

Niemcy!

Niemcy!

I wszędzie:

Niemcy!

Niemcy!

Dobrze, tu — Niemcy, a tam, za dalekim kordonem, w wilgotnych lasach — bolszewicy. Tylko dwie potęgi.

5

Tak więc na wielkiej szachownicy nagle i niespodziewanie pojawiła się siła trzecia. Tak to słaby, nieprzezorny szachista, odgrodziwszy się od straszliwego przeciwnika zwartym szeregiem pionków (nawiasem mówiąc pionki bardzo są podobne do Niemców w ich miskach), gromadzi swoje figury wokół króla-zabawki. Ale podstępna królowa przeciwnika nieoczekiwanie znajduje lukę gdzieś z boku, przedziera się na tyły i wybija od tyłu pionki i konie, raz po raz zawiadamia o strasznym szachu, a w ślad za damą nadciąga szybki, lotny laufer, zdradzieckimi zygzakami przycwałowywują konie i oto kiepski i niewprawny gracz ginie, a wraz z nim ginie jego drewniany król.

Wszystko to nadeszło niebawem, ale nie zniecka, i poprzedzone zostało pewnymi znakami na niebie i ziemi.

Któregoś dnia w maju, kiedy Miasto obudziło się jaśniejące niczym perła wśród turkusów, a słońce wstało, by świecić nad mocarstwem hetmana, kiedy obywatele Miasta wyruszyli już niczym mrówki do swoich zajęć, a zaspani subiekci podnosili w sklepach zgrzytliwe kraty, przetoczył się po Mieście dźwięk straszny a złowieszczy. Niesłychany był jego tembr — ni to armata, ni grom — a tak potężny, że niejeden oberluft sam się otworzył, zadygotały wszystkie szyby. Potem huk ten powtórzył się, przebiegł znowu przez całe górne Miasto, stoczył się falami w Miasto dolne, na Podół, i odszedł ponad pięknym rozświetlonym Dnieprem w moskiewskie dale. Mieszkańcy Miasta pobudzili się, ulice ogarnął niepokój. Narastał błyskawicznie, albowiem z górnego Miasta, z Pieczerska, biegli krzycząc i wyjąc poranieni, zakrwawieni ludzie. Huk zaś przetoczył się po raz trzeci, ale taki, że w pieczerskich domach z brzękiem posypały się szyby, ziemia się zakołysała.

Widziano tam kobiety biegnące w samych koszulach i krzyczące

straszliwymi głosami. Niebawem wiadano już, skąd pochodził ten huk. Nadciągał z Łysej Góry za Miastem, nad samym Dnieprem, gdzie mieściły się ogromne magazyny prochu i amunicji. Na Łysej Górze nastąpił wybuch.

Przez pięć dni Miasto żyło potem w panicznym napięciu, czekało z przerażeniem, czy nie popłyną z Łysej Góry gazy bojowe. Huki jednak się nie powtórzyły, gazy nie napłynęły, na ulicach nie spotykano już pokrwawionych ludzi, całe Miasto, oprócz niewielkiego zakątka Pieczerska, gdzie zawaliło się parę domów, znowu wyglądało spokojnie. Nie trzeba chyba dodawać, że niemiecka komendantura wszczęła surowe śledztwo, nie trzeba też dodawać, że Miasto nie dowiedziało się niczego o przyczynach eksplozji. Ludzie mówili różnie.

— Wybuch spowodowali francuscy szpiedzy.

— Nie, wybuch spowodowali bolszewiczcy szpiedzy. Wszystko skończyło się tym, że o eksplozji po prostu zapomniano. Drugie ostrzeżenie nastąpiło latem, kiedy wypełniała Miasto krzepka zakurzona zieleń, kiedy Miasto huczało i dudniło, a niemieccy leutnanci wypijali oceany wody sodowej. Drugie ostrzeżenie było zaiste potworne!

W biały dzień na Nikołajewskiej, przy samym postoju dorożek, zabito nie kogo innego, tylko samego głównodowodzącego wojsk niemieckich na Ukrainie, feldmarszałka Eichhorna, straszliwego w swojej wszechmocy namiestnika samego cesarza Wilhelma. Zabił go oczywiście robotnik, oczywiście socjalista. W dwadzieścia cztery godziny po śmierci Prusaka powieszono nie tylko zabójcę, ale także dorożkarza, który przywiózł go na miejsce zbrodni. Co prawda ani trochę nie wskrzesiło to znakomitego generała, ale za to co inteligentniejszym ludziom nasunęło interesujące myśli o obrocie wydarzeń.

Tak więc Wasylisa, dusząc się wieczorem przy otwartym oknie i rozpinając chesuczową koszulę, siedział nad szklanką herbaty z cytryną i tajemniczym szeptem mówił do Aleksieja Turbina:

— Zestawiając ze sobą wszystkie te wydarzenia, muszę stwierdzić, że położenie nasze jest wielce niepewne. Wydaje mi się, że Niemcom (Wasyliśa poruszył w powietrzu krótkimi palcami) jakby się paliło pod nogami. Niechże się pan sam zastanowi... Eichhorn... I to gdzie? (Wasyliśa zrobił przerażone oczy.)

Turbin słuchał go posepnie, posepnie skrzywił policzek i wyszedł. Inna jeszcze przestroga dana im była zaraz następnego ranka, spadła bezpośrednio na tegoż Wasyliśę. Raniutko, raniusieńko, zaledwie słońeczko wysłało pierwszy promień do mrocznego podziemia

prowadzącego z podwórka do mieszkania Wasylisy, gospodarz wyjrzał i zobaczył w tym promieniu objawienie. Niezrównane było w krasie swych trzydziesta lat, w blasku monista na monarszej szyi godnej imperatrycy Katarzyny, w zgrabności bosych nóg, w rozkołysanej jędrnej piersi. Zęby objawienia jaśniały, fioletowe cienie rzęs kładły mu się na jagodach.

— Pięćdziesiąt dzisiaj — powiedziało syrenim głosem objawienie wskazując bańkę z mlekiem.

— Coś ty, Jawdocha? — wykrzyknął żałośnie Wasylisa. — Bój się Boga! Pozawczoraj czterdzieści, wczoraj czterdzieści pięć, dziś pięćdziesiąt. Tak przecież nie można.

— *Szczo ż ja zrobiu? Use doroho* — odparła syrena. — *Każut' na bazar i, bude i sto.*

Zęby jej znów błysnęły. Na chwilę Wasylisa zapomniał i o pięćdziesięciu, i o stu, i o świecie bożym, tylko słodki zuchwały chłodek przebiegł mu po brzuchu. Słodki chłodek, który przebiegał po brzuchu Wasylisy zawsze, ilekroć tylko stawało przed nim w słonecznym promieniu to cudowne zjawisko. (Wasylisa wstawał wcześniej niż jego małżonka.) Zapomniał o wszystkim. Nie wiadomo dlaczego wyobraził sobie leśną polanę, zapach jedliny. Ech. ech...

— Uważaj. Jawdocha — powiedział oblizując wargi i zezując (żeby tylko żona nie wyszła). — Za dużo sobie pozwalacie przez tę rewolucję. Zobaczysz, Niemcy dadzą wam nauczkę. — „Klepnąć ją po ramieniu czy nie klepnąć?” — rozważał w udęce Wasylisa, ale się nie zdecydował.

Szeroka wstęga alabastrowego mleka popłynęła, zapieniła się w dzbanie.

— *Czy wony nas wyuczat', czy my ich rozuczymo* — odpowiedziało nagle objawienie, łysnęło, błysnęło, zagrzmiało bańką, zatoczyło koromysłem i niczym promień w promieniu jęło się wspinać z sutereny na słoneczne podwórze. „Co za nogi! A-ach!” —jęknęło coś w mózgu Wasylisy.

W tejże chwili dobiegł go głos połowicy. Wasylisa zawrócił i zderzył się z nią.

— Z kim rozmawiałeś? — strzeliwszy bystrym okiem na dziedziniec zapytała małżonka.

— Z Jawdochą — obojętnie odparł Wasylisa. — Wyobraż sobie, mleko dziś po pięćdziesiąt.

— Co-o? — wrzasnęła Wanda Michajłowna. — To skandal! Co za bezczelność! Ci chłopci zupełnie się wściekli... Jawdocha! Jawdocha! — wołała wychylając się z okienka. Jawdocha!

Ale zjawisko zniknęło i już nie wróciło.

Wasylisa popatrzył na krzywą żoniną kibić, na żółte włosy, na jej kościste łokcie i zbyt chude łydki i odechciało mu się żyć, o mało nie splunął Wandzie na spódnicę. Pohamował się jednak, westchnął i odszedł w chłodny półmrok mieszkania, sam nie rozumiał, co go właściwie tak

przygnębia. Może Wanda — wyobraził ją sobie nagle, jej żółty obojczyk wysterczał do przodu niczym związane hołoble — a może coś niepokojącego w słowach rozkosznego zjawiska.

— *Rozuczymo?* Co? Jak wam się to podoba? — mruzczał Wasylisa sam do siebie. — Och, te przekupy! No, co wy na to? Jeśli przestaną się bać Niemców... to już będzie koniec. *Rozuczymo.* Co? Ale ząbki to ona ma! Cudo...

Nie wiedzieć czemu wyobraził sobie po ciemku Jawdochę gołą niczym wiedźma na Łysej Górze.

— Co za bezczelność... *Rozuczymo?* A ta pierś...

Było to tak oszałamiające, że Wasylisie zrobiło się słabo; poszedł umyć się zimną wodą.

I oto jak zawsze niezauważalnie podkradła się jesień. Po soczystym, złotawym sierpniu nadszedł jasny, pylny wrzesień, a we wrześniu mieli już nie omen. ale samo wydarzenie, choć na pierwszy rzut oka było ono pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

Któregoś mianowicie widnego wrześniowego wieczora przyszedł do miejskiego więzienia podpisany przez odpowiednie władze hetmańskie papier zlecający natychmiastowe wypuszczenie z celi numer 666 więzionego tam przestępcy. Tylko tyle.

Tylko tyle! I ten paperek — bez wątpienia on to właśnie! — sprowadził takie klęski i nieszczęścia, takie pochody, krwi przelew, pożary i pogromy, rozpacz i przerażenie... A-ja-jaj!

Wypuszczony na wolność więzień nazywał się najzwyczajniej, najniepozorniej — Siemion Wasiliewicz Petlura. Sam siebie nazywał, jakby na francuską modłę, Simonem, tak też nazywały go dzienniki miejskie w okresie od grudnia 1918 do lutego 1919. Przeszłość Simona tonęła w nieprzeniknionych mrokach. Mówiono, że był jakoby buchalterem.

— Gdzie tam, ledwie rachmistrzem.

— Nie, to student.

Był na rogu Kreszczatiku i Nikołajewskiej wielki i wytworny sklep z wyrobami tytoniowymi. Na podłużnym szyldzie nader pięknie odrobiony kawowy Turek w fezie palił nargile. Na nogach miał miękkie żółte pantofle o zadartych nosach.

Znaleźli się więc i tacy. co przysięgali na wszystkie świętości, że jeszcze nie tak dawno sami za ladą tego właśnie sklepu widzieli Simona sprzedającego wyroby tytoniowe z fabryki Salomona Cohena. Ale znajdowali się zaraz i tacy, co mówili:

— Nic podobnego. Był pełnomocnikiem związku miast.
— Ależ nie związku miast, tylko związku ziemskiego — prostowali inni
— to typowy huzar z ziemstwa.

Jeszcze inni. przyjezdni, zamykając oczy, żeby łatwiej sobie przypomnieć, mamrotali:

— Chwileczkę... jedną chwileczkę...

Po czym opowiadali, jak to ponoć przed dziesięcioma laty, nie, przepraszam, przed jedenastoma, widzieli go wieczorem idącego po Małej Bronnej w Moskwie, pod pachą niósł owiniętą w czarne angielskie płótno gitarę. Dodawali jeszcze, że szedł do krajanów na wieczorynkę, stąd ta gitara w angielskim płótnie. Szedł jakoby na bardzo ciekawie się zapowiadającą wieczorynkę, z wesołymi, rumianymi rodaczkami-pensjonarkami, ze śliwowicą przywiezioną wprost z sielskiej Ukrainy, z pieśniami, ze wspaniałym Hryciem...

...oj, ne cho-d-y...

Potem zaczęli się plątać w zeznaniach przy opisie jego powierzchowności, mylić daty, miejsca wydarzeń...

— Wygolony, powiada pan?

— Nie, zdaje się... chwileczkę... z bródką.

— Za pozwoleniem... czyżby nie był z Moskwy?

— Ależ nie, to... student...

— Nic podobnego. Iwan Iwanowicz zna go świetnie. Był nauczycielem ludowym w Taraszczy.

Tfu, niech to diabli... A może rzeczywiście nie szedł po Małej Bronnej? Moskwa to wielkie miasto, na Bronnej zimowe mgły, zamróz, cienie... Jakaś tam gitara... Turek w promieniach słońca... nargile... gitara dzyń-treń... Niejasne to, mgliste... Ach, jak mgliście, jak strasznie dokoła.

...junkierska maszeruje bra-ać...

Maszerują, maszerują obok zakrwawione cienie, przybiegają zjawy, wieją potargane warkocze dziewczęce, przepływają więzienia, strzelaniny i mróz, i północny krzyż Włodzimierza.

Junkierska maszeruje brać,

Gwardyjski korpus idzie!...

Trąby, litaury.

Czyneli złoty huk.

Grzmiały teorbany, gwizdże jak słowik stalowa szpicruta, zasiekli ludzi na śmierć wyciorami, jedzie, jedzie na ognistych wierzchowcach konnica w czarnych baszłykach.

Grzmi wieszczy sen, napływa na posłanie Aleksieja Turbina. Śpi błądy

Turbin, do czoła przywarł mu mokry od potu kosmyk, pali się różowa lampa. Śpi cały dom. Z biblioteki — chrapanie Karasia, od Nikołki — poświsty Szerwińskiego... Zmętnienie... Noc... Na podłodze, przy łóżku Aleksieja, poniewiera się nie doczytany Dostojewski, zuchwałymi słowy szydzą *Biesy*... Cicho śpi Helena.

— No, to wie pan, co panu powiem? Nie było. Nie było! Nie było nigdy tego całego Simona. Ani Turka, ani gitary pod żeliwną latarnią na Bronnej, ani związku ziemskiego... nic. To tylko mit zrodzony na Ukrainie, w mgłach tego straszego osiemnastego roku.

...Było co innego — zapiekła nienawiść. Było czterysta tysięcy Niemców, a wokół nich czterykroć po czterdzieści razy czterysta tysięcy chłopów, w których sercach płonął niepohamowany gniew. O, dużo, dużo się nagromadziło w tych sercach. Smagnięcia leutnanckich pejców po twarzach i ostrzeliwanie szrapnelami niepokornych wsi, plecy poszarpane wyciorami hetmańskich serdiuków i świstki papieru zapisane przez majorów i leutnantów armii niemieckiej.

„Wypłacić rosyjskiej świni za kupioną od niej świnię 25 marek.”

Dobroduszne, pogardliwe natrząsanie się z tych, co z takim kwitkiem przyjeżdżali do niemieckiego sztabu w Mieście.

I rekwirowane konie, i konfiskowane zboże, i pyzate twarze obszarników. którzy przy hetmanie wrócili do swoich dóbr — dygot nienawiści na słowo „oficernia”.

Oto co było.

No i jeszcze pogłoski o reformie rolnej, którą zamierzał przeprowadzić pan hetman.

— *niestety, niestety! Dopiero w listopadzie roku osiemnastego, kiedy pod Miastem zagrzmiały działa, mądrzy ludzie, a wśród nich i Wasylisa, domyślili się, że chłopci nienawidzą całego tego pana hetmana jak wściekłego psa i myślą sobie chłopci, że żadnej tam pańskiej parszywej reformy im nie trzeba, tylko tej odwiecznie upragnionej reformy chłopskiej:*

— *Cała ziemia — chłopom.*

— *Każdemu po sto dziesięcin.*

— *Żeby o żadnych obszarnikach nawet słychu nie było.*

— *I żeby na każde te sto dziesięcin wydać rzetelny urzędowy papier, ze znaczkiem stemplowym i z pieczęcią — we władanie wieczyste, dziedziczne, z dziada na ojca, z ojca na syna, na wnuka i tak dalej.*

— *Żeby żadna żulia z Miasta nie przyjeżdżała po zboże. Zboże jest chłopskie, -nikomu go nie damy, czego sami nie zjemy, to w ziemię zakopujemy.*

— *Żeby przywozili z Miasta naftę.*

No cóż, takiej reformy umiłowany hetman przeprowadzić nie mógł. Sam czort zresztą jej nie przeprowadzi.

Były też melancholijne pogłoski, że z hetmańskim i niemieckim utrapieniem uporać by się mogli tylko bolszewicy, ale bolszewicy to nowe znów utrapienie:

— Żydy i komisarze.

— Nieszczęsna twoja dola, chłopie ukraiński!

— Znikąd ratunku!

Były dziesiątki tysięcy ludzi, którzy wrócili z wojny i umieli strzelać.

— Sami oficerowie nauczyli, według rozkazu!

Setki tysięcy karabinów zakopanych w ziemi, ukrytych po stodołach i spichlerzach i nie zdanych, mimo że niemieckie sądy polowe były prędkie, mimo bicia stemplami, ostrzeliwania szrapnelami. Miliony nabojów w tej samej ziemi, trzycalowe działa w co piątej wsi, kulomioty w co drugiej, w każdym miasteczku składy pocisków, cekhauzy pełne szynelów i papach.

I w tychże miasteczkach nauczyciele ludowi, felczerzy, oficjaliści, ukraińscy seminarzyści wyrokiem losu przemienieni w praporszczyków, krzepcy synowie pasieczników, sztabskapitanowie o ukraińskich nazwiskach — wszyscy mówią po ukraińsku, każdy kocha tę baśniową, wyteśknioną Ukrainę bez panów, bez oficerów-Moskali — i tysiące byłych jeńców ukraińskich, którzy powracali z Galicji.

Na przyprzążkę do tych dziesiątków tysięcy kmiotków?... O-ho-ho!

Tak, to było. A więzień... gitara...

To nic wymysł propagandy — Ciągną tu czerw...

Dzyń... Tren.. ech, ech, Nikołka.

Turek, huzar z ziemstwa, Simon. Ależ nie było żadnego Simona. Nie było. Po prostu bzdura, legenda, fatamorgana.

I daremnie, daremnie mądry Wasylisa chwytając się za głowę wołał o owym niezrównanym listopadzie: „*Quos vult perdere, dementat!*/* i przeklinał hetmana za to, że ten wypuścił Petlurę z zafajdanego więzienia miejskiego.

— Bzdury. Nie będzie on, to będzie inny. Nie będzie inny, to będzie jeszcze inny.

* właśc. „*Deus quos vult perdere dementat prius*” — Bóg najpierw pozbawia rozumu tych których chce zgubić (przyp. tłum.).

Tak więc przyszedł kres przestrogom, omenom, ostrzeżeniom, zaczęły się fakty historyczne...

Fakt drugi to nie była błahostka, jak jakieś tam zwolnienie kogoś z więzienia. O, nie! — Fakt drugi tak był doniosły, że cała ludzkość będzie o nim pamiętać przez jeszcze sto lat przynajmniej... Na dalekim zachodzie Europy galijskie koguty w czerwonych spodniach zadziobywały na

śmierć opasyłych pancernych Niemiaszków. Był to przerażający widok — koguty w czapkach frygijskich piałły gardłowo i spadały na opancerzonych Teutonów i wydierały z nich strzępy mięsa wraz z pancerzem. Niemcy bronili się rozpaczliwie, dźgali szerokimi bagnetami w pierzaste piersi, zębami gryźli, ale pola nie dotrzymywali — i Niemcy! Niemcy! Niemcy poprosili pardonu!

Wydarzenie następne ściśle było związane z tym pierwszym i wynikało z niego, jak skutek wynika z przyczyny. Cały oszołomiony i wstrząśnięty świat dowiedział się, że ów człowiek, którego imię i wasy sterczące niczym sześciocalowe gwoździe znali wszyscy, człowiek bez wątpienia od stóp do głów uczyniony z metalu, bez jednej drewnianej części, że człowiek ten więc został zrzucony z tronu. Obalono go na amen — nie był już kajzerem. Wszystkie umysły Miasta ogarnęło mroczne przerażenie — oni wszak widzieli, widzieli na własne oczy, jak płowieli niemieccy leutnanci, jak sukienny meszek ich mundurów zamieniał się w podejrzenie wytarty drelich. A działo się to tuż, na oczach wszystkich, z godziny na godzinę, niewiele trzeba było tych godzin, żeby przygasły leutnanckie wymonoklowane oczy, żeby zza kolistego ogromu szkieł zaczęła wyzierać obszarpana. nędzarska pustka.

O, wtedy prąd przebiegał po krzyżu przezorniejszym spośród tych, co z twardymi żółtymi walizami, z luksusowymi kobietami przedarli się do Miasta przez kolczaste bolszewickie okopy. Zrozumieli, że przeznaczenie związało ich z pokonanymi i serca ich napełniły się przerażeniem.

— Niemcy ponieśli klęskę — powiedziały gady.

— Myśmy ponieśli klęskę — powiedziały mądre gady.

Zrozumieli to i mieszkańcy Miasta.

O, ten tylko, co sam kiedyś przegrał, wie, co znaczy to słowo — klęska! Słowo to jest jak wieczór w domu, w którym zepsuło się światło. Jest jak pokój, w którym pełźnie po tapecie zielona, kipiąca chorobliwym życiem pleśń. Jest jak rachityczne demony dziecięcych snów, jak zjełczała oliwa, jak kobiece głosy w ciemności bluzgające rynsztokowymi wyzwiskami. Jednym słowem — jak śmierć.

To koniec. Niemcy opuszczają Ukrainę. A zatem, a zatem jedni będą musieli uciekać, inni witać w Mieście gości nowych, zadziwiających, nieproszonych. I, trudna rada, ktoś będzie musiał umierać. Uciekający umierać nie będą, któż więc będzie umierał?

— *Umiehać to nie kwiatki zbiehać — grasejując powiedział nagle pułkownik Naj-Turs, który nie wiadomo skąd pojawił się przed śpiącym Aleksiejem Turbinem.*

Dziwacznie był umundurowany — w lśniącej misiurce, w kolczudze, wspierał się na mieczu, długim mieczu, żadna armia nie używa takich już od czasów wypraw krzyżowych. Nieziemska światłość sunęła za Najem niczym obłok.

— Jest pan w raju, pułkowniku? — czując rozkoszne drzenie, jakiego człowiek nigdy nie doświadcza na jawie, zapytał Turbin.

— W haju — odpowiedział Naj-Turs głosem czystym, kryształowo przezroczystym jak ruczaj w podmiejskich lasach.

— Jakie to dziwne, jakie to dziwne — mówił Turbin. — Myślałem, że raj to, no... tylko tęsknota ludzka. Jaki dziwny mundur. Pan, pułkowniku. jeśli wolno zapytać, w raju także jest oficerem?

— Teraz pułkownik w brygadzie krzyżowców służy, panie doktorze — odpowiedział mu wachmistrz Żylin, poległy, jak wiadomo, wraz z całym szwadronem huzarów białogrodzkich w szesnastym roku pod Wilnem.

Wachmistrz wznosił się jak olbrzymi witeź, od kolczugi bił blask. Prostackie jego rysy — doktor Turbin, który osobiście opatrywał śmiertelną ranę Żyлина, doskonale je pamiętał — zmieniły się nie do poznania, a oczy wachmistrza były bliźniaczo podobne do oczu Naj-Tursa: czyste, rozświetlone od wewnątrz, niezgłębione.

Aleksiej Turbin z głębi posepnego swego serca nade wszystko w świecie upodobał sobie kobiece oczy. Ach, stworzył Pan Bóg cacko, prawdziwe cacuszko — oczy kobiet!... Ale gdzież im tam do oczu wachmistrza!

— Jakże to tak? — pytał z ciekawością, z nie znaną sobie dotąd radością doktor Turbin. — Jakże to tak, w butach, w ostrogach — do raju? Przecież macie, bądź co bądź, konie, tabory, lance...

— Jak Boga kocham, panie doktorze — patrząc prosto w oczy błękitnym spojrzeniem, od którego ciepło się robiło na sercu, zadudnił niczym bas wiolonczeli wachmistrz Żylin. — Poszliśmy całym szwadronem, w szyku konnym. Z harmonią. Pewnie, że to niezręcznie wypadło... Tam to, sam pan wie, czysto, cerkiewne posadzki...

— No? — zdumiewał się Turbin.

— Patrząc, a tu apostoł Piotr. Cywilny staruszek, a dostojny, a grzeczny! Melduję, ma się rozumieć, tak i tak, drugi szwadron huzarów białogrodzkich pomyślnie przybył do raju, gdzie nam wasza wielmożność wyznaczy kwatery? Meldować melduję, ale — wachmistrz skromnie odkaszlnął w kułak — myślę ja sobie i myślę, co będzie, jak apostoł Piotr powie: „A wynoście wy się stąd do wszystkich diabłów...” No, no sam pan wie, jakże to tak. z końmi, i... (wachmistrz w konfuzji podrapał się po ciemieniu) bab się, między nami mówiąc, trochę do nas przyczepiło po

drodze. Melduję się apostołowi, a do plutonu mrugam — przegońcie tymczasowo te baby, a potem się zobaczy. Niech póki co, nim się okoliczności nie wyjaśnią, posiedzą za jaką chmurką. A apostoł Piotr, choć cywil, to, niech pan sobie wyobrazi, swój chłop. Rzucił tylko okiem i widzę ja, że już zobaczył te baby na podwodach. Nie dziwota, chustki mają jasne, o wiorstę je widać. Klops, myślę. Cały szwadron leży martwym bykiem... „Eche, powiada, co to wy, z babami?” — i pokręcił głową. ..Tak jest, powiadam, ale, powiadam, wasza wielmożność zechce się nie martwić, my je grzecznie zaraz za pirze i na powietrze świeże, szanowny apostołe.”

„O nie, powiada, proszę, żeby mi tu było bez żadnego mordobicia. Co? Jak się to panu podoba? Poczciwy staruch. Sam pan przecież rozumie, panie doktorze, szwadron na wojnie bez bab nie ma swojego wyglądu. I mrugnął wachmistrz porozumiewawczo.

— Pewnie — spuszczać oczy musiał się zgodzić Aleksiej Wasilewicz. Czyjeś oczy, takie czarne, takie czarne, znamię na prawym matowym policzku niewyraźnie zamajaczyło w sennym mroku. Odchrząknął zmieszany, wachmistrz zaś ciągnął:

— No to on mi mówi: muszę złożyć meldunek. Poszedł, wrócił i powiada: dobra jest, da się zrobić. Taka nas radość ogarnęła, że wyrazić nie sposób. Ale tu wynikła niejaka zwłoka. Trzeba będzie, powiada apostoł Piotr, trochę poczekać. Wszelako czekali my może minutę. Patrzę, a tu podjeżdża — wachmistrz wskazał milczącego, wyniosłego Naj-Tursa, który uchodził ze snu na wieki w niewiadomą mgłę — pan dowódca szwadronu, rysią na Tuszyńskim Złodzieju. A za nim w jakiś czas nie znany mi osobiście junkier w szyku spieszonym — tu wachmistrz spojrział na Turbina i zacukał się na moment, jakby chciał coś przed doktorem zataić, nic smutnego jednak, ale sekret radosny, wspaniały, potem zmitygował się i ciągnął: — Przysłonił Piotr oczy dłonią, popatrzył na nich i powiada: „No, to by było wszystko!” — i zaraz wrota na oścież, i bądźcie łaskawi, powiada, trójkami od prawoskrzydłowego.

...Dunka, Dunka, Dunka ja!

Duma, jagoda maja...

— zaszumiał nagle niczym we śnie chór żelaznych głosów, zagrała stuczterdziestobasowa harmonia.

Szłusuj! — krzyczeli tu i tam dowódcy plutonów.

l-ech. Dunia. Dunia, Dunia, Dunia! Polubi, Duma, mienili...

— i chór zamarł w dali.

— Z babami? Wleźliście z babami? — jęknął Turbin.

Wachmistrz roześmiał się podniecony, radośnie zamachał rękoma.

— Panie Boże wielki, panie doktorze. Toż miejsca tam, ile tylko dusza

zapragnie. A czysto... Tak na pierwszy rzut oka oceniając zmieściłoby się jeszcze z pięć korpusów razem ze szwadronami odwodu, co ja mówię — pięć. Dziesięć! A obok nas pałace, Jezus Nazareński, pułapu nie widać! Pytam się ja: „A czy wolno zapytać, powiadam, dla kogo to?” Bo niezwykajne były — gwiazdy czerwone, chmury czerwone, jak raz pod kolor naszych lampasów... „A to — powiada apostoł Piotr — dla tych bolszewików, co to z Perekopu.”

— Z jakiego znowu Perekopu? — daremnie natężając swój wąty ziemski umysł zapytał Turbin.

— A, wasze wysokoblagorodije, im przecie wszystko zawczasu wiadome. W dwudziestym roku, jak bolszewicy brali Perekop, zginęło ich tam co niemiara. Znaczy się, dla nich już przygotowali pomieszczenie.

— Dla bolszewików? — zdumiała się dusza Turbina. — Coś się wam musiało poplątać, Żylin, nie może to być. Nie wpuszczą ich tam.

— Panie doktorze, sam tak myślałem. Sam. Zdumiałem się i pytam Pana Boga...

— Pana Boga? Oj, Żylin!

— Może mi pan wierzyć, panie doktorze, prawdę mówię, jak było, co bym miał łącać, sam z nim rozmawiałem niejedyn raz.

— I jaki też on jest?

Z oczu Żylina strzeliły promienie, twarz mu dumnie wyszlachetniała.

— Choć zabij, słowami tego ja wyrazić nie potrafię. Oblicze ma promieniste, ale jakie, tego ani wyrozumieć... Bywa, spojrzysz na niego i mróz ci po krzyżach przechodzi. Zwiduje ci się, że Pan Bóg jest właśnie do ciebie podobny. Strach taki wtedy zdejmie, myślisz sobie: co to ma znaczyć? Ale potem to mija. Różnorakie on ma to oblicze. No, a jak już przemówi, to taka radość, taka radość... I zaraz opływa człowieka jakby światłość jaka błękitna... Hmm... a może i nie błękitna — zastanowił się wachmistrz. — Sam nie wiem jaka. Na tysiąc wiorst bije i przez człowieka na wskroś przechodzi. No więc melduję ja się, jakże to tak, powiadam. Panie Boże, twoje popy mówią przecież, że bolszewicy pójdą jak nic do piekła. To jak to jest, powiadam. Oni w ciebie nie wierzą, a ty im tu, patrzajcie no, jakie koszary wzniosłeś.

„O, nie wierzą?” —pyta.

„Jak Boga kocham” — powiadam, i, wie pan, strach mnie zdejmuje, bo jakże to tak można. Panu Bogu takie rzeczy mówić? Ale patrzę — on się uśmiecha. Co ja mu tu, głupi, będę meldował, myślę, kiedy on o wszystkim wie lepiej ode mnie. Jednakowoż ciekawe, co powie. A on powiada:

..No cóż, skoro nie wierzą, powiada, to nic na to nie poradzimy. A niech nie wierzą. Ani mnie to ziębi — powiada — ani grzeje. Ciebie zresztą,

powiada, też. A ich, powiada, też. Ja z waszej wiary nie mam ani pożytku żadnego, ani uszczerbku. Jeden wierzy, drugi nie wierzy, a postępujecie wszyscy tak samo: jeden drugiemu skacze do gardła, a co się koszar dotyczy, Żylin, to należy to tak rozumieć, że dla mnie tam, Żylin, wszyscyście wy jednacy — polegli na polu chwały i tyle. To trzeba wyrozumieć, Żylin, a nie każdy to wyrozumie. A w ogóle to się ty, Żylin, powiada, tymi kwestiami nie dręcz. Żyj tu sobie, baw się dobrze."

— Ładnie to wyłożył, panie doktorze, co? „Ale popy” — powiadam... A on na to ręką machnął: „Ty mi, powiada, Żylin, lepiej o popach nie wspominaj. Pojęcia już nie mam, co z nimi robić. Prawdę powiedziawszy, to takich durniów jak te wasze popy oko nie widziało. W sekrecie ci, Żylin, powiem, że to obraza boska, hańba jedna, a nie słudzy boży."

„Święta prawda — powiadam. — Przełoń ty ich, Panie Boże, na cztery wiatry! Po co masz darmozjadów karmić?"

„Żal mi ich, Żylin, oto w czym bieda" — powiada.

Światłość wokół Żylina pobłkitniała, niepojęta radość wypełniła serce śpiącego. Wyciągając ramiona do jaśniejącego wachmistrza, Aleksiej zajęczał przez sen:

— Żylin, Żylin, nie mógłbym się ja u was zaczepić jako lekarz w waszej brygadzie?

Żylin w odpowiedzi machnął ręką, łaskawie przytaknął ruchem głowy. Potem zaczął się odsuwać i opuścił Aleksieja Wasiliewicza. Turbin obudził się, przed nim zamiast Żylina widniał blednący już po trosze kwadrat porannego okna. Doktor wytarł dłonią twarz, okazało się, że była zalana łzami. Długo wzdychał w półmroku przedświt, ale niebawem zasnął znowu, sen teraz popłynął równy, bez widzeń...

Ta-ak. śmierć nie dała na siebie czekać. Poszła jesiennymi, a potem zimowymi drogami ukraińskimi wraz z suchą śnieżną kurzawą. Zaczęła postukiwać z kulomiotów po zagajnikach. Jej samej nie było widać, ale poprzedzał ją aż za dobrze widoczny sękaty chłopski gniew. Gnał w dziurawych łapciach przez mróz i zamieć, bez czapki, z sianem w skołtunionych włosach, biegł ze spuszczoną głową i wył. Niósł dębowy drag, bez którego nie obędą się żadne na Rusi poczynania. Poleciał z wiatrem czerwony kur. Potem dał się widzieć w purpurze zachodzącego słońca powieszony za narządy płciowe Żyd-karczmarz. Aż w pięknej polskiej stolicy, w Warszawie, objawił się Henryk Sienkiewicz — stał na obłoku i uśmiechał się jadowitym uśmieszkiem. Potem na dobre rozhułało się kompletne diabelstwo, wzdeło się i puszczało bąble. Pod pozieleniałymi cebulami przerażonych cerkiewek popi dzwonił w

dzwony, a obok, w izbach szkolnych, w których szyby powybiły kule karabinowe, śpiewano rewolucyjne pieśni.

...O, nie da się żyć w takim kraju i w takich czasach. A niechże go diabli! Mit. Mitem jest Petlura. Nigdy nie istniał. To mit równie wspaniały jak mit o nigdy nie istniejącym naprawdę Napoleonie, ale znacznie mniej urodziwy. Wszystko poszło inną koleją. Trzeba było ten właśnie chłopski gniew przywabić na jakiś jeden trakt, takie to już bowiem są na tym bożym świecie czary, że ile by się taki gniew nie nabiegał, zawsze nieuniknienie znajdzie się na tych samych rozstajach.

To bardzo proste. Byleby był tumult, a ludzie zawsze się znajdują. I oto zjawił się skądś pułkownik Toropiec. Okazało się, że jest ni mniej, ni więcej tylko z armii austriackiej...

— Co pan mówi?!

— Ależ zapewniam pana.

Potem pojawił się literat Winniczenko, którego dwie wspaniałe rzeczy — jego powieści oraz to, że ledwie fala czarów wyniosła go w samych początkach roku osiemnastego na powierzchnię rozszalałego ukraińskiego morza, tygodniki satyryczne miasta Sankt-Petersburg nie zwlekając ani sekundy okrzyknęły go zdrajcą.

— I słusznie.

— No, tego to ja już nie wiem. A przy tym ten tajemniczy aresztant z miejskiego więzienia...

Jeszcze we wrześniu nikt w Mieście nie wyobrażał sobie, co mogą zgotować trzej ludzie obdarzeni talentem zjawiania się w porę, nawet w takiej podłej mieścinie jak Biała Cerkiew. W październiku już coraz wyraźniej się tego domyślano i oświetlone setkami świateł pociągi zaczęły odchodzić z Miasta Głównego, osobowego, w nowy, na razie jeszcze szeroki przesmyk przez nowo powstałą Polskę do Niemiec. Pofrunęły depesze. Odjechały brylanty, rozbiegane oczy, przedziałki i pieniądze. Rvano się też i na południe, na południe, do nadmorskiego miasta Odessy. W listopadzie, niestety! — wszystko było już mniej więcej jasne. Słowo

— Petlura!

— Petlura!

— Petlura!

zeskakiwało z murów, z szarych depesz komunikatów. Rano kapłało do kawy z płacht gazet i boski tropikalny napój natychmiast przemieniał się w ustach w najohydniejsze pomyje. Zatańczyło na językach, zastukotało pod palcami telegrafistów w aparatach Morse'a. W Mieście zaczęły się dziać cuda w związku z tym zagadkowym słowem, które Niemcy wymawiali po swojemu:

— Peturra.

Pojedynczy niemieccy żołnierze, którzy nabrali paskudnego przyzwyczajenia szwendania się po przedmieściach, zaczęli znikać po nocach. W nocy znikali, a w dzień okazywało się, że zostali zabici. Zaczęły więc chodzić nocą niemieckie patrole we fryzjerskich miskach. Chodziły patrole, świeciły latarki — ma być *Ordnung!* Ale żadne latarki nie mogły rozświetlić tego oparu, co uderzył do głów.

Wilhelm. Wilhelm. Wczoraj zabito trzech Niemców. Boże, czy pan wie, że Niemcy odchodzą? Robotnicy w Moskwie aresztowali Trockiego! Jakieś sukinsyny zatrzymały pociąg pod Borodianką i ograbiły go do czysta. Petlura wysłał poselstwo do Paryża. Znowu Wilhelm. Czarni Senegalczycy w Odessie. Nigdy nie słyszane, tajemnicze nazwisko — konsul Henneau. Odessa. Odessa. Generał Denikin. Znowu Wilhelm. Odejdą Niemcy, przyjdą Francuzi.

— Bolszewicy przyjdą, ojczulku!

— Tfu, a żebyś ty pypcia dostał, kochanieńki!

Niemcy mają taki aparat ze strzałką — postawią go na ziemi, a strzałka pokazuje, gdzie jest zakopana broń. To ci sztuka. Petlura wysłał poselstwo do bolszewików. To jeszcze lepsza sztuka. Petlura. Petlura. Petlura. Petlura. Petlura.

Nikt, ale to nikt, nie wiedział, jakie mianowicie porządki chce zaprowadzić na Ukrainie ten Petlura, ale wszyscy, co do jednego, wiedzieli z całą pewnością, że ten człowiek, tajemniczy i bez twarzy *{choć nawiasem mówiąc, gazety od czasu do czasu zamieszczały pierwsze lepsze, jakie im się nawinęło, zdjęcie jakiegoś pralata, za każdym razem innego, i podpisywały je — Simon Petlura}* zamierza zawładnąć Ukrainą i dlatego właśnie nadciąga, by zdobyć Miasto.

6

Sklep madame Anjou „Paryski Szyk” mieścił się w samym centrum Miasta, przy Teatralnej, na tyłach opery, w wielkim, wielopiętrowym domu, rzecz jasna na parterze. Z ulicy wchodziło się do sklepu po trzech schodkach przez szklane drzwi, a po bokach tych szklanych drzwi były dwie wystawy zawieszane zakurzonymi firaneczkami z tiulu. Nikt nie wiedział, co się stało z samą madame Anjou i dlaczego lokal jej sklepu używany jest do celów nic wspólnego z handlem nic mających. Na lewej szybie wystawowej wymalowany był kolorowy damski kapelusz okolony złotymi literami „*Chic parisien*”. za szybą prawego zaś okna tkwił

ogromny arkusz żółtego kartonu z wymalowanymi dwiema sewastopolskimi armatami jak na naramiennikach artylerzystów i z napisem u góry:

„Bohaterem nie każdy być może.

Lecz pamiętać musisz o honorze.”

Pod armatami zaś:

„Tu się prowadzi rekrutację ochotników do Dywizjonu Haubic imienia głównodowodzącego.”

Przed drzwiami sklepu stał okopcony rozklekotany motocykl z przyczepą, drzwi zamykane automatycznie trzaskały co chwila i za każdym razem, kiedy je otwierano, dzwonił nad nimi uroczy dzwoneczek — brryń-brryń, przypominając o szczęśliwych a niedawnych czasach madame Anjou.

Turbin, Myszłajewski i Karaś po pijackiej nocy wstali nieomal równocześnie. głowy mieli ku swemu zdziwieniu zupełnie jasne, ale było to dość późno, koło południa. Okazało się. Nikołki i Szerwińskiego już nie ma. Nikołka skoro świt sporządził jakieś tajemnicze zgrabne zawiniątko, pochrząkał — ech, ech... — i ruszył do swojej drużyny, a Szerwiński wyjechał niedawno — ma służbę w sztabie głównodowodzącego.

Myszłajewski rozebrał się do pasa w służbowce Aniuty przy kuchni, gdzie za zasłonką stał piec kąpielowy i wanna, polewał sobie kark, plecy i głowę lodowatą wodą i pokrzykując na przemian ze zgrozy i z rozkoszy: — Uch! A-a-a! Do-obrze! — zalał i zachlapał wszystko w promieniu dwóch arszynów. Potem roztarł ciało włóchatym ręcznikiem kąpielowym, ubrał się, namaścił włosy brylantyną, uczesał się i powiedział do Turbina:

— Alosza, e-hmm... okaż się przyjacielem, pożycz mi swoje ostrogi. Nie zdążę już wpaść do domu, a nie chciałbym przychodzić na służbę bez ostróg.

— Weź, są w gabinecie, w biurku, w prawej szufladzie.

Myszłajewski poszedł do gabineciku, spędził tam czas jakiś, zadzwonił ostrogami, wrócił. Czarnooka Aniuta, która rano przyjechała ze wsi od ciotki, odkurzała fotele miotełką z kogucich piór. Myszłajewski odkaslnął, zerknął z ukosa na drzwi, zboczył z drogi, uszczypnął ją i powiedział:

— Dzień dobry, Aniotko...

— Powiem Helenie Wasiliewnie — natychmiast odruchowo, bez zastanowienia, szepnęła Aniuta i zamknęła oczy jak skazaniec, nad którym kat wznosił już miecz.

— Głupiątko...

Nieoczekiwanie zajrzał Turbin. Skrzywił się jadownicie.

— Oglądasz miotelkę. Witia? Ładna, prawda? Szedłbyś lepiej, gdzie masz iść, co? A ty, Anita, pamiętaj w razie czego, gdyby ci obiecywał, że się ożeni — nie ożeni się.

— Cóż ty, na litość boską! Przywitać się nie można?

Niesłusznie posadzony Myszłajewski aż zbrunatniał z oburzenia, wypiął pierś i dzwoniąc ostrogami wymaszerował z salonu. W jadalni podszedł do wyniosłej rudawej Heleny, a oczy biegały mu niespokojnie.

— Dzień dobry, Leno, kochanie, jak ci się spało? E-hmm... (Z krtani Myszłajewskiego zamiast metalicznego tenoru dobył się niski ochrypły baryton.) Leno, słoneczko moje, nie gniewaj się na mnie. Kocham cię i ty mnie kochaj choć trochę. Zapomnij o moim wczorajszym chamstwie. Leno, nie myślisz przecież, że jestem łajdakiem?

Z tymi słowami zamknął Helenę w uścisku i ucałował ją z dubeltówki, w oba policzki. W salonie miękko stuknął o podłogę koguci pióropusz. Z Anią zawsze działy się dziwne rzeczy, ilekroć porucznik Myszłajewski przychodził do Turbinów. Wszystko leciało jej z rąk: jeśli była w kuchni, jak wodospad sypały się noże, z kredensowej lady zeskakiwały półmiski: Annuszka stawała się roztargniona, wybiegała bez potrzeby do sieni i tam przecierała szmatą kalosze tak długo, dopóki nie zabręczały skrócone, opuszczone na obcasy ostrogi i nie ukazał się ścięty podbródek, kwadratowe ramiona, granatowe bryczesy. Wtedy Annuszka zamykała oczy i boczkiem próbowała się wydostać z wąskiego zdradzieckiego wąwozu. Także i teraz w salonie, upuściwszy miotelkę, stała zadumana i patrzyła kędyś w dal, poprzez wzorzyste firanki, w szare, pochmurne niebo.

— Witia, Witia — kręcąc głową podobną wypucowanej koronie teatralnej mówiła Helena. — Taki silny z ciebie chłopak, zdawałoby się... Co się stało, że wczoraj tak źle się poczułeś? Siadaj, napijesz się herbatki, może ci dobrze zrobi.

— A ty, Lenko, świetnie dziś wyglądasz, słowo daję. Do twarzy ci w tym szlafroku, naprawdę — przymilnie mówił Myszłajewski szybkimi, przelotnymi spojrzzeniami obrzucając zwierciadlane czeluści kredensu. — Karaś, popatrz, co za szlafroczek. Zupełnie zielony. Doprawdy, bardzo jesteś ładna.

— Helena Wasiliewna jest śliczna — szczerze i jak najpoważniej powiedział Karaś.

— Właściwie *electrique* — sprecyzowała Helena — ale powiedz, Witia, od razu, o co chodzi?

— Widzisz. Leno, kochanie, po tej wczorajszej historii mogę dostać migreny, a jak tu z migreną wojować...

— Dobrze, weź z kredensu.

— O, właśnie... Tylko jeden kieliszeczek... To lepsze niż te wszystkie piramidony.

Wykrzywiając się cierpiętniczo, Myszłajewski raz po razie wypił duszkiem dwie angielski wódki, przegryzł przywiedłym wczorajszym ogórkiem. Następnie oświadczył, że czuje się jak nowo narodzone dziecko i stwierdził, że chętnie się napije herbaty z cytryną.

— Lenoczka — mówił Turbin ochryple. — Nie denerwuj się, czekaj na mnie, ja tylko pojedę, zapiszę się i zaraz wracam do domu. I nie martw się, że są działania wojenne, będziemy kwaterowali w mieście i osłaniali tego drania, naszego ukochanego prezydenta.

— Żeby was tylko gdzieś nie wysłali... Karaś uspokajająco machnął ręką.

— Proszę się o to nie martwić, Heleno Wasiliewno. Po pierwsze, muszę pani powiedzieć, że przed upływem dwóch tygodni dywizjon nie wyruszy, ani mowy, nie ma jeszcze koni ani pocisków. A nawet kiedy będziemy gotowi, to na pewno pozostaniemy w Mieście. Wszystkie jednostki, które się obecnie formuje, będą niewątpliwie stanowiły garnizon Miasta. Może kiedyś, gdybyśmy mieli iść na Moskwę...

— No, to jeszcze palcem na wodzie pisane... Ehm...

— Przedtem trzeba się będzie połączyć z Denikinem...

— Ależ, panowie, niepotrzebnie mnie pocieszacie, ja się niczego nie obawiam, przeciwnie, pochwalam.

Helena mówiła to rzeczywiście dziarskim głosem, a oczy jej zaprzątnięte już były codziennymi kłopotami. „Dosyć ci ma dzień na swoim utrapieniu.”

— Aniuta — powiedziała Helena. — Kochanie, tam, na werandzie, jest bielizna Wiktora Wiktorowicza. Weź ją, moja złota, wyszczotkuj dokładnie, a potem natychmiast zabierz się do prania.

Nic nie działało na Helenę Wasiliewną tak uspokajająco jak zgrabny, niziutki, błękitnooki Karaś. Niewzruszony Karaś w rudawym mundurze zachowywał zimną krew, palił, mrużył oczy.

W przedpokoju nastąpiło pożegnanie.

— No, niech was Bóg ma w swojej opiece — powściągliwie powiedziała Helena i pożegnała Turbina. Potem tak samo przeżegnała Karasia i Myszłajewskiego. Myszłajewski uściskał ją, a Karaś, w mocno ściągniętym pasem w talii szynelu, zaczerwieniony, czule ucałował obie dłonie Heleny.

— Panie pułkowniku — z dłonią przy daszku, miękko zadzwoniwszy ostrogami, powiedział Karaś. — Melduje się porucznik Karaś.

Pan pułkownik siedział w niziutkim zielonkawym buduarowym foteliku na czymś w rodzaju estrady w prawej części sklepu, przy biurczku. Za jego plecami, przesłaniając światło padające z zakurzonej, zasłoniętej wzorzystym tiulem wystawy, piętrzyły się stosy kartonów z nadrukiem „Madame Anjou. Kapelusze damskie”. Pan pułkownik dzierżył w dłoni pióro i, prawdę mówiąc, był nie pułkownikiem, tylko podpułkownikiem, miał szerokie złote naramienniki, na nich dwa paski, trzy gwiazdki i skrzyżowane złote armatki. Pan pułkownik był niewiele starszy od Turbina — miał trzydzieści, najwyżej trzydzieści dwa lata. Jego zażywną, gładko wygoloną twarz zdobiły czarne, przystrzyżone na amerykańską modłę wąsiki. Niezmiernie żywe i inteligentne oczy spoglądały z jawnym zmęczeniem. ale uważnie.

Wokół pułkownika panował chaos jak w pierwszym dniu stworzenia. O dwa kroki od niego huczał w małym czarnym piecyku ogień, z czarnych kolankowatych rur, które prowadziły za przepierzenie i ginęły tam w głębi sklepu, spadała od czasu do czasu kropla czarnej cieczy. Zarówno na podium jak w pozostałych częściach sklepu przechodząca w jakieś wgłębienia podłoga zaścielona była strzępami papieru oraz ścinkami czerwonego i zielonego materiału. Wysoko, akurat nad głową pułkownika, jak spłoszony ptak ćwierkała maszyna do pisania, a kiedy Turbin podniósł głowę, zobaczył, że maszyna śpiewa za balustradką pod samym sufitem sklepu. Widać było za tą balustradką czyjeś nogi i zadek w granatowych rajtuzach, ale głowa była niewidoczna, ściał ją bowiem sufit. Inna maszyna stukotała w lewej części sklepu, w zagadkowej jamie, z której wyzierały jaskrawe wolontariuszowskie naramienniki i biała głowa piszącego, rąk jednak ani nóg nie było widać.

Wiele twarzy przepływało wokół pułkownika, migwały złote armatkowe naramienniki, wznosiła się zwalista żółta skrzynia z przewodami i słuchawkami telefonicznymi, a obok kartonów leżały granaty ręczne jak puszki konserw z drewnianymi trzonkami i kilka zwiniętych taśm nabojów do cekaemu. Pedałowa maszyna do szycia stała obok lewego łokcia pułkownika, a zza prawego jego buta wysuwał się ryj kulomiotu. W półmroczonej głębi, za wiszącą na lśniącem pręcie kotarą, czyjś głos wykrzykiwał, do telefonu zapewne: „Tak... tak... Mówię przecież. Mówię, że tak... Tak, mówi się.” — Brzyń-yń... — dźwięknął dzwoneczek... — Piu-u — zaśpiewało jakieś ptaszę kędyś w jamie i młodzieńczy basik zamamrotał stamtąd:

— Dywizjon... Słucham... Tak... tak...

— Słucham pana — powiedział do Karasia pułkownik.

— Pozwoli pan przedstawić sobie, panie pułkowniku, porucznika Wiktora Myszłajewskiego i doktora Turbina. Porucznik Myszłajewski służy w chwili obecnej w drugiej drużynie jako szeregowiec piechoty i pragnąłby się przenieść, zgodnie ze swoją specjalnością, do dowodzonego przez pana dywizjonu. Doktor Turbin prosi o mianowanie go lekarzem dywizjonu.

Wyrzuciwszy z siebie to wszystko. Karaś oderwał dłoń od daszka, Myszłajewski zaś zaszalutował. „Psiakość... trzeba będzie jak najszybciej włożyć mundur” — pomyślał z irytacją Turbin; czuł się niezręcznie, jak dureń, bez czapki, w czarnym palcie z barankowym kołnierzem. Spojrzenie pułkownika prześliznęło się po sylwetce doktora, zatrzymało się na szynelu i na twarzy Myszłajewskiego.

— Tak — powiedział — dobrze się składa. Gdzie pan służył, poruczniku?

— W n-tym dywizjonie ciężkiej artylerii, panie pułkowniku — odparł Myszłajewski, określając w ten sposób swoje miejsce podczas wojny niemieckiej.

— W ciężkiej, powiada pan? To jeszcze lepiej. Diabli wiedzą, co to za porządki, oficera artylerzystę posłali do piechoty! Bałagan.

— Jeśli wolno, panie pułkowniku — przeczyszczając lekkim kaszlem niepokorny głos odpowiedział Myszłajewski — ja sam zgłosiłem się na ochotnika, ponieważ trzeba było niezwłocznie wysłać oddział pod Rozjazd Wołyński. Teraz jednak, kiedy drużyna ma już mniej więcej pełne stany...

— Z całego serca aprobuję pańskie postępowanie... To się chwali — powiedział pułkownik i rzeczywiście z całego serca aprobując popatrzył Myszłajewskiemu w oczy. — Cieszę się, że pana poznałem... A zatem... ach, tak, pan doktor? Pan także chciałby do nas? Hm...

Turbin w milczeniu skłonił głowę, żeby w tym barankowym kołnierzu nie mówić „tak jest!”.

— Hmm... — pułkownik spojrzał w okno. — Wie pan, to, oczywiście, niezła myśl. Tym bardziej że w tych dniach, być może... Tak — nagle zamilkł, lekko przymrużył oczy, po czym znizywszy głos mówił dalej: — Tylko... jak by to powiedzieć... Widzi pan, doktorze, jest pewna kwestia... Teorie społeczne i... hm... pan jest socjalistą? Nie mylę się, prawda? Jak na inteligenta przystało... — Oczka pułkownika umknęły w bok, a cała jego postać, jego usta, jego słodki głos wyraziły najgłębsze pragnienie, by doktor Turbin okazał się właśnie socjalistą. — Nasz dywizjon tak się właśnie nazywa — „studencki” — pułkownik uśmiechnął się czule nie pokazując jednak oczu. — Pewnie, że to trochę sentymentalne, ale, wie pan, ja sam kończyłem uniwersytet...

Turbin ogromnie się rozczarował i zdumiał. „U licha... A Karaś mówił...” Karasia wyczuwał w tej chwili gdzieś obok swojego prawego ramienia i nie musiał nań patrzeć, żeby pojąć, iż tamten bardzo chce coś mu podszeptać, co jednak — domyśleć się nie sposób.

— Ja — wykrzywiając policzek palnął nagle Turbin — niestety, nie jestem socjalistą... jestem monarchistą. Co więcej, muszę to tu powiedzieć, nie znoszę samego słowa „socjalista”. Ze wszystkich zaś socjalistów najbardziej nienawidzę Aleksandra Fiodorowicza Kiereńskiego.

Z tyłu, za prawym barkiem Turbina, jakiś dźwięk wydobył się z krtani Karasia. „Przykro się rozstawać z Karasiem i z Witią — pomyślał Turbin — ale pal diabli ten dywizjon socjałów!”

Oczka pułkownika błyskawicznie powróciły na swoje miejsce, błysnęła w nich jakaś iskra, jakiś blask. Zamachał ręką, jakby zamierzając jak najuprzejmiej zamknąć Turbinowi usta, jął mówić:

— To smutne. Hm... bardzo smutne... Zdobycze rewolucji i tak dalej... Mam rozkaz z góry: unikać przyjmowania elementów monarchistycznych, bo ludność... Widzi pan, niezbędny jest pewien umiar. Poza tym hetman, z którym pozostaję w bezpośrednim i jak najściślejszym kontakcie, jak panu wiadomo... To smutne... smutne...

W głosie pułkownika, kiedy to mówił, nie było jednak bynajmniej ani cienia smutku, przeciwnie, głos ten brzmiał nader wesoło, a oczka pozostawały w idealnej sprzeczności z wypowiedzianymi słowami.

„Więc to tak? — tropnął się Turbin. — Jestem durniem... Pułkownik jest wcale niegłupi. Sądząc po fizjonomii, to karierowicz, z pewnością tak jest, ale to przecież nie ma znaczenia.”

— Doprawdy, nie wiem, co począć... Wszakże w chwili obecnej — pułkownik wyraziście wyakcentował słowo „obecnej” — tak więc w chwili obecnej, jak mówię, naszym bezpośrednim zadaniem jest obrona Miasta i hetmana przed bandami Petlury, a być może, że także i przed bolszewikami. A potem to już przyszłość pokaże... Czy wolno wiedzieć, doktorze, gdzie służył pan dotychczas?

— W roku tysiąc dziewięćset piętnastym, kiedy jako ekstern zdałem egzaminy uniwersyteckie, zaczynałem w klinice wenerologicznej, następnie służyłem jako młodszy lekarz w białogrodzkim pułku huzarów, potem jako ordynator trzyoddziałowego szpitala polowego dla ciężko rannych. Obecnie, po demobilizacji, zacząłem praktykować prywatnie.

— Junkier! — zawołał pułkownik. — Proszę poprosić do mnie starszego oficera.

Czyjaś głowa zapadła się w jamę, po czym stanął przed pułkownikiem młody oficer, czarny, ruchliwy, hardy. Miał na głowie okrągłą barankową

czapkę z malinowym denkiem przekreślonym galonem, długi, szary, mocno ściągnięty pasem szynel *a la* Myszłajewski, u boku rewolwer. Jego pogniecione złote naramienniki świadczyły, że jest sztabkapitanem.

— Kapitanie Studziński — zwrócił się doń pułkownik. — Zechce pan wysłać do sztabu głównodowodzącego pisemko z prośbą o natychmiastowe przeniesienie do nas porucznika... ee...

— Myszłajewski — salutując odpowiedział Myszłajewski.

— ...Myszłajewskiego, zgodnie z kwalifikacjami, z drugiej drużyny. I także pisemko, że doktor... ee?

— Turbin...

— Turbin jest mi niezbędnie potrzebny jako lekarz dywizjonu. Prosimy dla niego o natychmiastową nominację.

— Rozkaz, panie pułkowniku — nieprawidłowo akcentując odpowiedział oficer i zaszalutował. „Polak” — pomyślał Turbin.

— Pan, poruczniku, może już nie wracać do swojej drużyny (to do Myszłajewskiego). Porucznik obejmie czwartą baterię (to do oficera).

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Pan zaś, doktorze, jest od tej chwili na służbie. Proponuję, żeby się pan stawił dziś, za godzinę, na dziedzińcu gimnazjum Aleksandra.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Proszę niezwłocznie wydać doktorowi umundurowanie.

— Tak jest.

— Słucham, słucham! — krzyczał basik w jamie.

— Słyszysz pan? Mówię: nie... Nie... — krzyczało coś za przepierzeniem.

Brry-yńń... Pi... Pi-u — ćwierkała w jamie ptaszyna.

— Słyszysz mnie pan?...

— „Swobodnyje Wiesti”, „Swobodnyje Wiesti”! Nowa gazeta codzienna „Swobodnyje Wiesti”! — krzyczał mały gazeciarz, na głowie miał oprócz czapki damską chustkę. — Demoralizacja u Petlury. Murzyńskie wojska w Odessie. „Swobodnyje Wiesti”!

Turbin w ciągu tej godziny zdążył wpaść do domu. Srebrne naramienniki wychynęły z ciemności szuflady biurka w małym gabinecie sąsiadującym z salonem. Biała firaneczka na szybie przeszklonych drzwi balkonowych, biurko, na nim książki i przybory do pisania, półki, na półkach słoiki z lekarstwami i narzędzia, zaścielona czystym prześcieradłem kozetka. Ubogo i ciasnawo, ale przytulnie.

— Lenka, gdybym się dziś spóźnił z jakiegoś powodu, a gdyby ktoś przyszedł, to powiedz, że nie przyjmuję. Stałych pacjentów nie mam...

Pośpiesz no się, mała.

Helena, przytrzymując kołnierz bluzy mundurowej, pośpiesznie przyszywała naramienniki... Drugą parę, polowe, zielone z czarnym paskiem, przyszyła na szynelu.

Po paru minutach Turbin wybiegał już frontowym wejściem, spojrzał na białą tabliczkę:

Doktor A. W. Turbin.

Choroby weneryczne i syfilis.

606-914,

Przyjęcia od 16.00 do 18,00.

Przykleił karteczkę z poprawką: „od 17,00 do 19,00” i pobiegł Aleksiejewskim Zjazdem w górę.

— „Swobodnyje Wiesti”!

Zatrzymał się, kupił dziennik u gazeciarza, ruszył dalej, otworzył gazetę:

Organ bezpartyjnych demokratów.

Ukazuje się codziennie.

13 grudnia 1918.

Problem handlu zagranicznego, a zwłaszcza handlu z Niemcami zmusza nas...

— Chwileczkę, a gdzie?... Ręce marzną.

Jak donosi nasz korespondent, w Odessie trwają rokowania na temat wyokrętowania dwóch dywizji czarnych wojsk kolonialnych. Konsul Henneau uważa za niemożliwe, by Petlura...

— Ach, co to za drań, ten gazeciarz!

Dezserterzy, którzy w dniu wczorajszym zameldowali się w sztabie naszego dowództwa na Rozjeździe Wołyńskim, donoszą o narastającej w szeregach band Petlury demoralizacji. Przed dwoma dniami w rejonie Korostenia pułk kawaleryjski otworzył ogień do pułku piechoty strzelców siczowych. W bandach Petlury daje się zaobserwować narastającą tendencję do zawarcia pokoju. Wszystko wskazuje na to, że nieodpowiedzialna awantura Petlury zmierza szybkim krokiem do żałosnego końca. Według oświadczenia tego samego deztertera, pułkownik Bołbotun zbuntował się, wypowiedział Petlurze posłuszeństwo i wraz ze swym pułkiem i czterema działami oddalił się w niewiadomym kierunku: Bolbotun skłania się ku orientacji hetmańskiej.

Włościanie nienawidzą Petlury za rekwizycje. Mobilizacja, który ogłosił po wsiach, nie daje żadnych rezultatów. Włościanie masowo uchylają się przed poborem kryjąc się po lasach.

— Przypuśćmy... ach, co za przeklęty mróz... Przepraszam.
— Na litość boską, jakże można tak potrącać ludzi na ulicy? Gazetki to się czyta w domu...
— Przepraszam...
Zawsze staliśmy na stanowisku, iż awantura Petlury...
— Co za drań! Ach, co za dranie...

Kto ojczyźnie dobrze życzy,

Służy w pułku ochotniczym...

— Iwanie Iwanowiczu, cóż to pan dzisiaj nie w sosie?
— A, żona napetlurzyła. Od samego rana bołbotuni...
Turbin od tego dowcipu aż się zmienił na twarzy, zmiął z wściekłością gazetę i cisnął ją na trotuar. Zaczął nasłuchiwać.
Bu-u — grały działa. U-uuch — skądś z samych trzewi ziemi dudniło gdzieś za Miastem.
Ki diabeł? Zawrócił, podniósł zmięty dziennik, wygładził kolumny i raz jeszcze uważnie przeczytał na pierwszej stronie:
W rejonie Irpienia potyczki naszego zwiadu z luźnymi bandami petlurowskimi.
Na kierunku sieriebriańskim panuje spokój.
W Czerwonej Karczmie bez zmian.
Na kierunku Bojarki pułk hetmańskich serdiuków błyskawicznym atakiem rozproszył bandę liczącą półtora tysiąca ludzi. Wzięto dwóch jeńców.
Hu-hu-hu... Bu... bu... bu... — warczała szarzejąca zimowa oddal gdzieś od południowego zachodu. Turbin nagle otworzył usta i pobladł. Odruchowo schował gazetę do kieszeni. Od strony bulwaru pełzł Włodimirską czerniejący tłum. Środkiem jezdni szło wielu, wielu ludzi w czarnych paltach... Zamajaczyły na chodnikach baby. Kawalerzysta z Dierżawnej Warty jak gdyby otwierał ten pochód. Rosły koń strzygł uszami, tańczył, szedł bokiem. Jeździec miał niezbyt pewny wyraz twarzy. Pokrzykiwał coś od czasu do czasu, wymachiwał pro forma nahajką. nikt nie słuchał jego pokrzykiwań. W pierwszych szeregach tłumy zabłysły złote ornaty i brody duchowieństwa, zakołysała się chorągiew cerkiewna. Ze wszystkich stron nadbiegały wyrostki, dzieciaki.
— „Wiesti”! — wrzasnął gazeciarz i popędził w stronę tłumy.
Kuchcikowie w białych czepcach o płaskich denkach wysypali się z podziemia restauracji „Metropol”. Tłum rozpływał się po śniegu jak atrament po papierze.
Kołysały się nad tłumem długie żółte skrzynie. Kiedy pierwsza taka

skrzynia zrównała się z Turbinem, doktor zobaczył koślawy napis węglem na jej boku:

„Praporszczyk Jucewicz.”

Na następnej:

„Praporszczyk Iwanow.”

Na trzeciej:

„Praporszczyk Orłow.”

Z tłumu raptem buchnął skowyt. Siwa kobieta w kapeluszu, który zjechał jej na tył głowy, potykając się i gubiąc jakieś paczki wdarła się z trotuaru w tłum.

— Co to? Wania?! — zanosła się. Ktoś zbladł, odbiegł. Zawyla jedna baba, za nią druga.

— Panie Jezu Chryste! — mamrotał ktoś za plecami Turbina. Ktoś napierał nań, dyszał mu w kark.

— Boże wielki... koniec świata. Cóż to, ludzi zarzynają?... Co się dzieje?

— Lepiej już nie wiem co, niż dożyć czegoś takiego.

— Co? Co? Co? Co? Co się stało? Czyj to pogrzeb?

— Wania! — wyło w tłumie.

— Wojskowych, co ich wyróżnili w Popielusze — pośpiesznie, z zadyszka. byle tylko być pierwszym, który opowie, bębnił głos. — Poszli do Popieluchy, zanocowali całym oddziałem, a w nocy otoczyli ich chłopcy z petlurowcami i wyróżnili wszystkich, co do jednego. No, nikt nie uszedł żywy... Oczy im powykłuwali, epolety wyrzynali na ramionach. Dosłownie — zmasakrowali.

— Słyszycie? Ach, ach, ach...

„Praporszczyk Korowin” „Praporszczyk Herdt” — przepływały żółte trumny.

— Czegośmy dożyli... Kto by pomyślał.

— Brat zabija brata.

— Jakże to tak?...

— Podobno zasnęli...

— *Tak jim i treba...* — świsnął nagle w tłumie za plecami Turbina czarny głosik, doktorowi zielono się zrobiło przed oczyma. W mgnieniu oka przemknęły twarze, czapki. Turbin przesunął rękę pomiędzy dwie szyje i jak obcęgami chwycił ten głos za rękaw czarnego paltota. Tamten odwrócił się i przeraził śmiertelnie.

— Co pan powiedział? — syczącym głosem zapytał Turbin i od razu oklapł.

— Na litość boską, panie oficerze — trzęsąc się z przerażenia odpowiedział głos. — Ja nic nie mówię. Ja milczę. Co też pan? — głos

skakał.

Kaczy nos pobladł i Turbin od razu zrozumiał, że się pomylił, chwycił nie tego, kogo należało. Pod kaczym barankowym nosem sterczała wyjątkowo lojalna fizjonomia. Jasne, że niczego nie mogła powiedzieć, wybałuszone oczka wywracały się ze strachu.

Turbin puścił rękaw i z zimną furią jął się rozglądać po tłoczących się wokół czapkach, karkach, kołnierzach. Lewą ręką gotów był coś chwycić, prawą przytrzymał w kieszeni rękojeść browninga. Przepływały obok żałobne pienia duchownych, a opodał lamentowała baba w chuście. Nie było kogo chwycić, głos jakby się pod ziemię zapadł. Przepłynęła ostatnia trumna:

„Praporszczyk Morskiej”,
przemknęły jakieś sanki.

— „Więści”! — rozdarł się nagle nad samym uchem Turbina ochrypli alt.

Turbin wyciągnął z kieszeni zgniecioną płachtę gazety i utraciwszy panowanie nad sobą po dwakroć dźgnął nią chłopaka w twarz, dogadując przez rozzgrzytane zęby:

— Masz nowiny. A masz. Masz swoje nowiny, sukinsynu! I atak furii minął. Mały pogubił gazety, pośliznął się, usiadł w zaspie. Twarz mu się błyskawicznie wykrzywiła w udawanym płaczu, oczy wypełniła wcale nie udawana, oszalała nienawiść.

— *Szto to... co pan... za co mine?* — zawodził, starał się rozplakać, gmerał rękoma po śniegu. Czyjaś zdumiona twarz wybałuszyła się na Turbina, bała się jednak odezwać. Doktorowi zrobiło się wstyd, zrozumiał cały idiotyzm tego, co zaszło, wtulił głowę w ramiona, odwrócił się na pięcie i mijając latarnię gazową, białą ścianę gigantycznej rotundy muzeum, jakieś rozkopane doły pełne przyprószonych śnieżkiem cegieł wybiegł na duży, dobrze mu znany zadrzewiony plac przed gimnazjum Aleksandra.

— „Więści”! Codzienna gazeta demokratyczna! — dobiegło z ulicy. Z trzech stron okalało plac trzypiętrowe, stuosiemdziesięciookienne gmazysko dawnego gimnazjum Turbina. Spędził tu osiem lat, przez osiem lat na przerwach wiosennych biegał po tym placu, zaś zimą, kiedy klasy pełne były duszącego kurzu, a na placu leżał zimny, dostojny śnieg zimowych miesięcy szkolnych. Turbin widział ten plac za oknem. Przez osiem lat ceglany gmach piastował i edukował Turbina oraz młodszych — Karasia i Myszłajewskiego.

I dokładnie przed ośmioma laty Turbin widział go raz ostatni ten zadrzewiony gimnazjalny dziedziniec. Nie wiedzieć czemu ścisnął mu serce lęk. Wydało mu się nagle, że przesłoniła niebo czarna chmura, że

wicher jakiś się zerwał i zmył jego życie jak straszliwa fala zmywa pomost przystani. O. osiem lat nauki! Ileż te lata zawarły szczeniactw, ileż smutków i cierpień chłopięcego serca, ale ile też radości. Szare dni. szare dni, szare dni, *ut consecutivum*. Caius Iulius Cesar, pała z kosmografii i wieczysta nienawiść do astronomii od dnia otrzymania tej pały. Ale za to także i wiosna, wiosna i łoskot w klasach, na bulwarze, pensjonarki w zielonych fartuszkach, kasztany i maj, a przede wszystkim przed oczyma niezmiennie jak latarnia morska — uniwersytet, a więc nie skrepowane zakazami życie. Czy wy rozumiecie, co to znaczy: uniwersytet? Zachody słońca nad Dnieprem, wolność, pieniądze, potęga, sława.

I oto wszystko to jest już poza nim. Zawsze nieodgadnione oczy profesorów i straszne, do tej pory jeszcze wracające we śnie baseny, z których nieustannie leje się woda, ale nigdy wylać się nie może i zawile rozważania, co odróżnia Leńskiego od Oniegina, jak szpetny był Sokrates, kiedy erygowano zakon Jezuitów i kiedy wylądował Pompejusz, i kiedy wylądował ktoś tam jeszcze, i tak lądowali, tak lądowali przez całe dwa tysiące lat...

Nie dość tego. Po ośmiu latach gimnazjum, już bez żadnych basenów, trupy w prosektorium, białe sale szpitalne, szklana cisza sal operacyjnych, a potem trzy lata poniewierki w siodle, czyjeś rany, poniżenia i cierpienia — o, przeklęty basenie wojny!... I oto wylądował znowu tutaj, na tym samym dziedzińcu, pod tymi samymi drzewami. Przebiega ten plac dostatecznie obolały i sponiewierany, ścisną w kieszeni browning, pędzi, Bóg raczy wiedzieć dokąd i po co. Po to zapewne, by stanąć w obronie tego właśnie życia, tej przyszłości, w imię której ślęczał nad basenami i tymi przeklętymi pociągami, z których jeden wyrusza ze stacji „A”, drugi zaś idzie mu na spotkanie ze stacji „B”.

Z czarnych okien wiało posepnym, idealnym spokojem. Już na pierwszy rzut oka było jasne, że to spokój śmierci. To dziwne: w centrum Miasta, wpośród chaosu, wrzenia i krzątaniny ostał się ten wymarły statek o czterech pokładach, na którym wypływały niegdyś na otwarte morze dziesiątki tysięcy istnień. Wyglądało na to, że nikt już się nim teraz nie opiekuje, nie dobiegał znikąd żaden dźwięk, nie było żadnego ruchu ani w oknach, ani pod ścianami pomalowanymi żółtą mikołajewską farbą. Niepokalane pokłady śniegu leżały na dachach, śniegowe czapy siedziały na koronach kasztanów, śnieg równiutko zaścierał dziedziniec i tylko kilka rozwidlających się wydeptanych ścieżek świadczyło, że ktoś tędy dopiero co chodził.

A, co najważniejsze, nie dość, że nikt nie wiedział, ale nikogo to nawet nie

interesowało: gdzie się podziało to wszystko? Kto teraz uczy się na tym statku? A jeśli nikt się nie uczy, to dlaczego? Gdzie są pedle? Czemu straszne, tępomorde haubice sterczą pod rzędem kasztanów koło sztachetek ogradzających żywopłot, co wiedzie do głównego wejścia w głębi dziedzińca? Czemu w gimnazjum mieści się cekhauz? Czyj? Kto? Dlaczego?

Nikt tego nie wiedział, podobnie jak nikt nie wiedział, co się stało z madame Anjou i dlaczego w jej sklepie obok pustych, kartonowych pudełek leżą granaty...

— Zato-ocz działa! — wrzasnął głos. Haubice drgnęły, popęzły. Dwustu ludzi krzątało się. biegało, przykucało i podrywało się przy ogromnych kutyh kołach. Migwały żółte półkożuszki, szare szynele i papachy, czapki wyjściowe i polowe, i granatowe czapki studenckie.

Kiedy Turbin pokonał rozległy dziedziniec, cztery haubice stały już w szeregu i patrzyły nań rozdziawione. Zakończyło się pośpieszne szkolenie w obsłudze dział i pstrokaty nowo sformowany dywizjon ustawił się w dwuszeregu.

— Panie kap-pi-tanie — zaśpiewał głos Myszłajewskiego — bateria gotowa.

Studziński zjawił się przed dwuszeregiem, cofnął się trochę, krzyknął:

— W prawo — zwrot, krokiem — marsz.

Szeregi zachrzęściły. zakołysały się i popęzły, bezładnie depcząc śnieg.

Mijało Turbina wiele znajomych, typowo studenckich twarzy. Na czele trzeciej baterii szedł Karaś. Turbin, sam jeszcze nie wiedząc, dokąd idzie i po co, zaskrzypiał obok baterii...

Karaś wykaraskał się z szeregów, szedł tyłem, skandował z przejęciem:

— Lewa. Lewa. Raz. Raz.

Szeregi jak wąż wpełzły do czarnej paszczy wejścia do gimnazjalnych suterren, czarna paszcza połykała czwórkę po czwórce.

Gimnazjum wewnątrz było jeszcze bardziej martwe i ponure niż z zewnątrz. Echo żołnierskich kroków szybko rozbudziło kamienną ciszę i sypki mrok opuszczonego budynku. Pod pułapami przelatywały jakieś dźwięki, jakby pobudziły się demony. W tupocie butów słyhać było szmery i piski — to spłoszone szczury kryły się po ciemnych zakamarkach. Dywizjon przeszedł przez nie kończące się czarne piwniczne korytarze o ceglanych podłogach, wszedł do wielkiej sali, do której przez wąskie strzelnice zakratowanych okienek wpadało skąpe światło.

Piekielny stukot młotków rozerwał ciszę. Otwierali drewniane okute

skrzynie z amunicją, wyciągali nie kończące się taśmy i podobne tortom dyski do elkaemów Lewisa. Wynurzyły się szaroczarne, przypominające rozniewane komary kulomioty. Stukały klucze, rwały cęgi, w kącie cięła coś z przyświstem piła. Junkrzy wyjmowali całe naręcza żelaznych zimnych papach, zeszywniałe poskładane szynele, nie zginające się pasy, ładownice i obszyte suknem manierki.

— Szy-yb-ciej! — dał się słyszeć głos Studzińskiego.

Sześciu oficerów w zmatowiałych złotych naramiennikach krzątało się jak nartniki po powierzchni wody. Wyśpiewywał coś ozdrowiały tenor Myszłajewskiego.

— Panie doktorze! — zawołał z ciemności Studziński. — Niech pan obejmie z łaski swojej dowodzenie felczerami i wyda im instrukcje.

W teże chwili stanęło przed Turbinem dwóch studentów. Jeden niziutki, podniecony, z czerwonym krzyżem na rękawie studenckiego płaszcza. Drugi w szarym szynelu, papacha zsuwała mu się na oczy, więc nieustannie musiał ją poprawiać.

— Tam stoją skrzynki z medykamentami — powiedział Turbin. — Wyjmijcie z nich takie torby na ramię, a dla mnie lekarską, z narzędziami. Wydajcie każdemu artylerzyście po dwa opatrunki indywidualne i wyjaśnijcie z grubsza, jak się nimi w razie potrzeby posłużyć.

Głowa Myszłajewskiego wyrosła nad szarym ludzkim rojowiskiem. Myszłajewski wdrapał się na skrzynię, machnął karabinem, szczęknął zamkiem, ze szczękiem wprowadził nabój do komory, potem wycelował w okno i szczęknął, i tak, szczękając zamkiem i składając się do okna, obsypywał junkrów wyrzucanymi nabojami. I zaraz jakby fabryka zaczęła pracować w podziemiu. Wśród stukotów i szczęków junkrzy ładowali broń.

— Kto nie umie, niech uważa, ju-unkrzy — śpiewał Myszłajewski — poinstruuje studentów.

Wsuwano przez głowy pasy z ładownicami i manierkami. Stał się cud. Różnorodna, nijaka gromada przedzierzgała się w jednolitą, zwartą bryłę, nad którą jak stalowa szczotka chwiejąc się i kołysząc bezładnie wyrastała szczecina bagnetów.

— Panów oficerów poproszę do mnie — zadzwieczał gdzieś głos Studzińskiego.

W mroku korytarza cichutko, cudownie dzwoniły ostrogi. Studziński cicho zapytał:

— Jak wrażenia?

Ostrogi zadreptały w miejscu. Myszłajewski od niechcienia, ale bardzo

stylowo, opuszkami palców dotknął daszka, przysunął się do sztabskapitana i powiedział:

— W moim plutonie piętnastu ludzi pierwszy raz ma karabin w ręku. Ciężka sprawa.

Studziński patrząc w natchnieniu kędyś w górę, gdzie skromniutko, nieśmiało wpadały przez szybę ostatnie wątle blaski dnia. pytał:

— Nastroje?

Znów odezwał się Myszłajewski:

— Khm... khm... Żeby nie ten pogrzeb... Upadły na duchu studenciaki. Źle to na nich wpłynęło. Widzieli przez sztachety.

Czarne, przesywające oczy Studzińskiego spiorunowały go.

— Zechce pan dodać im ducha. I ostrogi rozeszły się, podzwaniając.

— Junkier Pawłowski! — zagrział w cekhauzie Myszłajewski niczym Radames w *Aidzie*.

— Pawłowski ...owski ...owski! — Kamiennym pogłosem i pokrzykiwaniem junkrów odpowiedział cekhauz.

— ...stem!

— Z Aleksiejewskiej Szkoły?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Ano, zaśpiewajcie nam coś wesołego. Ale tak, żeby Petlurę zatkało, mać jego w duszę... Samotny, wysoki i czysty głos zaintonował pod ceglanyimi sklepieniami:

Artylerzystą matka mnie rodziła...

Tenory odpowiedziały skądś z gąszczu bagnatów:

Chrzciła bateria mnie cała.

Masa studencka poruszyła się nagle, podchwyciła ze słuchu i raptem żywiołowy basowy chorał jak salwa armatnia wysadził w powietrze cały cekhauz:

Kula armatnia zabawką mi była.

Grzechotką był turkot dzia-aa-aa-ała.

Ku-u-laa armata-a-aat...

Zadzwoniło w uszach, w skrzynkach amunicyjnych, w mrocznych szybkach, w głowach; jakieś zapomniane, porośnięte kurzem szklanki na pochyłych parapetach okien dygotały dźwiękliwie...

I na jej łożu jak w kolebce do snu

Kołysał mnie celowniczy.

Studziński wyrwał z gęstwy szyneli, bagnatów i kulomiotów dwóch

różnych praporszczyków. pośpiesznym szeptem wydawał im rozkazy:

— Westybul... Zerwać zasłony... ale migiem...

Popędzili dokądś.

Junkierska maszeruje brać.

Gwardyjski korpus idzie!...

Trąby, litaury.

Czyneli złoty huk!

Puste kamienne pudło gimnazjum wydzierało się teraz i wyło w straszliwym marszu, a szczury siedziały w głębi swych nor oszalałe z przerażenia.

— Raz!... Rraz!... — przenikliwym swoim głosem przecinał to wycie Karaś.

— Raźniej... — czystym głosem krzyczał Myszłajewski. — Czyj to pogrzeb, aleksiejewcy?

Modystki! Kucharki! Pokojóweczki miłe

Bukiety junkrom rzucają do nóg! Na bruk!!

Najeżone ostrzami bagnetów szeregi waliły korytarzem, aż podłoga dygotała i ugiwała się pod miarowym tupotem ich nóg. Przez nie kończący się korytarz na pierwsze piętro, prosto do ogromnego westybulu zalanego światłem z wielkiej oszklonej kopuły szła ta gąsienica i pierwsze czwórki nagle zaczęły dostawać bzika.

Na spiętym arabskim rumaku pełnej krwi okrytym czaprakiem z cesarską cyfrą wlatywał przed artylerzystami łysawy, promiennie uśmiechnięty Aleksander w przekrzywionym na bakier kapeluszu stosowanym z białą kitą. Posyłając im uśmiech za uśmiechem — a każdy z tych uśmiechów pełen był przewrotnego wdzięku — Aleksander wznosił pałasz i ostrzem tego pałasza wskazywał junkrom pułki spod Borodina. Bitewne pole Borodina odziewało się w dymki wybuchów i czarną chmurą bagnetów okrywała się dal na dwusążniowym płótnisku.

...Wszak była bitwa...

Czy zacięta?

— Nie byle... — grzmiał Pawłowski.

Nie byle jaka, wojna święta!

grzmiały basy.

Rosja na wie-e-e-eki zapamięta

Ów Borodina dzień.

Olśniewający Aleksander wzbijał się w niebo, a oberwana zasłona, która skrywała go przez cały rok jak przedpiersie okopu, leżała pod kopytami jego wierzchowca.

— Imperatora Aleksandra Szczodrobliwego nie widzieliście czy co? Równiej, równiej. Raz. Raz. Lea. Lea! — ryczał Myszałajewski i gąsienica pięła się, wypełniała schody ciężkim krokiem Aleksandrowskiej piechoty. Dywizjon przedefilował przed pogromcą Napoleona do nieogarnionej dwunawowej auli, tam urwał pieśń i zakołysawszy bagnetami stanął w zwartych szeregach. W auli panowało rozbielone światło zmierzchu i z międzyokiennych filarów patrzyły martwe, poblądłe plamy pozasłanianych portretów ostatnich panujących.

Studziński cofnął się, spojrzął na zegarek na przegubie dłoni. W tej właśnie chwili wpadł junkier, szepnął mu coś.

— Dowódca dywizjonu — dosłyszeli najbliżsi.

Studziński skinął na oficerów. Przebiegli między szeregami, wyrównali je. Studziński wyszedł na korytarz witać dowódcę.

W dźwięku ostróg pułkownik Małyszew oglądając się ze schodów na Aleksandra wspinał się ku drzwiom auli. Krzywa szabla kaukaska na wiśniowym temblaku kołysała mu się u lewego biodra. Był w czapce garnizonowej z mechatego, czarnego aksamitu, w długim szynelu z bardzo długim rozcięciem z tyłu. Minę miał zafrasowaną. Studziński spieszenie podszedł doń, zatrzymał się, zasalutował. Małyszew zapytał go:

— Umundurowani?

— Tak jest. Wszystkie rozkazy zostały wykonane.

— No i jak?

— Będą walczyli. Ale to dzieciuchy. Na stu dwudziestu junkrów — osiemdziesięciu studentów, którzy nie wiedzą, w którym ręku trzymać karabin.

Twarz Małyszewa sposepniała. Milczał.

— Całe szczęście, że trafili się nam dobrzy oficerowie — ciągnął Studziński — zwłaszcza ten nowy, Myszałajewski. Jakoś damy sobie radę.

— Ta-ak. No, cóż. Zechce pan, kiedy dokonam przeglądu, rozpuścić dywizjon do domów, oprócz oficerów i warty: sześćdziesięciu ludzi spośród najlepszych, najbardziej doświadczonych junkrów — którą wystawić proszę przy działach, w cekhauzie i dla ogólnego zabezpieczenia budynku. Reszta ma wrócić tak, żeby rano, o siódmej zero zero, cały

dywizjon był na miejscu.

Oslupienie sparaliżowało Studzińskiego, jego oczy nieprzyzwoicie wytrzeszczyły się na pana pułkownika. Otworzył usta.

— Panie pułkowniku... — Studzińskiemu ze zdenerwowania akcenty we wszystkich wyrazach przewędrowały na przedostanie sylaby — niech mi wolno będzie... To niemożliwe. Zatrzymanie ich tutaj na noc to jedyny sposób, żeby dywizjon zachował jaką taką zdolność do walki.

Pan pułkownik natychmiast, błyskawicznie zademonstrował nową umiejętność — fenomenalnie potrafił wpadać we wściekłość. Kark i policzki spurpurowiały mu. oczy zapłonęły:

— Kapitanie — powiedział nad wyraz nieprzyjemnym głosem — nie omieszkam polecić płatniczemu, aby obliczał panu pobory nie jak starszemu oficerowi, ale jak lektorowi prowadzącemu wykłady dla dowódców dywizjonów, wszakże nie będzie to dla mnie miłe, sądziłem bowiem, że w osobie pańskiej mieć będę wytrawnego starszego oficera, nie zaś profesora uniwersytetu. No, cóż, oświadczam panu, iż nie jestem spragniony pouczeń. Będzie pan łłaskaw nie udzielać mi rad! Słuchać — i zapamiętać. Zapamiętać i wykonać!

I obaj odskoczyli od siebie.

Samowarowa miedź opłynęła kark i policzki Studzińskiego, wargi mu zadrżały. Z dziwnym skrzypnięciem krtani powiedział:

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Tak jest, słuchać rozkazów. Rozpuścić do domów. Przykazać, żeby się wyspali, rozpuścić bez broni i żeby mi tu byli jutro na siódmą. Ale wypuszczać małymi grupkami, nie całymi plutonami, i bez naramienników. nie muszą imponować gawiedzi.

Promyk zrozumienia przebłysnął w oczach Studzińskiego, obraza zagasła.

— Tak jest, panie pułkowniku.

Pan pułkownik zmienił się nie do poznania. — Aleksandrze Bronisławowiczu, znam pana nie od dziś jako doświadczonego, bojowego oficera. Ale przecież i pan zna mnie nie od dzisiaj. A zatem — nie żywi pan do mnie urazy? To nie jest właściwy moment, żeby się obrażać. To, co powiedziałem, nie było miłe. Proszę o tym zapomnieć, pan przecież także...

Studziński zrobił się czerwony jak burak.

— Tak jest, panie pułkowniku, to moja wina.

— No, cóż. to świetnie. Nie traćmy czasu, żeby ich nie rozbisurmaniać. Jednym słowem — do jutra. Jutro coś się wyjaśni. Jedno tylko chciałem panu powiedzieć już teraz — działami niech pan sobie głowy nie zawraca,

nie będzie ani koni ani pocisków. A zatem jutro od rana — strzelanie z karabinu. Strzelanie, strzelanie, strzelanie. Niech się pan postara o to, żeby dywizjon strzelał jutro w południe jak na zawodach strzeleckich. A wszystkim jako tako otrzaskanym junkrom wydać granaty. Jasne?

Zmroczył i sposepniał Studziński. Słuchał w napięciu.

— Panie pułkowniku, czy mogę zadać pytanie?

— Wiem, o co chce pan zapytać. Może pan nie pytać. Sam panu odpowiem — fatalnie. Zdarza się, że bywa gorzej, ale rzadko. Teraz już wszystko jest jasne?

— Tak jest!

— W takim razie — Małyszew bardzo ściszył głos — rozumie pan, że nie chcę zostawać w tym kamiennym potrzasku na tę podejrzaną noc, a w razie czego zmarnować dwustu chłopaków, z których stu dwudziestu nie umie nawet strzelać?

Studziński milczał.

— A więc tak to wygląda. O reszcie pomówimy wieczorem. Zdażymy. Chodźmy do dywizjonu. I weszli do auli.

— Ba-a-aczność! Pa-a-a-owie oficerowie! — krzyknął Studziński.

— Czołem, artylerzyści!

Studziński zza pleców Małyszewa niczym niespokojny reżyser machnął dłonią i szary najeżony mur zawrzęsnał tak, że aż szyby zadygotały:

— Czoo... aa... kowniku...

Małyszew wesoło zlustrował szeregi, odjął, dłoń od daszka, zaczął mówić:

— Wyśmienicie... Artylerzyści! Nie będę się rozwodził, mówić nie umiem, bo na wiecach nie przemawiałem, powiem więc krótko. Będziemy bić sukinsyna Petlurę i, spokojna głowa, pobijemy go. Są wśród nas władimirowcy, konstantynowcy, aleksiejewcy, sztandarom tych szkół żaden ich wychowanek nigdy jeszcze nie przyniósł wstydu. A wielu z was to abiturienti tego właśnie sławetnego gimnazjum. Stare te mury patrzą na was. I mam nadzieję, że nie będą się musiały czerwienić z waszego powodu. Artylerzyści dywizjonu haubic! Obronimy nasz prastary gród w godzinie próby. Kiedy poczęstujemy tego prezydenta z naszych sześciocalówek, niebo nie spodoba mu się bardziej niż jego własne gacie, mać jego w duszę przez siedem trumien!

— Ha... aa.. Ha-a... — odpowiedział mu kolczasty gąszcz, oszołomiony precyzją sformułowań pana pułkownika.

— Pokażcie, co potraficie, artylerzyści!

Studziński znowu, jak reżyser zza kulis, machnął zaniepokojony dłonią i znowu gromada osypała wiekowe kurze swym powtórzonym przez gromowe echo wrzaskiem:

Rrr... Rrrrr... Trą... Rrrrr!

W dziesięć minut później w auli, niczym na polach Borodina, stały w kozłach setki karabinów. Dwaj wartownicy czernieli na krańcach porośniętej bagnetami zakurzonej równiny posadzki. Gdzieś daleko, na dole, postukiwały bezładne kroki zgodnie z rozkazem pośpiesznie rozchodzących się do domów świeżo upieczonych artylerzystów. W korytarzach coś metalicznie łomotało, stukano, słysząc było oficerskie pokrzykiwania — to Studziński osobiście rozprowadzał warty. Potem nieoczekiwanie zaśpiewała na korytarzu trąbka. W jej urywanym, przytęchłym dźwięku, który niósł się po całym gimnazjum, surowość była nadpęknięta, jawnie słysząc w nim było trwogę i fałsz. W korytarzu, nad podestem, z obu stron okolonym schodami prowadzącymi do westybulu, stał junkier i wydymał policzki. Spłowiałe wstęgi Świętego Jerzego zwisały ze zmatowiałego mosiądzu trąbki. Myszłajewski, rozstawiwszy nogi jak cyrkiel, stał przed trębaczem i uczył go, wypróbowywał:

— Nie słysząc... Teraz dobrze, tak. Trzeba ją przedmuchać. Zależała się, starowinka. A-no, na alarm.

„Ta-ta-tam-ta-tam” — dał trębacz przerażając zrozpaczone, szczury.

Zmierzch szybko wpętał do dwunawowej sali. Przed bronią w kozłach pozostali tylko Małyszew i Turbin. Małyszew obrzucił lekarza niechętnym spojrzeniem, ale zaraz przystroił twarz w życzliwy uśmiech.

— No i cóż, doktorze, jak tam u pana? Sanitariat w porządku?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Może pan, doktorze, pójść do domu. Proszę zwolnić także felczerów. Zróbmy tak: felczerzy niech przyjdą jutro o siódmej rano, tak jak cała reszta... Pan zaś... (Małyszew zastanowił się, zmrużył oczy) pana zaś poproszę o przybycie na drugą po południu. Do drugiej jest pan wolny. (Małyszew znów się nad czymś zastanowił.) Ach, jeszcze jedno: proszę na razie nie nosić naramienników. (Małyszew jakby się zmieszał.) Nie zależy nam na szczególnym zwracaniu na siebie uwagi. A więc proszę pana tu jutro na drugą.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

Turbin dreptał w miejscu. Małyszew wyjął papierośnicę, poczęstował go papierosem. Turbin zrewanżował się zapaloną zapalką. Zapaliły się dwie czerwone gwiazdki i od razu okazało się, że już się na dobre ściemniło. Małyszew niespokojnie spojrzał na sufit, gdzie matowo bielily się lampy łukowe, wyszedł na korytarz.

— Poruczniku Myszłajewski. Poproszę pana tutaj. Jest taka sprawa...

Zechce pan zadbać, żeby gmach był całkowicie oświetlony. Proszę się postarać zrobić to możliwie szybko. Będzie pan uprzejmy urządzić wszystko w ten sposób, żeby w razie potrzeby można było w każdej chwili nie tylko oświetlić, ale i wygasić dowolną część budynku. Odpowiedzialnością za wykonanie tego zadania obarczam pana osobiście. Myszłajewski zasalutował, zrobił w tył zwrot. Trębacz pisnął, urwał. Myszłajewski pobrzękując ostrogami — topy-topy-topy — sfrunął z frontowych schodów z taką szybkością, jakby zjechał na wrotkach. Po chwili usłyszeli, jak na dole wali w coś z całej siły pięścią, jak rzuca gromkie rozkazy. I zaraz przed głównym wejściem na dole, do którego wiodł szeroki westybul z podwójnymi schodami, powtórzone słabym odbłaskiem w portrecie Aleksandra, zapaliło się światło. Małyszew aż usta otworzył, tak się rozpromienił, i zwrócił się do Turbina:

— No, do diabła... To mi dopiero oficer! Widział pan?

A z parteru powoli wspinała się po stopniach schodów ciemna figurka. Kiedy zawróciła na pierwszym podeście, zarówno Małyszew jak Turbin mogli przyjrzeć się jej dokładnie. Odziana była w dwurzędowy surdut z jaskrawozielonymi wyłogami, ze srebrnymi guzikami. Z rozdygotanych dłoni figurki sterczał ogromny klucz. Myszłajewski szedł z tyłu, od czasu do czasu pokrzykiwał:

— Żywiej, żywiej, dziadku! Co tak leziesz jak wesz po grzebieniu!

— Wasze... Wasze... — cichuteńko mamlął staruszek. Z mgły na podeście wynurzył się Karaś, za nim inny wysoki oficer, potem dwaj junkrzy i wreszcie czujny ryj kulomiotu. Figurka uskokczyła ze zgrozy, przygięła się, przygięła i pokłoniła się kulomiotowi w pas.

— Wasze wysokobłagorodije — mamrotała.

Na górze nie trafiając w półmroku trzęsącą się dłonią do zamku figurka otworzyła podłużną szafkę ścienną, z szafki zerknęła biała plama. Staruszek włożył rękę do wnętrza, pstryknął i natychmiast rozświetlił się górny podest westybulu, wejście do auli, korytarz.

Mrok skulił się, uciekł w końce korytarza. Myszłajewski błyskawicznie zawładnął kluczem, wsunął ramię do szalki i szczękając czarnymi dźwignienkami rozpoczął koncert. Światło tak oślepiające, że aż różowawe, na przemian to gasło, to się zapalało. Zapłonęły i pogasły ample w auli. Znienacka rozjarzyły się dwie mleczone kule w obu końcach korytarza, ciemność wywinęła kozła i zniknęła na amen.

— Hej! No, jak? — krzyczał Myszłajewski.

— Zgasło — odpowiadały mu głosy z dołu, z czeluści westybulu.

— Jest! Pali się! — wołano z dołu.

Nabawiwszy się tak do syta, Myszłajewski na dobre pozapalał światła w auli, w korytarzu i reflektor nad Aleksandrem, szafkę zamknął na klucz, a klucz schował do kieszeni.

— Maszeruj spać, dziadku — mówił uspokajająco. — Wszystko w porządku.

Stary przeprasząco zamrugął niedowidzącymi oczyma.

— A kluczyk?... Kluczyk... Wasze wysokobłagorodije... Jakże to tak? Kluczyk u pana zostanie, czy jak?

— Kluczyk u mnie zostanie. Zgadza się.

Staruszek podrżał jeszcze przez chwilę i powolutku zeszedł na dół.

— Junkier!

Junkier, rumiany grubasek, stuknął kolbą przed szafką i znieruchomiał.

— Prawo dostępu do szafki ma tylko dowódca dywizjonu, rozprawdzający warty i ja. Nikt poza tym. W razie potrzeby na rozkaz jednej z tych trzech osób włamie się pan do szafki, ale delikatnie, żeby broń Boże nie uszkodzić tablicy rozdzielczej.

— Rozkaz, panie poruczniku.

Myszłajewski. zrównawszy się z Turbinem, szepnął:

— A Maksym... widziałeś?

— Jezu... pewnie, że widziałem — szepnął Turbin.

Dowódca dywizjonu stał w drzwiach auli i tysiące ogni grało na srebrnych ornamentach na jelcu jego szabli. Skinął na Myszłajewskiego, powiedział:

— No, cóż. poruczniku, jestem z pana zadowolony, cieszę się, że trafił pan do naszego dywizjonu. Zuch.

— Ku chwale ojczyzny, panie pułkowniku.

— Proszę jeszcze zająć się ogrzaniem auli. Junkrzy na zmianę muszą się gdzieś grzać. Pozostałymi sprawami zajmę się sam. Nakarmię ich i wódki dostaną, niedużo, ale na rozgrzewkę wystarczy.

Myszłajewski uśmiechnął się do pana pułkownika najbardziej czarownym ze swoich uśmiechów i odkaslnął znacząco:

— Ek... khm...

Turbin nie słuchał ich dalszej rozmowy. Przechylony przez balustradę nie mógł oderwać oczu od białogłowej figurki, patrzył na nią, dopóki nie zniknęła na dole. Ogarnął Turbina czczy smutek. To tu właśnie, przy tej zimnej balustradzie, z całą wyrazistością powróciło wspomnienie.

...Tłum gimnazjalistów z wszystkich klas wali w euforii tym tu właśnie korytarzem. Przysadzisty Maksym, starszy pedel, energicznie ciągnie za sobą dwie czarne sylwetki, otwiera przedziwny kondukt.

— *Dobrze, dobrze, dobrze, dobrze — mruczy — dobrze, niech z okazji odwiedzin pana kuratora pan inspektor obejrzy sobie pana Turbina i pana*

*Myszlajewskiego. Na pewno się ucieszy. O, bardzo będzie kontent!
Wolno przypuszczać, że w ostatnich słowach Maksyma kryć się miała
zjadliwa ironia. Tylko kogoś, kto bardzo spaczone miałby gusta, ucieszyć
mógłby widok panów Turbina i Myszlajewskiego, zwłaszcza w radosnym
dniu wizytacji kuratora.*

*Zaciśnięty w lewej pięści Maksyma pan Myszlajewski miał właśnie
rozciętą górną wargę, lewy rękaw zwisał na nitce. Pan Turbin — trzymany
w prawej garści — był bez pasa, miał oderwane wszystkie guziki nie tylko
od bluzy, ale także od rozporka, tak że ciało i bielizna pana Turbina jak
najnieprzyzwoiciej wydane były na widok publiczny.*

*— Maksym, kochany, proszę nas puścić — błagali obaj. Turbin i
Myszlajewski, po kolei zwracając nań gasnące spojrzenia i zakrwawione
oblicza.*

*— Hura! Góra Maks, dobrze im tak! — krzyczeli wzburzeni gimnazjaliści.
— Nie mają prawa bezkarnie masakrować drugoklasistów!*

Ach, Boże mój. Boże mój! Było wtedy słońce, był rozgwar, był hałas. I Maksym wtedy był nie ten co dziś. siwiuteńki, udęczone, głodny. Miał Maksym na głowie czarną szczotkę do butów, z której tylko tu i ówdzie przeświecały pasemka siwizny, nie ręce miał, ale stalowe obcęgi, a na szyi medal, wielki jak koło karety... Ach, koło, koło. Jechałoś ciągle ze wsi „B” robiąc „n” obrotów na minutę i to zajechałoś w tę kamienną pustkę. Boże, jak tu zimno. Trzeba bronić... Ale czego? Tej pustki? Echa kroków?... Czyż ty, ty, Aleksandrze, ocalisz ginący dom przy pomocy twoich pułków spod Borodina? Ożyj, poprowadź je z płótna! O, te pułki rozniosłyby Petlurę.

Nogi Turbina same sprowadziły go na dół. „Maksym!” — miał ochotę krzyknąć, potem jednak zwolnił, zwalniał coraz bardziej, stanął. Wyobraził sobie Maksyma na dole, w mieszkaniu, w suterenie, gdzie mieszkali pedle. Na pewno dygoce przy piecu, nic nie pamięta, jeszcze się rozplącze. Smutków i tak mamy aż po dziurki w nosie. Plunąć by na to wszystko. Dość sentymentów. Przesentymentalizowaliśmy swoje życie. Dość.

A jednak zwolnwszy felczerów Turbin znalazł się w mrocznej, pustej klasie. Patrzyły ze ścian węglowe płaszczyzny tablic. Stały rzędy ławek. Turbin nie wytrzymał, podniósł pulpit, usiadł. Trudno, ciężko, niewygodnie. Jak blisko jest ta czarna tablica. Tak, na pewno, na pewno, to albo ta klasa, albo sąsiednia, bo przecież za oknem rozpościera się dobrze znana panorama Miasta. Oto czarna zamarła bryła uniwersytetu. Strzała bulwaru pełna białych światel, pudełka domów, smugi mroku,

mury, wysokie niebo...

A w oknach istna opera *Noc wigilijna*, śnieżynki, światełka, wszystko to iskrzy się, drży... „Co bym to ja dał, żeby wiedzieć, czemu strzelają w Swiatoszynie?” I dalekie, niegroźne działa, jak w watę, bu-u, bu-u...

— Dość.

Turbin opuścił pulpit ławki, wyszedł na korytarz, minął warty w westybulu i znalazł się na ulicy. Przed głównym wejściem stał karabin maszynowy. Na ulicy było niewielu przechodniów, wielkimi płatkami padał śnieg.

Pan pułkownik pracowicie spędził noc. Zrobił wiele kursów między gimnazjum a oddalonym o dwa kroki sklepem madame Anjou. Koło północy wszystko chodziło już jak w zegarku, na pełnych obrotach. W gimnazjum cichuteńko skwiercząc płonęły różowawym światłem lampy żarowe w kulistych amplach. W auli było teraz znacznie cieplej, bo przez cały wieczór i przez całą noc płomień buszował w staroświeckich piecach w sąsiadujących z aulą pokojach biblioteki.

Junkrzy pod dowództwem Myszłajewskiego rozpalali w białych piecach „Ocieczestwiennymi Zapiskami” i rocznikiem 1863 „Biblioteki dla Cztienija”, a potem nieustannie łomocąc siekierami przez całą noc palili stare ławki szkolne. Studziński i Myszłajewski wypili po dwie szklanki spirytusu (pan pułkownik dotrzymał słowa i dostarczył spirytus w ilości wystarczającej dla rozgrzewki, mianowicie pół wiadra) i spali na zmianę po dwie godziny pokotem na podłodze, z junkrami, na szynelach, jak najbliżej pieców, czerwony odblask ognia kładł się na ich twarzach. Potem wstawali, przez całą noc chodzili od wartownika do wartownika, sprawdzali posterunki. Karaś z junkrami i cekaemami czuwał przy wyjściach na dziedziniec. Czterech junkrów w baranich kożuszkach zmieniając się co godzinę trzymało straż przy pucołowatych haubicach.

U madame Anjou piecyk rozpalony był do białości, w rurach huczał ciąg, jeden junkier stał na warcie przy drzwiach i nie spuszczał z oka motocykla przed sklepem, pięciu innych rozścieliło sobie szynele na podłodze, spali jak zabici. Około pierwszej w nocy pan pułkownik ostatecznie rozkwaterował się u madame Anjou, ziewał, ale nie kładł się jeszcze, ciągle rozmawiał z kimś przez telefon. A o drugiej w nocy podjechał sapiąc motocykl, z kosza wygramolił się człowiek w szarym żołnierskim płaszczu.

— Przepuście. To do mnie.

Przybyły oddał pułkownikowi duży toból owinięty w prześcieradło i

przewiązany na krzyż sznurkiem. Pan pułkownik własnoręcznie odniósł tobół, do niewielkiej pakamery na zapleczu sklepu, zamknął pakamerę na kłódkę. Człowiek w szarym szynelu odjechał na swoim motocyklu z powrotem, a pan pułkownik poszedł na galeryjkę, rozłożył szynel, zgarnął sobie pod głowę stertę ścinków, położył się, kazał czuwającemu junkrowi, żeby obudzono go punkt szósta trzydzieści, i zasnął.

7

Późną nocą węglowa ciemność zaległa tarasy najpiękniejszego zakątka na świecie, Włodzimirskiej Gorki. Ceglane schody i alejki skrywała nie kończąca się gruba warstwa nie tkniętego śniegu.

Żaden z mieszkańców Miasta, żywa w ogóle dusza nie zakłócała w zimie spokoju wielopiętrowego masywu. Kto pójdzie na Gorkę w nocy i to w takich czasach? Przecież tam jest po prostu straszno! Nie pójdzie nawet śmiałek.

Zresztą nie miałyby tam nic do roboty. Tylko jedno miejsce jest oświetlone — na straszliwym ciężkim cokole stoi już od stu lat czarny spiżowy Włodzimierz i dzierży w dłoni trzysążniowy krzyż. Co wieczora, za ledwie zmierzch otuli skarpy, zbocza i tarasy, krzyż zapala się i płonie przez całą noc. Z daleka go widać, widać go o czterdzieści wiorst stąd z wiodących ku Moskwie czarnych dali. Tu jednak niewiele oświetla; błądy elektryczny blask liznąwszy czarnozielony bok cokołu wyrywa z ciemności balustradę i kawałek otaczającej środkowy taras kraty. Nic poza tym. Cóż dopiero dalej! Egipskie ciemności. Drzewa, w mroku dziwaczne jak przysłonięte muślinem żyrandole, stoją w śniegowych czapach, wszędzie kopne zasy po pas. Koszmar.

Jasna sprawa, że nikt się tu nie wybierze. Nawet najodważniejszy. Zresztą po co? Co innego w Mieście. Trwożna, dostojna, wojenna noc. Goreją paciorki latarń. Niemcy śpią, ale śpią na jedno oko. W najciemniejszym zaułku bucha nagle błękitny snop.

— *Halt!*

Skrzyp... skrzyp... suną środkiem jezdni ludzie w miskach na głowach. Czarne nauszники... Skrzyp... Krótkie karabinki nie na ramieniu, nie, gotowe do strzału. Z Niemcami nie ma żartów, przynajmniej na razie... Cokolwiek by się działo, Niemiec to twarda sztuka. Przypomina żuka

gnojaka.

— Dokumenty!

— *Halt!*

Snop światła z latarki. Eche!...

I oto wielki, czarny, lakierowany automobil, świecą cztery reflektory. Nie jest to byle jaki samochód, bo w ślad za lustrzaną limuzyną skróconym kłusem podąża eskorta — ośmiu jezdnych. Ale Niemcom to nie robi różnicy. Wołają na samochód:

— *Halt!*

— Dokąd? Kto? Po co?

— Głównodowodzący, generał kawalerii Biełorukow. Skoro tak, to oczywiście, inna sprawa. Skoro tak, to proszę bardzo. Za szybko w głębi limuzyny błada wąsata twarz. Niewyraźne połyski na ramionach generalskiego płaszcza. Niemieckie miski zaszalutowały. Co prawda w głębi duszy równie im obojętne, czy to głównodowodzący generał Biełorukow, czy Petlura, czy kacyk Zulusów w tym parszywym kraju. Mimo wszystko jednak... Jeśli wlażesz między wrony, musisz krakać jak i one. Zaszalutowały więc miski. Jak to mówią — międzynarodowe uprzejmości.

Noc pełna napięcia, wojenna. Z wystaw madame Anjou padają smugi światła. W świetle tym — damskie kapelusze, gorsety, pantalony i armaty spod Sewastopola. I chodzi, chodzi jak wahadło junkier, marznie, wykreśla bagnetem imperatorską cyfrę. A tam, w gimnazjum Aleksandra, ample jarzą się jak w czasie balu. Myszlajewski, pokrzepiwszy się wódką w wystarczającej ilości, chodzi, chodzi, na Aleksandra Szczodrobliwego spoziera, na szafkę z wyłącznikami rzuca okiem. W gimnazjum jest dość wesoło i godnie. Bądź co bądź na stanowiskach ogniowych stoi osiem kulomiotów, a junkrzy to też nie jakieś tam zakichane studenciaki!... Junkrzy, zapewniam was, będą się bić. Myszlajewski ma oczy czerwone jak królik. Która to już noc? Mało snu, dużo wódki i pod dostatkiem niepokoju. No, w Mieście na razie łatwo się uporać z niepokojem. Jeśli sumienie masz czyste, to proszę bardzo, możesz sobie spacerować. Pewnie, zatrzymają cię pięć razy. Ale jeżeli dokumenty w porządku, to proszę bardzo, możesz iść. Dziwne, że się włączysz po nocy, ale droga wolna.

Ale na Gorkę kto pójdzie? Absolutny nonsens, bzdura. Tam wysoko, w dodatku taki wiatr... Jak zaduje po zaniesionych śniegiem alejach, zda ci się, że słyszysz diabelskie chichoty. Gdyby nawet ktoś poszedł na Gorkę,

to chyba tylko człowiek odrażony, taki, co przy każdej władzy czuje się wśród ludzi jak wilk wśród sfory ogarów. Jakiś kompletny *miserable*, jak z powieści Wiktora Hugo. Taki, który nie ma po co zjawiać się w Mieście, bo gdyby się tam pokazał, na zbyt wielkie naraziłby się ryzyko. Prześlizniesz się między patrolami — to dobrze, nie przemkniesz się — miej pretensję tylko do siebie. Gdyby się więc ktoś taki nawet i znalazł na Gorce, należałoby szczerze, po ludzku mu współczuć.

Przecież nawet psa żal tam wypędzić. Lodowaty wicher. Pięć minut postoisz na takim wietrze i sam zapragniesz do domu, ale...

— *Jak czasów s pjat'?* Ech... Ech.. Zamarzniemy...

Szkopuł w tym, że nie można przeskoczyć do górnego Miasta obok panoramy i wieży ciśnień, bo tam, proszę was, w zaułku Michajłowskim, w poklasztornym budynku mieści się sztab księcia Biełorukowa. I co minutę — jak nie samochód pod eskortą, to ciężarówka z kulomiotami albo...

— *Oficernia, ach twoju duszu, szczob wam powyłaziło!*

Patrole, patrole, patrole.

A przez tarasy na dół, do dolnego Miasta, na Podoł — o tym nie ma co nawet myśleć, bo na Aleksandrowskiej, która wije się u podnóża Gorki, po pierwsze latarnie, po drugie Niemcy, *chaj jim bis!* Patrol za patrolem! Chyba że nad ranem? Toć przecie zamarzniemy tu do rana. Lodowaty wiatr — hu-u... — hula po alejkach i zda się, że z zasp pod ogrodzeniem słyszać ludzkie głosy.

— Zamarzniemy, Szurpaty!

— Cierp, Nemoljaka, cierp. Patrole pochodzą do rozwidnia i pójdą spać.

Przeskoczmy na Wwoz, ugrzejemy się u Siczychy.

Ciemność pod ogrodzeniem poruszy się i jakbyś widział trzy czerniejące cienie — przywierają do parapetu, wychylają się, patrzą na dół, gdzie leży jak na dłoni ulica Aleksandrowska. Właśnie milczy, właśnie jest pusta, ale jeśli nagle pobiegną nią dwa snopy błękitnawego światła, jeśli przelecą niemieckie samochody albo pokażą się czarne placki misek i krótkie wyostrzone cienie... Wszystko widać jak na dłoni...

Na Gorce jeden cień odrywa się od pozostałych, szorstki wilczy głos chrypi:

— E... Nemoljaka... Ryzykujem! *Chodym*. Może przeskoczmy...

Niedobrze jest na Gorce.

Ale w pałacu, wyobraźcie sobie, też jest niedobrze. Dziwna jakaś, w nocy aż nieprzyzwoita, trwa w pałacu krzątania. Przez salę, w której stoją pokraczne pozłacane krzesła, mysim truchtem przebiegł po wylśnionej

posadzce stary lokaj z bakenbardami. Gdzieś dalej rozdzwonił się terkotliwy dzwonek elektryczny, przebrzczały czyjeś ostrogi. W sypialni lustra w zmatowiałych koronowanych ramach odbijały scenę dziwną i niepojętą. Chudy siwawy człowiek o przystrzyżonych wąsikach na lisiej, wygolonej, pergaminowej twarzy, w świetnej czerkiesce ze srebrnymi gazyrkami na naboje miotał się między lustrami. Wokół niego krzątali się trzej niemieccy oficerowie i dwaj Rosjanie. Jeden z nich był w czerkiesce, podobnie jak postać centralna, drugi miał na sobie kurtkę mundurową i rajtuzy, które zdradzały w nim dawnego kawalergarda, ale naramienniki były szpiczaste, hetmańskie. Pomagali lisiemu człowiekowi przebrać się. Poszła w kącie czerkieska, szerokie szarawary, lakierowane oficerki. Ubrano go w mundur niemieckiego majora, był teraz nie gorszy ani nie lepszy niż setki innych niemieckich majorów. Potem otworzyły się drzwi, zakurzone portiery pałacowe rozsunęły się i wpuściły jeszcze jednego mężczyznę w mundurze lekarza wojskowego armii niemieckiej. Wniósł on naręcze opatrunków indywidualnych, porozdzierał je i wprawnymi rękoma obandażował na amen głowę świeżo upieczonego niemieckiego majora, tak że widać było tylko prawe lisie oko i nie domknięte wąskie usta, a w ustach złote i platynowe koronki.

Nieprzystojna ta nocna krzątania w pałacu trwała jeszcze przez czas jakiś. Niemiec, który wyszedł z sypialni, powiedział po niemiecku do oficerów wałęsających się po sali, w której stały te pokraczne krzesła oraz po sali sąsiedniej, że major von Schratt nieostroźnie rozładowując rewolwer postrzelił się nieszczęśliwie w szyję i że trzeba go niezwłocznie przewieźć do niemieckiego szpitala wojskowego. Gdzieś dzwonił telefon, gdzie indziej śpiewało ptaszę — piu! Potem na boczny podjazd pałacowy bezszelestnie wjechała przez strzelistą kutą bramę sanitarka z czerwonym krzyżem, spowitego bandażami i szczelnie opakowanego w szynel zagadkowego majora von Schratta wyniesiono na noszach, wsunięto do wnętrza przez zmyślnie podnoszoną klapę. Samochód odjechał, raz tylko głucho parsknął zakręcając przy wyjeździe za bramę.

W pałacu zaś trwała aż do białego rana bieżanina i niepokój, paliły się światła w salach wyportretowanych i w salach wyzłoconych, często gęsto dzwoniły telefony, a twarze lokajów zbeczelniały jak gdyby, w ich oczach zapłonęły wesołe światełka...

W małym, wąskim pokoiku na parterze pałacu znalazł się przy telefonie mężczyzna w mundurze pułkownika artylerii. Starannie zamknął za sobą drzwi wybielonego pokoju, bynajmniej nie wyglądającego na pałacowe pomieszczenie centrali telefonicznej, i dopiero wtedy podniósł

słuchawkę. Poprosił czuwającą panienkę z centrali o połączenie go z numerem dwieście dwanaście. Otrzymawszy to połączenie, surowo, z zaniepokojeniem namarszczył brwi, powiedział „*merci*” i zapytał konfidencyjnie przytłumionym głosem:

— Czy to sztab dywizjonu haubic?

Niestety, niestety! Pułkownikowi Małyszewowi nie było dane spać aż do wpół do siódmej, jak to sobie zamierzał. O czwartej nad ranem ptaszę w sklepie madame Anjou zaśpiewało gorliwiej niż zazwyczaj i dyżurujący junkier zmuszony był obudzić pana pułkownika. Pan pułkownik ocknął się z godną podziwu szybkością, z głową tak jasną, jakby w ogóle nie spał. Nie miał też pan pułkownik pretensji do junkra o wyrwanie go ze snu. Motocykl zaraz po czwartej uwiózł pułkownika dokądś, a kiedy przed piątą wrócił on do madame Anjou, tak samo surowo, z zaniepokojeniem namarszczał brwi jak przedtem tamten pułkownik, który z pałacowej centralki łączył się z dywizjonem haubic.

O siódmej na oświetlonym różowawymi amplami polu bitwy pod Borodinem stała jeżąc się od przedranego chłodu, hucząc, gadając, ta sama rozciągnięta gąsiennica, która wczoraj wspinała się po schodach ku portretowi Aleksandra. Sztabskapitan Studziński stał nieco na uboczu w grupce oficerów i milczał. Dziwna rzecz, w jego oczach był ten sam zezujący odblask trwogi, który, poczynając od czwartej rano, trwał w oczach pułkownika Małyszewa. Każdy jednak, kto by tej niepowседневnej nocy zobaczył pułkownika i sztabskapitana, od razu mógłby powiedzieć, na czym polegała istniejąca jednak różnica — Studziński miał w oczach trwogę przecucia, Małyszew — trwogę pewności, dla niego wszystko było już zupełnie jasne, oczywiste i stracone. Studzińskiemu zza wyłogu rękawa sterczała długa lista artylerzystów dywizjonu. Studziński dopiero co zrobił zbiórkę, a kiedy odliczyli, przekonał się, że dwudziestu ludzi mu brak. Właśnie dlatego lista ta nosiła ślad gwałtownego skurczu sztabskapitańskich palców — była zgnieciona.

W wyziębionej auli wzbijały się dymki, oficerowie palili.

Punktualnie co do minuty o siódmej zero zero przed szeregami pojawił się pułkownik Małyszew i, jak wczoraj, powitał go chóralny wywrzask pozdrowienia. Pan pułkownik, jak wczoraj, przypasaną miał srebrną szablę, ale z nieznanых powodów tysiące ogni nie grały już na srebrnych ornamentach jelca. Na prawym jego biodrze spoczywał rewolwer w kaburze i owa kabura, zapewne na skutek niezwykłego u pułkownika Małyszewa roztargnienia, była nie zapięta.

Pułkownik stanął przed dywizjonem, lewą urękawiczoną dłoń położył na

rękojeści szabli, prawą zaś, bez rękawiczki, tkliwie wsparł na kaburze i wyrzekł słowa następujące:

— Rozkazuję panom oficerom i artylerzystom dywizjonu haubic słuchać uważnie tego, co im powiem! W ciągu nocy w naszej sytuacji, w sytuacji armii i rzekłbym, w sytuacji państwowej na Ukrainie zaszły gwałtowne i doniosłe zmiany. W związku z tym komunikuję panom, że dywizjon zostaje rozformowany! Proponuję wam wszystkim, byście pozdejmowali wszelkie dystynkcje i zabrawszy z cekhauzu cokolwiek który z was zechce i zdoła zabrać, rozeszli się do swoich domów, ukryli się tam, niczym nie zdradzając swojej obecności, i oczekiwali ponownego wezwania!

Zamilkł i tym jak gdyby jeszcze podkreślił tę absolutną, śmiertelną ciszę, która panowała w auli. Nawet żarówki przestały brzęczeć. Spojrzenia wszystkich artylerzystów i oficerów zbiegły się w jednym punkcie, właśnie na przystrzyżonych wąsach pana pułkownika.

A on mówił znowu:

— Wezwać panów nie omieszkam, skoro tylko zajdzie w sytuacji jakakolwiek istotna zmiana. Muszę jednak powiedzieć panom, że niewielkie są na to nadzieje... W chwili obecnej sam nie wiem jeszcze, jak się okoliczności ułożą, sądzą jednak, że najwłaściwszą rzeczą, jaką mogliby uczynić wszyscy... ee... (pułkownik nagle następne słowo wykrzyknął) najlepsi spośród was, byłoby wyruszenie na Don. A zatem — rozkazuję całemu dywizjonowi oprócz panów oficerów i tych junkrów, którzy dzisiejszej nocy trzymali wartę, niezwłocznie rozejść się do domów!

— Co?! Co?! Ha, ha, ha! — przeszeleściło po całej gromadzie, a bagnety nad nią jak gdyby osiadły. Poruszyły się zdezorientowane twarze, w szeregach bodaj zabłysło niejedno uradowane oko...

Od grupy oficerskiej oderwał się sztabkapitan Studziński, blady jak papier, zezujący, zrobił kilka kroków w stronę pułkownika Małyszewa i obejrzał się na oficerów. Myszłajewski patrzył nie na niego, ale ciągle jeszcze tam, na wąsiki pułkownika Małyszewa, a minę miał taką, jakby chciał swoim zwyczajem sypnąć najnieprzystojniejszymi rynsztokowymi przekleństwami. Karaś głupawo ujął się pod boki, mrugał. A w stojącej nieco z osobna grupce młodych praporszczyków zaszeleściło nagle niestosowne, destrukcyjne słowo „areszt”...

— Co takiego? Jak to — cienki bas rozległ się z szeregów junkrów.

— Aresztować!...

— Zdrada!

Studziński spojrział w nagłym natchnieniu na świetlistą ampelę nad głową,

potem zezem na kolbę w kaburze i krzyknął:

— Hej, pierwszy pluton!

Pierwszy szereg załamał się na skrzydle, oddzieliły się od niego szare sylwetki, wszczął się dziwny nieład.

— Panie pułkowniku! — absolutnie ochrypłym głosem powiedział Studziński. — Jest pan aresztowany!

— Aresztować go! — nagle histerycznym wysokim głosem wykrzyknął jeden z praporszczyków i ruszył na pułkownika.

— Chwileczkę, panowie! — zawołał Karaś, który zawsze rozumował powoli, ale logicznie.

Myszałajewski zwinnie wyskoczył przed grupę, złapał ekspansywnego praporszczyka za rękaw szynelu, szarpnął do tyłu.

— Panie poruczniku, proszę mnie puścić! — krzywiąc się wściekle wykrzyknął praporszczyk.

— Spokój! — nieoczekiwanie pewnym głosem zawołał pan pułkownik.

Co prawda wargi latały mu nie gorzej niż praporszczykowi, co prawda twarz mu pokryły czerwone plamy, ale w spojrzeniu miał więcej pewności siebie niż wszyscy oficerowie razem wzięci. I wszyscy znieruchomieli.

— Spokój! — powtórzył pułkownik. — Rozkazuję panom powrócić na miejsca i słuchać!

Zapanowało milczenie, oczy Myszałajewskiego stały się czujne. Wyglądało na to, że jakaś myśl błysnęła już w jego głowie, oczekiwał teraz, że usłyszy od pana pułkownika coś jeszcze ważniejszego i jeszcze bardziej interesującego niż to, co dowódca zakomunikował im przed chwilą.

— Tak, tak — powiedział Małyszew, a policzek mu drgał. — Tak, tak... Ładnie ja bym wyglądał, gdybym poszedł w bój z taką kadram, jaką mi zesłał Pan Bóg. Bardzo ładnie bym wyglądał! Ale tego, co można wybaczyć studentowi-ochotnikowi, młodziutkiemu junkrowi ostatecznie — praporszczykowi, w żaden sposób nie da się wybaczyć panu, panie sztabskapitanie!

Mówiąc to, pułkownik przeszywał Studzińskiego niewiarygodnie przenikliwym spojrzeniem. Z oczu pana pułkownika wylatywały w kierunku Studzińskiego iskry niekłamanej irytacji. Znowu zapadła cisza.

— A więc — ciągnął — jak żyję, nie wiecowałem, ale widocznie i na to mi przyszło. No cóż, powiecuśmy. A więc — co prawda, podjęta przez was próba aresztowania waszego dowódcy dowodzi, iż jesteście dobrymi patriotami, ale wskazuje ona zarazem na to, żeście... ee... jak by tu się wyrazić, panowie oficerowie, niedoświadczeni! Krótco mówiąc, nie mam czasu, a i wy, zapewniam was — złowieszczo, znacząco zaakcentował Małyszew — także go nie macie. Pytanie: kogo chcecie bronić?

Milczenie.

— Kogo pragniecie bronić, pytam? — groźnie powtórzył pułkownik. Myszłajewski z iskierkami niezmiernego, żywego zainteresowania w oczach wysunął się przed grupkę oficerów, zasalutował, powiedział:

— Naszym obowiązkiem jest bronić hetmana, panie pułkowniku.

— Hetmana? — powtórzył pułkownik. — Doskonale. Dywizjon, baczność! — szczechnął nagle tak, że dywizjon instynktownie drgnął. — Słuchać! Hetman dziś około czwartej nad ranem, haniebnie porzuciwszy nas wszystkich na łaskę losu, uciekł! Uciekł jak ostatnia kanalia i tchórz! Dziś także, w godzinę po hetmanie, uciekł tamże, dokąd i hetman, to znaczy do niemieckiego pociągu, nasz głównodowodzący, generał kawalerii Białorukow. Nie dalej niż za kilka godzin będziemy świadkami tragedii, kiedy oszukani i wciągnięci do tej awantury podobni nam ludzie zostaną wystrzelani jak psy. Słuchajcie: Petlura stoi pod miastem na czele stutysięcznej armii i jutro... ależ, co ja mówię, nie jutro, już dziś — pułkownik wskazał dłonią okno, niebo nad Miastem zaczynało się już rozświetlać — rozproszone, luźne grupy nieszczęsnych oficerów i junkrów, opuszczone przez łajdaków ze sztabu i przez tych dwóch drani, których należałoby powiesić, stawiają czoła doskonale uzbrojonym i dwudziestokrotnie przewyższającym ich liczebnie oddziałom Petlury... Słuchajcie, dzieci! — nagle załamującym się głosem zawołał pułkownik Małyszew, który przy najlepszych chęciach ani rusz nie mógłby być ojcem, lecz najwyżej starszym bratem wszystkich stojących pod bronią. — Słuchajcie! Ja, zawodowy oficer, ja, który mam za sobą wojnę z Niemcami — sztabskapitan Studziński świadkiem — biorę wszystko na swoje sumienie i na swoją odpowiedzialność!... Wszystko! A was ostrzegam! Was odsyłam do domów! Jasne? — wykrzyczał.

— Tak... a... ak — odpowiedziała rzesza i bagnety zaczęły się kołysać. A potem głośno, spazmatycznie rozplakał się któryś junkier z drugiego szeregu.

Sztabskapitan Studziński jak najnieoczekiwanej dla całego dywizjonu, a zapewne i dla siebie samego, dziwnym, nie oficerskim gestem przyłożył do oczu dłoń w rękawiczkach i rozszlochał się, lista dywizjonu upadła na podłogę.

Wówczas, za przykładem sztabskapitana, rozplakało się wielu jeszcze junkrów, szeregi rozsypały się w jednej chwili i Radames-Myszłajewski, przekrzykując ogólny rozgwar, huknął do trębacza:

— Junkier Pawłowski! Zagrać „odwrót”!

— Panie pułkowniku, czy pozwoli pan podpalić budynek gimnazjum? —

jasnym wzrokiem patrząc na pułkownika zapytał Myszłajewski.

— Nie pozwalam — uprzejmie i spokojnie odpowiedział Małyszew.

— Panie pułkowniku — serdecznie powiedział Myszłajewski — w ręce Petlury wpadnie cekhauz, działa, a przede wszystkim... — Myszłajewski wskazał ręką drzwi, za którymi widać było nad schodami w westybulu głowę Aleksandra.

— Wpadnie — uprzejmie przytaknął pułkownik.

— Ale jakże tak, panie pułkowniku?...

Małyszew odwrócił się do Myszłajewskiego i przyglądając mu się bacznie powiedział, co następuje:

— Panie poruczniku, za trzy godziny w ręce Petlury wpadną setki żywych ludzi, a ja, jeśli czego żałuję, to tylko tego, że za cenę mego życia i nawet za cenę pańskiego, jeszcze cenniejszego, rzecz jasna, nie mogę uratować tych ludzi od śmierci. O portretach, armatach i karabinach proszę mi więcej nie wspominać.

— Panie pułkowniku — stając przed Małyszewem powiedział Studziński — w imieniu własnym i w imieniu oficerów, których skłoniłem do niegodnego postępu, proszę, by zechciał pan przyjąć nasze przeprosiny.

— Przyjmuję je — uprzejmie odparł pułkownik,

Kiedy zaczęły się nad Miastem rozwiewać poranne mgły, tępomorde haubice stały na placu Aleksandrowskim pozbawione zamków, potrzaskane, zdekompletowane karabiny i kulomioty poniewierały się po kątach strychu. W śniegu, w dołach i w zakamarkach piwnic zniknęły sterty naboju, a ample w auli i na korytarzach nie promieniały już światłem. Białą tablicę rozdzielczą z przełącznikami rozbili bagnetami junkrzy pod komendą Myszłajewskiego.

Za oknami był już zupełny błękit. I w błękitnym półmroku na podeście schodów było ich tylko dwóch - Myszłajewski i Karaś. Wychodzili jako ostatni.

— Czy dowódca uprzedził Aleksieja? - zaniepokoił się Myszłajewski.

— Pewnie, że uprzedził, widzisz przecież, że Aleksiej nie przyszedł — odparł Karaś.

— Nie wpadniemy dziś w dzień do Turbinów?

— O, nie, w dzień nie da rady, trzeba będzie zakopać... to i owo. Jedziemy do domu.

Za oknami był błękit, na dworze było już jasno, mgła wznosiła się rozpraszając.

Tak, widać było mgłę. Iglasty mróz, kosmate gałęzie świerków, bezksiężycowy, ciemny, a potem przedranny śnieg; w dalach za Miastem makówki niebieskich, osypanych złotymi gwiazdkami cerkwi i na przepastnych wysokościach nad Miastem nie gasnący aż do świtu, który nadsięgnie z moskiewskiego brzegu Dniepru, Włodzimierzowy krzyż.

Nad ranem krzyż zgasł. I zgasły światła nad ziemią. Ale dzień się szczególnie nie rozwidniał, zapowiadał się szaro, nieprzenikniona zasłona wisiała niezbyt wysoko nad Ukrainą.

Pułkownik Kozyr-Leszko obudził się o piętnaście wiorst od Miasta właśnie o świcie, kiedy zakisłe, przymglone półświatło przesaczyło się przez ślepawe okienko chaty we wsi Popielucha. Przebudzenie Kozyra zbiegło się ze słowem:

— Dyspozycja.

W pierwszej chwili myślał, że słowo to przyśniło mu się w ciepłym śnie i chciał je nawet odsunąć od siebie, że zbyt zimne. Ale słowo wezbrało, wdarło się do chaty wraz z obrzydliwymi czerwonymi pryszczami na twarzy ordynansa i z wygniecioną kopertą. Spod kratkowanego celuloиду mapnika Kozyr wyciągnął przy okienku mapę, odnalazł na niej wieś Borchuny, za Borchunami odszukał Biały Gaj, przejechał paznokciem po rozwidlających się drogach, które obsiadły z obu stron jak ślady po muchach kropki zagajników, sprawdził następnie i dużą czarną plamę — Miasto. Śmierdziała machorka, bo właściciel czerwonych pryszczu był zdania, że palić można również i w obecności Kozyra — wojna na tym nie ucierpi — i mocnym tanim tytoniem, który palił sam Kozyr.

Kozyr miał bezzwłocznie wyruszać. Przyjął to dzielnie, ziewnął szeroko przerzucając rzemienie przez ramiona zabrzączał zawiłymi szorami.

Spał tej nocy w szynelu, nawet nie odpinając ostróg. Nadbiegła z garnczkiem mleka baba. Kozyr mleka nigdy nie pijał, więc nie wypił i teraz. Wygramoliła się skądś dzieciarnia. Najmłodszy sunął po ławie goluteńkim tyłkiem w stronę Kozyrowego mauzera. Ale nie zdążył, Kozyr mauzer przypasał.

Kozyr do tysiąc dziewięćset czternastego przez całe życie był wiejskim nauczycielem. W czternastym poszedł na wojnę, trafił do dragonów, w siedemnastym był już oficerem. Zaś świt czternastego grudnia roku tysiąc dziewięćset osiemnastego zastał go pod okienkiem tej chaty już w randze pułkownika armii petlurowskiej, choć nikt na całym bożym świecie — a już najmniej sam Kozyr — nie umiałby powiedzieć, jak do tego doszło. A stało się tak, bo wojaczka była powołaniem Kozyra, belferka zaś jedynie długotrwałą straszliwą pomyłką. W życiu zresztą przeważnie tak bywa. Człowiek przez dwadzieścia lat czymś się zajmuje, na przykład wykłada prawo rzymskie, a w dwudziestym pierwszym roku okazuje się nagle, że prawo rzymskie ani go ziębi, ani grzeje, że właściwie człowiek nie rozumie go nawet i nie lubi, natomiast w głębi duszy jest zawołanym ogrodnikiem i uwielbia kwiaty. Dzieje się tak zapewne z powodu niedoskonałości naszego ustroju społecznego, która sprawia, że ludzie dopiero u schyłku swych dni odnajdują prawdziwe swoje powołanie. Kozyr odnalazł je mając lat czterdzieści pięć. Do tego czasu był kiepskim belfrem, okrutnym i zanudzającym.

— *A nu-te, skazit' chłopcom, szczob wybyratys s chat, taj po koniom* — powiedział Kozyr i zaciągnął na brzuchu skrzypiący pas.

Dymilo się z białych chat we wsi Popielucha, kiedy wyjeżdżał stamtąd oddział pułkownika Kozyra, szabel czterysta. Dymiła nad szeregami machorka, nerwowo tańczył pod Kozyrem rosły gniady ogierek. Poskrzypywały proste chłopskie sanie taboru, sunęły na pół wiorsty za pułkiem. Pułk kołysał się w siodłach, a jak tylko wyjechali za wieś, na czele konnej kolumny rozwinięto dwubarwny proporzec — bryt niebieski, bryt żółty, na drzewcu.

Kozyr na herbatę patrzeć nie mógł i nade wszystko w świecie przedkładał łyk wódki na czczo. Lubił carską wódkę. Cztery lata jej nie było, a przy hetmanie pojawiła się znowu na całej Ukrainie. Wódka z szarej manierki przemknęła po żyłach Kozyra jak wesoły płomień. Przebiegła i po szeregach, z manierek zabranych jeszcze z magazynu w Białej Cerkwi, a ledwie przebiegła, już od czoła kolumny sieknęła trzyczędowa harmonia italiańska, falset zaśpiewał:

Haj, za hajem, hajem.

hajem zeleneńkym...

A z piątej trójki odhuknęły basy:

Tam orała diwczynonka

Wołykom czorneńkim...

Orała... orała,

Ne wmyła bukety,

Taj naniała kozaczeńka

Na skripoczci hraty.

— Fiu... ach! Ach, tach, tach!... — zaświstał, zagwizdał jak wesoły słowik jeździec pod proporcem. Zakołysały się piki, zatrzęsły się czarne, trumienne w kolorze baszłyki z galonami, z trumiennym chwastem. Chrząścił pod tysiącem podkutych kopyt śnieg. Odezwał się radosny teorban.

— Dobrze, chłopcy! Grunt nie spuszczać nosa na kwintę — powiedział z aprobatą Kozyr. I słowik rozdzwonił się nad śnieżnymi polami ukraińskimi.

Przejechali przez Biały Gaj, rozdarła się zasłona mgły i na wszystkich drogach zaczerniło się, zaroilo, zachrząściło. Za Gajem na rozstajach przepuścili przodem piechotę, z półtora tysiąca chłopca. Pierwsze szeregi piechurów miały jednakowe granatowe żupany z solidnego niemieckiego sukna, rysy bardziej wyostrzone, żwawsi byli, karabiny nieśli wprawniej — ci byli z Galicji. A w ostatnich szeregach szli ludzie w szpitalnych chałatach, długich do pięt, pasy mieli z żółtej, nie wyprawionej skóry. A wszystkim kołysały się na głowach założone na papachy niemieckie rozklapane hełmy. Podkute buty miesiły śnieg.

Zaczerniły się od tej potęgi białe drogi do Miasta.

— Sława! — krzyczała przechodząca piechota przed żółto-błękitnym proporcem.

— Sława! — odhukiwał zagajnikami Gaj.

Sławie odpowiedziały armaty z tyłu, po lewej ręce. Dowódca korpusu oblężniczego pułkownik Toropiec jeszcze w nocy podesłał dwie baterie pod miejski las. Armaty stanęły w śnieżnym morzu półkolem, a o świcie zaczęły bombardowanie. Podmuchy salw sześciocalówek pobudziły ośnieżone masztowe sosny. Przez wielką wieś Puszcza-Wodica przeszły dwa takie gromy, że na czterech przesiekach w zasypanych śniegiem domach wyleciały wszystkie naraz szyby. Kilka sosen poszło w drzazgi, padając wzbijały wysokie na wiele sążni fontanny śniegu. Ale potem zapanowała w Puszczy cisza. Las stał jak w półśnie i tylko spłoszone wiewiórki chrobocząc pazurkami przebiegały po stuletnich pniach. Obie baterie wycofano spod Puszczy i przerzucono na prawe skrzydło. Przecięły na ukos nieogarnione ziemie orne, lesiste Uroczyszcze, skrzyły na wąską drogę, dojechały do krzyżówki, a tam, już na oczach Miasta, zatoczono działa. Od wczesnego ranka na Podgorodniej, na Sawskiej, na przedmieściu Miasta Kureniewce rwać się zaczęły górujące szrapnele.

Po niskim śniegowym niebie przeskakiwał wesoły grzechot, jakby ktoś się bawił. Mieszkańcy domków od rana siedzieli po piwnicach i we wczesnym brzasku widać było, jak przemarznięte tyraliery junkrów przesuwają się gdzieś bliżej centrum Miasta. A zresztą armaty niebawem zamilkły, ustąpiły miejsca wesołej, trajkocącej strzelaninie gdzieś za Miastem, od północy. Potem i ona ucichła.

Pociąg dowódcy korpusu oblężniczego Toropca stał na mijance w wielkich lasach o pięć wiorst od zawianego śniegiem, ogłuszonego tymi grzmotami i echemi wymarłego przysiółka Swiatoszyno. W sześciu wagonach przez całą noc nie gasło światło elektryczne, przez całą noc dzwonił telefon na mijance i piszczały telefony polowe w zdeptanej salonce pułkownika Toropca. Kiedy zaś śnieżny dzień na dobre oświetlił okolicę, zagrzmiały od przodu, licząc wzdłuż linii kolejowej ze Swiatoszyna na Rozjazd Wołyński, armaty i rozśpiewały się ptaszki w żółtych skrzynkach, i szczupły, nerwowy Toropiec powiedział do swojego adiutanta Chudziakowskiego:

— *Wziały Swiatoszyno. Zaproponujcie, z łaski swojej, pane adiutant, nechaj potiah* przeprowadzą na Swiatoszyn.

Pociąg Toropca powoli pojechał między ścianami wyprężonego na baczność zimowego lasu i stanął w pobliżu skrzyżowania toru kolejowego z wielką szosą, prosto jak strzała wrzynającą się w Miasto. I tam, w salonce, pułkownik Toropiec przystąpił do realizowania planu opracowanego przezeń w ciągu dwóch bezsennych nocy w tej właśnie zapluskwionej salonce numer 4173.

Z mgieł wynurzało się otoczone ze wszystkich stron Miasto. Na północy — od lasu miejskiego i od pól, na zachodzie — od zajętego już Swiatoszyna, na północnym zachodzie — od pechowego Rozjazdu Wołyńskiego, na południu — za opasanymi plantem kolejowym zagajami, cmentarzami, wygonami, za strzelnicą, zewsząd ścieżkami i drogami, i po prostu niepowstrzymanie, przez zaśnieżone pola pełzła, czerniała, podzwaniała konnica, skrzypiały ociężałe armaty, szła i grzęzła w śniegu setnie utrudzona po miesiącu oblężenia piechota Petlurowej armii.

A w salonce nad zdeptaną sukieną podłogą co chwila piałły małe zadziorne koguciki i telefoniści Frańko i Haraś, którzy nie spali przez całą noc, powoli dostawali kręćka.

— *Ti-u... pi-u... słucham! pi-u... ti-u...*

Plan Toropca był chytry, chytry był czarnobrewy, wygolony, nerwowy pułkownik Toropiec. Nie na próżno posłał dwie baterie pod miejski las,

nie na próżno pohukiwał na mrozie i rozbił tory tramwajowe do kudłatej Puszczy-Wodicy. Nie na próżno przesunął potem karabiny maszynowe od strony ornych ziem ku lewemu skrzydłu. Chciał Toropiec wyprowadzić obrońców Miasta w pole, chciał, żeby myśleli, że on, Toropiec, będzie brał Miasto od swojego lewego skrzydła, to znaczy od północy, od strony przedmieścia Kureniewka; chciał, żeby ściągnięto tam miejską armię, a sam tymczasem zamierzał uderzyć na Miasto frontalnie, od czoła, od Swiatoszyna, wzdłuż szosy brzesko-litewskiej, a poza tym jeszcze na samym krańcu prawej flanki, od południa, spod wsi Demiewka.

I oto realizując plan Toropca oddziały petlurowskiego wojska zapełniały drogi przesuwając się z lewej flanki na prawą, szedł też z gwizdem, z harmonią, ze starszyzną na czele czarnobaszłychny pułk Kozyr-Leszki.

— Sława! — zagajnikami odhukiwał Gaj. — Sława!

Podeszli pod Gaj, wyminęli go bokiem, sforsowali po drewnianym wiadukcie plant kolejowy i zobaczyli Miasto. Było jeszcze ciepłe od snu, kłębiły się nad nim, ni to mgły, ni to dymy. Kozyr unosząc się w strzemionach patrzył przez zeissowskie szkła tam, gdzie piętrzyły się dachy wysokich kamienic i kopuły soboru sędziwej Zofii.

Na prawo od Kozyra trwał już bój. O dwie wiorsty dalej grzmiały armaty i świergotały karabiny maszynowe. Petlurowa piechota przebiegała tam w tyralierach coraz to bliżej Rozjazdu Wołyńskiego i w tyralierach odskakiwała od Rozjazdu, dostatecznie oszołomiona rześystym ogniem, nieliczna i różnorako umundurowana piechota białogwardyjska...

Miasto. Nisko nawisłe zgęstniałe niebo. Róg ulicy. Przedmiejskie domki i gdzieś tam szynele.

— Mówili właśnie, że z Petlurą zawarto jakoby porozumienie: wszystkie oddziały rosyjskie mają wyjść z bronią i iść na Don, do Denikina..

— Nie gadaj!

Armaty... armaty... buch... bu-bu-bu...

A oto rozszczękał się cekaem.

W głosie junkra rozpacz i niedowierzanie:

— Słuchaj, ale to przecież znaczy, że trzeba zaprzestać obrony Miasta?...

Smutek w głosie junkra:

— A diabli ich wiedzą!

Pułkownika Szczetkina nie było w sztabie już od rana, a nie było go z tej prostej przyczyny, że sztab ów już nie istniał. Jeszcze w nocy z trzynastego na czternasty sztab Szczetkina wycofał się na dworzec Miasto Główne i spędził tę noc w hotelu „Róża Stambułu”, tuż koło poczty. Tam

w nocy z rzadka śpiewał u Szczetkina ptaszek telefonu, nad ranem jednak zamilkł na dobre. Rano zaś obaj adiutanci pułkownika Szczetkina przepadli bez śladu. W godzinę później także i sam Szczetkin pogrzebał chwilę nie wiadomo po co w szufladach z papierami, coś tam podarł na strzępy i wyszedł z owej zaplutej „Róży”, ale nie w szarym płaszczu z dystynkcjami, tylko w cywilnym włochatym paltocie i w eleganckim kapeluszu. Skąd się wzięło to palto i ten kapelusz — jeden Pan Bóg raczy wiedzieć.

Cywil Szczetkin o przecznicy od „Róży” wziął dorożkę i pojechał na Lipki, tam udał się do ciasnego, elegancko umeblowanego wynajętego mieszkania, zadzwonił do drzwi, ucałował pulchną złocistą blondynkę i poszedł z nią do sypialni ukrytej w głębi mieszkania. Wyszeptał w wyokrąglone ze zgrozy oczy blondyny:

— Wszystko skończone! Boże, jaki jestem zmęczony... — oddalił się do alkowy i zasnął po wypiciu filiżanki mocnej kawy, którą złocista blondynka zaparzyła mu osobiście.

Nic o tym wszystkim nie wiedzieli junkrzy pierwszej drużyny. A szkoda! Gdyby o tym wiedzieli, to może olśnieni nagłym natchnieniem, zamiast dreptać pod szrapnelowym niebem koło Rozjazdu Wołyńskiego, ruszyliby do przytulnego mieszkanca na Lipkach, wyciągnęliby stamtąd zaspanego pułkownika Szczetkina, wyprowadzili go na ulicę i powiesili na latarni, akurat naprzeciwko okien mieszkania złocistej ósóbki.

Dobrze by było to zrobić, oni jednak tego nie zrobili, bo nic nie wiedzieli i nic nie rozumieli.

Nikt zresztą w Mieście niczego nie rozumiał, a i w przyszłości, zapewne, nie od razu zrozumie. No bo rzeczywiście — w Mieście są żelaźni, choć, co prawda, nieco już nadgryzieni Niemcy, jest w Mieście szcztokowasy szczupły Lis Przechera — hetman (o tym, że tajemniczy major von Schratt postrzelił się w szyję, wiedziało rano bardzo niewiele osób), jest w Mieście Jego Wysokość książę Biełorukow, jest w Mieście formujący drużyny do obrony macierzy grodów ruskich generał Kartuzow, w Mieście bądź co bądź dzwonią i śpiewają telefony sztabów (nikt nie wiedział jeszcze, że sztaby od rana idą w rozsypkę), w Mieście co krok to oficer. Na słowo „Petlura” Miasto wpada w gniew, jeszcze w dzisiejszym numerze dziennika „Wiesti” natrzęsają się z Petlury skurwieni petersburscy żurnaliści, chodzą po Mieście kadeci, a tam, koło

karawajewskich letnisk, gwizdże już niczym słowik różnobarwna konnica w baszłykach, powolnym klusem przechodzą z lewego flanku na prawy zawadiaccy hajdamacy. Skoro gwizdzą tak o pięć wiorst od Miasta, to, przepraszam, na co jeszcze liczy hetman? Przecież to po jego duszę przyszli i gwizdzą! Och, jak gwizdzą... A może Niemcy przyjdą mu z pomocą? Ale w takim razie czemu ci Niemcy-tułuby uśmiechają się obojętnie pod swymi przyszczyżonymi szwabskimi wąsikami na stacji Fastów, kiedy eszelon za eszelonem przejeżdżają obok w stronę Miasta petlurowskie oddziały? Może zawarto porozumienie z Petlurą i na jego mocy Petlura ma wejść do Miasta? Ale w takim razie po kiego diabła białe oficerskie armaty do tego Petlury strzelają?

Nie, nikt nie jest w stanie zrozumieć, co się działo w Mieście przed południem czternastego grudnia.

Dzwoniły sztabowe telefony, ale, cóż tu ukrywać, dzwoniły coraz to rzadziej i rzadziej, i rzadziej...

Coraz rzadziej!

Coraz rzadziej!

Drrrrr!...

— Tiu...

— Co się tam u was dzieje?

— Tiu...

— Doślijcie amunicję pułkownikowi...

— Stiepanowowi...

— Iwanowowi.

— Stiepanowowi...

— Antonowowi!

— Na Don... Trzeba nam na Don, bracia... Tu jakoś za chińskiego boga nie wychodzi.

— Ti-u...

— Sztabowcy, ach-żeż ich mać!

— Na Don...

Coraz rzadziej i rzadziej, a koło południa to już całkiem rzadko. Wokół Miasta, to tu, to tam buchnie strzelanina, potem zamilknie... Ale Miasto, nie bacząc na to, jeszcze w południe żyło życiem mniej więcej normalnym. Sklepy były pootwierane, pełne klientów. Po trotuarach pędziły tłumy przechodniów, trzaskały drzwi, podzwaniając chodziły tramwaje.

I oto w południe od Pieczerska zaczął grać wesoły kaem. Jego zawieszisty terkot odbił się od pieczerskich wzgórz, przegalopował do śródmieścia. Przecież to tuż-tuż... Co się dzieje? Przechodnie przystawali, wciągali w nozdrza powietrze. Trotuary tu i ówdzie od razu wyraźnie opustoszały.

Patrol zwiadu Bołbotuna pod setnikiem Hałańbą przejechał przez całą ulicę Milionną i nie było żywego ducha na ulicy Milionnej. Aż nagle, wyobraźcie sobie, otworzyła się brama i na spotkanie pięciu konnych chwaścistych hajdamaków wybiegł ni mniej, ni więcej, tylko znany w Mieście dostawca, Jakub Grigoriewicz Feldman. Czy pan oszalał, Jakubie Grigoriewiczu, dokąd się panu tak śpieszy, kiedy dzieją się takie rzeczy? To prawda, Jakub Grigoriewicz wyglądał tak, jak gdyby oszalał. Fokowa czapka zjechała na sam tył głowy, paltot rozpięty. Oko błędne.

Jakub Grigoriewicz Feldman doprawdy miał powód, żeby stracić głowę. Jak tylko od strony szkoły oficerskiej zaklekotało, z jasnej sypialni żony Jakuba Grigoriewicza dobiegł jęk. Powtórzył się i zacichł.

— Oj — pokwitował ten jęk Jakub Grigoriewicz, wyjrzał przez okno i to go upewniło, że za oknem jest bardzo niedobrze. Dookoła jazgot strzałów, nie ma żywej duszy.

A jęk rozrósł się i niczym nóż dźgnął Jakuba Grigoriewicza w serce.

Przygarbiona staruszka, mamusia Jakuba Grigoriewicza, wyjrzała z sypialenki, zawołała:

— Jasza! Wiesz? To już!

I myśli Jakuba Grigoriewicza koncentrowały się w jednym punkcie: na samym rogu Milionnej, na narożnym domku przed pustą parcelą wisiał sobie zacisznie rdzawy szyldzik ze złotymi literami:

E. T. Szadurska

Akuszerka

Ale na Milionnej jest dość niebezpiecznie, choć to tylko przecznica, a strzelają z placu Pieczerskiego w kierunku Kijowskiego Zjazdu.

Żeby tylko przez Milionną. Żeby tylko... Przekrzywiona czapka, w oczach przerażenie, Jakub Grigoriewicz Feldman klei się do murów.

— *Styj! Ty kudy?*

Hałańba pochylił się w siodle. Feldman pociemniał na twarzy, oczy mu zaczęły skakać. Skakały w oczach zielone jedwabne chwasty hajdamaków.

— *Ja, panowe, spokojny obywatel. Żinka rodzi. Do babki treba.*

— *Do babki? A czemu ż ce ty pid stinoju chowajeszsia? a? ż-żydu?...*

— *Ja, panowe...*

Nahajka jak żmija smagneła fokowy kołnierz i kark. Piekielny ból. Wrzasnął Feldman. Jak przedtem pociemniał, tak się teraz zrobił biały, zwidziała mu się między chwaściskami żonina twarz.

— *Poswidczenia!*

Feldman wyciągnął porfel z dokumentami, otworzył go, wyjął pierwszy arkusik i nagle zadygotał, teraz dopiero uświadomił sobie... ach. Boże, Boże mój! Co on narobił? Co pan im, Jakubie Grigoriewiczu, pokazuje?

Ale czyż to człowiekowi w głowie takie głupstwa, kiedy wybiega z domu na pierwszy jęk z sypialni żony? O, biada Feldmanowi! Hałańba błyskawicznie zawładnął dokumentem. Taki mały, cieniutki papierek z pieczętką — a w tym papierku Feldmanowa śmierć.

Okazicielowi niniejszego, panu Feldmanowi Jakubowi Grigoriewiczowi, zezwala się na swobodny wjazd i wyjazd z Miasta w sprawach związanych z zaopatrywaniem jednostek pancernych z garnizonu Miasta, a także na poruszanie się po ulicach po godzinie dwudziestej czwartej.

Szef zaopatrzenia generał-major Illarionow

Adiutant — porucznik Leszczyński.

Feldman dostarczał generałowi Kartuzowowi słoninę i smar do dział. Boże, uczynć cud!

— *Pane sotnyk, ce ne toj dokument!...* Niech pan pozwoli...

— Ten, ten — z diabelskim uśmiechem powiada Hałańba. — Nie martw się, my piśmienni, przeczytamy sami.

Boże! Uczynć cud. Jedenaście tysięcy karbowańców... Wszystko niech biorą. Niech tylko zostawią przy życiu! Spraw to! Szema Jisroel!

Nie sprawił.

Dobrze przynajmniej, że Feldman miał lekką śmierć. Spieszyło się setnikowi Hałańbie. Więc po prostu ciął Feldmana szablą w głowę.

9

Pułkownik Bołbotun, mając siedmiu zabitych i dziewięciu rannych i straciwszy siedem koni, przeszedł pół wiorsty od placu Pieczerskiego do ulicy Reznikowskiej, i tam znowu się zatrzymał. Nagle słabnąca junkierska tyraliera otrzymała posiłki. Przyjechała też jedna pancerka. Szary niezgrabny żółw z wieżyczkami przywłókł się Moskiewską i po trzykroć przewalił nad Pieczerskiem łoskot z ogonem komety przypominającym szelest suchych liści (trzycalówka). Bołbotun migiem się spieszył, koniowodni odprowadzili konie w zaułek, pułk Bołbotuna rozwinął się w tyralierę, cofnął odrobinę w stronę placu Pieczerskiego i rozpoczęła się ospała wymiana strzałów. Żółw ryglował Moskiewską, grzmiał z rzadka. Na każdy grzmot odpowiadały niezdecydowane, nieskładne salwy od wylotu ulicy Suworowa. Leżała tam w śniegu wyparta z placu Pieczerskiego ogniem Bołbotuna tyraliera razem z posiłkami, które otrzymała w taki oto sposób:

— Dr-r-r-r-r-r-r-r-r-r-r...

— Pierwsza drużyna?

— Tak, słucham.

— Wysłać natychmiast na Pieczersk dwie kompanie oficerskie.

— Rozkaz. Drrrrr... Ti... Ti... ti... ti...

I przyszło na Pieczersk czternastu oficerów, trzech junkrów, jeden student, jeden kadet i jeden aktor z teatryku rewiewego.

Niestety. Jedna rzadka tyraliera to oczywiście za mało. Nawet jeśli przyjdzie jej w sukurs jeden złotw. Powinny były nadpelznąć aż cztery złotwie. I kategorycznie stwierdzić tu należy, że gdyby przyszły, to pułkownik Bołbotun zmuszony byłby wynieść się z Pieczerska. Ale nie przyszły.

A stało się tak dlatego, że do hetmańskiego dywizjonu pancerek, składającego się z czterech cudownych samochodów pancernych, trafił na dowódcę wozu numer dwa znamienity praporszczyk Michał Siemionowicz Szpolanski, ten sam, któremu w maju roku tysiąc dziewięćset siedemnastego Aleksander Fiodorowicz Kiereński osobiście przypinał Krzyż Świętego Jerzego.

Michał Siemionowicz był czarny, starannie wygolony, miał aksamitne baczki i odznaczał się nadzwyczajnym podobieństwem do Eugeniusza Oniegina. Już wkrótce po jego przyjeździe z Sankt-Petersburga znało Michała Siemionowicza całe Miasto. Michał Siemionowicz zasłynął jako znakomity recytator swych własnych wierszy z tomu *Krople Saturna*, które deklamował w klubie „Marność”, a także jako doskonały organizator poetów oraz prezes miejskiego zakonu poetyckiego „Magnetyczny Triolet”. Oprócz tego Michał Siemionowicz niezrównany był jako orator, poza tym umiał prowadzić każdy samochód, zarówno wojskowy jak i cywilnego typu, poza tym utrzymywał balerinę z opery. Musię Ford. i jeszcze jedną damę, której imienia nikomu jako dżentelmen nie zdradzał.

Miał Michał Siemionowicz mnóstwo pieniędzy i szczerze rozpożyczał je na prawo i lewo członkom „Magnetycznego Trioletu.”

Pijał białe wina,

grywał w faraona i diabełka,

kupił płótno *Wenecjanka w kąpieli*,

noce spędzał na Kreszczatiku,

przedpołudnia w *cafe „Bilboquet”*,

dnie w swoim przemiłym apartamencie w najlepszym hotelu „Continental”,

wieczory — w „Marności”,

nad ranem pisał dzieło naukowe pt. *Rola intuicji w twórczości Gogola*. Hetmańskie Miasto przestało istnieć trzy godziny wcześniej, niż powinno, właśnie dlatego, że Michał Siemionowicz wieczorem drugiego grudnia roku tysiąc dziewięćset osiemnastego powiedział w „Marności” do Stiepanowa, Szejera, Słonycha i Czeremszyna (wodzirejów „Magnetycznego Trioletu”), co następuje:

— To zgraja łajdaków. I hetman, i Petlura. Ale Petlura na domiar wszystkiego urządzi pogromy. Zresztą nie to jest najważniejsze. Nudzi mi się, bo dawno już nie rzucałem granatów.

Kiedy w „Marności” dobiegła końca kolacja, za którą zapłacił Michał Siemionowicz, odprowadzał go, Michała Siemionowicza, odzianego w kosztowne futro z bobrowym kołnierzem, w cylindrze, cały „Magnetyczny Triolet” oraz ktoś piąty jeszcze — pijany człowiek w palcie podbitym futerkiem z kozy. Szpolanski wiedział o nim niewiele — że więc, po pierwsze, ma syfilis, po drugie — że jest autorem bogoburczych wierszy, które Michał Siemionowicz, jako człowiek mający rozległe znajomości literackie, zamieścił w jednym z moskiewskich almanachów, po trzecie zaś — że nazywa się Rusakow, a jego ojciec jest bibliotekarzem.

Syfilityk łkał w swoje kozie futerko pod latarnią elektryczną na Kreszczatiku i wczepiając się w bobrowe mankiety Szpolanskiego mówił: — Szpolanski, jesteś najsilniejszym w tym mieście, które gnije teraz tak samo jak ja. Jesteś tak piękny, że można ci wybaczyć nawet twoje nieznośne podobieństwo do Oniegina. Słuchaj, Szpolanski... To nie wypada — być podobnym do Oniegina. Ty jesteś zbyt zdrowy... Nie masz w sobie tej uszlachetniającej skazy, dzięki której mógłbyś się stać rzeczywiście wybitną postacią naszych czasów... Ja, na przykład, gniję i jestem z tego dumny... Tyś zanadto zdrów, ale mocnyś jak śruba... Więc się wkrecaj tam!... Wkrecaj się na górę!... O, tak...

I syfilityk pokazał, jak to należy robić. Objął latarnię i rzeczywiście zaczął się wokół niej owijać, w niepojęty sposób zrobił się cienki i długi jak wąż. Mijały ich prostytutki w zielonych, czerwonych, czarnych i białych kapelusikach, piękne jak laleczki, wesoło mruczały do śruby:

— Zaprawiłeś się, t-twoja mać?!

Gdzieś bardzo daleko strzelały armaty i Michał Siemionowicz, wśród padającego w świetle latarni elektrycznej śniegu, rzeczywiście podobny był do Oniegina.

— Idź spać — mówił do wirującego syfilityka, uchylając się nieco, żeby tamten nie kaszlnął mu w twarz. — Idź... — Koniuszkami palców trącał kozie palto w pierś. Rękawiczki z czarnej gienzy dotykały wytartego

szewiotu, a oczy świdra były zupełnie szklane. Rozstali się. Michał Siemionowicz zatrzymał dorożkę, zawołał do dorożkarza: „Mało-Prowalna” — i odjechał, a kozie futerko chwiejnym krokiem, piechotką, ruszyło do domu, na Podół.

Nocą na Podole, w mieszkaniu bibliotekarza, stał przed lustrem z zapaloną świecą w dłoni obnażony do pasa właściciel koziego futerka. Strach jak chochlik skakał w jego oczach, ręce mu dygotały, syfilityk mówił i wargi mu drżały jak dziecku.

— Boże mój. Boże mój. Boże mój... to straszne, to straszne, to straszne... Ach, tamten wieczór! O, ja nieszczęsny. Przecież był ze mną Szejer, ale Szejer jest zdrów, nie zaraził się, bo ma szczęście. Może pójść i zabić tę Lelkę? Ale jaki w tym sens? Kto mi wytłumaczy, jaki to ma sens? O, Boże, Boże... Mam dwadzieścia cztery lata i mógłbym przecież, mógłbym... Minie piętnaście lat, a może nawet mniej, i — każda żrenica inna, nogi zupełnie miękkie, potem zacznie się kretyński bełkot, a w końcu będę gnijącym, mokrym trupem.

Chude, obnażone do pasa ciało odbijało się w zakurzonej tremie, kopeć narastał na trzymanej we wzniesionej dłoni świecy, a na piersiach widać było drobne, niewyraźne gwiazdozbiory wysypki. Po policzkach biegały niepowstrzymane łzy, nieszczęśnik chwiał się na nogach i drżał.

— Muszę się zastrzelić. Ale nie znajduję na to dość siły, czemuż mam Cię okłamywać. Panie Boże? Czemuż miałbym się okłamywać, moje odbicie? Wyjął z szuflady małego damskiego biureczka cienki tomik wydrukowany na najpodlejszym szarym papierze. Na okładce czerwone litery:

FANTOMIŚCI — FUTURYŚCI

poezy M. Szpolanskiego

B. Fridmana

W. Szarkiewicza

I. Rusakowa.

Moskwa 1918

Na stronie trzynastej otworzył książkę nieszczęsny syfilityk i ujrzał dobrze sobie znane linijki:

Iwan Rusakow

BOŻE ŁOŻE

w nieba pszestszeni

wpopszek drug

jak zwierzę co łapę ssie hrapie
wielki istny towarzysz papiesz
kudłaty niedzwieć
bug
łóże boże bruka gżeh
boga bij
liczę do tszeh
zoże w purpuże bożej bitfy
witam pszekleństwem słuł modlitfy

— Ach-a-a-ach — zaciskając zęby jęknął boleśnie. — Ach — powtórzył w niewypowiedzianej męce.

Z wykrzywioną twarzą plunął nagle na kartę z wierszem, cisnął książkę na ziemię, potem ukląkł i żegnając się, bijąc pokłony, dotykając zimnym czołem brudnych klepek posadzki, jął się modlić z oczyma wzniesionymi ku czarnemu nieubłaganemu oknu:

— Panie Boże, odpuść mi moje winy, wybacz, że napisałem te ohydne słowa. Ale dlaczego karzesz mnie aż tak surowo? Dlaczego? Ja wiem, że to kara. O, jakże straszliwie mnie ukarałeś! Popatrz, proszę, na moją skórę. Przysięgam Ci na wszystkie świętości, na wszystko, co mam najdroższego, na pamięć nieboszczki mamy, że ukarałeś mnie dostatecznie. Wierzę w Ciebie! Wierzę duszą, ciałem, każdym włóknom mózgu. Wierzę w Ciebie i tylko do Ciebie się uciekam, bo nie ma na całym bożym świecie nikogo, kto by mi mógł dopomóc. W Tobie jedynie moja nadzieja. Odpuść mi winę moją i spraw, żeby lekarstwa pomogły! Wybacz, iż myślałem, że nie istniejesz — gdyby Cię nie było, byłbym teraz żalonym, parszywym psem bez żadnej nadziei. Ale jestem człowiekiem i tylko Twoje istnienie sprawia, że czuję się silny, bo w każdej minucie mogę Cię błagać o pomoc i zmiłowanie. I wierzę, że usłyszysz moje błagania, że mnie wysłuchasz, odpuścisz mi i uzdrowisz mnie. Uzdrów mnie, panie Boże, puść w niepamięć te obrzydlistwa, które napisałem w chwili zaćmienia umysłu, po pijanemu, po kokainie. Nie pozwól mi zgnieć, a przysięgam, że znowu stanę się człowiekiem. Dodaj mi sił, wybaw mnie od kokainy, wybaw mnie od słabości ducha i wybaw mnie od Michała Siemionowicza Szpolanskiegp!...

Świeca opływała, w pokoju robiło się coraz zimniej, nad ranem skóra chorego pokryła się drobnymi pęcherzykami i zrobiło mu się znacznie lżej na sercu.

Michał natomiast, Siemionowicz Szpolanski, spędził resztę nocy na Mało-Prowalnej, w dużym, niskim pokoju, pod starym portretem, z którego

spoglądały nań zmatowiałe i nadgryzione zębem czasu epolety jeszcze z lat czterdziestych. Michał Siemionowicz bez marynarki, w białej batystowej koszuli i w imponującej, czarnej, głęboko wyciętej kamizelce, siedział na wąziutkiej kozetce i mówił do kobiety o bladej, matowej twarzy takie oto słowa:

— No więc, Julio, podjąłem ostateczną decyzję. Wstępuję do dywizjonu pancernego tego bydlaka hetmana.

Na co otulona siwą chustką z angory, wymęczona przed półgodziną pocałunkami namiętego Oniegina kobieta odpowiedziała tak:

— Bardzo mi przykro, ale nigdy nie rozumiałam twoich planów i nadal nie mogę ich zrozumieć.

Michał Siemionowicz wziął ze stojącego przed kozetką stolika smukły kieliszek aromatycznego koniaku, pociągnął, powiedział:

— To i lepiej.

W dwa dni po tej rozmowie Michał Siemionowicz uległ przeobrażeniu. Zamiast cylindra miał na głowie okrągłą czapkę garnizonową z oficerskimi dystynkcjami, zamiast cywilnej odzieży — krótki, do kolan zaledwie sięgający kożuszek, a na nim polowe naramienniki jak psu z gardła. Rękawice z rozcięciami, jakie nosi Marceli w *Hugonotach*, na nogach sztylpy. Michał Siemionowicz od stóp do głów umazany był smarami (włącznie z twarzą) i, nie wiadomo dlaczego, sadzą. Raz, a mianowicie dziewiątego grudnia, dwie pancerki wzięły udział w boju pod Miastem, przy czym, trzeba tu dodać, odniosły niebywały sukces. Przejechały szosą dwadzieścia wiorst, a petlurowska tyraliera, słysząc pierwsze wystrzały ich trzycalówek i jazgot cekaemów — zwiąła. Praporszczyk Straszkiwicz, rumiany entuzjasta i dowódca wozu numer cztery, przysięgał Michałowi Siemionowiczowi, że gdyby się rzuciło do walki równocześnie wszystkie cztery samochody, to zdołałyby one obronić Miasto. Rozmowa ta toczyła się dziewiątego wieczorem, jedenastego zaś, w obecności Szczura, Kopytowa i jeszcze kilku (celowniczy, dwaj kierowcy i mechanik), oficer dyżurny dywizjonu Szpolanski mówił o zmierzchu tak:

— Wiecie, przyjaciele, prawdę powiedziawszy, to jeszcze wielka niewiadoma, czy słusznie robimy, broniąc tego hetmana. Jesteśmy w jego rękach tylko kosztowną i niebezpieczną zabawką, przy pomocy której zaprowadza on tutaj rządy najczarniejszej reakcji. Kto wie, kto wie, może starcie Petlury z hetmanem jest historycznie słuszne, może z tego starcia zrodzi się trzecia siła historyczna i może to właśnie ona będzie jedyną

wyrazicielką racji historii.

Słuchacze uwielbiali Michała Siemionowicza za to samo, za co ubóstwiano go w klubie „Marność” — za niezrównany talent krasomówczy.

— Cóż to za siła? — cmoktając skręta zapytał Kopyłow. Niegłupi, krępy blondasek Szczur chytrze zmrużył oczy i mrugnął gdzieś ku północnemu wschodowi. Grupka porozmawiała jeszcze przez chwilę i rozeszła się. Dwunastego grudnia wieczorem odbyła się w tym samym wąskim gronie druga rozmowa z Michałem Siemionowiczem za szopami, w których garażowały pancerki. Nie wiadomo, czego owa rozmowa dotyczyła, dobrze za to wiadomo, że w przeddzień czternastego grudnia, kiedy w garażach dywizjonu dyżur mieli Szczur, Kopyłow i perkatonosy Pietruchin, Michał Siemionowicz przyszedł do szopy z dużą paczką owiniętą w papier pakowy. Stojący na warcie Szczur wpuścił go do garaży, gdzie paliła się wątła, czerwonawa, paskudna żarówka. Kopyłow zaś dość familiarnie mrugnął w stronę worka i zapytał:

— Cukier?

— Mhm — odpowiedział Michał Siemionowicz.

Latarka w szopie rozpoczęła wędrowkę pomiędzy samochodami, błyskała niczym oko, zatroskany Michał Siemionowicz wraz z mechanikiem przygotowywał wozy do wyznaczonej na dzień następny akcji.

Powodem był spoczywający u dowódcy dywizjonu kapitana Pleszko papier: „czternastego grudnia o ósmej rano podjąć czterema pancerkami działania na kierunku Pieczerska”.

Wspólne wysiłki Michała Siemionowicza i mechanika, którzy mieli przygotować samochody do walki, dały jakieś dziwne efekty. Trzy poprzedniego dnia zupełnie jeszcze zdrowe pancerki (czwarta pod dowództwem Straszkiwicza była w akcji) rankiem czternastego grudnia, jakby tknięte paralizem, nie mogły ruszyć z miejsca. Nikt nie umiał dojść, co im się stało. Gaźniki pozatykały się jakimś świństwem, nie pomagało przedmuchiwanie ich przy pomocy pompki do opon. Rankiem w mętным świetle brzasku wokół trzech pancerek trwała fraszobliwa krzątanina z latarkami. Kapitan Pleszko był blady, toczył okiem jak wilk i domagał się mechanika. Wtedy właśnie zaczął się łańcuch katastrof. Mechanik przepadł. Okazało się, że wbrew przepisom w dywizjonie jego adres jest absolutnie nie znany. Gruchnęła pogłoska, że mechanik nagle zapadł na tyfus plamisty. Było to o ósmej, a o ósmej minut trzydzieści na kapitana Pleszko spadł następny cios. Praporszczyk Szpolanski, który o czwartej nad ranem po przygotowaniu samochodów pojechał ze Szczurem na

motocyklu w stronę Pieczerska — nie wrócił. Szczur wrócił sam i opowiedział nader bolesną historię. Motocykl dojechał do Górnej Tieliczki i daremnie Szczur próbował tam odwieść praporszczyka Szpolanskiego od czynów nierozważnych. Wspomniany Szpolanski, znany w całym dywizjonie ze swej szaleńczej odwagi, zostawił Szczura przy motocyklu, sam zaś, wzięwszy karabin i granat ręczny, ruszył w pojedynkę w ciemność, w kierunku plantu kolejowego, na zwiady. Szczur słyszał strzały. Szczur jest święcie przekonany, że Szpolanski musiał się natknąć na strażę przednie nieprzyjaciela, które wdarły się do Tieliczki i, oczywiście, poległ w nierównej walce. Szczur czekał na praporszczyka przez dwie godziny, choć praporszczyk kazał mu czekać tylko godzinę, po czym wrócił do dywizjonu, aby nie narażać na niebezpieczeństwo siebie i służbowego motocykla numer 8175.

Wysłuchawszy relacji Szczura, kapitan Pleszko zbladł jeszcze bardziej. Ptactwo telefoniczne ze sztabu hetmana i generała Kartuzowa świergotało na wypródki i domagało się wysłania pancerek. O dziewiątej powrócił z pierwszej linii z czwartą pancerką rumiany entuzjasta Straszkiwicz i rumieniec jego udzielił się częściowo dowódcy dywizjonu. Entuzjasta skierował swój wóz na Pieczersk i ta to właśnie pancerka, jak już wspominaliśmy, zarygłowała ulicę Suworowa.

O dziesiątej rano bladość Pleszki utrwaliła się na dobre. Zniknęło bez śladu dwóch celowniczych, dwóch kierowców i jeden kaemista. Żadne próby uruchomienia pancerek nie dały rezultatu. Nie wrócił także z linii ognia wysłany tam przez Pleszkę na motocyklu Szczur. Nie wrócił, oczywiście, również i motocykl, no bo przecież sam wrócić nie mógł! Ptaszeta w telefonach przeszły do pogrózek. Im bardziej rozwidniał się dzień, tym więcej cudów wydarzało się w dywizjonie. Przepadli jak kamień w wodę artylerzyści Duwan i Malcew, zniknęło dwóch dalszych kaemistów. Pancerki przybrały teraz jakiś tajemniczy, zaniedbany wygląd, poniewierały się wokół nich klucze francuskie, mutry, jakieś wiadra.

A w południe, w południe zniknął sam dowódca dywizjonu kapitan Pleszko.

10

Dziwaczne przetasowania i przerzuty, raz spontaniczne, spowodowane warunkami i okolicznościami walki, innym razem związane z przyjazdem ordynansa i piskiem sztabowych skrzynek, przez trzy doby wodziły jednostkę pułkownika Naj-Tursa po śniegowych zaspach pod Miastem, od

Czerwonej Karczmy do Sieriebrianki na południu i do Rozjazdu Wołyńskiego na południowym zachodzie. Późnym wieczorem zaś, a raczej nocą z trzynastego na czternasty grudnia, jednostka ta znalazła się znowu w Mieście, w zaułku, w budynku opuszczonych koszar, w którym połowa szyb była powybijana.

Oddział pułkownika Naj-Tursa to był dziwny oddział. Każdego, kto go zobaczył, zdumiewały noszone przez żołnierzy walonki. Trzy dni temu oddział liczył mniej więcej stu pięćdziesięciu junkrów i trzech praporszczyków.

U generała-majora Błochina, dowódcy pierwszej drużyny, zjawił się na początku grudnia czarniawy, gładko wygolony kawalerzysta średniego wzrostu, o niepomiernie smutnych oczach, z dystynkcjami pułkownika huzarów, i przedstawił się jako pułkownik Naj-Turs, były dowódca drugiego szwadronu w byłym białogrodzkim pułku huzarów. Niepomiernie smutne oczy Naj-Tursa miały w sobie coś takiego, że każdy, kto się zetknął z utykającym pułkownikiem w sfatygowanym żołnierskim płaszczu ze spłowiałą baretką Świętego Jerzego, wysłuchiwał Naj-Tursa z największą uwagą. Generał-major Błochin po krótkiej rozmowie z Najem zlecił mu formowanie drugiego oddziału drużyny, wyznaczając termin sformowania jednostki na trzynastego grudnia. W zdumiewający sposób oddział został sformowany już do dziesiątego i tegoż dziesiątego pułkownik Naj-Turs, zawsze niezmiernie małomówny, zwięźle zameldował dręczonemu nieustannie przez sztabowe dzwonki generałowi-majorowi Błochinowi, że on, Naj-Turs, może już ze swymi junkrami ruszać do walki, pod tym wszakże warunkiem, że dostanie dla wszystkich stu pięćdziesięciu swoich ludzi papachy i walonki, bez których on, Naj-Turs, prowadzenie działań wojennych uważa za niemożliwe. Generał Błochin, po wysłuchaniu grasejującego lakonicznego pułkownika, skwapliwie wypisał mu pisemko do wydziału zaopatrzenia, uprzedzając jednak pułkownika, że z pewnością nie otrzyma niczego wcześniej niż za jakiś tydzień, bo w tych wydziałach zaopatrzenia i w sztabach to, panie, niewiarygodny bałagan, ogólna niemożność i jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Grasejujący Naj-Turs wziął pisemko, zastrzygł lewym przyciętym wąsem, jak to miał we zwyczaju, i nie zwracając głowy ani na prawo, ani na lewo (po odniesionej ranie miał sztywny kark i jeśli chciał popatrzeć w bok, musiał zwrócić się w tę stronę całym ciałem), opuścił gabinet generała-majora Błochina. W siedzibie drużyny na ulicy Lwowskiej Naj-Turs dobrał sobie dziesięciu junkrów (nie wiadomo po co kazał im wziąć ze sobą karabiny), zabrał też

dwie dwukółki i ruszył z nimi do wydziału zaopatrzenia.

W wydziale zaopatrzenia, który mieścił się w komfortowej willi na Bulwarno-Kudriawskiej, w zacisznym gabinecie, w którym wisiała mapa Rosji i zapomniany tu, od czasów gdy był tu punkt Czerwonego Krzyża, portret Aleksandry Fiodorowny, powitał pułkownika Naj-Tursa malutki, dziwnie rumiany generał-lejtnant Makuszyn odziany w szary tużurek. Spod kołnierza tużurka wyglądała czyściutka bielizna, która czyniła generała-lejtnanta niezmiernie podobnym do ministra Aleksandra II, Milutina.

Oderwawszy się od słuchawki, generał zapytał Naja dziecinnym głosem, przypominającym dźwięk glinianej świstawki:

— Czym mogę panu służyć, pułkowniku?

— Idziemy na front — lakonicznie odparł Naj. — Proszę o niezwłoczne wydanie papach i wahonek dla dwustu ludzi.

— Hm — powiedział generał. Poruszał wargami, obracał w dłoni skierowanie Naja. — Widzi pan, pułkowniku, dziś nic wydać panu nie możemy. Dziś sporządzamy plany zaopatrzenia jednostek. Zechce pan przysłać kogoś za jakieś trzy dni. Zresztą takiej ilości i tak panu wydać nie mogę.

Położył papier Naj-Tursa na widocznym miejscu, postawił na nim przycisk w kształcie nagiej kobiety.

— Wahonki — monotonicznie odparł Naj i zezując na czubek nosa popatrzył tam, gdzie znajdowały się czubki jego butów.

— Proszę? — generał nie zrozumiał, wlepił w pułkownika zdziwione oczy.

— Natychmiast wydać wahonki.

— Co takiego? Jak to? — wybałuszył oczy generał.

Naj odwrócił się ku drzwiom, uchylił je i krzyknął w ciepły korytarz willi:

— Phuton, do mnie!

Generał zbladł, poszarzał, z twarzy Naja przeniósł spojrzenie na słuchawkę telefonu, potem na ikonę z Matką Boską w kącie pokoju, potem znowu na twarz Naja.

W korytarzu zahuczało, zagrzmiało, czerwone otoki aleksiejewskich junkierskich czapek i czarne bagnety wypełniły drzwi. Generał jął się podnosić z pulchnego fotela.

— Pierwszy raz słyszę coś takiego... To bunt...

— Proszę o hożkaz wydania wahonek, wasze phewoschoditehstwo — powiedział Naj. — Czasu bhak, za godzinę huszamy. Whóg, jak shyszę, jest o dwa khoki.

— Co takiego?... Co to ma znaczyć?...

— Phędzej — powiedział Naj jakimś takim pogrzebowym tonem. Generał

wtulił głowę w ramiona, wytrzeszczył oczy, wyciągnął papier spod naguski, rozdygotanym piórem wydrapał w rogu rozbryzgując atrament: „Wydać.”

Naj wziął papier, wsunął go za wyłóg rękawa i powiedział do junkrów, którzy tymczasem zabłócili dywan:

— Pobhać wahonki. Phędko.

Junkrzy z łomotem i stukotem zaczęli wychodzić, Naj nie śpieszył się. Purpurowy generał powiedział doń:

— Zaraz zadzwonię do sztabu głównodowodzącego i wniosę o postawienie pana przed sądem wojskowym. T-to c-coś...

— Niech pan sphóbuje — odparł Naj i przełknął ślinę. — Niech pan tylko sphóbuje. No, z phostej ciekawości. — Ujął sterczącą z rozpiętej kabury rękojeść rewolweru. Generał pokrył się plamami i zaniemówił.

— Dzwon, ghupi stahuchu — nieoczekiwanie lirycznie powiedział Naj.

— Jak ci zadzwonię z cohta w heb, to kopyta wyciągniesz.

Generał klapnął na fotel. Jego szyja utonęła w purpurowiejących fałdach, twarz nadal była szara. Naj odwrócił się i wyszedł.

Generał przez kilka chwil siedział w skórzanym fotelu, potem przeżegnał się w stronę ikony, ujął słuchawkę telefonu, podniósł ją do ucha, usłyszał przygłuszone, intymne „centrala”. Nieoczekiwanie przywidziały mu się na jawie żałobne oczy grasejującego huzara, odłożył słuchawkę, wyjrzał przez okno. Zobaczył krzątających się na dziedzińcu junkrów, którzy wynosili z czarnych wrót szopy szare wiązki walonek. Na czarnym tle widać było sołdecką mordę kompletnie osłupiałego podoficera gospodarczego. Trzymał w ręku papier. Naj stał rozkraczony obok dwukółki, patrzył, jak ładują walonki. Generał słabnącą dłonią wziął z biurka dzisiejszą gazetę, rozłożył ją i na pierwszej stronie przeczytał:

Nad rzeką Iрпиęń starcia z patrolami nieprzyjaciela, które usiłowały dotrzeć do Swiatoszyna... —

Odrzucił gazetę, powiedział głośno:

— Niechaj przeklęty będzie dzień i godzina, kiedy się w to wdałem...

Otworzyły się drzwi, wszedł kapitan podobny do spłoszonego skunksa z amputowanym ogonem, zastępca szefa zaopatrzenia. Popatrzył znacząco na purpurowe fałdy nad generalskim kołnierzykiem i powiedział:

— Melduję się posłusznie, panie generale.

— Widzi pan, Włodzimierzu Fiodorowiczu — przerwał mu generał z trudem łapiąc oddech i smutnie tocząc spojrzeniem. — Źle się poczułem... To chyba uderzenie krwi do głowy... hm... Pojadę teraz do domu, a pan zechce mnie tu uprzejmie zastąpić.

— Rozkaz — zerkając z zaciekawieniem odparł skunks. — Ale co mam robić? Czwarta drużyna i strzelcy górscy domagają się walonek. Pan był łaskaw kazać wydać dwieście par...

— Tak. Tak! — przenikliwie odparł generał. — Tak, kazałem! Ja! Osobiście! Wydałem! W drodze wyjątku! Oni dziś ruszają na front. Tak jest. Na linię ognia. Tak!

Ogniki zaciekawienia roziskrzyły się w oczkach skunksa.

— Mamy zaledwie czterysta par...

— Co ja na to poradzę? No, co? — wrzasnął ochryple generał. — Mam urodzić, czy jak? Urodzę wam walonki? Urodzę? Jeśli ktoś się zgłosi — wydawajcie, wydawajcie, wydawajcie!

W pięć minut później dorożka odwiozła generała Makuszyna do domu.

W nocy z trzynastego na czternasty ożyły zamarłe koszary w zaułku Brzesko-Litewskim. W wielkiej zaniesionej błotem sali zapłonęła lampa elektryczna na ścianie między oknami (w dzień junkrzy wisieli na słupach i latarniach, przeciągali jakieś druty). W kozłach stało półtorej setki karabinów, na zabłoconych pryczach pokotem spali junkrzy. Naj-Turs siedział przy kulawym, zbitym z desek stole zawalonym pajdami chleba, menażkami z wystygłą nie dojedzoną wodnistą zupą, ładownicami i łódkami nabojuowymi, przed sobą miał rozłożony kolorowy plan Miasta. Mała kuchenna lampka rzucała smugę światła na zadrukowany papier, Dniepr wyglądał jak granatowe, rozgałęzione, uschnięte drzewo.

Koło drugiej w nocy sen zaczął morzyć Naja. Sapał przez nos, kilkakrotnie pochylał się nad planem, jak gdyby czemuś na nim chciał się przyjrzeć dokładniej. Wreszcie zawołał cicho:

— Junkieh!

— Jestem, panie pułkowniku — dobiegło od drzwi i junkier szurając walonkami podszedł do lampy.

— Idę tehasz spać — powiedział Naj. — Za trzy godziny phoszę mnie obudzić. W hazie tehefonoghamu obudzicie phapohszyka Zahowa, on mnie, w zaheżności od theści tehefonoghamu, obudzi hub nie.

Żadnego telefonogramu nie było... W ogóle tej nocy sztab nie zakłócali spokoju oddziałowi Naja. O świcie oddział wyruszył z trzema cekaemami i trzema dwukółkami, rozciągnął się na jezdni. Przedmiejskie domki jak gdyby wymarły. Ale kiedy znaleźli się na szerokiej ulicy Politechnicznej, zastali na niej spory ruch. W świetle wczesnego poranka jechały turkoczące furmanki, sunęły w pojedynkę szare papachy. Wszystko to kierowało się do Miasta i wymijało oddział Naja z niejakim lękiem.

Rozwidniało się powoli i nad sadami podmiejskich domów, nad wyjeżdżoną, wydeptaną szosą podnosiła się i rozwiewała mgła.

Od tego to świtu aż do trzeciej po południu oddział Naja znajdował się na Politechnicznej, u jej wylotu z miasta, bowiem przed południem przyjechał jednak czwartą dwukółką junkier z łączności i przywiózł Najowi karteczkę z napisaną ołówkiem dyspozycją ze sztabu:

„Zająć pozycje obronne na szosie Politechnicznej, a w razie ukazania się nieprzyjaciela, nawiązać walkę.”

Nieprzyjaciela tego Naj-Turs zobaczył po raz pierwszy o trzeciej po południu, kiedy w dali, na lewo od szosy, na ośnieżonym placu należącym do jednostki wojskowej ukazało się wielu naraz jeźdźców. Był to właśnie pułkownik Kozyr-Leszko, który zgodnie z dyrektywami pułkownika Toropca zamierzał osiągnąć szosę i tędy przedostać się do centrum Miasta. Prawdę mówiąc, Kozyr-Leszko, który dotąd nie napotkał na żaden opór, nie tyle nacierał na Miasto, ile wjeżdżał do Miasta, wjeżdżał zwycięsko, z fantazją, doskonale bowiem wiedział, że za jego pułkiem podąża jeszcze kureń konnych hajdamaków *połkownyka* Sosnienko, dwa pułki błękitnej dywizji, pułk strzelców siczowych oraz sześć baterii. Kiedy na placu ukazały się konne punkciki, szrapnele zaczęły rwać się wysoko, po żurawiemu, w zgęstniałym, zapowiadającym śnieżycę niebie. Konne punkciki uformowały się we wstęgę i zajmując całą szerokość szosy zaczęły puchnąć, czernieć, rosnać i potoczyły się na Naj-Tursa. Szczęk zamków przetoczył się po tyralierach junkrów, Naj wyjął gwizdek, gwizdnął przeraźliwie i zawołał:

— Do naciehajęcej kawahehii... Sahwami!... Ognia!

Iskra przeleciała po szarej linii tyralier, junkrzy wysłali w kierunku Kozyra pierwszą salwę. Po trzykroć jeszcze rozdzierała się sztuka płótna od samych niebios aż po mury politechniki i po trzykroć z błyskawicznym smagnięciem dawał ognia Naj-Tursowy batalion. Czarne konne wstęgi w dali załamały się, rozsypały, zniknęły z szosy.

Wtedy to właśnie coś stało się z Najem. Prawdę mówiąc, nie było w oddziale nikogo, kto widział dotąd choć raz, żeby Naj się bał, a teraz junkrzy odnieśli wrażenie, że pułkownik dojrzał jakieś niebezpieczeństwo gdzieś na niebie, a może usłyszał coś w dali... dość, że wydał rozkaz odwrotu w kierunku śródmieścia. Jeden pluton pozostał i strzelał z zapalem wzdłuż szosy osłaniając plutony, które się wycofywały. Potem sam także jął odbiegać. Biegł tak przez dwie wiorsty, przypadając do ziemi i budząc echami wielką drogę, dopóki nie znaleźli się na rogu tego właśnie zaułka Brzesko-Litewskiego, przy którym spędzili poprzednią

noc. Skrzyżowanie było zupełnie martwe, nigdzie ani żywego ducha. Tu Naj wybrał trzech junkrów i dał im rozkaz:

— Biegiem na Pohową i na Bohszczagowską, zohientujcie się, gdzie są nasi i jak tam u nich. Jeśli napotkacie fuhy, dwukółki albojakiekhwiek inne śhodki thanspohtu, to je przyphowadźcie. W hazie opohu zaghozić użyciem bhoni, jeśli to nie wystahczy — zhobić z niej użytek...

Junkrzy pobiegli z powrotem i w lewo, zniknęli z oczu, a od czoła nagle, nie wiadomo skąd, zaczęły razić oddział kule. Zastukotały po dachach, coraz to gęściej, junkier z tyraliery upadł twarzą w śnieg, śnieg poczerwieniał od krwi. I drugi junkier z jękiem zwałił się przy karabinie maszynowym. Tyraliery Naja rozciągnęły się, zaczęły głośno jazgotać wzdłuż ulicy szybkim, ciągłym ogniem witając wstające czarnoksięskim sposobem jak spod ziemi ciemniejące tyraliery nieprzyjaciela. Podniesiono rannych junkrów, rozwinęły się białe bandażę. Naj z całej mocy zacisnął szczęki. Coraz to częściej i częściej zwracał się całym ciałem to w lewo, to w prawo, starając się wypatrzeć, co tam na obu flankach, i wystarczało spojrzeć na jego twarz, żeby zobaczyć, jak niecierpliwie czeka na powrót wysłanych junkrów. Nadbiegli wreszcie ziając jak zgonione charty, chrypiąc i rżąc. Naj czekał w napięciu, twarz mu pociemniała. Pierwszy junkier dobiegł, stanął przed nim i łapiąc powietrze powiedział:

— Panie pułkowniku, żadnych naszych oddziałów nie ma ani na Szulawce, ani w ogóle nigdzie — złapał oddech. — Na naszych tyłach słyhać cekaemy, a przed chwilą nieprzyjacielska konnica przeszła przez Szulawkę, jakby wchodziła do Miasta...

Słowa junkra w tejże sekundzie zagłuszył przeraźliwy gwizdek Naja. Trzy dwukółki z turkotem pogalopowały w zaułek Brzesko-Litewski, wypadły na Fonarny, popędziły po kocich łbach. Uwoziły dwóch rannych junkrów, piętnastu zdrowych z bronią i wszystkie trzy karabiny maszynowe. Więcej na dwukółki załadować się nie dało. Naj-Turs zaś odwrócił się twarzą do swych tyralier i dźwięcznie, grasejując, wydał junkrom rozkaz, jakiego nigdy jeszcze nie słyszeli, dziwny rozkaz...

W odrapanym, nieznośnie nagrzanym budynku dawnych koszar na Lwowskiej zadręczał się trzeci oddział pierwszej pieszej drużyny złożony z dwudziestu ośmiu junkrów. Najciekawsze w tej udreće było to, że dowódcą udreńczonych był Nikołka Turbin we własnej osobie. Dowódca oddziału sztabskapitan Bezrukow i dwaj jego zastępcy w stopniu praporszczyków rano pojechali do sztabu i dotąd nie wrócili. Nikołka,

jefrejtor, a więc najstarszy tu rangą, snuł się po koszarach, coraz to podchodził do telefonu i spoglądał na czarną słuchawkę.

Tak zeszło do trzeciej po południu. Twarze junkrów wreszcie posmutniały. Ech... ech...

O trzeciej zapiszczał telefon polowy.

— Czy to trzeci oddział drużyny?

— Tak.

— Zawołajcie dowódcę.

— Kto mówi?

— Ze sztabu...

— Dowódca nie wrócił.

— Kto mówi?

— Podoficer Turbin.

— Wy jesteście najstarszy?

— Tak jest.

— Natychmiast poprowadźcie ludzi zgodnie z marszrutą.

I Nikołka zebrał dwudziestu ośmiu ludzi i poprowadził ich ulicą.

Do drugiej po południu Aleksiej Wasiliewicz spał jak zabity. Obudził się jakby obłany wodą, spojrzął na leżący na krześle zegarek, zobaczył, że jest za dziesięć druga i zaczął się miotać po pokoju. Naciągnął walonki, pośpiesznie, ciągle o czymś zapominając, upchał po kieszeniach zapalki, papierośnicę, chustkę do nosa, browning i dwa magazynki, zaciągnął jak najciaśniej pas na szynelu, potem coś sobie przypomniał, ale się zawahał — to, o czym pomyślał, wydało mu się małodusznym, poniżającym aktem tchórzostwa, a jednak wyjął z szuflady swoją cywilną legitymację lekarską. Obracał ją przez chwilę w dłoniach, postanowił, że weźmie ją ze sobą, ale w tej właśnie chwili zawołała go Helena i zapomniał o dokumencie, legitymacja została na stole.

— Posłuchaj. Heleno — mówił Turbin, zapinał pas, niecierpliwiał się, serce ścisnęło mu się od niedobrych przeczuć, cierpiał na myśl, że Helena zostanie sama z Aniutą w wielkim, pustym mieszkaniu. — Nie ma rady. Nie mogę tam nie pójść. Ale miejmy nadzieję, że nic mi się nie stanie. Dywizjon nie odejdzie dalej niż na przedmieścia, a ja zainstaluję się w jakimś bezpiecznym miejscu. Może Bóg i Nikołkę uchroni. Słyszałem dziś rano, że sytuacja jest obecnie nieco poważniejsza, no, ale może odeprzemy Petlurę. No, zegnaj, dowidziska...

Samotna Helena chodziła po opustoszałym salonie, od pianina, na którym trwał nadal ciągle jeszcze nie odłożony feeryczny Walenty, do drzwi gabinetu Aleksieja. Parkiet poskrzypywał pod jej nogami. Twarz miała

nieszczęśliwą.

Na rogu swej krzywej ulicy i Włodzimirskiej Turbin umawiał sanki. Woźnica zgadzał się go zawieźć, ale, sapiąc ponuro, wymienił kwotę zgoła fantastyczną i widać było, że nie opuści. Turbin zgrzytając zębami wsiadł do sań i pojechali w kierunku muzeum. Brał mróz.

Serce Aleksieja Wasiliewicza przepełniał niepokój. Jechał i wsłuchiwał się w daleki terkot kulomiotów, fale tego terkotu dobiegały od strony politechniki, przesuwały się jak gdyby w kierunku dworca. Zastanawiał się, co też to może znaczyć (wizytę Bołbotuna w południe Turbin przespał), kręcąc głową obserwował trotuary. Panował na nich wielki acz niespokojny i gorączkowy ruch.

— Stój... st... — powiedział pijany głos.

— Co to ma znaczyć? — gniewnie zapytał Turbin.

Woźnica tak ściągnął lejce, że o mało co nie zwałił się Turbinowi na kolana. Obok chomąta tańczyła czerwona twarz, jakiś człowiek trzymał za wodze i przesuwał się wzdłuż nich w stronę kozła. Na kozuchu pobłyskiwały zmięte naramienniki praporszczyka. Z odległości arszyna owionął Aleksieja ciężki odór wódki i cebuli. W ręku praporszczyka chwiał się karabin.

— Zaw... zaw... zawracaj — powiedział czerwony pijak. — Wysa... wysadzaj pasażera... — Słowo „pasażer” nagle czerwonemu wydało się zabawne, zachichotał.

— Co to ma znaczyć? — gniewnie powtórzył Turbin. — Nie widzi pan, kim jestem? Jadę na punkt zborny. Proszę puścić konie. Ruszaj!

— Zaraz, jakie ruszaj?... — groźnie zaczął czerwony i teraz dopiero, mrugając, zauważył dystynkcje Turbina. — A, pan doktor, no, to może razem... dosiądę się...

— Nie będzie panu po drodze... Ruszaj!

— Prze-e-praszam bardzo...

— Ruszaj!

Woźnica wciskał głowę w ramiona, chciał zaciąć konia, jednak zmienił zamiar, odwrócił się, złowrogo i zarazem lękliwie zezując na czerwonego. Ale tamten nagle sam się odczepił, zobaczył inne, wolne sanki. Wolny dorożkarz chciał odjechać, nie zdążył jednak. Czerwony oburącz podniósł karabin, pogroził mu. Dorożkarz stanął jak wryty, zaś czerwony potykając się i czkając powlókł się ku niemu.

— Żebym wiedział, tobym nie pojechał nawet za pięćset — wściekle mruczał woźnica smagając kłęby klaczy. — Strzeli taki w plecy i co mu zrobisz?

Turbin milczał posepnie.

„Co za bydlę... Właśnie tacy okrywają hańbą całą sprawę” — rozmyślał gniewnie.

Na skrzyżowaniu przed operą — krzątania, ruch. Na samym środku, na torowisku tramwajowym stał karabin maszynowy, przy nim na posterunku niziutki przemarznięty kadet w czarnym szynelu i w nausznikach, obok niego junkier w szarym szynelu. Przechodnie jak muchy łazili grupkami po trotuarach, ciekawie patrzyli na cekaem. Turbin zwolnił sanki na rogu koło apteki, stąd już widać było muzeum.

— Należałoby coś dołożyć, wasze wysokobłagorodije — z natarczywą złością mówił dorożkarz. — Żebym wiedział, tobym za nic nie pojechał. Widzi pan, co się dzieje!

— Wystarczy.

— Dlaczego wplątują w to dzieci... — dobiegł kobiecy głos.

Turbin dopiero teraz zobaczył grupę uzbrojonych ludzi przed muzeum. Falowała, gęstniała. Między połami szynelów niewyraźnie mignęły kulomioty stojące na trotuarze. W tej właśnie chwili zakipiał cekaem z Pieczerska.

Wra... wra... wra... wra... wra... wra... wra...

„Zdaje się, że tam jest niezły bigos” — myślał strapiony Turbin i, przyspieszwszy kroku, ruszył przez skrzyżowanie w kierunku muzeum.

„Czyżbym się spóźnił?... Ładna historia... Mogą pomyśleć, że uciekłem...” Praporszczycy, junkrzy, kadeci, bardzo nieliczni żołnierze wrzeli, biegali w podnieceniu przed gigantycznym frontonem muzeum, przed wyłamaną boczną bramą prowadzącą na dziedziniec gimnazjum Aleksandra. Wielkie szyby w drzwiach dygotały co minutę, drzwi jęczały, do krągłego białego budynku muzeum, na którego frontonie pyszniła się wyłaczana inskrypcja:

„Oświata rękomią pomyślności ludu rosyjskiego”

wbiegali uzbrojeni, zatrwożeni, rozgorączkowani junkrzy.

— Boże! — zawołał mimo woli Turbin. — Nie ma ich już! Haubice patrzyły nań w milczeniu, samotne, opuszczone, stały tam, gdzie wczoraj.

„Nic nie rozumiem... Co to znaczy?”

Turbin, sam nie wiedząc, dlaczego to robi, pobiegł przez plac w kierunku dział. Olbrzymiały w miarę, jak się do nich zbliżał, patrzyły nań groźnie. Oto pierwsza haubica. Zatrzymał się i osłupiał: nie miała zamka. Pośpiesznie przebiegł plac z powrotem i znowu wybiegł na ulicę. Kipiał tu jeszcze gęstszy tłum, młodzi ludzie wołali coś, wielu naraz, płasły

sterczące bagnety.

— Trzeba czekać na Kartuzowa! Tyle wam powiem! — wykrzykiwał dźwięczny, niespokojny głos. Jakiś praporszczyk przebiegł Turbinowi drogę. Turbin zobaczył, że tamten dźwiga na plecach żółte siodło, majtały się strzemiona.

— Oddać polskiemu legionowi.

— Ale gdzie on jest?

— A diabli wiedzą!

— Wszyscy do muzeum! Wszyscy do muzeum!

— Na Don!

Praporszczyk nagle stanął, cisnął siodło na chodnik. — Niech to piorun spali! Niech to piekło pochłonie! — krzyknął z nienawiścią. — Ach, sztabowcy!...

I wygrażając komuś pięściami, skoczył gdzieś w bok.

„Katastrofa... Teraz rozumiem... Ale najstraszniejsze, że oni z pewnością poszli z samymi karabinami. Tak, tak, tak... Na pewno. Widocznie Petlura niespodzianie podszedł pod Miasto. Nie mieli koni, więc poszli bez działa... Ach, Boże mój... trzeba czym prędzej do Anjou... Może tam się czegoś dowiem... Na pewno się dowiem, ktoś przecież musiał zostać?”

Turbin wypadł z kłębiącego się tłumu i na nic już nie zwracając uwagi pobiegł z powrotem w stronę opery. Suchy wiatr uderzył nagle w asfalt okalającej budynek teatru alejki, zaszeleścił na wpół zerwany afisz na murze przy czarnookiennym wejściu bocznym. *Carmen. Carmen.*

Otóż i Anjou. Na wystawach nie ma armat, za szybami nie ma złotych naramienników. W szybach drżą chwiejne odbłaski ognia. Pożar? Pod naciskiem dłoni Turbina drzwi zadzwoniły, ale nie ustąpiły. Turbin zapukał zaniepokojony. Zastukał. Jeszcze raz. Za szybą drzwi ukazała się szara postać, drzwi otworzyły się. Turbin znalazł się w sklepie. Zbity z pantałyku wpatrywał się w nieznanego. Nieznajomy miał na sobie czarny studencki płaszcz, czarną, nadgryzioną przez mole uszankę. uszy czapki związane były na ciemieniu. Twarz dziwnie znajoma, ale jakby jakaś odmieniona, zeszpecona. Piec huczał wściekle, pożerał jakieś papierzyska. Cała podłoga usłana była papierami. Nieznajomy, który wpuścił Turbina, bez słowa powrócił do pieca, przykucnął przy nim, szkarłatne odbłaski ognia przelatowały mu po twarzy.

„Małyszew? Tak, to pułkownik Małyszew” — poznał wreszcie Turbin.

Pułkownik nie miał wąsów. Zamiast wąsów był kawałek gładko wygolonej skóry.

Małyszew szerokim zamachem ręki zgarnął z podłogi arkusze papieru i wepchnął je do piecyka.

„Aha...a.”

— Cóż to? Koniec? — głucho zapytał Turbin.

— Koniec — lakonicznie odparł pułkownik, poderwał się, podbiegł do biurka, omiół je uważnym spojrzeniem, trzasnął raz i drugi szufladę, wysuwał ją i zasuwiał, schylił się szybko, podniósł z podłogi ostatni plik papierów i wsunął te papiery do pieca. Dopiero potem odwrócił się do Turbina i dodał z ironicznym spokojem: — Powojowaliśmy i starczy tego dobrego. — Sięgnął w zanadrze, gorączkowo wyciągnął portfel, przejrzał w nim dokumenty, jakieś dwa papierki podał na strzępy i wrzucił do ognia. Turbin przez cały czas obserwował go. Małyszew teraz wcale nie wyglądał na pułkownika. Turbin miał przed sobą studenta ze skłonnością do tycia, aktora z zespołu amatorskiego o wydatnych malinowych wargach.

— Doktorze! Na co pan czeka? — Małyszew niespokojnie wskazał ramiona Turbina. — Niechże pan to czym prędzej odpruje. Co pan wyprawia? Skąd pan idzie? Czy pan nic nie wie?

— Spóźniłem się, pułkowniku — zaczął Turbin.

Małyszew uśmiechnął się wesoło. Potem nagle uśmiech zniknął mu z twarzy, z poczuciem winy i niepokoju pokręcił głową, powiedział:

— Ach, mój Boże, przecież to przeze mnie! Wyznaczyłem panu tę godzinę... Pan pewnie nie wychodził dziś z domu? No, dobrze. Nie pora teraz o tym mówić. W dwóch słowach: niech pan czym prędzej zerwie te dystynkcje i ucieka, trzeba się ukryć.

— Co się stało? Niech pan powie, na miłość boską, co się stało?

— Co się stało? — ironicznie a wesoło powtórzył pytanie Małyszew. — Stało się to, że Petlura wszedł do miasta. Jest już na Pieczersku, jeśli nie na Kreszczatiku. Zdobył miasto. — Małyszew nagle wyszczerzył zęby, spojrzał gdzieś w bok i nieoczekiwanie jął mówić nie jak aktor z amatorskiego teatryku, ale jak dawny pułkownik Małyszew. — Sztaby nas zdradziły. Jeszcze rano trzeba było rozpuścić wszystkich. Dobrze, że dzięki życzliwym mi osobom dowiedziałem się o wszystkim jeszcze w nocy i zdążyłem rozpuścić dywizjon do domów. Doktorze, nie czas na rozmowy, niech pan zrywa naramienniki.

— ...ale tam, w muzeum, w muzeum...

Małyszew spochmurniał.

— Nie moja rzecz — odparł, rozdrażniony. — Nie moja sprawa! Teraz już nic mnie więcej nie obchodzi. Byłem tam przed chwilą, krzychałem, ostrzegałem, prosiłem, żeby uciekali. Nic więcej zrobić nie mogę. Wszystkich moich uratowałem. Nie posłałem ich na rzeź! Na hańbę nie posłałem! — Małyszew nagle zaczął krzyczeć histerycznie, coś w nim

widocznie przelało się, coś pękło, nie mógł się już dłużej utrzymać w ryzach. — Och, generalicja! — Zacisnął pięści, komuś wygrażał. Twarz mu spurpurowiała.

Tymczasem gdzieś wysoko na zewnątrz rozszczękał się cekaem, wydawało się, że wielka sąsiednia kamienica zadygotała.

Małyszew otrząsnął się, przycichł od razu.

— No, doktorze, w nogi! Żegnam. Niech pan ucieka! Ale nie ulicami, tędy, tylnym wejściem, a potem przez podwórka. Tam jest otwarte. Prędeż! Małyszew uściśnął dłoń oszołomionego Turbina, odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnym korytarzyku za przepierzeniem. W sklepie od razu zapanowała cisza. A na dworze zamilkł kulomiot.

Nadeszła samotność. W piecyku spopielwały się papiery. Turbin, nie bacząc na okrzyki Małyszewa, wolno i jakoś ospale podszedł do drzwi. Zamknął je na haczyk, wrócił do pieca. Mimo pokrzykiwań Małyszewa działał niespiesznie, nogi miał jak z waty, myśli były ospale, nieposłuszne. Rzetelny ogień pożarł papierzyska, czeluść piecyka, przed chwilą jeszcze wesoła i płomienista, przygasła, była teraz czerwona, w sklepie od razu pociemniało. Półki lgnęły do ścian, rzucały szarawe cienie. Turbin powiódł po nich spojrzeniem i leniwie stwierdził, że u madame Anjou jeszcze do tej pory pachnie perfumami.

Myśli w głowie Turbina zbiły się w nieforemny kłęb, przez czas jakiś patrzył bezmyślnie w korytarzyk, w którym zniknął bezwąsy pułkownik. Potem w ciszy kłębek ów stopniowo się rozwikłał. Wskoczył zeń strzęp najważniejszy, najjaskrawszy: Petlura jest tuż-tuż. „Peturra, Peturra” — cicho powtórzył sobie Turbin i, sam nie wiedząc czemu, uśmiechnął się. Podszedł do lustra między oknami, przesłonięte było warstwą kurzu niczym taftą.

Papier dogorywał, ostatni czerwony jęczyczek muskał go jeszcze, wreszcie zagasał na podłodze. Zrobiło się mrocznie.

— Petlura, cóż za barbarzyństwo... Rzeczywiście, ten kraj jest skazany na zagładę — mruknął w półmrok sklepu Aleksiej, ale zaraz się opamiętał:

— O czym ja teraz myślę? Przecież lada chwila mogą tu wpaść jak nic...

I, śpiesząc się, jak Małyszew przed wyjściem, zaczął jak oparzony odpruwać pośpiesznie naramienniki. Trzasnęły nitki Helenine, zostały mu w dłoniach dwa podłużne srebrne kawałki pociemniałego, sztywnego materiału — to z bluzy, a z szynelu — dwa następne. Popatrzył na nie, przez moment obracał je w dłoniach, chciał je wsunąć do kieszeni, zachować na pamiątkę, ale uświadomił sobie, jakie to może być niebezpieczne i postanowił je spalić. Materiału na rozpałkę nie brakowało, chociaż Małyszew spalił już wszystkie dokumenty. Turbin zgarnął z podłogi sporą przygarść jedwabnych ścinków. wsunął je do pieca, podpalił. Znowu po ścianach sklepu i po podłodze biegać zaczęły

spotworniałe cienie, znowu ożył na chwilę lokal madame Anjou. Srebrzyste naramienniki w płomieniach zwijały się i wydymały niczym rybie pęcherze, zrobiły się smagłe, zbrunatniały, potem skurczyły się, zbiegły, zmały...

Powstał problem istotny i ważki — co z drzwiami? Zostawić otwarte czy może zamknięte na haczyk? A nuż nagle przybiegnie tu jeszcze któryś z ochotników, spóźniony jak Turbin — nie będzie się miał nawet gdzie skryć w razie czego! Turbin otworzył drzwi z haczyka, potem poraziła go nagła myśl — co z legitymacją, czy aby jest? Chwycił się za jedną kieszeń, za drugą — no tak, nie ma. Zapomniałem wziąć dokumenty, to doprawdy niewybaczalne. A jeśli się na nich nadzieję? Szary szynel, tak... Zapytają kto zacz? Lekarz... Ale jak to im udowodnię? Ach, przekłete roztargnienie!...

„Prędzej!” — podszepnął głos wewnętrzny.

Turbin bez zwłoki rzucił się w głąb sklepu i tą *samą* drogą, którą uciekł pułkownik Małyszew, wybiegł w ciemny korytarzyk za małymi drzwiczkami, stamtąd zaś tylnym wejściem na podwórze.

11

Posłuszny głosowi z telefonu podoficer Turbin Mikołaj wyprowadził na ulicę dwudziestu ośmiu junkrów i przez całe Miasto przeprowadził ich zgodnie z wyznaczoną marszrutą. Marszruta przywiodła Turbina i jego junkrów na wymarłe skrzyżowanie ulic. Nie było tam żywej duszy, straszny za to panował hałas. Dookoła — w niebiesiech, po dachach, po murach — były karabiny maszynowe.

Nieprzyjaciel najwidoczniej musiał być gdzieś niedaleko, był to bowiem ostatni i zarazem końcowy punkt podany przez głos z telefonu. Żadnego wszelako nieprzyjaciela na razie widać nie było i Nikołka co nieco się stracił — co dalej? Jego junkrzy — trochę pobladli, ale nieodmiennie jak i ich dowódca dzielni — zalegli w tyralierze na zaśnieżonej ulicy, a celowniczy Iwaszyn przysiadł w kucki obok swego cekaemu, na trotuarze, nad flizą rynsztoka. Junkrzy podnosząc głowy znad ziemi z napięciem patrzyli na przedpole, czekali, co też będzie dalej.

Przywódca ich natomiast zatopiony był w myślach tak ważnych i ważkich, że aż zmizerniał i przybladł. Paraliżował przywódcę, po pierwsze, brak na skrzyżowaniu tego wszystkiego, co mu tu obiecywał głos z telefonu. Na skrzyżowaniu tutejszym Nikołka powinien był zastać oddział z trzeciej drużyny i „wesprzeć go”. Żadnego wszelako oddziału nie było. Nie było też śladu po takowym.

Po drugie, zbijano Nikołkę z tropu, że bitewny werbel kulomiotów chwilami dolatywał nie tylko od przodu, gdzie jasne, nieprzyjaciel, ale także z lewej, a nawet chyba jakby od tyłu. Po trzecie, Nikołka bał się, że zacznie się bać i przez cały czas sprawdzał siebie: „Czy się boję?” — „Nie, nie boję się” — odpowiedział mu dziarski głos gdzieś w głowie i Nikołka z tej radości, że odważniejszy jest, jak się okazuje, niż przypuszczał, bladł jeszcze bardziej. Radość i duma przemieniały się w myśl, że jeśli jego, Nikołkę, zabiją, to pogrzeb będzie obowiązkowo z muzyką. Po prostu — spływa ulicą biała, przykryta białą, haftowaną kapą trumna, a w tej trumnie leży on. poległy na polu chwały w walkach o Miasto podoficer Turbin; twarz ma jak z wosku, wyszlachetniała. szkoda, że teraz nie dają krzyżów, bo podoficer Turbin bez wątpienia miałby na piersiach i krzyż, i wstęgę Świętego Jerzego. Baby stoją przed bramą. „Czyj to pogrzeb, kochanieńkie?” — pytają baby. „Podoficera Turbina.” — „Ach, jaki to był przystojny chłopak...” I muzyka. W boju, wiecie, miło jest polec. Byleby się tylko człowiek nie męczył przed śmiercią. Rozmyślania o muzyce i orderach nieco uprzyjemniły niepewne wyczekiwanie na nieprzyjaciela, który widocznie nie usłuchał głosu w telefonie i ani mu było w głowie pokazać się junkrom.

— Musimy tu czekać — powiedział do junkrów Nikołka starając się, żeby jego głos zabrzmiał jak najpewniej, głos ten aliści nie brzmiał nazbyt pewnie, bo wszystko dookoła było trochę nie takie, jakby należało, jakieś absurdałne. Gdzie jest oddział? Gdzie jest nieprzyjaciel? Dziwne, strzelają jakby na naszych tyłach?

Wreszcie doczekał się waleczny dowódca, doczekał się jego legion. Z przecznicy wiodącej od skrzyżowania w stronę szosy Brzesko-Litewskiej nieoczekiwanie zagrzmiały strzały, posypały się z zaułka w szalonym galopie szare sylwetki. Biegły prosto na Nikołkowych junkrów, karabiny sterczały we wszystkie strony.

„Zaszli od tyłu?” — zagrzmiało Nikołce w głowie, zerwał się, nie wiedział, jaką podać komendę. Ale zaraz dostrzegł złote plamki na ramionach tego i owego spośród biegnących, zrozumiał, że to swoi.

Rośli, ociążali, spoceni od biegu konstantynowscy junkrzy w papachach zatrzymali się nagle, przyklękli na jedno kolano i z bladym błyskiem dali dwie salwy w zaułek, w stronę, z której przybiegli. Potem poderwali się i rzucając karabiny runęli przez skrzyżowanie, obok oddziału Nikołki. W biegu zrywali naramienniki, ładownice i pasy, rzucali to wszystko w śniegowe koleiny. Krępy, szary, rosły junkier dobiegł do oddziału Fikołki, zwrócił ku nim głowę i krzyknął dźwięcznie poprzez zadyszkę:

— Uciekajcie, uciekajcie z nami! Ratuj się, kto może!

Oszołomiona tyraliera Nikołkowych junkrów wstawała powoli. Nikołka zgłupiał ze szczętem, ale błyskawicznie wziął się w garść, przeleciało mu przez głowę: „Oto chwila, kiedy można zostać bohaterem!”, i zawołał swym przenikliwym głosem:

— Nie wstawać! Czekać na rozkaz!

„Co oni robią?” — pomyślał rozjuszony Nikołka.

Konstantynowcy — a było ich ze dwudziestu — wybiegli z zaułka bez broni, rozpierzchli się po przecznicy, czyli po zaułku Fonarnym, niektórzy zakołatali do pierwszej napotkanej bramy. Straszliwie gruchotnęły żelazne wierzeje, żołnierskie buty załomotały pod echowymi sklepieniami bramy. Następna grupa do następnej bramy. Zostało zaledwie pięciu i tych pięciu biegnąc coraz prędzej pomknęło zaułkiem Fonarnym i zniknęło w oddali.

Wreszcie wybiegł na skrzyżowanie ostatni uciekinier, na ramionach jeszcze miał pobladłe złote naramienniki. Spojrzenie Nikołki wyostrzyło się w jednej chwili. Nikołka rozpoznał w biegnącym dowódcę drugiego oddziału pierwszej drużyny pułkownika Naj-Tursa.

— Panie pułkowniku! — wrzasnął na jego widok Nikołka z konfuzją, ale i z radością w głosie. — Pańscy junkrzy uciekają jak zające.

Wtedy stało się coś potwornego. Pułkownik Naj-Turs wbiegł na rozdeptane skrzyżowanie w szynelu z obu stron podkasany na wzór francuskich piechociarzy. Wymięta czapka ledwie mu się trzymała na czubku głowy, przytrzymał ją tylko pasek pod brodą. W prawej ręce Naj-Turs zaciskał colta, a nie zapięta kabura uderzała go po biodrze. Szczeciniasta, od dawna nie golona twarz groźna była, oczy zezowały w kierunku nosa, teraz z bliska wyraźnie widoczne były na ramionach huzarskie zygzaki. Naj-Turs podbiegł do Fikołki, wznosił lewą wolną rękę i zdarł Jefrejtorowi najpierw lewy, a potem prawy naramiennik. Doskonale woskowane nici pękły z traskiem, prawy naramiennik wyrwał się z szynelu razem z mięsem. Nikołką tak szarpnęło, że momentalnie przekonał się, jakie Naj-Turs ma zdumiewająco silne ręce, z rozpędu usiadł na czymś miękkim, to miękkie wyskoczyło spod niego z wrzaskiem i okazało się być kaemistą Iwaszynem. Potem zatańczyły naokoło powykrzywiane twarze junkrów, wszystko poleciało w diabły. Nikołka w owej chwili nie dostał obłądu tylko dlatego, że zabrakło mu na to czasu, tak szybka bowiem była reakcja pułkownika Naj-Tursa. Pułkownik odwrócił się tak, że stał twarzą do rozbitego plutonu i niezwyčajnym, niesłychanym, rozgrasejowanym głosem szczechnął komendę. Nikołka

pomyślał przesadnie, że taki głos musi być słycać o dziesięć wiorst, a już w całym mieście to na pewno.

— Juunkhowie! Wykonać mój rozkaz, zehwać naramienniki, oznaki, ładownice, rzucić bhoń! Fonahnym i przechodnimi bhamami na Hozjezdną. na Podoi! Na Podo! Hwijcie po dhodze dokumenty, hozphoszcie się, ukhyjcie. wszystkich napotykanych po dhodze zabiehajcie ze sobą! Potem Naj-Turs machnął coltem i zagrzmiął jak trąbka kawaleryjska:

— Fonahnym! Tylko Fonahnym! Ukhywajcie się po domach! Walka skończona! Biegiem mahsz!

Przez kilka sekund pluton nie mógł przyjść do siebie. Potem junkrzy zrobili się zupełnie, ale to zupełnie biali. Iwaszyn na oczach Nikołki odrywał naramienniki, poleciały w śnieg ładownice, karabin ze stukotem pojechał w zaspę po lodowatym garbie chodnika. Nie minęło pół minuty, a na skrzyżowaniu poniewierały się chlebaki, pasy, czyjaś rozdarta czapka, zaułkiem Fonarnym odbiegali junkrzy. wpadali do bram po prawej, prowadzących na Rozjezdną, przechodnich.

Naj-Turs zamasyście wbił colta do kabury, poskoczył do cekaemu w rysztoke, skulił się. przysiadł, odwrócił lufę w stronę, z której przybiegł, lewą ręką poprawił taśmę. Przykucnięty odwrócił się do Fikołki, zagrzmiął wściekle:

— Głuchy jesteś? Szohuj!

Dziwna pijana ekstaza wydzwignęła się skądś z brzucha Nikołki, momentalnie zaschło mu w gardle:

— Nie zamierzam, panie pułkowniku — odparł drewnianym głosem.

Też przykucnął, oburącz ujął taśmę, założył ją do kulomiotu.

W dali, tam, skąd przybiegły resztki Naj-Tursowego oddziału, ukazało się nagle kilku konnych. Niewyraźnie widać było, że konie tańczą pod nimi, jakby się bawiły, że jeźdźcy mają w rękach szare główne szabel. Naj-Turs zacisnął rękojeści, kulomiot zagrzmiął: ar-ra-paa, umilkł, znowu szczeknął, a potem rozszczekał się długą serią. Z lewej i z prawej natychmiast zawrzały dachy wszystkich okolicznych domów. Do konnych postaci dołączyło jeszcze kilku jeźdźców, ale potem jednego z nich cisnęło gdzieś w bok, w okno domu, inny koń stanął dęba, dziwnie wysoki był, sięgał nieomal do pierwszego piętra. Kilku jeźdźców w ogóle zniknęło, potem w mgnieniu oka przepadli, jakby się ziemia pod nimi rozstała, także i pozostali kawalerzyści.

Naj-Turs odciągnął rękojeści, pogroził pięścią niebu, oczy mu się rozświeciły. krzyknął:

— Chłopców! Malców!... Ściehwa sztabowe!... Odwrócił się do Fikołki, zawołał głosem, który Nikołce wydał się tkliwy niczym kawaleryjska

trąbka:

— W nogi. duhniu! Uciekaj stąd, słyszysz?

Obejrzał się i zobaczył, że nie widać już żadnego junkra, potem przerzucił spojrzenie ze skrzyżowania w dal, na ulicę równoległą do szosy Brzesko-Litewskiej, wykrzyknął z bólem i wściekłością:

— O. choleha!

Nikołka też odwrócił głowę i też, zobaczył, że daleko, jeszcze daleko, na Kadeckiej, koło mizernego, niepokąźnego, zasypanego śniegiem bulwaru ukazały się ciemne szeregi, teraz przypadały do ziemi. Potem szyld dokładnie nad głowami Naj-Tursa i Turbina, na rogu zaułka Fonarnego:

Lekarz dentysta

Berta Jakowlewna

Princ — Metali

klasnął, gdzieś za zamkniętą bramą poleciały z okien szyby. Nikołka zobaczył na trotuarze kawałki tynku. Podskoczyły, potoczyły się. Nikołka wlepił pytające spojrzenie w pułkownika Naj-Tursa, chciał się dowiedzieć, jak też należy rozumieć te oddalone szeregi i ten tynk. A pułkownik Naj-Turs dziwnie zareagował. Podskoczył na jednej nodze, drugą szurnął jak w walcu i wyszczerzył się jak na balu w zaskakującym uśmiechu. Następnie okazało się, że pułkownik Naj-Turs leży na trotuarze u stóp Nikołki. Czarna mgła zasnuła mózg Nikołki, kucnął i nieoczekiwanie dla samego siebie sucho, bez łez załkał i zaczął ciągnąć pułkownika za ramiona próbując go podnieść. Wtedy zobaczył, że lewym rękawem wypływa z pułkownika krew, a oczy dowódcy patrzą w niebiosy.

— Panie pułkowniku, panie...

— Jefhejtoh — wyrzekł Naj-Turs, przy czym krew popłynęła mu z ust na brodę, a głos wyciekał z niego po kropli słabnąc z każdą sylabą. — Przestańcie, do cholehy. sthugać giehoja, ja umieham... Mało-Phowalna... Nic ponadto nie zechciał wyjaśnić. Jego dolna szczęka jęła się poruszać. Poruszyła się tak trzy razy, zadrżała spazmatycznie, jakby Naj się dławił. Potem znieruchomiła, pułkownik zrobił się ciężki jak duży wór mąki.

„To tak się umiera? — pomyślał Nikołka. — Niemożliwe. Dopiero przed chwilą był żywy. W boju to nie jest straszne, jak widać. A mnie jakoś nie trafili...”

„Lek...

sta” —

zatrzepotało nad głową po raz drugi, jeszcze gdzieś poszły szyby. „Może

tylko zemdłał?" — w popłochu bezsensownie pomyślał Nikołka i targnął pułkownikiem. Podnieść go nie był jednak w stanie. „Nie boję się?” — pomyślał i poczuł, że boi się nieprzytomnie. „Dlaczego? Dlaczego?” — zastanowił się i natychmiast zrozumiał, że boi się ze smutku i z samotności, że gdyby stał tu teraz obok niego pułkownik Naj-Turs, to nie byłoby mowy o strachu... Pułkownik Naj-Turs był wszakże najzupełniej znieruchomiały, żadnych już komend czy rozkazów nie wydawał, nie zwracał uwagi ani na to, że koło jego rękawa coraz bardziej powiększa się wielka czerwona kałuża, ani na to, że tynk na gzymsach domów kruszy się i osypuje jak oszalały. Nikołkę zaś ogarnęło przerażenie, że jest tak zupełnie samotny. Żadni jeźdźcy nie szarżowali już więcej z boku, ale wszyscy najwidoczniej byli przeciwko Nikołce, bo Nikołka był ostatni, był absolutnie sam... I samotność zmiotła Nikołkę ze skrzyżowania. Czołgał się na brzuchu, przebierał rękami, prawym łokciem, bo w prawej dłoni zaciskał Naj-Tursowego colta. Największy strach ogarnął go, kiedy był o dwa kroki od węgła. Teraz oto trafią w nogę, daleko się wtedy nie odczołgasz, przygalopują petlurowcy i zarąbią szablami. To przerażające — człowiek leży i rąbią go szablami. „Będę strzelał, jeżeli w colcie są naboje...” Raptem półtora kroku... byle tylko, byleby... już... i Nikołka jest za murem, w zaułku Fonarnym.

„Dziwne, okropnie dziwne, że mnie nie postrzelili. Po prostu cud. Doprawdy, Pan Bóg uczynił cud — podnosząc się myślał Nikołka — cud, ani słowa. Byłem świadkiem cudu. Katedra Notre-Dame. Wiktor Hugo. Co z Heleną? A Aleksiej? Jasne, skoro "zrywać naramienniki", to znaczy, że koniec.”

Nikołka zerwał się, cały oblepiony śniegiem, włożył colta do kieszeni szynelu i pomknął uliczką. Pierwsza zaraz brama po prawej ręce stała otworem. Nikołka wpadł pod dźwięczne jej sklepienie, wybiegł na mroczne, obskurne podwórko, z prawej — komórki z czerwonej cegły, z lewej sągi drzewa; pomyślał, że brama przejściowa musi być pośrodku, ślizgając się rzucił się tam i wpadł na mężczyznę w kozuchu. Najzwyczajniej. Ruda broda, maleńkie oczka, z których sączy się nienawiść. Perkaty nos, barankowa czapka, Neron. Ten w kozuchu, jak gdyby bawiąc się wesoło, objął Nikołkę lewym ramieniem, prawą zaś dłonią wczepił się w lewą jego rękę i usiłował mu ją wykręcić. Nikołka stracił się na moment. „Boże! Złapał mnie. nienawidzi... Petlurowiec...” — Ach, ty, ssynu! — wychrypiał rudobrody i zaparskał: — Dokąd? Stać! — potem wrzasnął raptem: — Trzymać go! Trzymać go! Łapaj junkra. Zerwał pagony i myśli, swołota, że go nikt nie pozna. Trzymaj go! Szaleństwo owładnęło Nikołką, zalało go od stóp do głów. Usiadł

gwałtownie, klapnął tak, że trzasnęła patka z tyłu na szynelu, odwrócił się i z nadludzką siłą wydarł się z rąk rudzielca. Przez sekundę nie widział go, bo był obrócony plecami, ale zaraz odwrócił się i znów go zobaczył. Rudobrody nie miał żadnej broni, nie był nawet wojskowym, był to po prostu cieć. Wściekłość jak niewiarygodnie czerwony koc przeleciała przed oczyma Nikołki i przemieniła się w niebywałą pewność siebie. Wiatr i mróz wpadły do otwartych ust, bo wyszczerzył się jefrejtor jak wilcze szczenię. Wydarł z kieszeni dłoń z coltem, pomyślał: „Zastrzele sukinsyna, byleby tylko colt był nabity.” Nie rozpoznał własnego głosu, tak bardzo ten głos brzmiał obco i strasznie:

— Zdychaj, ścierwo! — wychrypiał manipulując palcami po zawłóściach colta i kapnął się, że nie pamięta, jak się z czegoś takiego strzela. Rudożółty cieć widząc, że Nikołka ma broń, zrozpaczony i przerażony padł na kolana i zawył, cudownym sposobem przedzierzgając się z Nerona w zmiję:

— Aaa, wasze błagorodije! Wasze...

Mimo to Nikołka strzeliłby bez wątpienia, ale colt nie życzył sobie strzelać. „Nie nabity. Co za pech!” — przeleciało Nikołce przez myśl. Dozorca zasłaniał się ramieniem, krył się, jak umiał; jak przedtem klęczał. tak teraz przykucnął, odchylił się do tyłu i wył nieznośnie, dla Nikołki nie mogło być nic gorszego niż takie wycie. Fikołka, nie wiedząc, co począć, żeby zamilkła ta gromka czeluść w ryżej brodzie, wprawiony w rozpacz z powodu rewolweru, który nie chciał strzelać, jak waleczny kogut skoczył na stróża i rąbnął go z całej siły kolbą w zęby, ryzykując, że zastrzeli samego siebie. Wściekłość Nikołki minęła jak ręką odjął. Dozorca zaś poderwał się na równe nogi i uciekając wbiegł w tę właśnie bramę, którą Nikołka się tu dostał. Oszalały ze strachu cieć nie wył już, biegł ślizgając się po lodzie, potykając się, raz odwrócił głowę. Nikołka zobaczył wtedy, że połowa cieciorwej brody zrobiła się czerwona. I zniknął. Nikołka zaś mimo komórek pomknął do bramy, co wychodziła na Rozjezdną, a kiedy do niej dobiegł, ogarnęła go rozpacz. „To koniec. Za późno. Wpadłem. Boże, tego tylko brakowało, że colt nie strzela.” Nadaremnie targał ogromniastą klamką. Nic się nie dało zrobić. Ryży stróż, jak tylko przebiegli Naj-Tursowi junkrzy, zamknął bramę od Rozjezdnej i Nikołka miał teraz przed sobą przeszkodę zaiste nie do pokonania — gładką, sięgającą sufitu, jednolitą żelazną płaszczyznę. Odwrócił się, popatrzył ku górze, w niebo nader niskie i zgęstniałe, zobaczył ażurową drabinę przeciwpożarową na murze, wiodła na dach trzypiętrowej kamienicy. „Wleźć?” — pomyślał, i głupio przypomniał mu się kolorowy obrazek:

Nat Pinkerton w żółtym surducie, w czerwonej masce wspina się po takiej właśnie drabince. „E. Nat Pinkerton. Ameryka... a ja wleżę i co potem? Będę siedział na dachu jak idiota, a stróż tymczasem sprowadzi petlurowców. Wyda mnie ten Neron... Wybiłem mu zęby... Nie daruje!”

I rzeczywiście. Spod bramy wychodzącej na Fonarny usłyszał Nikołka rozpaczliwe nawoływania dozorczy: „Tutaj! Tutaj!” — i tupot kopyt. Nikołka zrozumiał: więc to tak — konnica Petlury wtargnęła do Miasta z flanki. Jest w tej chwili już w zaułku Fonarnym. Dlatego Naj-Turs tak naglił... na Fonarny wracać nie można.

Wszystko to dotarło do niego już wtedy, kiedy nie wiadomo w jaki sposób znalazł się na sągu dREW obok komórki pod murem sąsiedniego domu. Oblodzone polana uciekały mu spod nóg, Nikołka stracił równowagę, spadł, rozdarł nogawkę, dopadł do muru, wyjrzał, zobaczył za murem kubek w kubek takie samo podwórko. Było tak bardzo identyczne, że nie zdziwiłoby Nikołki, gdyby tam także wyskoczył na niego rudy Neron w półkożuszk. Nikt jednak nie wyskoczył. Nikołce od wstrząsu zaparło dech, usiadł na ziemi, w tejże chwili colt podskoczył mu w dłoni i ogłuszająco wypalił. Nikołka zdumiał się, zrozumiał: „Widocznie był zabezpieczony, teraz się odbezpieczył. Ładna historia.”

Niech to diabli. Tu też brama na Rozjezdną zamknięta. Na trzy spusty. Więc znowu przez mur. Ale tu, niestety, sągów nie ma. Nikołka przesunął bezpiecznik i włożył rewolwer do kieszeni. Wdrapał się na stertę potłuczonych cegieł, a potem piał się jak mucha po prostopadłym murze, wstawiał czubki butów we wgłębienia, w których w pokojowych czasach nie zmieściłaby się nawet kopiejka. Połamał paznokcie, do krwi starł sobie palce, ale wdrapał się na mur. Leżąc na nim brzuchem usłyszał za sobą przeraźliwy gwizd i głos Nerona z pierwszego podwórka, a tu, w trzecim podwórzu, z czarnego okna na pierwszym piętrze spojrziała na niego wykrzywiona z przerażenia twarz kobieca, zniknęła zaraz. Spadając z tego drugiego muru, trafił dość szczęśliwie — w zaspę, ale i tak coś mu chrupnęło w karku, łomotnęło pod czaszką. Nikołka pobiegł do bramy, huczało mu w głowie, przed oczyma latały czarne plamy.

Cudownie! Ta brama też była zamknięta, ale cóż to była za brama! Wzorzysta ażurowa krata. Nikołka wspiał się po niej niczym strażak, przelazł, zlazł, był na Rozjezdnej. Ulica była całkiem pusta, żywego ducha. „Odpocznę ćwierć minutki, nie dłużej, inaczej serce mi pęknie” — myślał Nikołka. połykał rozpalone powietrze. „Aha... dokumenty...” Wyciągnął z kieszeni bluzy plik podniszczonych zaświadczeń, podarł je. Rozleciały się jak płatki śniegu. Usłyszał, że z tyłu, od strony skrzyżowania, na którym pozostawił Naj-Tursa, zagrzmiał kulomiot, odpowiedziały mu kulomioty i salwy karabinowe przed Nikołką, stamtąd,

z Miasta. Więc to tak? Zajęli Miasto. W Mieście trwają walki. Katastrofa. Fikołka, ciągle jeszcze nie mogąc złapać tchu, oburącz otrzepywał się ze śniegu. Wyrzucić colta? Colta Naj-Tursa? Nie, za nic. Może uda się przemknąć. Przecież oni nie mogą być wszędzie jednocześnie...

Ciężko westchnął i czując, że nogi ma teraz osłabłe i nie tak posłuszne jak przedtem, pobiegł wymarłą Rozjezdną i szczęśliwie dotarł do rogu. skąd odchodziły dwie ulice — Luboczycka na Podół i Łowska, odchylająca się ku śródmieściu. Zobaczył tu kałużę krwi przy słupie ogłoszeniowym, koński nawóz, dwa porzucone karabiny i granatową czapkę studencką. Nikołka zrzucił swoją papachę, włożył tę czapkę. Była na niego za mała, wyglądał w niej głupio, zuchowato i bardzo cywilnie. Ot, przepędzony z gimnazjum nicpoń. Nikołka ostrożnie wyjrzał zza węgła na Łowską i bardzo daleko zobaczył roztańczoną konnicę z granatowymi plamami na papachach. Coś się tam działo, klaskały wystrzały. Pognał w Luboczycką. Tu po raz pierwszy zobaczył żywego człowieka. Po drugiej stronie ulicy biegła jakaś panusia w przekrzywionym kapeluszu z czarną woalką, machała szarym koszykiem, z koszyka usiłował się wyrwać oszalały kogut, wrzeszczał na całą ulicę: „pieturra, pieturra!” Z papierowej torby, którą trzymała w lewym ręku, przez dziurę sypały się na chodnik marchewki. Krzyczała i płakała, objęła się o mur. Przemknął jak wicher jakiś mieszczuch, żegnał się na wszystkie strony znakiem krzyża, krzyczał:

— Jezusie Nazareński! Wołod'ka. Wołod'ka! Petlura idzie! — Na końcu Łuboczyckiej kręciło się już wielu, pośpiesznie znikali w bramach. Jakiś mężczyzna w czarnym palcie oszalał ze strachu, dopadł do bramy, wsadził w kraty laskę, złamał ją z trzaskiem.

Czas zaś tymczasem leciał, leciał, okazało się, że zapada już zmierzch, więc kiedy Nikołka z Łuboczyckiej wypadł na Wolski Zjazd, na rogu zaszumiała, zabłysła latarnia elektryczna. W sklepiku opadły żaluzje, skryły jaskrawe pudełka z nadrukiem „proszek do prania”. Dorożkarz skracając za róg wjechał saniami w zaspę i teraz niemiłosiernie okładał batem klacz. Obok Nikołki uskoczył do tyłu trzypiętrowy dom o trzech bramach, a we wszystkich trzech bramach co chwila trzaskały drzwi, jakiś jegomość w palcie z fokowym kołnierzem przebiegł koło Nikołki, zawył w bramę:

— Piotr! Piotr! Czyś ty oszalał? Zamykaj! Zamykaj bramę!

W bramie zagrzmiały drzwi, na ciemnych schodach przenikliwy głos kobiety wołał:

— Petlura idzie, Petlura!

Im bardziej zbliżał się Niokołka do zbawczego, zaleconego przez Naj-Tursa Podolu, tym więcej ludzi pędziło, miotało się, gnało ulicami, ale strachu było już mniej, nie wszyscy też biegli w tym samym co on kierunku, byli i tacy, którzy pomykali w przeciwną stronę.

Tuż przy zejściu na Podol z bramy szarej kamienicy uroczyście wyszedł kadecik w szarym szynelu, miał białe naramienniki, a na nich złotą literę „W”. Kadecik miał perkaty nos. Oczy żwawo latały mu na wszystkie strony, wielkie karabinisko zarzucił na pasie na ramię. Przechodnie pędzili, patrzyli z przerażeniem na uzbrojonego kadeta, wiali. Kadet postął na chodniku wsłuchując się w strzelaninę w górnym Mieście z napoleońskim i czujnym wyrazem twarzy, pociągnął nosem, wybierał się dokądś. Niokołka ostro przyhamował, zboczył, napał piersią na kadecika, powiedział szeptem:

— Niech pan rzuci karabin i natychmiast się ukryje.

Kadecina drgnął, przeraził się, odskoczył, ale zaraz groźnie złapał za karabin. Niokołka jednak starym, wypróbowanym sposobem, napierając na tamtego nieustannie, wcisnął go do bramy, a tam, między dwójkiem drzwi, tłumaczył:

— Powtarzam, niech się pan schowa. Jestem junkrem. Katastrofa.

Petlura zdobył Miasto.

— Jak to... zdobył? — zapytał kadet i rozdziawił się, okazało się przy okazji, że z lewej strony brak mu jednego zęba.

— Zwyczajnie — odparł Niokołka, machnął ręką w kierunku górnego Miasta i dodał: — Słyszysz pan? Konnica Petlury na ulicach. Ledwie uszedłem z życiem. Niech pan rzuci karabin, biegnie do domu i uprzedzi wszystkich.

Kadet osłupiał i takiego osłupiałego zostawił go Niokołka w bramie, nie było czasu na pogawędki, skoro tamten taki niepojętny.

Na Podole nie czuło się tak wielkiego przerażenia, dość ożywiona bieranina trwała jednak i tu. Przechodnie przyśpieszali kroku, często zadzierali głowy, nasłuchiwali, bardzo często do bram i przed bramy wypadały kucharki pośpiesznie otulając się szarymi chustkami. W górnym Mieście nieustannie kipiały kulomioty. Ale o tej przedwieczornej godzinie czternastego grudnia znikąd już, ani z daleka, ani z bliska, nie było słycać armat.

Niokołka miał do przebycia długą drogę. Zanim przebrnął przez Podol, zmierzch do reszty opatulił mroźne ulice, bieraninę i niepokój wyciszył miękki śnieg, jego wielkie płatki opadały w świetlistych aureolach latarni. Zza rzadkiej siatki śniegu błyskały światła, jaśniało wesoło w sklepikach i sklepach, nie we wszystkich jednak, niektóre ociemniały już. Śnieg walił

coraz większy. Kiedy Nikołka doszedł do swojej ulicy, do stromego Aleksiejewskiego Zjazdu i piał się nim pod górę. przed bramą pod siódmym zobaczył taki obrazek: dwóch chłopaczków w szarych szydełkowych kurtkach i czapczkach zjechało przed chwilą z góry na sankach. Jeden — mały, okrągły jak kulka, oblepiony śniegiem — siedział na sankach i zaśmiewał się. Drugi — trochę starszy, szczupły, poważny — rozplątywał węzeł na sznurku. Przed bramą stał wyrostek w kozuchu i dłuwał w nosie. Strzelaninę słyszeć było teraz wyraźniej. Wybuchala tam, na górze, w najróżniejszych punktach miasta.

— Waśka, Waśka, ale się rąbnąłem tyłkiem o słup! — krzyknął mały. „Najspokojniej sobie jeżdżą” — ze zdziwieniem pomyślał Nikołka i uprzejmym tonem zapytał wyrostka:

— Przepraszam bardzo, co to za strzały tam na górze?

Chłopak wyjął palec z nosa. zastanowił się, powiedział przez nos:

— Nasi oficerów tłuką.

Nikołka popatrzył nań spode łba i mimo woli dotknął rękojeści colta w kieszeni. Starszy chłopak powiedział gniewnie:

— Załatwiają oficerów. Dobrze im tak. W całym Mieście ich ośmiuset. z czym do gości? Przyszedł Petlura, a on ma milion żołnierzy. Odwrócił się i pociągnął sanki.

Zaraz się rozchyliła kremowa stora między werandą a małą jadalnią. Zegar... tonk... tank...

— Aleksiej wrócił? — zapytał Helenę Nikołka.

— Nie — odpowiedziała i rozplakała się.

Ciemno. Ciemno w całym mieszkaniu. Tylko w kuchni lampa... Aniuta siedzi i płacze, łokcie oparła na stole. Jasne, martwi się o Aleksieja Wasiliewicza... W sypialni Heleny płoną w piecu drwa. Z nie domkniętych drzwiczek pieca osypują się odblaski, ogniście tańczą po podłodze. Helena opłakała już Aleksieja, siedzi na taborecie, wsparła policzek na pięści.

Nikołka na podłodze u jej stóp w czerwonej plamie płomienia, nogi rozrzucił jak nożyce.

Bołbotun... pułkownik. Dziś przed południem mówiono u Szczegłowów, że to ponad wszelką wątpliwość wielki książę Michał Aleksandrowicz. A w ogóle w tym półmroku, w tych odblaskach ognia panuje rozpacz. Cóż da opłakiwanie Aleksieja? Płacz nic oczywiście nie pomoże. Zabili go, na pewno zabili. Wszystko jest jasne. Petlura nie bierze jeńców. Skoro nie przyszedł, to znaczy, że razem z dywizjonem wpadł w ich ręce i zabili go.

Najstraszniejsze, że Petlura, jak mówią, ma osiemset tysięcy doborowego, najlepszego żołnierza. Oszukali, posłali na pewną śmierć...

Ale skąd się wzięła ta straszliwa armia? Zrodziła się z mroźnych mgieł w kłującym, granatowym powietrzu zmierzchu... Mgła... mgła... mgliście...

Helena wstała, wyciągnęła rękę.

— Niech będą przekłęci Niemcy! Niech moje przekleństwo spadnie na ich głowy! Jeśli Pan Bóg ich nie ukarze, to znaczy, że nie ma sprawiedliwości. Czy być może, żeby uszli bezkarnie? O, nie ujdą. Będą się jeszcze męczyli tak samo jak my teraz, o, będą.

Uparcie powtarzała „będą”, jakby to miało być zaklęcie. Po jej policzkach i szyi błędziły szkarłatne odblaski, puste oczy kipiały czarną nienawiścią. Nikołka jeszcze szerzej rozsunął nogi, słowa Heleny napełniły go smutkiem, wprawiły w rozpacz.

— Może jednak żyje? — zapytał nieśmiało. — Pamiętaj, że bądź co bądź jest lekarzem... Jeśli go nawet złapali, to może jednak nie zabiją, może wezmą do niewoli.

— Będą jedli koty, będą się mordowali nawzajem, jak my teraz — z mocą mówiła Helena i pełna nienawiści groziła palcem płomieniom.

„Ech... ech... niemożliwe, żeby Bołbotun był wielkim księciem. Niemożliwe, żeby mieli osiemset tysięcy ludzi, a tym bardziej milion... A zresztą — mgła... Oto nadeszły straszliwe czasy. A Talberg ma głowę na karku, w porę wyjechał. Ogień tańczy po podłodze. A przecież, były kiedyś spokojne czasy, piękne kraje. Taki Paryż na przykład i Ludwik ze świętym obrazkiem na kapeluszu. Podchodził Clopin Trouilletou i grzał się przy takim samym ogniu. I nawet jemu, nędzarzowi, było dobrze. Słowo daję, nigdy i nigdzie nie było takiego ohydneho ścierwa jak ten rudy dozorca Neron. Pewnie, że nienawidzą nas wszyscy, ale tamten to prawdziwy szakal! Żeby rękę wykręcać...”

I oto nagle na dworze zagrzmiały działa. Nikołka zerwał się. zaczął biegać po pokoju.

— Słyszysz? Słyszysz? Słyszysz? Może to Niemcy? Może sojusznicy przyszli z odsieczą? Kto to może być? Petlura przecież nie może ostrzeliwać Miasta, które już zdobył.

Helena przytuliła ręce do piersi, powiedziała:

— Niko, ja cię w żadnym wypadku nie puszcę. Nie puszcę. Błagam cię, nie wychodź nigdzie. Miejże rozum.

— Doszedłbym tylko do tego placyku przy cerkwi Świętego Andrzeja. popatrzę, posłucham. Stamtąd widać przecież cały Podol.

— Dobrze, idź. Jeżeli możesz w takiej chwili zostawić mnie samą, to idź.

Nikołka zmieszał się.

— No, to wyjdę tylko nu podwórze, posłucham.

— Idę z tobą.

— Lenka, a jeżeli wróci Aleksiej? Przecież nie usłyszemy dzwonka.

— Nie usłyszemy. I to będzie twoja wina.

— W takim razie, Lenka, daję ci słowo honoru, że z podwórza nie ruszę się ani na krok.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— Nie wyjdiesz za furtkę? Nie wleziesz na górę? Będziesz na podwórku?

— Słowo honoru.

— To idź.

Czternastego grudnia roku tysiąc dziewięćset osiemnastego wyjątkowo wielki śnieg padał i zaścielał Miasto. I te dziwne, nieoczekiwane armaty strzelały o dziewiątej wieczór. Strzelały tylko przez piętnaście minut.

Śnieg tajał Nikolce za kołnierzem, Nikołka walczył z pokusą wdrapania się na śnieżny stok. Z góry można zobaczyć nie tylko Podoł, ale i część górnego Miasta, seminarium, setki świateł po kamienicach, wzgórze, a na nich domki, których okna jarzą się jak dalekie świeczki. Ale nikt nie powinien łamać słowa honoru, bo inaczej nie można będzie żyć na świecie. Nikołka tak uważał. Po każdym groźnym, dalekim grzmocie modlił się: „Boże, daj...”

Ale armaty umilkły.

„To były nasze działa” — myślał z goryczą Nikołka. Wracając od furtki spojrzął w okna Szczegłowów. W okienku oficyny zawinęła się biała franka, widać było, jak Maria Pietrowna kąpie Piet'kę. Goły Piet'ka siedział w balii i bezgłośnie płakał, bo mydło gryzło go w oczy. Maria Pietrowna wyciskała gąbkę na Piet'kę. Na sznurze wisiało pranie, a nad rozwieszoną bielizną chwiał się wielki ruchliwy cień Marii Pietrowny, Wydało się Nikołce, że u Szczegłowów jest bardzo ciepło, miło i przytulnie, a jemu tak zimno było w nie zapiętym szynelu.

Pośród głębokich zasp, o osiem wiorst na północ od przedmieść Miasta, w opuszczonej przez stróża, zawianej na głucho białym śniegiem stróżówce siedział sztabskapitan. Na stoliku leżała pajda chleba, stała skrzynka polowego telefonu i malutka lampa naftowa ze szkiełkiem numer trzy, zakopconym, brzuchatym. W piecyku dogorywał ogień. Kapitan był niziutki, miał długi ostry nos i szynel z wielkim kołnierzem. Lewą dłonią skubał i łamał pajdę, prawą naciskał guziki telefonu. Telefon jednak jakby

umarł, nie odpowiadał kapitanowi ani słowem.

Na pięć wiorst dokoła nie było nic prócz ciemności i gęstej zadymki w ciemności. Były tylko śnieżne zasy.

Minęła jeszcze godzina, sztabskapitan przestał zadręczać telefon. Koło dziewiątej wieczorem chwilę sapał przez nos, potem głośno powiedział do kogoś:

— Zwariować można. Właściwie powinienem się zastrzelić... — I, jakby w odpowiedzi, zaśpiewał telefon.

— Szósta bateria? — zapytał daleki głos.

— Tak, tak — odparł z żywiołową radością kapitan. Zaniepokojony głos z oddali zdawał się pełen radości, przygłuszony:

— Natychmiast otwórzcie ogień na uroczysko... — kwakał na linii daleki, niewyraźny rozmówca. — Huraganowy... — Głos zamilkł. — Mam wrażenie, że... — I tu głos zamilkł znowu.

— Tak, słucham, słucham — rozpaczliwie szczerząc zęby wołał do słuchawki kapitan. Zapadła długa cisza.

— Nie mogę otworzyć ognia — powiedział do słuchawki kapitan doskonale wiedząc, że mówi w zupełną pustkę, nie mówić jednak nie mógł. — Cała obsługa i trzech praporszczycy opuścili stanowiska ogniowe. Zostałem w baterii sam. Zawiadomcie o tym Rozjazd.

Jeszcze godzinę przesiedział tak sztabskapitan, potem wyszedł. Zawieja była niespotykana. Cztery ciemne, straszne działa zaniósł już śniegiem, na lufach i koło zamków narastały już białe nawisy. Wiało, sypało, kapitan potykał się jak ślepiec w mroźnych poświstach zamieci. Długo grzebał po omacku, aż wreszcie wyjął w śnieżnym mroku zamek pierwszego działa. Chciał go wrzucić do studni za stróżówką, ale się rozmyślił, wrócił do stróżówki. Wchodził tam jeszcze trzy razy, póki nie wyjął zamków ze wszystkich czterech dział. Schował je w piwniczce pod podłogą, gdzie leżały już ziemniaki. Potem zdmuchnął lampę i odszedł w mrok. Grzęznąć w śniegu, brnął tak przez dwie godziny, niewidzialny, wreszcie dotarł do szosy prowadzącej do Miasta. Na szosie gdzieś płonęły słabym światłem latarnie. Pod pierwszą taką latarnią zarabali kapitana szablami jeźdźcy z chwastami na czapkach, zabrali mu buty i zegarek.

Ten sam głos odezwał się w słuchawce o sześć wiorst na zachód od stróżówki, w ziemiance.

— Otwórzcie ogień na uroczysko, natychmiast. Mam wrażenie, że nieprzyjaciel przemknął się pomiędzy wami a nami w kierunku na Miasto.

— Halo? Halo? Słyszycie nas? — odpowiedziano mu z ziemianki.

— Sprawdźcie na Rozjeździe... — i cisza. Głos, nie słuchając, zakwakał

w odpowiedzi:

— Szybkim ogniem do konnicy... na uroczysku...

I słuchawka ogłuchła na amen.

Z ziemianki wygramolili się trzej oficerowie z latarniami i trzej junkrzy w kożuchach. Jeszcze jeden oficer stał z dwoma junkrami koło dział, przy latarni, którą zawieja usiłowała zdmuchnąć. W pięć minut później działa zaczęły odskakiwać i straszliwie grzmieć w ciemność. Ich potężny pomruk słychać było wszędzie w promieniu piętnastu wiorst, usłyszany został także na Aleksiejewskim Zjeździe pod trzynastym... Boże, daj...

Konna sotnia potykając się w zamieci wypadła na latarnie od tyłu i zarąbała wszystkich junkrów i czterech oficerów. Dowódca, który został w ziemiance przy telefonie, strzelił sobie w usta.

Ostatnie słowa dowódcy były takie:

— Kanalie sztabowe. Doskonale rozumiem bolszewików.

Późnym wieczorem Nikołka zapalił górne światło w swoim narożnym pokoju, scyzorykiem wyrznął na drzwiach duży krzyż i krzywy napis pod nim:

„płk Turs. 14 XII 1918 16⁰⁰.”

„Naj” opuścił ze względów konspiracyjnych na wypadek, gdyby petlurowcy mieli przyjść z rewizją.

Nie chciał spać, żeby nie przegapić dzwonka. Zastukał w ścianę Heleny, powiedział:

— Idź spać, ja będę czuwał.

I zaraz potem zasnął na łóżku jak zabity, w ubraniu. A Helena nie spała aż do rana, ciągle nasłuchiwała, czy nie zadzwoni dzwonek. Ale żaden dzwonek nie zadzwonił, starszy brat Aleksiej przepadł bez wieści.

Człowiek zmęczony i sponiewierany powinien się wyspać, jest już jedenasta, a on ciągle by jeszcze spał i spał... Oryginalne to spanie, jeśli wolno zauważyć! Buty przeszkadzają, pas wpił się pod zębra, kołnierzyk dusi, koszmar usiadł na piersi, przebiera łapkami.

Nikołka leży na wznak, głowę odrzucił do tyłu, twarz mu poczerwieniała, z gardła wydobywa się świst... Świst!... Śnieg i pajęczyna jakaś... Wszędzie ta pajęczyna, a niech ją diabli! Grunt, żeby rozerwać pajęczynę, ona tymczasem, przekłeta, puchnie, puchnie, puchnie i zbliża się już aż do twarzy. Jeszcze, nie daj Boże, tak spowije, że się nie wyrwiesz! I udusi. Za siatką pajęczyny jest czyściutki śnieg, ile chcesz śniegu, całe równiny. Na ten to właśnie śnieg trzeba się wyrwać, i to jak najprędzej, bo czyjś głos jakby gdzieś jęknął: „Nikoł!” I raptem, wyobraźcie sobie, wpadł w te pajęczce sieci jakiś żwawy ptak i dalejże... Ti-ki-tiki. tiki, tiki. Fju. Fi-u!

Tiki! Tiki. A niechże go! Ptaka nie widać, ale musi być bardzo blisko, i ktoś jeszcze skarży się na swoją dołę, i znowu głos: „Mik! Nik! Nikołka!”

— Ech! — krzyknął Nikołka, rozdarł pajęczynę i od razu usiadł rozczochrany, półprzytomny, z klamrą przesuniętą na biodro. Jasne włosy stały dęba, jakby długo ktoś mu je wicherzył.

— Kto tu? Kto? — wystraszył się Nikołka, nic jeszcze nic rozumiejąc.

— Kto, Kto, kto, kto, kto, kto, kto. Tak! tak!... Fi-ti! Fi-u! Fjuch! — odpowiedziała pajęczyna i głos pełen hamowanych łez powiedział smutnie:

— Tak, z kochankiem.

Przerażony Nikołka przywarł do ściany i wytrzeszczył się na widmo.

Ubrane było w brązową bluzę, w również brązowe rozkloszowane spodnie, miało wysokie buty z żółtym dżokejskim okładem. Zapadnięte, przetkane smutkiem oczy patrzyły z niewiarygodnie wielkiej, krótko ostrzyżonej głowy. Widmo było niewątpliwie młode, ale cerę miało starczą, poszarzałą, zęby nierówne i żółte. W ręku trzymało dużą klatkę przykrytą czarną chustką i otwarty błękitny list...

„Nie obudziłem się jeszcze” — zrozumiał Nikołka, machnął ręką, żeby rozgarnąć widmo niczym pajęczynę i niechcący dotknął palcem prętów. W czarnej klatce ptak natychmiast, jak oszalały, rozdarł się, rozgwisdał, roztrajkotał.

— Nikołka! — gdzieś ogromnie daleko zawołał pełen lęku głos Heleny.

„Jezu Chryste! — pomyślał Nikołka. — Ja się jednak obudziłem, ale widocznie wpadłem w obłąd, wiem nawet dlaczego — to te wczorajsze przeżycia. Boże drogi! Mam halucynacje... a czy widzę palce? Boże!

Aleksiej nie wrócił... ach. prawda... nie wrócił... zabili go... och, och, och!”

— Z kochankiem, na tej samej otomanie — tragicznie powiedziało widmo — na której ja jej deklamowałem wiersze.

Widmo zwracało się do drzwi, więc zapewne do jakiegoś niewidocznego słuchacza, potem jednak ostatecznie skoncentrowało się na Nikołce:

— Tak, na tej samej otomanie... Siedzą teraz i całują się... i to po tym, jak podżyrowałem weksle na siedemdziesiąt pięć tysięcy, bez chwili wahania, jak przystało na dżentelmena. Dżentelmenem bowiem byłem i będę zawsze. Niech się całują!

„O-je-jej!” — pomyślał Nikołka. Oczy wyłaziły mu z orbit, ziaęb przebiegł po plecach.

— Zresztą przepraszam — powiedziało widmo. Coraz to wyraźniej wynurzało się z chwiejnych oparów snu, stawało się istotą z krwi i kości.

— Wyrażam się może nie dość jasno? Więc proszę, tak będzie najlepiej, oto list, ten list wyjaśnia wszystko. Nie ukrywam mojej hańby przed nikim, jak przystało na dżentelmena.

Z tymi to słowami nieznajomy wręczył Nikołce błękitny list. Całkiem już oszalały Nikołka wziął list i poruszając wargami odczytywał litery duże, zamaszyste, zdradzające podniecenie autora. Wytworny niebieski arkusik nie nosił żadnej daty:

„Kochana, najmilsza Lenoczko! Znając Pani szlachetne serce, posyłam go właśnie do Pani, jako do osoby nam bliskiej. Wysyłam zresztą telegram, biedny chłopak sam Pani wszystko opowie. Na Łariosika spadł straszny cios i długo obawiałam się, że tego nie przeżyje. Miłoczka Rubcowa, z którą, jak Pani wiadomo, ożenił się przed rokiem, okazała się przewrotną zmiją. Błagam, niech go Pani przygarnie, niech się Pani nim zaopiekuje tak, jak to Pani potrafi. Ze swej strony będę punktualnie łożyła na koszt. Żytomierz stał się teraz dla niego nie do zniesienia, ja to doskonale rozumiem. Zresztą nie będę się rozpisywała, jestem cała w nerwach, a pociąg sanitarny zaraz odchodzi, on sam o wszystkim Pani opowie. Całuję Panią mocno, mocno, i Sieriożę także!”

Następował nieczytelny podpis.

— Zabrałem ze sobą ptaka — powiedział z westchnieniem nieznajomy.

— Ptak jest najlepszym przyjacielem człowieka. Wielu, co prawda, uważa, że mieszkanie nie jest odpowiednim miejscem dla ptaków, ja jednak ze swej strony jedno mogę powiedzieć: ptak w każdym razie nikomu nie wyrządzi krzywdy.

To ostatnie zdanie bardzo się Nikołce spodobało. Nie usiłując już niczego zrozumieć, nieśmiało podrapał się zagadkowym listem w brew i spuścił nogi z łóżka. „To nie wypada... — myślał — zapytać go o nazwisko... Co za zdumiewająca historia...”

— To kanarek? — zapytał.

— Ale jaki! — z zapalem odparł nieznajomy. — Właściwie to nawet nie kanarek, ale prawdziwy kanar! Samiec. W Żytomierzu mam takich piętnaście. Przewiozłem je do mamy, będzie je karmiła. Ten łajdak z pewnością poukręcałby im łebki. Nienawidzi ptaków. Czy pozwoli pan, że tymczasem postawię klatkę na pańskim biurku?

— Proszę bardzo — odpowiedział Nikołka. — Pan z Żytomierza?

— Tak — odpowiedział nieznajomy. — Ale co za dziwny zbieg okoliczności, proszę sobie wyobrazić: przybyłem jednocześnie z pańskim bratem!

— Jakim bratem?

— Jak to z jakim? Brat pana przyszedł razem ze mną — odparł ze

zdziwieniem nieznajomy.

— Co za brat? — żałośnie wrzasnął Nikołka. — Co za brat? Z Żytomierza?

— Starszy brat pana...

Helena najwyraźniej zawołała z salonu: „Nikołka! Nikołka! Iłarionie Iłarionowiczu! Niechże go pan obudzi! Proszę go obudzić!”

— Triki, fit, fit, triki! — przeciągle rozdarł się ptak.

Nikołka upuścił błękitny list i jak strzała pomknął przez bibliotekę do jadalni, tam zaś zamarł z rozpostartymi ramionami.

Aleksiej Turbin w czarnym cudzym paltocie z podartą podszewką, w czarnych cudzych spodniach leżał bez ruchu na kanapce pod zegarem. Twarz pokrywała mu sinawa bladeść, zaciskał zęby. Helena miotła się wokół niego w rozchylonym szlafroku, widać było czarne pończochy i koronkę bielizny. Chwytała to za guziki na piersiach Turbina, to za jego dłonie, krzyczała: „Nikoł! Nikoł!”

W trzy minuty później Nikołka w zsuniętej na tył głowy czapce studenckiej, w szarym, nie zapiętym szynelu ciężko dysząc biegł pod górę Aleksiejewskim Zjazdem, mrucał: „A jeśli go nie zastanę? Boże, jeszcze ta afera w żółtych butach! Ale Kurickiego wezwać nie można, to jasne... *Kit i kot...*” Pod czaszką ogłuszająco stukał mu ptak: kiti, kot, kiti, kot!

W godzinę później w jadalni stała na podłodze miednica pełna jasno-czerwonej wody, ponieważ się czerwone strzępy gazy i białe skorupy naczyń. Naczynia te strącił z kredensu nieznajomy w dżokejskich butach, kiedy sięgał po szklanę. Wszyscy krzatali się, biegali po tych skorupach tam i z powrotem. Turbin blady, ale już nie siny, leżał jak przedtem na wznak z poduszką pod głową. Odzyskał przytomność, chciał coś powiedzieć. ale ostrobrody doktor w złotych binoklach pochylił się nad nim i powiedział wycierając gazą zakrwawione ręce, rękawy miał podwinięte:

— Nie wolno panu mówić, kolego...

Aniuta — biała, kredowa, z oczyma jak spodki — i ruda, rozczochrana Helena podnosiły Turbina, zdejmowały z niego zalaną krwią i wodą koszulę z rozciętym rękawem.

— Rozetnijcie ją do końca, nie ma już czego żałować — powiedział ostrobrody.

Pocięto koszulę nożyczkami i zdjęto ją po kawałku, obnażyło się wychudłe, żółtawe ciało i lewe ramię, przed chwilą zabandażowane aż po bark. Końce łupków sterczały spod bandaża u góry i u dołu. Nikołka klęczał, delikatnie rozpinał guziki, ściągał Turbinowi spodnie.

— Rozbierzcie go całkiem i natychmiast do łóżka — mówił basem doktor

z bródką w klin. Aniuta polewała mu dłonie wodą z dzbanka, strzępy mydlanej piany spadały do miednicy. Nieznajomy stał na uboczu, nie brał udziału w tej krzątaninie i patrzył gorzko to na rozbite talerze, to znów, rumieniąc się, na roztrzęsioną Helenę, szlafrok Heleny zupełnie już się rozchylił. Oczy nieznajomego wilgotne były od łez.

Z jadalni przenieśli Turbina do jego pokoju wspólnymi siłami, nieznajomy też pomagał: podłożył ramiona pod kolana Turbina i niósł jego nogi.

W salonie Helena podała lekarzowi pieniądze. Odsunął je...

— Cóż też pani, na litość boską — powiedział — od lekarza? Jest ważniejsza sprawa. Prawdę mówiąc, trzeba by do szpitala...

— Nie można — dobiegł słaby głos Turbina. — Do szpitala nie można...

— Nie wolno panu mówić, kolego — zareagował doktor. — Damy sobie radę sami. Tak, oczywiście, sam to wiem... Bóg jeden raczy wiedzieć, co się teraz dzieje w Mieście... — kiwnął głową w kierunku okna. — Hm... pacjent chyba ma rację, nie można... No, cóż, zostawimy go w domu... Dziś wieczorem zajrzę.

— Doktorze, czy to niebezpieczne? — z niepokojem zapytała Helena. Doktor zapatrzył się w klepki podłogi, jakby z ich lśniącej żółcizny wyczytać miał diagnozę, odchrząknął, potarł bródkę, odparł:

— Kość jest cała... Hm... tętnica nietknięta... Nerw także. Ale będzie ropiało... Do rany dostały się strzępki materiału... Gorączka... — Wyrzuciwszy z siebie te niezbyt zrozumiałe urywki myśli, doktor głośniejszym i pewniej powiedział: — Absolutny spokój... Jeżeli będzie bardzo cierpiał, sam mu wstrzyknę wieczorem morfinę. Podawać proszę płyny... no, może być bulion... Nie powinien wiele mówić...

— Doktorze, doktorze, to wielka prośba... brat prosił, żeby nikomu ani słowa, błagam...

Doktor z ukosa obrzucił Helenę przeciągłym, posępnym spojrzeniem. burknął:

— Tak, rozumiem... Jak to się stało?...

Helena tylko westchnęła cichutko i rozłożyła ręce.

— No, dobrze — mruknął doktor i bokiem, jak niedźwiedź, ruszył do przedpokoju.

W niedużej sypialni Turbina w obu wychodzących na przeszkloną werandę oknach zapadły ciemne zasłony. Zmierzch wypełnił pokój, rozjarzyła się w tym zmierzchu głowa Heleny. Świeciła jej w odpowiedzi biaława plama na poduszce — twarz i szyja Turbina. Sznur pełził jak wąż od kontaktu ku krzesłu, zapaliła się różowa lampa z abażurem, przemieniła dzień w noc. Turbin dał znak Helenie, żeby zamknęła drzwi.

— Uprzedź natychmiast Aniutę, żeby nikomu ani słowa...

— Wiem, wiem... Alosza, nie powinienes dużo mówić.

— Sam wiem... Ja po cichu... Ach, jeżeli stracę rękę...

— Co też ty. Alosza... leż spokojnie, nic nie mów... Palto tej pani zostanie na razie u nas?

— Tak. Niech Nikołka się nie waży go odnosić. Bo na ulicy... Słyszysz? Nie wypuszczaj go, na miłość boską, z domu.

— Niech ją Pan Bóg wynagrodzi — szczerze i serdecznie powiedziała Helena. — A mówią, że nie ma na świecie szlachetnych ludzi...

Słaby rumieniec okrył policzki rannego, spojrzenie znieruchomiało na niskim bielonym suficie, potem popatrzył na Helenę, skrzywił się, zapytał:

— A co to znowu za głowonóg?

Helena schyliła się w krąg różowego światła i wzruszyła ramionami.

— Widzisz, tuż przed twoim przyjazdem, dosłownie na dwie minuty przed tobą zjawił się kuzyn Sieriożki z Żytomierza. Musiałeś o nim słyszeć — Surżański... Łarion... No, ten słynny Łariosik...

— No i?...

— No, przywiózł list. Jakaś tragedia rodzinna. Zaczął właśnie opowiadać, kiedy ta pani cię przywiozła.

— Jakiś ptak, diabli go wiedzą...

Helena z rozbawieniem i lękiem w oczach pochyliła się nad łóżkiem.

— Co tam ptak! On chciałby u nas mieszkać. Sama nie wiem, co począć.

— Mieszka-ać?...

— No, tak... Tylko nie mów i nie ruszaj się, proszę, Alosza... Jego matka

błaga o to w liście, ona świata nie widzi poza tym swoim Łariosikiem... Jak żyję, nie widziałam takiego bęcwała. Zaczął od tego, że wytlukł wszystkie naczynia. Szafirowy serwis. Tylko dwa talerze zostały.

— No, proszę. Sam nie wiem, co robić...

Z różowego cienia długo jeszcze dobiegały szepty. W dali za drzwiami i portierami słychać było głuche głosy Nikołki i nieoczekiwanego gościa. Helena wznosiła ręce, błagała Aleksieja, żeby mniej mówił. Z jadalnego słychać było szcęk skorup — to wstrząśnięta Aniuta wymiała szafirowy serwis. Wreszcie wśród szeptów podjęli decyzję. Ponieważ teraz w Mieście dział się może diabli wiedzą co i nie jest wykluczone, że przyjdą rekwirować pokoje, ponieważ nie ma pieniędzy, a za Łariosika matka będzie płacić — przyjmą Łariosika. Pod warunkiem jednak, że dostosuje się do obyczajów tego domu. Ptak... Niech zostanie. Jeżeli się okaże, że obecność ptaka w mieszkaniu jest nie do wytrzymania, to zażąda się usunięcia kanarka, właściciel jednak będzie mógł pozostać. Serwis... Ponieważ Helenie, oczywiście, słowo na ten temat nie przeszłoby przez gardło, a zresztą byłoby to chamstwo i mieszczaństwo — serwis puści się w niepamięć. Niech Łariosik zamieszka w bibliotece, wstawi mu się tam łóżko z żelazną siatką, stolik...

Helena wyszła do stołowego. Łariosik stał pełen winy, zwiesił głowę, wpatrywał się w to miejsce na półce kredensu, gdzie niegdyś stało jeden na drugim dwanaście talerzy. Mętoniebieskie oczy wyrażały kompletne przygnębienie. Nikołka stał przed Łariosikiem i z otwartymi ustami słuchał jakiejś opowieści. Oczy Nikołki wyrażały zachłanną ciekawość.

— W Żytomierzu nie ma skóry — mówił z zakłopotaniem Łariosik. — No, nie ma na lekarstwo, da pan wiarę? Nie ma takiej skóry, jaką ją zwykłem nosić. Rozesłałem wici wśród szewców, proponowałem każdą sumę. Cóż robić, nie ma. No, więc musiałem...

Na widok Heleny Łariosik pobladł, przestąpił z nogi na nogę i patrząc, nie wiadomo dlaczego, na szmaragdowe pompony jej szlafroka odezwał się w te słowa:

— Heleno Wasiliewno, już pędzę do sklepów, roześlę wici i jeszcze dziś będzie pani miała serwis. Doprawdy, nie wiem, jak się usprawiedliwić. Jak mam panią przeproszać... Za ten serwis niewątpliwie należałoby mnie zabić... Mam straszego pecha (do Nikołki). Zaraz pobiegnę do sklepów (to znowu było do Heleny).

— Bardzo pana proszę, żeby pan nie chodził do żadnych sklepów, tym bardziej, że wszystkie są, oczywiście, pozamykane. Ale zaraz, czyżby pan nie wiedział, co się dzieje w Mieście?

— Jakżeż mógłbym nie wiedzieć! — zawołał Łariosik. — Przyjechałem

przecież pociągiem sanitarnym. Jak pani wiadomo z depeszy.

— Z jakiej depeszy? — zapytała Helena. — Nie dostaliśmy żadnej depeszy.

— Jak to? — Łariosik otworzył szerokie usta. — Nie dostaliście? A-ha? Tak też sobie myślę — zwrócił się do Nikołki — co to znaczy, że wy na mnie z takim zdziwieniem... Ale zaraz... Mama przecież nadała depeszę, sześćdziesiąt trzy słowa.

— Ts... Ts... Sześćdziesiąt trzy słowa! — Nikołka był wstrząśnięty. — Jaka szkoda! Depesze teraz tak rzadko dochodzą. Właściwie nigdy nie dochodzą.

— Co teraz będzie? — zmartwił się Łariosik. — Czy pozwolicie, żebym u was zamieszkał? — Rozejrzał się bezradnie, a z jego oczu można było wyczytać, że bardzo mu się u Turbinów podoba i że nie chciałby stąd odchodzić.

— Wszystko jest już przygotowane — odparła Helena i wielkodusznie skinęła głową. — Nie mamy nic przeciwko temu. Proszę zostać, proszę się rozgościć. Widzi pan, takie u nas nieszczęście...

Łariosik zmartwił się jeszcze bardziej. Oczy przesnuła mu łzawa mgiełka.

— Droga pani Heleno! — powiedział z uczuciem. — Jestem do pani dyspozycji. Wie pani, ja mogę nie spać po trzy i cztery noce pod rząd.

— Dziękuję, ogromnie dziękuję.

— A teraz — Łariosik zwrócił się do Nikołki — czy mógłbym poprosić pana o nożyczki?

Nastroszony ze zdziwienia i z zaciekawienia Nikołka popędził dokądś, wrócił z nożyczkami. Łariosik dotknął guzika bluzy, rozmrugał się i raz jeszcze zwrócił się do Nikołki:

— Przepraszam, czy moglibyśmy na chwileczkę przejść do pańskiego pokoju?...

W pokoju Nikołki Łariosik zdjął bluzę, ujawniając niewiarygodnie brudną koszulę, uzbroidł się w nożyczki, odpruł czarną błyszczącą podszewkę bluzy i wyciągnął spod tej podszewki gruby zwitek żółtozielonych banknotów. Zwitek ten uroczyście zaniósł do jadalni i położył na stole przed Heleną, mówiąc:

— Proszę, pani pozwoli, że od razu wręcę jej pieniądze na koszt mego utrzymania.

— Ale po cóż ten pośpiech? — rumieniąc się zapytała Helena. — Przecież nie musieliśmy tego teraz...

Łariosik zaprotestował gorąco:

— O, nie, o, nie, pani Heleno, proszę przyjąć te pieniądze już teraz.

Na litość, w takich trudnych chwilach pieniądze zawsze są na gwałt

potrzebne, doskonale zdaję sobie z tego sprawę! — Rozwinął zwitek, z banknotów wypadło zdjęcie jakiejś kobiety. Łariosik podniósł je zwinnie, z westchnieniem schował do kieszeni. — Zresztą lepiej, żeby były u pani. Ja mam niewielkie potrzeby. Muszę mieć tylko na papierosy i na siemię lniane dla kanarka...

Helena na chwilę zapomniała o ranie Aleksieja, w oczach jej zjawił się cieplejszy blask, tak bardzo rzeczowe i właściwe były poczynania Łariosika. „Może nie jest takim bęcwałem, jak mi się wydawało w pierwszej chwili — pomyślała. — Uprzejmy, uczynny, tyle że dziwak. I tak strasznie szkoda serwisu.”

„Co za facet” — myślał Nikołka. Cudowne pojawienie się Łariosika kazało mu zapomnieć o wszystkich zmartwieniach.

— Tu jest osiem tysięcy — mówił Łariosik przesuwając po stole plik banknotów w kolorze jajecznicy ze szczypiorkiem. — Jeśli to za mało, obliczymy się i niezwłocznie napiszę po więcej.

— Ależ to nic pilnego, nie ma o czym mówić — odparła Helena. — Zaraz poproszę Aniutę, żeby przygotowała panu kąpiel. Ale jak pan do nas dojechał, nie do wiary, jak pan się przedostał? — Helena zebrała banknoty i wsunęła je do przepastnej kieszeni szlafroka.

Na samo wspomnienie oczy Łariosika przesnuła groza.

— To był koszmar! — zawołał składając ręce jak katolik przy pacierzu.

— Jechałem z Żytomierza dziewięć dni... nie, przepraszam, dziesięć.

Chwileczkę... niedziela, no, tak, poniedziałek... Jedenaście!

— Jedenaście dni! — zawołał Nikołka. — Słyszysz? — zwrócił się do Heleny jak gdyby z wyrzutem.

— Tak, jedenaście dni... Wyjechałem hetmańskim pociągiem, który po drodze zamienił się w petlurowski. Przyjeżdżamy na stację, jakże ona się nazywała, no, Boże drogi, zapomniałem... Mniejsza o to. A tam, proszę sobie wyobrazić chcą mnie rozstrzelać. Zjawili się ci petlurowcy z chwaścikami...

— Granatowymi? — ciekawie zapytał Nikołka.

— Czerwonymi Tak, z czerwonymi... krzycząc: „Wysiadaj! Zaraz cię tu rozstrzelamy” Wzięli mnie za ukrywającego się w pociągu sanitarnym oficera. A ja po prostu miałem protekcję... to znaczy mama... u doktora Kurickiego.

— Kurickiego? — znacząco zawołał Nikołka. — Ach, tak... kot i *kit*. Znamy go.

Kiti, kot, kiti, kot — głucho odezwał się zza drzwi ptak.

— Tak, właśnie u niego... To właśnie doktor Kuricki przyprowadził pociąg do nas, do Żytomierza... Boże drogi! Zaczynam się już modlić. Wszystko przepadło, myślę! I wiecie, co mnie uratowało? Kanarek! Nie

jestem oficerem, mówię. Jestem uczonym, hodowcą ptaków, pokazuję kanarka... Wtedy, wicie państwo, jeden z nich dał mi po karku i powiada tak grubiańsko: zjeżdżaj stąd, ty cholerny hodowco! Co za brak wychowania! Zabiłbym go, jak na dżentelmena przystało, ale sami państwo rozumiecie...

Przyciszone „Hele...” — dobiegło z sypialni Turbina. Helena odwróciła się pośpiesznie i już nie słuchając pobiegła do sypialni.

Kalendarz mówi, że piętnastego grudnia słońce zachodzi o piętnastej trzydzięci. Dlatego też zmierzch zaczął zapadać w mieszkaniu już krótko po trzeciej. Ale o trzeciej wskazówki na twarzy Heleny wskazywały najniższą i najbardziej przygnębiającą godzinę życia — wpół do szóstej. Obie wskazówki minęły gorzkie zmarszczki w kąciku ust, zbiegły się na dole, na brodzie. W oczach Heleny zjawił się smutek i woła walki z nieszczęściem.

Na twarzy Nikołki wskazówki bezsensownie wskazywały cierniste za dwadzieścia pierwsza, bo w głowie Nikołki panował chaos i zamęt spowodowany ważkimi tajemniczymi słowami „Mało-Prowalna...”, słowami, które wczoraj na ostrzeliwanym skrzyżowaniu wypowiedział umierający, słowami, które należało rozszyfrować w ciągu najbliższych dni. Chaos i kłopoty spowodowane były również ważkim zniebazstąpieniem w życie Turbinów zagadkowego, fascynującego Łariosika. a także tym, że stało się coś niezmiernie doniosłego, coś potwornego: Petlura zdobył Miasto. Ten właśnie Petlura. to właśnie, zrozumcież, to właśnie Miasto. Co się tu teraz będzie działo, tego najtęższy nawet umysł przewidzieć ani ogarnąć nie zdoła. Nie ulega wątpliwości, że wczoraj zdarzyła się ohydna katastrofa — nasi, zaskoczeni, zostali wybici do nogi. Ich krew woła o pomstę do nieba — to raz. Zbrodniczych generałów i tych łajdaków sztabowców należałoby wystrzelać — to dwa. Ale oprócz przerażenia narasta także paląca ciekawość: co właściwie teraz będzie? Jak się będzie żyło siedmiuset tysiącom ludzi w Mieście pod rządami zagadkowej osobistości, która nosi tak straszne i brzydkie nazwisko — Petlura... Kim on jest? Dlaczego?... Ach, to zresztą w tej chwili odsuwa się na plan dalszy wobec tego, co najważniejsze, wobec krwi... Ech... ech... proszę mi wierzyć, że to straszna sprawa... Wprawdzie nic pewnego nie wiadomo, ale najprawdopodobniej i Myszłajewskiego, i Karasia można uznać za poległych.

Na śliskim, zatłuszczonym stole Nikołka rąbał tasakiem lód. Bryły lodu

albo rozłupywały się z chrzęstem, albo wymykały się spod szerokiego tasaka i skakały po całej kuchni; palce Nikołki zdrętwiały z zimna. Pęcherz ze srebrzystą zakrętką leżał obok.

— Mało... Prowalna... — poruszał wargami Nikołka. Miał przed oczyma Naj-Tursa, rudego Nerona, Myszlajewskiego. I skoro tylko ten ostatni, w szynelu z rozcięciem z tyłu, stanął Nikołce przed oczyma, twarz krzątającej się w malignie udręki i niepewności nad rozpaloną płytą Aniuty coraz oczywiściej pokazywać zaczęła za dwadzieścia pięć piąta — godzinę przygnębienia i beznadziei. Czy ocalały te przedziwne oczy? Czy rozlegnie się tu jeszcze zamaszysty krok, akord ostróg — dren... dren...

— Zanieś lód — powiedziała otwierając drzwi kuchni Helena.

— Już, już — pośpiesznie poderwał się Fikołka, zakręcił pęcherz i pobiegł.

— Aniuta, kochanie — mówiła Helena. — Pamiętaj, nikomu ani słowa, że Aleksiej Wasiliewicz jest ranny. Jeżeli się, nie daj Boże, dowiedzą, że walczył przeciwko nim — będzie nieszczęście.

— Ja to rozumiem, Heleno Wasiliewno. Gdzież tam ja bym! — Aniuta popatrzyła na Helenę rozszerzonymi, strwożonymi źrenicami. — Królowo niebieska, co się w Mieście wyprawia! Idę ja przez Boryczów Tok, patrzę — leży dwóch bez butów... A krwi!... Ludzie stoją, patrzą... Jeden powiedział, że dwóch oficerów zabili... I tak leżą bez czapek... Nogi się pode mną ugięły, uciekłam, mało koszyka tam nie zostawiłam...

Aniuta wzdrygnęła się, coś sobie przypomniała i zaraz poleciały jej z rąk na podłogę patelnie...

— Ciszej, ciszej, na miłość boską — wznosząc ręce mówiła Helena. Na szarej twarzy Łariosika wskazówki o trzeciej po południu pokazywały najwyższe ożywienie i siłę — punkt dwunastą. Obie wskazówki zeszły się na tej południowej godzinie, spotkały się, sterczały ku górze niczym wzniesiony miecz. Działo się tak dlatego, że po przejściach, które doświadczyły wrażliwą duszę Łariosika w Żytomierzu, po strasznej jedenastodniowej jeździe pociągiem sanitarnym, po tylu okropnych przeżyciach Łariosikowi nadzwyczaj przypadł do serca dom Turbinów. Co mu się tu właściwie tak podobało — tego Łariosik na razie nie potrafił powiedzieć, bo sam sobie tego jak dotąd nie uświadamiał.

Prześliczna Helena wydała mu się osobą nadzwyczaj godną opieki i szacunku. Nikołka także bardzo mu się spodobał. Łariosik chcąc to podkreślić wypatrzył chwilę, kiedy Nikołka przestał biegać do pokoju Aleksieja i zaczął mu pomagać w rozkładaniu i ustawianiu w bibliotece wąskiego żelaznego łóżka.

— Pan ma taką szczerą, budzącą zaufanie twarz — powiedział Łariosik i

tak się zapatrzył na tę szczerą twarz, że nim się opamiętał, złożył zgrzytliwe składane łóżko i przytrzasnął Nikołce dłoń. Ból był tak silny, że Nikołka zawył, cicho, co prawda, dość jednak głośno, by szeleszcząc szlafrokiem przybiegła Helena. Choć mobilizował wszystkie siły, żeby nie jęczeć, wielkie łzy same popłynęły mu z oczu. Helena i Łariosik wczepili się w zatrzaśnięte łóżko, długo szarpali je we wszystkie strony, zanim udało im się wyswobodzić posiniałą dłoń Nikołki. Łariosik sam o mało co się nie rozplakał, kiedy zobaczył tę dłoń, odgniecioną, w czerwonych pręgach.

— Boże wielki! — powiedział wykrzywiając swą i tak już straszliwie smutną twarz. — Co się ze mną dzieje? Jakiego ja mam pecha!... Bardzo pana boli? Proszę mi, na miłość boską, wybaczyć.

Nikołka nic nie mówiąc wypadł do kuchni i Aniuta puściła mu na dłoń strumień zimnej wody z kranu.

Kiedy podstępne patentowane łóżko odrząsnęło się i rozłożyło, kiedy stało się jasne, że ręka Nikołki nie doznała szczególniejszych obrażeń — Łariosika znowu ogarnęła miła, spokojna radość z powodu książek. Poza kanarkami uwielbiał także książki. Tu zaś na wielopółkowych regałach stały w zwartych szeregach prawdziwe skarby. Ze wszystkich czterech ścian spoglądały na Łariosika książki — zielone, czerwone, wyłacane i żółte okładki, czarne grzbiety opraw. Łóżko od dawna już było rozstawione i zaścielone, przy łóżku stało krzesło, z oparcia zwiślał ręcznik, na krześle oprócz różnych niezbędnych mężczyźnie drobiazgów: mydelniczki, papierosów, zapalek, zegarka — stała, oparta pochyło, tajemnicza fotografia nieznanego, ale Łariosik ciągle jeszcze był w bibliotece; to wędrował wzdłuż oblepionych książkami ścian, to przykucał nad dolnymi pokładami tych złotonośnych rud, wodził chciwym spojrzeniem po grzbietach, nie wiedząc, za co się najpierw złapać — za *Klub Pickwicka* czy za „Russkij Wiestnik” z roku 1871. Wskazówki trwały na dwunastej.

Ale wraz ze zmierzchem napływało do mieszkania coraz to więcej i więcej smutku. Więc zegar nie wybił dwanaście razy, wskazówki milczały, nieruchome, wyglądały jak jaśniejący miecz spowity w żalobną chorągiew.

A przyczyną tej żaloby, powodem, dla którego zegar życia u każdej z osób ściśle związanych ze starym zakurzonym zaciszem Turbinów szedł inaczej, był smukły słupek rtęci. Pokazał o trzeciej w sypialni Turbina 39,6. Helena pobladła i chciała strząsnąć termometr, ale Turbin odwrócił głowę, popatrzył na nią i z trudem, ale kategorycznie, powiedział:

„Pokaż” Helena w milczeniu, niechętnie, podała bratu termometr. Turbin spojrział, ciężko, głęboko westchnął.

O piątej leżał z szarym zimnym workiem na czole, w worku topniał i pływał drobno potłuczony lód. Twarz Turbina poróżowiała, oczy stały się błyszczące i bardzo wypiękniały.

— Trzydzieści dziewięć i sześć... nieźle — mówił oblizując od czasu do czasu suche, spękane wargi. — Ta-ak... Można się spodziewać najgorszego... No, w każdym razie o praktyce nie ma mowy... jeszcze długo.

Byle tylko uratować rękę... Cóż ja bez ręki...

— Alosza, proszę cię, nie mów — prosiła Helena, poprawiała mu kołdrę na ramionach. Turbin milkł, zamykał oczy. Od rany tuż pod lewą pachą sunął w górę i rozpełzał się po całym ciele suchy kłujący żar. Chwilami wypełniał pierś, mącił myśli, ale nogi za to nieprzyjemnie lodowaciały. Pod wieczór, kiedy wszędzie zapłonęły lampy, kiedy dawno już minął w milczeniu i lęku obiad ich trojga — Heleny, Nikołki i Łariosika, słupek rtęci, który zrodził się w czarodziejski sposób z małej srebrnej kuleczki, pęczniejąc wspiął się aż do kreski 40,2. A wtedy smutek i niepokój roztopiły się nagle w różowej sypialni, rozpląnęły. Smutek zjawiał się pod postacią szarego, leżącego na kołdrze kłęбка, teraz natomiast przekształca się w żółte struny, które rozcapierzały się niczym wodorosty w wodzie. Poszła w niepamięć praktyka i strach o to, co będzie, wszystko bowiem przesłoniły owe wodorosty. Narywający ból z lewej strony piersi u góry osłabł, znieruchomiał. Żar ustępował miejsca chładowi. Świeczka płonąca w piersiach przemieniała się niekiedy w lodowaty nożyk, który dłużał gdzieś w płucu. Turbin kręcił wtedy głową, zrzucał z czoła pęcherz. wczołgiwał się głębiej pod kołdrę. Ból w ranie wydobywał się z uśmierzającego pokrowca, zadrećzał tak, że ranny mimo woli skarżył się sucho i słabo. Kiedy zaś nożyk znikał, kiedy znów ustępował miejsca płonącej świecy, żar wypełniał ciało, prześcieradła, całą ciasną pieczarę pod kołdrą. Ranny prosił: „pić”. W mgiełce zaczynała majaczyć twarz Fikołki, Heleny albo Łariosika, nachylała się, słuchała. Oczy ich wszystkich stały się strasznie podobne do siebie, nachmurzone, zagniewane. Wskazówki Nikołki od razu ruszyły z miejsca i zatrzymały się, jak u Heleny, na wpół do szóstej. Nikołka co chwila wychodził do jadalni — światło akurat tego wieczora było jakieś wątle i roztrzęsione — i patrzył na zegar. Tonkrch... tonkrch... wściekle, ostrzegawczo szedł zachrypnięty czasomierz, jego wskazówki pokazywały to dziewiątą, to kwadrans po dziewiątej, to wpół do dziesiątej...

— Ech, ech — wzdychał Nikołka i brnął jak rozespiana mucha ze

stołowego przez przedpokój, obok sypialni Turbina, do salonu, a stamtąd do gabinetu i. odchyliwszy białe firanki, wpatrywał się w ulicę za drzwiami balkonu... ..Żeby tylko doktor nie stchórzył... nie przyjdzie..." — myślał. Ulica, krzywa i stroma, była bardziej wyludniona niż w dniach poprzednich. jednak już nie tak bardzo przerażająca. Od czasu do czasu trafiał się przechodzień, od czasu do czasu skrzypiały dorożkarskie sanki. Ale rzadko... Nikołka myślał, że chyba jednak trzeba będzie iść... Myślał też, jak przełamać opór Heleny.

— Jeżeli nie przyjdzie do wpół do jedenastej, ja sama pójdę z Łarionem Łarionowiczem. ty zostaniesz przy Aloszy... Nie sprzeciwiaj się, proszę... Zrozum, wyglądasz na junkra... A Łariosikowi damy cywilne ubranie Aloszy... W towarzystwie damy nikt go nie zaczepi...

Łariosik kręcił się, oświadczał, że gotów jest poświęcić się i iść samemu, wreszcie poszedł przebrać się w cywilne ubranie.

Nożyk zniknął gdzieś bez śladu, ale gorączka się wzmogła — tyfus dokładał do pieca, w buchającym żarze przesunęła się raz i drugi niezbyt wyraźna i nic wspólnego z życiem Turbinów nie mająca szara sylwetka.

— A wiesz, że on się chyba przewrócił? Ten w szarym? — nagle wyraźnie, surowo powiedział Turbin i uważnie popatrzył na Helenę... — To nieprzyjemne... Zresztą tak jest ze wszystkimi ptakami. Trzeba go zanieść do ciepłej komórki, tam by w ciepłe przyszedł do siebie.

— O czym ty mówisz, Alosza? — przestraszyła się Helena, pochyliła się i poczuła na policzkach ciepło bijące od twarzy Turbina. — Ptak? Jaki ptak?

Łariosik stał w czarnym ubraniu, przygarbiony, barczysty, żółte wyłogi ukrył pod nogawkami. Przestraszony rozejrzał się żałośnie. Balansując na palcach wybiegł z sypialni, przez korytarz, do jadalnego, przez bibliotekę skręcił do pokoju Nikołki. a tam, wściekle wymachując rękami, podbiegł do stojącej na biurku klatki i narzucił na nią czarny pokrowiec... Ale to nie było potrzebne — kanarek od dawna spał w kącie, zwinął się w pierzasty kłębuszek i milczał najspokojniej. Łariosik starannie zamknął drzwi do biblioteki, potem drzwi z biblioteki do jadalni.

— Głupio... ach, jak głupio... — patrząc w kąt niespokojnie mówił Turbin. — Niepotrzebnie go zastrzeliłem... Słuchaj... — wyswabadzał spod kołdry zdrową rękę. — Najlepiej go zaprosić, wytłumaczyć: po coś leciał, durniu?... Oczywiście winę biorę na siebie... Wszystko przepadło... Jakie to głupie...

— Tak, tak — ciężko mówił Nikołka, Helena zwiesiła głowę. Turbina ogarnął niepokój, chciał wstać, ale napłynął ostry ból; leżący jęknął,

potem powiedział ze złością:

— W takim razie zabierzcie go!...

— Może zanieść go do kuchni? Wprawdzie zamknąłem drzwi i on nie śpiewa... — lękliwie zaszeptał do Heleny Łariosik.

Helena odmachnęła się ręką: „Nie, nie, to nie o to chodzi.” Nikołka pośpiesznie wyszedł do jadalni. Czuprynę miał rozwichrzoną, patrzył na cyferblat — dochodziła dziesiąta. Zalekniona Aniuta stanęła w drzwiach jadalni.

— Jak Aleksiej Wasiliewicz? — zapytała.

— Majaczy — odparł z ciężkim westchnieniem Nikołka.

— Ach. Boże! — szepnęła Aniuta. — A tego doktora nie ma i nie ma. Nikołka spojrzał na nią i zawrócił do sypialni. Przywarł do ucha Heleny i przekonywał:

— Jak tam chcesz, ale idę po niego. Jeśli nie przyjdzie, to trzeba wezwać innego. Jest dziesiąta. Na mieście zupełny spokój.

— Poczekamy do wpół do jedenastej — szepciem odpowiedziała Helena i kręcąc głową i chowając dłonie pod chustkę. — Nie wypada wzywać innego. Tamten przyjdzie, na pewno.

Trochę po dziesiątej wjechała do ciasnej sypialni ciężka, opasła, nonsensowna haubica. Diabli wiedzą, co to takiego! Dzielenie z nią mieszkania jest doprawdy nie do pomyślenia. Haubica zajęła cały pokój, od ściany do ściany, lewe koło ociera się o łóżko. Tak nie można tu mieszkać, trzeba będzie się przeciskać między ciężkimi szprychami, potem zginać się w kabłąk, przemykać przez drugie, prawe koło, w dodatku z rzeczami, a na lewym ręku jest tych rzeczy Bóg wie ile. Obciągają ramię ku ziemi, pod pachę wrzyna się napięty sznur. Nie można zabrać stąd tej haubicy, zahaubicowane jest już zgodnie z rozkazem całe mieszkanie; ani bezradny pułkownik Małyszew, ani równie teraz bezradna wyglądająca spod kół Helena nic nie mogą zrobić, żeby usunąć stąd to działo albo przynajmniej przenieść chorego w inne, znośniejsze warunki, gdzieś, gdzie nie ma żadnych haubic. Przez tę przekłętą, ciężką i zimną bestię mieszkanie stało się czymś w rodzaju zajazdu. Dzwonek na drzwiach terkocze... brryń... Goście zaczynają składać wizyty. Otóż i niezgrabny jak Lapończyk pułkownik Małyszew, w uszatej czapce, ze złotymi szlifami, przydźwigał plik papierzysek. Turbin zganił go gniewnie, a Małyszew zniknął w lufie haubicy, zastąpił go Nikołka niespokojny, bezradny i głupi w swoim uporze. Nikołka poił go, ale nie była to czysta źródłana struga z fontanny. tylko wstrętna, ciepła woda cuchnąca rondlem.

— Tfu... świństwo... zabierz to — mamrotał Turbin.

Nikołka i brwi unosił, i lękał się czegoś, był jednak uparty i niezręczny. Helena po wielokroć przemieniała się w czarniawego, irytującego Łariosika, Sieriożkowego kuzyna, i znowu była rudą Heleną, muskała go palcami gdzieś w okolicy czoła, ale sprawiało to bardzo niewielką ulgę. Dłonie Heleny, zazwyczaj ciepłe i zręczne, poruszały się teraz posuwicie i topornie niczym grabie, robiły wszystkie te niepotrzebne, niespokojne rzeczy, które zatruwają życie spokojnemu człowiekowi na przekętym dziedzińcu cekhauzu. Bodaj to właśnie za sprawą Heleny wbito na pal tułów przestrelonego Turbina. A w dodatku siadała... co ona wyprawia?... na czubku tego pala, pal pod jej ciężarem obracał się z nieznośną powolnością, wywoływał mdłości... Spróbujcie żyć, kiedy wrzyna wam się w ciało krągły pal! O, nie, o, nie, nie, oni są nie do zniesienia! Turbin zawołał, jak mógł najgłośniejszym głosem, ale wypadło to bardzo cicho:

— Julio!

Julia nie wyszła wszelako ze staroświeckiego pokoju, gdzie złote epolety gasną na portrecie z lat czterdziestych ubiegłego wieku, nie podażyła na wezwanie chorego. I do reszty zameczyłyby biednego chorego szare postacie wędrujące po mieszkaniu i po sypialni na równi z Turbinami, gdyby nie przyjechał kategoriyczny i znający się na rzeczy grubas w złotych okularach. Na jego to cześć rozbłysło w sypialni jeszcze jedno światło — światło migotliwej stearynowej świecy w starym, ciężkim, poczerńiałym lichtarzu. Świeca to jarzyła się na stole, to krążyła wokół Turbina, a nad nią chodził po ścianie spotworniały Łariosik przypominający nietoperza z amputowanymi skrzydłami. Świeca pochylała się, spływały po niej białe krople stearyny. Małą sypialnię wypełniła ciężka woń jodyny, spirytusu i eteru. Na stole chaotycznie spiętrzyły się błyszczące pudełka, w ich niklowanych lustrach zapalały się ognie, wyrosły góry sztucznego gwiazdkowego śniegu. Złoty grubas o ciepłych rękach zrobił Turbinowi w zdrowe ramię cudotwórczy zastrzyk i już po paru minutach szare postacie zostały przywołane do porządku. Haubicę wytoczono na werandę, czarna jej lufa wcale nie wydawała się straszna zza przesłoniętych firankami szyb. Łatwiej było teraz oddychać, bo odjechało to ogromne koło i nie trzeba już było przyciskać się między szprychami. Świecę zdmuchnięto, zniknął ze ściany kanciasty, czarny jak węgiel Łarion, Łariosik Surżański z Żytomierza, twarz Nikołki wyglądała teraz dorzeczniej i nie wyrażała już tego oślego uporu, może dlatego, że w związku z nadziejami pokładanymi w umiejętnościach złotego grubasa wskazówki rozstały się, nie zwisały już tak bezlitośnie i rozpaczliwie nad

wyostrzoną brodą. Czas ruszył z powrotem od wpół do szóstej do dwadzieścia pięć po piątej, a zegar w jadalni, chociaż się z tym nie zgadzał, chociaż nieubłaganie pchał wskazówki ciągle naprzód i naprzód, to przecież szedł teraz bez owego starczego chrypienia i zrzędzenia, jak dawniej powtarzał czystym, solidnym barytonem — tonk... tonk! I jak zegar na wieży zabawkowej twierdzy wspaniałych Gallów Ludwika XIV wybijał godziny — bom! Północ... słuchaj... północ... słuchaj... Bił ostrzegawczo, a czyjeś halabardy podzwaniały srebrzyście, przyjemnie. Straże chodziły, czujne, bo baszty, alarmy i broń człowiek, sam o tym nie wiedząc, wynalazł w jednym tylko celu — po to, by strzegły jego spokoju i ogniska domowego. To w ich obronie człowiek walczy i. prawdę mówiąc, o nic innego w żadnym wypadku walczyć nie powinien.

Tylko do ogniska spokoju zgodzi się przyjść Julia, egoistka, kobieta grzeszna, ale tak zachwycająca. Przyszła zresztą; noga w czarnej pończosze i rąbek czarnego, obramowanego futerkiem botka mignęły na ceglanych schodkach, a pośpiesznym krokiem i szelestom odpowiedział roztańczonymi dzwoneczkami gawot stamtąd, gdzie Ludwik XIV zażywa wywczasu w różowo-niebieskich ogrodach nad brzegiem jeziora, pijany swą sławą i obecnością czarujących, różnobarwnych kobiet.

O północy Nikołka zabrał się do niezmiernie ważnej roboty, a czas już był doprawdy najwyższy. Przede wszystkim przyszedł z kuchni z brudną wilgotną ścierką i z piersi *Cieśli z Saardamu* zniknęły słowa:

Niech żyje Rosja!
Niech żyje samodzierżawie!
Bij Petlurę!

Potem przy aktywnym współudziale Łariosika wykonano prace jeszcze ważniejsze. Sprawnie i bezszelestnie wyciągnięty został z biurka Turbina browning Aloszy, dwa magazynki, pudełko naboí. Nikołka obejrzał go i przekonał się, że sześć z siedmiu naboíów starszy brat gdzieś wystrzelał.

— Nieźle... — szepnął Nikołka.

Oczywiście w ogóle nie wchodziło w grę, żeby Łariosik mógł się okazać zdrajcą. Żaden kulturalny człowiek, a już zwłaszcza džentelmen, który żyruje weksle na siedemdziesiąt pięć tysięcy i wysyła depesze z sześćdziesięcioma trzema słowami nie może być po stronie Petlury... Naj-Tursowy colt i browning Aloszy zostały najstaranniej nasmarowane naftą i oliwą. Łariosik, podobnie jak Fikołka, zakasał rękawy, pomagał oliwić broń, układać ją w podłużnym blaszanym pudle po landrynkach. Robota

to była pośpieszna, każdy bowiem przyzwoity człowiek, który brał udział w rewolucji, wie doskonale, że przy każdej władzy rewizje przeprowadza się między drugą trzydzieści w nocy a szóstą piętnaście nad ranem w zimie, latem zaś między dwunastą w nocy a czwartą rano. Mimo wszystko wynikła zwłoka, przez Łariosika, który zapoznając się z budową i działaniem dziesięciopistoletowego pistoletu systemu Colta niewłaściwą stroną włożył magazynek i trzeba było wielkich wysiłków i znacznych ilości oliwy, żeby ten magazynek wyciągnąć. Wynikła też inna jeszcze nieprzewidziana trudność — pudełko z pistoletami, naramiennikami Nikołki i Aleksieja. z szewronem i znakiem identyfikacyjnym Aleksieja w środku, pudełko wyścielone warstwą pergaminu, a z zewnątrz oklejone po wszystkich szparach lepka taśmą izolacyjną, a więc pudełko to nie chciało ani rusz przejść przez lufcik.

Oto w czym rzecz — jak chować, to chować!... Nie każdy przecież jest takim idiotą jak Wasylisa. Nikołka jeszcze w dzień wykombinował, jak to schowa. Ściany szczytowe domów numer 13 i 11 nieomal się stykały— zostawała szczelina nie większa niż na arszyn. W ścianie domu pod trzynastym były tylko trzy okna — jedno narożne, z pokoju Fikołki, dwa z biblioteki, zresztą zupełnie niepotrzebne (tak czy owak ciemno) i na dole maleńkie, ślepe, zakratowane okienko ze spiżarni Wasylisy, pod jedenastym mur był zupełnie ślepy. Proszę sobie wyobrazić cudowny, na arszyn szeroki wawóz, ciemny i niewidoczny nawet z ulicy, niedostępny też od podwórza dla nikogo oprócz może przypadkowych urwisów. To właśnie w dzieciństwie Nikołka bawiąc się w rozbójników wlaził tam, potykając się na stercie cegieł, i doskonale pamiętał, że z muru domu numer trzynaście sterczą ciągnące się aż pod sam dach haki. Widocznie dawniej, kiedy jeszcze nie wybudowano domu pod jedenastym, trzymała się na nich drabinka przeciwpożarowa, którą potem usunięto. Haki jednak zostały. Kiedy Nikołka dziś wieczorem wysunął rękę przez lufcik, nie szukał nawet przez sekundę, od razu namacał hak. Idealnie proste rozwiązanie. Ale przewiązane trzykrotnie na krzyż znakomitym, tak zwanym cukrowym sznurkiem pudełko z przygotowaną już pętlą nie mieściło się w lufciku.

— Jasna sprawa, trzeba otwierać okno — schodząc z parapetu powiedział Nikołka.

Łariosik wyraził zachwyt dla sprytu i pomysłowości Nikołki, po czym przystąpił do rozklejania opatrzonego na zimę okna. Katorżnicza ta praca zajęła im co najmniej pół godziny, spęczniałe ramy nie chciały ustąpić. Ale w końcu mimo wszystko udało się otworzyć najpierw jedną, a potem i

drugą, przy czym od strony Łariosika zjawilo się na szybie długie kręte pęknięcie.

— Światło! — zakomenderował Nikołka.

Światło zgasło, wdarł się do pokoju potworny mróz. Nikołka wychylił się do połowy ciała w czarną zlodowaciałą pustkę i zaczepił pętlę za hak. Pudełko pięknie zawisło na dwuarszynowym sznurku. Z ulicy nie sposób go zauważyć, bo szczytowa ściana trzynastki idzie do ulicy ukośnie, a nie pod kątem prostym, a także dlatego, że wisi tam szyld szwalni. Można by zauważyć, gdyby się ktoś wcisnął w szczelinę. Ale nikt tego nie robi wcześniej niż na wiosnę, bo od strony podwórza wyrosły ogromne zasy, a od ulicy jest pierwszorzędny płot, no, a przede wszystkim można sprawdzić, czy wisi, nie otwierając okna — przesunie się rękę przez lufcik i już można dotknąć napiętego jak struna sznurka. Pierwsza klasa.

Znów zapaliło się światło. Nikołka ugniółł na parapecie kit, który został Aniucie jeszcze z jesieni, zakleił okno na nowo. Nawet gdyby jakimś cudem znaleźli, to zawsze jest gotowa odpowiedź: „Przepraszam? Jakie pudełko? O, rewolwery... znak rozpoznawczy?”

— Nigdy w życiu! Nic nie wiem. nic nie widziałem! Bóg raczy wiedzieć, kto to powiesił! Wleźli na dach i powiesili. Mało to różnych naokoło? Właśnie tak. My jesteśmy ludzie spokojni, nic nie wiemy o żadnych tam znakach rozpoznawczych."

— Idealnie to pomyślane. Jak mi Bóg miły — mówił Łariosik. Pewnie, że idealnie! Pudełko jest pod ręką, a jednocześnie nie w mieszkaniu.

Była trzecia w nocy. Tej nocy najpewniej nikt już nie przyjdzie. Helena — ciężkie, znużone powieki — wyszła na palcach do stołowego. Zastąpi ją Nikołka. Od trzeciej do szóstej Nikołka, a od szóstej do dziewiątej Łariosik.

— A zatem: tyfus — szeptała Helena. — Weźcie pod uwagę, że już dziś zagłądała Wanda, pytała mnie, co z Aleksiejem. Powiedziałam, że prawdopodobnie tyfus... Chyba nie uwierzyła, zanadto jej oczka biegały... Wypytywała, co u nas słyhać, gdzieśmy byli, czy nikt nie jest ranny. Żebyście ani pary z ust o ranie...

— Skądże! — Nikołka aż zamachał rękami. — Wasylisa to tchórz, jakiego świat nie widział. Jak przyjdzie co do czego, każdemu powie, że Aleksiej był ranny, byle tylko jego nie ruszali.

— Łajdak — powiedział Łariosik. — To podłość!

Turbin leżał w nieprzejrzanym mgle. Twarz po zastrzyku miał zupełnie spokojną, rysy mu się zaostrzyły, wyszlachetniały. Płynęła żyłami uśmierzająca trucizna, strzegła go. Szare sylwetki nie szarogęsiły się już

jak u siebie w domu, zajęły się swoimi sprawami, definitywnie zabrały działo. Jeżeli nawet przychodził ktoś całkiem postronny, to przecież zachowywał się przyzwoicie, starał się dostosować do ludzi i rzeczy, których stałe i prawowite miejsce było zawsze w mieszkaniu Turbinów. Raz przyszedł pułkownik Małyszew, siedział na fotelu, ale uśmiechał się, że niby wszystko dobrze, a będzie jeszcze lepiej, nie mamrotał groźnie a złowieszczo, nie napychał pokoju papierami. Tak, palił dokumenty, to prawda, nie ośmielił się jednak ruszyć dyplomu Turbina ani zdjęć mamy, zresztą palił papiery w miłym, niebiesciuchnym płomieniu maszyny spirytusowej, a jest to ogień ukojenia, bo później zwykle następuje zastrzyk. Drobnio trzepotał dzwonek u madame Anjou.

— Brryń... — mówił Turbin, chciał odtworzyć dźwięk dzwonka komuś, kto siedział w fotelu, a w fotelu siedzieli po kolei to Nikołka, to nieznajomy o oczach Mongoła (po zastrzyku nie śmiał się awanturować), to strapiiony, siwy, trzęsący się Maksym. — Brryń... — tkliwie mówił ranny i z chwiejnych cieni budował ruchomy obraz, męczący, trudny, ale kończący się niezwykle i radośnie, i boleśnie.

Biegły godziny, kręciła się wskazówka w jadalni, a kiedy na białym cyferblacie ta krótka, szeroka, doszła do piątki, nadszedł półsen. Turbin poruszał się od czasu do czasu, otwierał przymknięte oczy, mruczał tak, że trudno było go zrozumieć:

— Po schodkach, po schodkach, po schodkach nie dobiegnę, zabraknie sił, upadnę... Bystronoga... te botki... po śniegu... Zostaną ślady... wilki... Brryń... brryń...

13

„Bryń” Turbin usłyszał po raz ostatni, kiedy wybiegał tylnym wyjściem ze sklepu nie wiadomo gdzie obecnie przebywającej i tak rozkosznie pachnącej perfumami madame Anjou. Dzwonek. Dzwonek. Ktoś w tej chwili przyszedł do sklepu. Może ktoś taki sam jak on, jak Turbin, taki, co się zabłąkał, zgubił, swój, a może obcy, prześladowca. W każdym razie powrót do sklepu nie wchodzi w grę. To by było niepotrzebne struganie bohatera.

Śliskie schodki wyprowadziły Turbina na podwórze. Dopiero tu wyraźnie usłyszał, że strzelanina trwa gdzieś bardzo blisko, gdzieś na ulicy, która przez szerokie zbocze prowadzi na dół, na Kreszczatik, bodaj czy nie koło muzeum właśnie. Stało się jasne, że w mrocznym sklepie zbyt wiele czasu stracił na smutne medytacje i że Małyszew miał absolutną rację, kiedy radził, by się pośpieszyć. Serce załomotało trwożnie.

Turbin rozejrzał się i przekonał, że długie, niewiarygodnie wysokie żółte pudło domu, w którym znalazła przytulisko madame Anjou, wychodzi na ogromne podwórze, ciągnące się aż do niskiego murku otaczającego sąsiednią siedzibę dyrekcji kolei żelaznych. Przymrużył oczy, obejrzał się i ruszył wprost na ów murek. W murze była furtka, ku zdumieniu Turbina otwarta. Wszedł na obskurny dziedziniec dyrekcji. Niezwykle śledziły go głupawe okienka gmaszyska. Było jasne, że nie ma tam psa z kulawą nogą. Doktor przeszedł pod hucznym sklepieniem wyasfaltowanej bramy, wyszedł na ulicę. Stary zegar na wieżycy domu naprzeciwko stwierdzał, że jest punkt czwarta. Powoli zaczynało się zmierzchać. Ulica absolutnie pusta. Popędzany złym przeczuciem Turbin obejrzał się posepnie i poszedł nie w górę ulicy, ale w dół, tam gdzie piętrzyły się przysypane śniegiem Złote Wrota na chuderlawym skwerku. Tylko jeden przerażony przechodzień w czarnym palcie przebiegł z przeciwka i skrył się.

Pusta ulica w ogóle wywiera okropne wrażenie, teraz jeszcze na domiar złego ścisnęło w dołku przeczucie. Krzywiąc się wściekle, aby przemóc niezdecydowanie — iść przecież tak czy owak trzeba, powietrzem się do domu nie przeleci — Turbin postawił kołnierz szynelu i ruszył.

Teraz dopiero zrozumiał, że męczyło go między innymi nagłe milczenie armat. Przez dwa ostatnie tygodnie grzmiały one ze wszystkich stron bez przerwy, teraz zaś na niebie zapadła cisza. Ale za to w mieście, i to właśnie tam, na dole, na Kreszczatiku, wyraźnie przesypywała się karabinowa palba. Powinien był Turbin teraz skrócić od Złotych Wrót w lewo, w zaułek, a potem, ukradkiem, tyłami soboru Świętej Zofii spokojnie dotarłby bocznymi uliczkami do siebie, na Aleksiejewski Zjazd. Gdyby tak zrobił, życie jego ułożyłoby się zupełnie inaczej, ale sęk w tym, że Turbin tak nie zrobił. Istnieje przecież coś, co każe nam niekiedy w górach wychylić się z urwiska i spojrzeć w dół... Ciągnie w przepaść... w dół. Tak właśnie pociągnęło Turbina do muzeum. Koniecznie musiał zobaczyć choćby z dala, co się tam koło muzeum dzieje. I Turbin, zamiast skrócić, zrobił jeszcze dziesięć kroków prosto i wyszedł na Włodimirską. Tu strach od razu krzyknął mu w piersiach i głos Małyszewa bardzo wyraziście szepnął: „Uciekaj!” Zdażył zobaczyć strzęp białego frontonu, zasepione kopuły, jakieś czarne figurki majaczące w dali. Więcej i tak zauważyć nie zdążył.

Wprost na niego biegli w górę stromizną Prorieznej, od przysnutego daleką mgiełką mrozu Kreszczatiku, szarzy mężczyźni w żołnierskich szynelach. Zajmowali całą szerokość jezdni. Byli niedaleko, o jakieś trzydzieści kroków. Widać było, że biegną już od dawna, i że ten bieg ich zmęczył. Nie oczy bynajmniej, ale jakiś nieświadomy skurcz serca

powiedział Turbinowi, że to petlurowcy.

„Wpadłeś!” — najwyraźniej odezwał się w dołku głos Małyszewa.

Następnych kilka sekund wypadło z życiorysu Turbina i co się wówczas działo — nie wiedział. Odnalazł się dopiero za węglem, na Włodimirskiej, głowę miał wtuloną w ramiona, nogi unosiły go, co miały siłą, od fatalnego rogu Prioricznej, tam, gdzie cukiernia „Markiza”.

„Ga-zu, ga-zu. ga-zu, prę-dziej... prę-dziej...” — załomotała w skroniach krew.

Żeby jeszcze odrobinę ciszy za plecami. Stać się ostrzem noża albo wnikać w mur. Prę-dziej... Ale cisza urwała się, nadeszło to, co nadejść, musiało.

— *Stij!* — zawołał schrypnięty głos za zlodowaciałymi plecami Turbina.

„Już” — oberwało się coś w dołku.

— *Stij!* — dobitnie powtórzył głos.

Turbin obejrzał się, a nawet na sekundę zatrzymał, bo przez moment błysnęła mu w głowie szalona myśl, żeby udać spokojnego obywatela. Idę, niby, w swoich sprawach... Dajcie mi spokój... — Prześladowca był o piętnaście kroków i pośpiesznie wznosił karabin. Skoro tylko doktor się odwrócił, zdumienie wybuchło w oczach prześladowcy i wydało się doktorowi, że są to oczy mongolskie, skośne. Już i drugi szarpiąc zamkiem wypadał zza rogu. Oszołomienie na twarzy pierwszego ustąpiło miejsca niepojętej, złowieszczej radości.

— *Fiu!* — krzyknął — *bacz, Petro: oficer.* — A tak przy tym wyglądał jak myśliwy, przed którym zniecka z przydrożnego rowu wyrwie się szarak.

„Co ta-kie-go? Skąd wiedzą?” — to było jak cios młotka. Karabin tego drugiego cały się przemienił w małą czarną dziurkę, nie większą niż miedziak. I zaraz Turbin zrozumiał, że sam on zamienił się w strzałę i mknie po Włodimirskiej. i że zgubią go walonki. Z góry, od tyłu, chrapliwie walnęło w powietrze: cz-czach...

— *Stij! St... Trymaj!* — Klasnęło. — *Trymaj oficera!* — grzmiała, szczyła go cała Włodimirska. Jeszcze raz i drugi wesoło huknęło rozdzierając powietrze.

Wystarczy pogonić człowieka pod kulami, żeby stał się natychmiast chytrym wilkiem; nader wątły i w rzeczywistości trudnych sytuacjach nieprzydatny rozum ludzki zastąpiony zostaje przez mądry instynkt zwierzęcy. Jak wilk przepędzany od stada obejrzał się Turbin od rogu Mało-Prowalnej i zobaczył, jak czarna dziurka za nim otacza się idealnie krągłym bladym ogieńkiem, przyśpieszył jeszcze i błyskawicznie skręciwszy w Mało-Prowalną po raz drugi w ciągu tych pięciu minut

gwałtownie odwrócił bieg swojego żywota.

Instynkt: ścigają uparcie i zaciekle, nie zrezygnują, dogonią, a kiedy dogonią, jak dwa a dwa cztery — zabijają. Zabijają, bo uciekał, bo nie ma przy sobie żadnego dokumentu, za to pistolet, szary szynel; zabijają, bo kiedy człowiek ucieka, to raz mu się poszczęści, drugi raz mu się poszczęści, ale za trzecim razem trafiają. Właśnie za trzecim razem. Z dawien dawna wiadomo, że do trzech razy sztuka. A więc — koniec, jeszcze pół minuty i walonki go zgubią. To nieuniknione. Ale skoro tak, to strach przez ciało, przez nogi, uciekł w ziemię. I jak lodowata woda napłynęła od nóg zawziętość, jak wrzątek chlusnęła w biegu z ust. I już całkiem wilczo strzelał oczyma biegnący Turbin. Dwóch szarych, za nimi trzeci, wyskoczyło zza rogu Włodimirskiej i wszyscy trzej chaotycznie błysnęli. Turbin zwolnił, pokazał zęby i trzykrotnie wystrzelił do nich nie celując. Znów przyspieszył, niewyraźnie zobaczył przed sobą kruchy czarny cień tuż pod ścianą, koło rynny, poczuł, że ktoś targnął go drewnianymi cęgami pod lewą pachą, sprawiło to, że bieć zaczął dziwnie, ukośnie, bokiem, nierówno. Raz jeszcze odwrócił się bez pośpiechu, posłał im trzy kule, surowo pohamował się przy szóstym strzale:

„Siódma — dla mnie. Ruda Helenka i Nikołka. Koniec. Będą się znęcać.

Wyrzną naramienniki. Siódma dla mnie.”

Mknąc bokiem, czuł coś dziwnego — broń obciągała prawą rękę, ale ciążyła mu jakby lewa. A w ogóle to czas już się zatrzymać. Tak czy owak braknie tchu, nic się już nie da zrobić. Turbin mimo wszystko dopadł jeszcze do załomu tej najfantastyczniejszej ulicy na świecie, zniknął za narożnikiem, na moment odczuł ulgę. Bieć dalej — to beznadziejne, krata zamkniętej bramy, brama tamtej kamienicy też zamknięta, tam też zamknięte... Przypomniawszy mu się idiotyczny dowcip: „Oszczędzajcie, kumie, sił, idźcie od razu na dno.”

I wtedy stał się cud; w czarnym, omszałym płocie, który nieubłaganie odgradzał sąsiednie wzorzyste drzewa w ogrodzie, zobaczył ją. Do połowy wychylona z parkanu, niczym w melodramacie wyciągając do niego ręce, jaśniejac z ogromnym zaskoczeniem oczyma, wołała:

— Panie oficerze! Tutaj! Tu...

Turbin, choć walonki trochę mu się ślizgały, dysząc rozdartymi, pełnymi parzącego powietrza ustami, powoli podbiegł do zbawczych rąk i w ślad za nimi zniknął w wąskiej szparze furtki w poczerńiałym, drewnianym parkanie. I wszystko się od razu odmieniło. Kobieta w czerni zatrzasnęła furtkę, szcęknięła zasuwką. Oczy jej znalazły się tuż przy samych oczach Turbina. Zdawało mu się, że zobaczył w nich stanowczość, siłę i czerń.

— Tędy. Niech pan biegnie za mną — szepnęła kobieta, odwróciła się i pobiegnęła wąską ceglana ścieżką. Turbin bardzo powoli ruszył za nią. Po lewej ręce mignęły jakieś szopy, drewniane komórki; kobieta skręciła. Po prawej był biały, baśniowy, piętrzący się tarasami ogród. Tuż przed

nosem niski parkan, kobieta i tu wbiegła w furtkę. Turbin, tracąc oddech, za nią. Zatrzasnęła tę furtkę, mignęła jej noga, bardzo zgrabna, w czarnej pończosze, furknęła spódnica, kobieta lekko pomknęła na górę po ceglanych schodkach. Wyostrzonym słuchem ułowił Turbin, że tam, gdzieś za plecami, za ich biegiem, została ulica i prześladowcy. O, już... już wypadli z za załomu, szukają go. „Ocaliłyby... uratowałyby... — pomyślał — ale chyba nie dobiegnę... moje serce.” Upadł nagle na lewe kolano i na lewą dłoń, tuż przed samym wierzchołkiem schodów. Wszystko wokół leciutko zawirowało. Kobieta schyliła się, uchwyciła Turbina pod prawe ramię...

— Już... już niedaleko! — zawołała. Lewą trzęsącą się dłonią nacisnęła klamkę trzeciej niziutkiej furtki, ujęła za rękę potykającego się Turbina, pobiegła alejką. „Ależ labirynt... jakby naumyślnie” — mętnie, bardzo mętnie pomyślał Turbin i znalazł się w białym ogrodzie, ale już gdzieś wysoko, już daleko od złowieszczej Prowalnej. Czuł, że kobieta go ciągnie, że jego lewe ramię i lewy bok są bardzo ciepłe, a całe ciało jest zimne, zlodowaciałe serce ledwie się kołacze. „Uratowałyby, ale to już koniec, to koniec... nogi mi słabną...” tak przez mgłę zobaczył kępy bżów w niepokalanych śnieżnych czapach, drzwi, zaniesiony śniegiem oszklony ganek staroświeckiej sieni. Usłyszał jeszcze szczęk klucza. Kobieta przez cały czas była tuż przy jego prawym boku i Turbin resztką już sił, jak nitka za igłą, wciągnął się za nią do przedsionka. Potem przez jeszcze jedno szczęknięcie klucza — w ciemność, w odwieczny, gęsty zapach mieszkania. W mroku nad głową rozżarzyło się słabiutkie światełko, podłoga odjechała spod nóg w lewo... Nieoczekiwanie jaskrawozielone strzępy w płomienistych obwódkach przepłynęły przed oczyma w prawo, i w tej nieprzeniknionej ciemności sercu od razu zrobiło się lżej...

W przyćmionym, niepewnym świetle szereg wytartych złotych łebków. Ożywczy chłód spływa w zanadrze, dzięki temu jest więcej powietrza, zaś w lewym rękawie zabójcze, wilgotne, martwe ciepło. „Więc to o to chodzi... Jestem ranny.” Turbin zorientował się, że leży na podłodze, w głowę boleśnie uwiera go coś twardego i niewygodnego. Złote łebki przed oczyma to ćwieki kufra. Jest tak zimno, że nie można złapać oddechu — to ona polewa i spryskuje go wodą.

— Na miłość boską — powiedział nad głową jej cichy, niski głos — proszę się napić. Żyje pan? Co teraz robić?

Szklanka zadzwoniła o zęby i Turbin zachłystując się przełknął łyk strasznie zimnej wody. Zobaczył teraz z bliska jasne pukle włosów i

bardzo czarne oczy. Kobieta, która przykucnęła obok, odstawiła szklanę na podłogę, łagodnie podsunęła mu dłoń pod głowę i próbowała go unieść.

„Serce pracuje? — pomyślał. — Chyba jednak żyję... Może nie tak dużo krwi... muszę walczyć.” Serce biło, ale trzepotliwie, szybko, supłała się długa, nieskończona nitka i Turbin powiedział słabo:

— Nie. Proszę wszystko zdjąć i podwiązać czymkolwiek... Z rozszerzonymi oczyma usiłowała zrozumieć, zrozumiała, poderwała się, dopadła szaty, wygarnęła z niej masę ubrań i bielizny.

Turbin zagryzł wargę, pomyślał: „Nie ma plam na podłodze, więc krwi chyba niedużo, na szczęście.” — Z trudem przy jej pomocy wydobył się z szynelu i usiadł, próbował nie zwracać uwagi na zawroty głowy.

Zaczęła mu zdejmować trencz.

— Nożyczki — powiedział.

Trudno było mówić, brakowało tchu. Ona furknęła czarną spódnicą z ciężkiego jedwabiu, zrzuciła w drzwiach czapkę i futerko, zniknęła. Kiedy wróciła przykucnęła i rozpruła rękaw tępo, opornie w gryzającymi się w przemiękle już i tłuste od krwi sukno nożyczkami. Wyszwoleciła Turbina. Z koszulą uporała się szybko. Cały lewy rękaw był nasiąknięty, lepko czerwony był też lewy bok. Teraz kapalo na podłogę.

— Proszę śmiało drzeć...

Koszula spadła w strzępach i Turbin, zbieleły na twarzy, żółty i goły do pasa, umazany krwią, chcący żyć, nie pozwolił sobie na to, żeby znowu opaść na podłogę; zacisnął szczęki, prawą ręką obmacał lewe ramię, powiedział przez zaciśnięte zęby;

— Chwała Bo... Kość cała... Teraz płótno albo bandaż.

— Jest bandaż — zawołała radośnie i cicho. Zniknęła, wróciła, rozdarła opatrunek mówiąc: — Nie ma nikogo... Jestem sama.

Znowu przykucnęła. Turbin zobaczył ranę. To była maleńka dziurka w górnej części ramienia, raczej od wewnętrznej jego strony, tam gdzie ramię przylega do żeber. Płynęła z niej cienka strużka krwi.

— Z tyłu jest? — zapytał krótko, lakonicznie, instynktownie oszczędzając sił.

— Jest — powiedziała, wylęknioma.

— Proszę zacisnąć wyżej... tak... uratuje pani...

Poczuł ból, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie zaznał, w przedpokoju zawirowały zielone koła, koncentryczne albo splatające się w łańcuch. Turbin przygryzł dolną wargę.

Ona zacisnęła, on jej pomagał zębami i prawą ręką, i tak przewiązali ramię powyżej rany palącym węzłem. Krew natychmiast przestała ciec...

Przeprowadziła go w taki sposób: ukląkł, prawą ręką objął ją za kark, wtedy pomogła mu stanąć na słabych, chwiejnych nogach i poprowadziła, podtrzymując całym ciałem. Widział dookoła ciemne cienie późnego zmierzchu w jakimś staroświeckim, bardzo niskim pokoju. Kiedy zaś posadziła go na czymś miękkim i zakurzonym, pod dotykiem jej dłoni z boku zapaliła się lampa przyrzucona wiśniową chustką. Zobaczył wytłaczany aksamit, połę dwurzędowego surduta w ramie na ścianie i złoto-żółty epolet. Dysząc ciężko z emocji i wysiłku i wyciągając do Turbina ręce, powiedziała:

— Mam w domu koniak... Może przynieść... trochę koniaku?...
Odpowiedział:

— Natychmiast...

I opadł na prawy łokieć.

Koniak jakby pomógł, w każdym razie wydało się teraz Turbinowi, że nie umrze, że zdoła znieść szarpiący ramię ból. Kobieta na klęczkach zabandażowała przestrzelone ramię, zsunęła się niżej, do nóg Turbina. Ściągnęła mu walonki. Potem przyniosła poduszkę i długi pachnący czymś dawnym i miłym japoński szlafrok w dziwaczne bukiety.

— Proszę się położyć — powiedziała.

Położył się pokornie, narzuciła na niego szlafrok, na to jeszcze pled i wpatrując się w jego twarz stanęła obok wąskiej otomany. Powiedział:

— Pani... pani jest wspaniałą kobietą. — Po chwili milczenia: — Poleżę chwilę, przyjdę do siebie i wrócę do domu... Jeszcze trochę cierpliwości.

Do jego serca wkradł się strach i rozpacz: „Co z Heleną? Boże, Boże...
Nikołka. Za co oddał życie Nikołka? Bo z pewnością zginął...”

W milczeniu wskazała niskie, zawieszane kotarą z pomponami okienko. Wtedy wyraźnie usłyszał dalekie, niedwuznaczne klaśnięcia wystrzałów.

— Może pan być pewien, że natychmiast pana zabiją — powiedziała.

— W takim razie... boję się... narazić panią... Jeśli przyjdą... broń... krew... tam, w szynelu — oblizał suche wargi... W głowie kręciło mu się odrobinę z powodu upływu krwi i wypitego koniaku. Twarz kobiety przybrała wyraz lęku. Zamyśliła się.

— Nie — powiedziała stanowczo — nie, gdyby mieli znaleźć, to już by tu byli. Tutaj taki labirynt, że nikt nie odnajdzie śladów. Przebiegliśmy przez trzy ogrody. Ale sprzątnąć trzeba natychmiast... Słyszał plusk wody. szelest materiału, stuk drzwi szaty... Wróciła trzymając browning dwoma palcami za rękojeść, jakby parzył, zapytała:

— „Nabity?”

Turbin wyswobodził spod pledu zdrową rękę, sprawdził bezpiecznik i odparł:

— Śmiało może go pani tak trzymać, byle nie za lufę. Wróciła raz jeszcze, powiedziała zmieszana:

— Na wypadek, gdyby jednak przyszli... musi pan zdjąć także rajtuzy... Pan będzie leżał, a ja powiem, że jest pan moim mężem, że pan choruje... Krzywiąc się odpinał guziki. Podeszła zdecydowanie, uklękła, za strzemiączka wyciągnęła rajtuzy spod pledu, wyniosła je. Nie było jej długo. Widział łuk prześwitu. Były to właściwie dwa pokoje. Sufity zwisały tak nisko, że gdyby ktoś słusznego wzrostu wspiał się na palce, mógłby dosięgnąć sufitu dłonią. Tam, w głębi, za łukiem, było ciemno, błyszczał jednak lakierowany bok starego pianina, pobłyskiwało coś jeszcze, stały chyba fikusy. A tu znowu ten epolet w ramie.

Boże, co za starocie!... Epolety zafascynowały Turbina. Był pokojowy blask łojowej świeczki w lichtarzu. Był świat pokoju i oto ten świat zabito. Czas się nie cofnie. Jeszcze od tyłu okna niskie, malutkie, i z boku okno. Co za dziwny domek. Ona jest sama. Kim ona jest? Uratowała... Nie ma pokoju... Tam strzelają...

Weszła z naręczem drew i z łoskotem wysypała je w kącie pod piecem.

— Co pani robi? Po co? — zawołał wzburzony.

— I tak musiałabym napalić — odpowiedziała, a w jej oczach błysnął ledwie dostrzegalny uśmiech. — Ja sama palę...

— Proszę tu podejść — cicho poprosił ją Turbin. — Ja przecież nie podziękowałem za wszystko, co pani... zrobiła... Zresztą... jak dziękować?... — Wyciągnął rękę, ujął jej palce, przysunęła się pokornie, a wtedy po dwakroć ucałował jej szczupłą dłoń. Twarz jej wyłagodniała, jak gdyby zniknął z niej trwożny cień, oczy jej wydały się w tym momencie niewypowiedzianie piękne.

— Gdyby nie pani — ciągnął Turbin — na pewno by mnie zabili.

— Jasne... — odpowiedziała — oczywiście... A tak to pan zabił jednego z nich...

Turbin uniósł głowę.

— Ja zabiłem? — zapytał, czując się, że osłabienie i zawroty głowy wracają.

— Mhm. — Łaskawie skinęła głową i popatrzyła na Turbina ze strachem i z ciekawością. — Och, jakie to straszne... i mnie o mało co nie zastrzelili. — Wzdrygnęła się...

— Jak to — zabiłem?

— Ano tak... Wskoczyli, pan zaczął strzelać i ten pierwszy upadł... No, może go pan ranił... Pan jest bardzo odważny... Myślałam, że zemdleję... Odbiega pan, strzela do nich... i biegnie pan dalej... Pan jest kapitanem,

prawda?

— Dlaczego uznała pani, że jestem oficerem? Dlaczego wołała pani: „Panie oficerze!”?

Oczy jej błysnęły.

— Sądzę, że nietrudno tak pomyśleć, skoro ma pan na papasze oznakę. Po co ta brawura?

— Oznakę?... Ach, Boże... ja... ja... — Przypomniał sobie dzwonek... zakurzone lustro... — Wszystko zerwałem... a o niej zapomniałem!... Nie jestem oficerem — powiedział. — Jestem lekarzem wojskowym. Nazywam się Aleksiej Wasiliewicz Turbin... A pani? Czy wolno mi wiedzieć?

— Julia Aleksandrowna Reiss.

— Czemu pani jest sama?

Odwróciła oczy, odpowiedziała jakby z trudem:

— Mego męża nie ma. Wyjechał. Jego matka również. Zostałam sama...

— Potem dodała jeszcze po chwili milczenia: — Zimno tu... Brr... Zaraz napalę.

W piecu rozpałały się drwa i jednocześnie rozpałał się straszliwy ból głowy. Rana nie bolała, wszystko skoncentrowało się pod czaszką. Zaczęło się od lewej skroni, potem spłynęło na ciemię, na kark. Skurcz jakiejś żyłki nad lewą brwią rozsyłał na wszystkie strony koncentryczne fale sprężonego tępego bólu. Julia Aleksandrowna klęczała przed drzwiczkami pieca i przegarniała pogrzebaczem ogień. Turbin w męce to zamykał oczy, to je otwierał, a wtedy znów widział jej odchyloną do tyłu głowę, którą osłaniała przed żarem białą dłonią, jej włosy nieokreślonego doprawdy koloru, ni to popielate i przetkane płomieniem, ni to złociste, jej brwi jak węgiel i czarne oczy. Trudno powiedzieć, czy ładny jest ten nieregularny profil, ten nieco garbaty nos. Nie dojdiesz, co się czai w tych oczach. Wydaje się, że strach, że lęk, a może i grzech... Tak, grzech. Kiedy ona siedzi tak, kiedy wędruje po niej płomienna fala żaru, wydaje się cudowna, powabna. Wybawczyni przez wiele nocnych godzin, kiedy zagaś już żar w palenisku, a rozbuzował się żar w ramieniu i w głowie, ktoś wkręcał w ciemię rozpalony gorący gwóźdź, dłubał nim w mózgu. „Mam gorączkę — sucho i bezdźwięcznie powtarzał Turbin i perswadował sobie: — Rano trzeba wstać i przedostać się do domu...” Gwóźdź niszczył mózg, w końcu zniszczył też myśli o Helenie i o Nikołce, o domu i o Petlurze. Zobojętniało wszystko... Peturra... Peturra... Jedno tylko trwało — żeby ustał ten ból.

A późną nocą Reiss w domowych oblamowanych futrem pantoflach przyszła do niego i siedziała przy nim, i znowu, obejmując ją ramieniem za szyję, szedł słabnąc przez małe pokoiki. Przedtem zebrała siły i

powiedziała:

— Jeśli tylko pan zdoła, to proszę wstać. Niech pan w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Pomogę panu. Potem położy się pan na całą noc... No, a jeżeli pan nie może...

— Odpowiedział:

— Ależ pójdę... tylko proszę mi pomóc...

Podprowadziła go przed małe drzwiczki tego tajemniczego ustronia, tak samo przeprowadziła go z powrotem. Kładąc się, szczął zębami, miał dreszcze, czuł, że głowa ulitowała się i przestaje boleć. Powiedział:

— Przysięgam, że nigdy pani tego nie zapomnę... Proszę iść spać...

— Niech pan nic nie mówi. a ja będę pana głaskała po głowie — odpowiedziała.

Potem wysączył się z głowy wszystek ten tępy, wściekły ból, przepłynął ze skroni w jej tkliwe dłonie — po jej rękach, po jej ciele spłynął na podłogę pod gruby, zakurzony dywan, tam szczył. Zamiast bólu rozlał się teraz po całym ciele równomierny, słodkawy żar. Ramię zdrętwiało, ręka zrobiła się ciężka jak z żelaza, więc nie poruszał nią, tylko zamknął oczy i oddał się w niewolę gorączce. Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo tak przeleżał, może pięć minut, może wiele godzin. Ale wydawało mu się w każdym razie, że mógłby tak leżeć, w ogniu, przez całą wieczność. Kiedy otworzył oczy, leciutko, żeby nie spłoszyć tej, która przy nim siedziała, wszystko było jak przedtem — roztaczając równe uśmierzające światło pod czerwonym abażurem równo i słabo paliła się żarówka i trwał tuż przy nim bezsenny profil czuwającej. Patrzyła w okno. smutnie, po dziecinnemu odymała wargi. W płynnej gorączce Turbin poruszył się, wyciągnął do niej rękę...

— Proszę się do mnie nachylić — powiedział. Głos miał teraz suchy, słaby, wysoki. Odwróciła się do niego, jej oczy stały się czujne i lękliwe, zatoneły w głębokich cieniach. Turbin prawą ręką objął ją za szyję, przygarnął do siebie i pocałował w usta. Wydało mu się, że dotknął czegoś słodkiego i zimnego. Nie zdziwiło jej jego zachowanie. Tylko badawczo wpatrywała się w jego twarz. Potem powiedziała:

— Boże, jaką pan ma gorączkę! Co zrobimy? Trzeba wezwać lekarza. ale jak to zrobić?

— Nie trzeba — cicho odpowiedział Turbin. — Lekarz nie jest potrzebny. Jutro wstanę i pójdę do domu.

— Tak się boję — szeptała — że poczuje się pan gorzej. Czy wtedy potrafię panu pomóc? Czy już nie krwawi? — Leciutko dotknęła zabandażowanej ręki.

— Nie, proszę się nie obawiać, nic mi nic będzie. Niech pani idzie się położyć.

— Nie pójdę — odpowiedziała i pogłaskała jego dłoń. — Ma pan gorączkę — powtórzyła.

Nie wytrzymał, znowu objął ją i przygarnął do siebie. Nie opierała się. Przygarniał ją tak długo, dopóki nie pochyliła się na dobre i nie przytuliła do niego. Przez gorączkę wyczuł wtedy żywe i jasne ciepło jej ciała.

— Proszę leżeć i nie ruszać się — wyszeptala — a ja będę pana głaskała po głowie.

Położyła się obok niego, poczuł dotyk jej kolan. Jej dłoń głaskała jego czoło — od skroni, po włosach... Było mu tak dobrze, że myślał tylko o jednym, o tym, żeby nie zasnąć.

I zasnął, oczywiście. Spał długo, spokojnie, słodko. Kiedy się obudził, zrozumiał, że płynie łódką po gorącej rzece, że wszystkie bóle zniknęły bez śladu, a noc za okienkiem powoli blednie coraz to bardziej. Nie tylko w domku, ale także na całym świecie i w całym Mieście panowała absolutna cisza. Szklany, wodniście granatowy brzask przesączał się przez szpary zasłon. Rozgrzana i pełna smutku kobieta spała obok Turbina. I on także zasnął.

Rano, koło dziewiątej, dorożkarz, który przejeżdżał przypadkiem wymarłą Mało-Prowalną, zabrał dwoje pasażerów: bardzo bladego mężczyznę w czarnym garniturze i palcie, i kobietę. Kobieta, troskliwie podtrzymując wczepionego w jej rękaw mężczyznę, kazała się zawieść na Aleksiejewski Zjazd. Na Zjeździe też nie było ruchu. Tylko przed bramą pod trzynastym stały sanki, z których wysiadał był właśnie zagadkowy pasażer z walizką, tobołem i klatką.

14

Odnaleźli się. Żaden z nich nie przeniósł się na łono Abrahama, a znaleźli się zaraz następnego wieczora.

„On” — jęknęło coś w piersiach Aniuty i serce jej podfrunęło jak kanarek Łariosika. Ktoś cicho zapukał z podwórza do przysypanego śniegiem okna kuchni Turbinów, Aniuta przywarła do szyby i poznała. On, ale bez wąsów... On... Oburącz przyglądziła czarne włosy, otworzyła drzwi do sieni, a z sieni na śnieżne podwórze, i Myszłajewski znalazł się nieopisanie blisko niej. Studenckie palto z barankowym kołnierzem, studencka czapka... Wąsy zniknęły... Ale oczy nawet w półmroku sieni rozpoznać można doskonale. Prawe z zielonymi iskierkami jak uralski malachit, lewe ciemne... I jakby zrobił się niższy...

Aniuta założyła drżącą dłonią haczyk, podwórze zniknęło, a smuga światła z kuchni zniknęła także, bo palto Myszłajewskiego otuliło Aniutę,

i bardzo dobrze znany głos szepnął:

— Dzień dobry. Aniutko... Przeziębisz się... Nie ma nikogo w kuchni, Aniuta?

— Nikogo nie ma — nie wiedząc co mówi i czemuś także szeptem odpowiedziała Aniuta. — „Całuje, wargi ma jeszcze słodsze” — pomyślała w rozkosznym upojeniu i zaszeptała: — Panie poruczniku... proszę puścić... Helena...

— Co ma do tego Helena? — szepnął pachnący wodą kolońską i tytoniem pełen wyrzutu głos. — O co ci chodzi, Aniutka?...

— Proszę puścić, będę krzyczała, jak Boga kocham — namiętnie powiedziała Aniuta i zarzuciła Myszłajewskiemu ręce na szyję. — Niestety w domu: Aleksiej Wasiliewicz ranny...

Boa-dusiciel wypuścił ją w jednej chwili.

— Jak to: ranny? A Nikoń?

— Nikoń zdrów i cały, ale Aleksieja Wasiliewicza ranili.

Smuga światła z kuchni, drzwi.

W jadalni Helena na widok Myszłajewskiego rozplakała się i powiedziała:

— Witia, żyjesz... Bogu dzięki... A u nas... — chlipnęła i pokazała drzwi pokoju Turbina. — Ma czterdzieści stopni... Paskudna rana...

— Matko najświętsza — Myszłajewski zsunął czapkę na tył głowy — gdzież on wlaź pod kule?

Odwrócił się w stronę postaci schylonej przy stole nad butlą i jakimiś błyszczącymi pudełeczkami.

— Pan jest lekarzem, jeśli wolno?...

— Nie, niestety — odparł żałośliwy, przybity głos. — Nie jestem lekarzem. Pan pozwoli, że się przedstawię: — Łarion Surżański.

Salon. Drzwi do przedpokoju są zamknięte i zaciągnięte portierą, żeby gwar i hałasy nie przeszkadzały Turbinowi. Właśnie przed chwilą wyszli z jego sypialni i odjechali trzej panowie — ten z bródką w klin, w złotych binoklach, inny — młody, wygolony, i trzeci wreszcie, siwy, stary i mądry, w bojarskiej czapie — profesor, u którego studiował sam Turbin. Helena odprowadzała ich do drzwi ze skamieniałą twarzą. Mówili: tyfus, tyfus... i wykrakali.

— Oprócz rany — tyfus plamisty...

I słupek rtęci na czterdziestu i... „Julia”... W sypialni czerwony upał. Cisza, a w ciszy mamrotanie o schodkach i o dzwonku, który robi „br-ryń”...

— *Zdroweńki buty, pane dobrodiju* — jadowitym szeptem powiedział Myszłajewski i stanął w rozkroku. Szerwiński, ciemnoczerwony, patrzył z ukosa. Czarny garnitur leżał na nim bez zarzutu: olśniewająca koszula,

muszka, na nogach lakierki. „Artysta studium operowego Kramskiego.”
W kieszeni stosowna legitymacja.

— *Czomu ż ce wy bez pahoniw?*... — ciągnął Myszłajewski. — „Na Włodzimirskiej powiewają rosyjskie sztandary... Dwie dywizje Senegalczyków w porcie odeskim i serbscy kwatermistrze... Jedźcie, panowie oficerowie na Ukrainę i formujcie jednostki”... ach, żeż za nogi mać waszą!...

— Czego się mnie czepiasz? — odparł Szerwiński. — Co ja mam z tym wspólnego?..» Czego chcesz ode mnie?... Mnie samego o mało nie zabili. Wyszedłem ze sztabu ostatni, punkt o dwunastej, kiedy od Pieczerska widać już było nieprzyjacielską tyralierę.

— Ty jesteś prawdziwym bohaterem — odparł Myszłajewski — ale mam nadzieję, że Jego Wielmożność głównodowodzący zdażył wyjść wcześniej niż ty... Podobnie jak Jego Ekscelencja jaśnie pan hetman... jego mać... Mam niepłonną nadzieję, że znajdują się w bezpiecznym miejscu. Ich życie potrzebne jest Ojczyźnie. A propos, czy możesz mnie poinformować, gdzie oni właściwie są?

— Po co ci to?

— O, po to — Myszłajewski zacisnął prawą dłoń w pięść i postukał nią po otwartej lewej. — Gdybym tak dostał w swoje ręce Jego Wielmożność i Jego Ekscelencję — wziąłbym jednego za lewą nogę, drugiego za prawą, odwrócił, i tak długo bym ich tłukł głowami o bruk, dopóki by mi nie zbrzydło. A tę waszą sztabową hałastrę należałoby utopić w latrynie...

Szerwiński spurpurowiał.

— No, mimo wszystko licz się ze słowami, z łaski swojej — zaczął. — Pamiętaj, że książę zostawił i sztabowców. Odjechali z nim dwaj jego adiutanci, resztę porzucił na łaskę losu.

— Wiesz, że teraz w muzeum siedzi tysiąc naszych chłopców, głodni, z karabinami maszynowymi... Petlurowcy wybiją ich przecież do nogi...

Wiesz, jak zabili pułkownika Naja?... On jedyny...

— Odczep się ode mnie, proszę cię bardzo!... — krzyknął nie na żarty rozgniewany Szerwiński. — Cóż to za ton?... Jestem takim samym oficerem jak i ty!

— Panowie, dajcie spokój — Karaś wklinował się między Myszłajewskiego i Szerwińskiego. — Ta rozmowa nie ma żadnego sensu. Rzeczywiście, czemu się go czepiasz?... Dajmy temu pokój, to do niczego nie prowadzi...

— Ciszej, ciszej — żałośnie szeptał Nikołka. — On usłyszy...

Myszłajewski speszył się, ochłonał.

— No, nie denerwuj się, barytonie. Ja tylko tak... Sam przecież rozumiesz...

— Dość dziwne...

— Proszę, panowie, ciszej... — Nikołka nadstawił ucha, czubkiem buta stukał w podłogę. Wszyscy zaczęli nasłuchiwać. Z dołu, z mieszkania Wasylisy, dobiegały jakieś głosy. Rozpoznali przygłuszony wesoły śmiech Wasylisy, trochę jakby histeryczny. I jakby odpowiadając mu, dźwięcznie i radośnie zawołała coś Wanda. Potem przycichło. Głosy głucho bębniły jeszcze przez chwilę.

— Zdumiewające — powiedział po namyśle Nikołka. — Wasylisa ma gości... Goście w takiej chwili. Doprawdy, świat się kończy.

— Niezłe ziółko z tego waszego Wasylisy — skonkludował Myszłajewski.

Było koło północy, kiedy Turbin zasnął po zastrzyku morfiny, a Helena usadowiła się w fotelu przy łóżku. W salonie odbyła się narada wojenna. Postanowiono, że wszyscy zostaną na noc. Po pierwsze — nie ma sensu chodzić po nocy, nawet z dobrymi papierami. Po drugie — Helenie będzie raźniej, zawsze w razie czego ma kto pomóc. Ale najważniejsze, że w takich czasach lepiej nie nocować w domu, tylko u przyjaciół. A poza tym, co najistotniejsze, nie ma nic do roboty. Tu zaś można będzie na przykład zagrać w winta.

— Grywa pan? — zapytał Łariosika Myszłajewski. Łariosik zaczerwienił się, zmieszał, i przyznał się bez bicia, że w winta wprawdzie gra, ale bardzo, bardzo słabo... Gdyby mu tylko nie wymyślano tak, jak wymyślali mu w Żytomierzu inspektorzy podatkowi... Że przeżył dramat, ale tu, u Heleny Wasiliewny, odzyskuje spokój ducha, bo Helena Wasiliewna to człowiek, jakiego doprawdy ze świecą szukać, u Turbinów jest przytulnie i zacisznie, a już zwłaszcza cudowne są te kremowe zasłony we wszystkich oknach, dzięki którym człowiek czuje się odizolowany od świata zewnętrznego... A ten świat na zewnątrz... zgodzicie się, panowie, że jest zaszargany, krwawy, pozbawiony sensu.

— Czy pisuje pan wiersze, jeśli wolno zapytać? — uważnie przyglądając się Łariosikowi spytał Myszłajewski.

— Piszę — rumieniąc się wyrzekł skromnie Łariosik.

— No tak... Proszę wybaczyć, przerwałem panu... A zatem powiedział pan, że świat jest bezsensowny... Słuchamy, słuchamy...

— Tak, jest bezsensowny, a nasze obolałe serca szukają spokoju właśnie za takimi kremowymi zasłonami...

— No wie pan, skoro już o spokoju mowa, to nie wiem jak w Żytomierzu, ale tu, w Mieście, raczej go pan nie znajdzie... Zmocz szczotkę, strasznie kurzysz. Macie świece? Doskonale. W takim razie pan będzie wychodzący... W piątkę gra się spokojniutko, noga za nogą...

— Nikołka też gra jak noga — wtrącił Karaś.

— Ależ co ty opowiadasz, Fiedia. Kto przegrał zeszłym razem, pod piecem? Sam wyszedłeś w renons. Cóż to za oszczerstwa?

— Błękitne petlurowskie koszulki...

— Żyć trzeba właśnie za kremowymi zasłonami. Nie wiem, czemu wszyscy szydzą z poetów...

— Ależ uchowaj Boże... Pan niewłaściwie zrozumiał moje pytanie. Nie mam nic przeciwko poetom. Co prawda wierszy nie czytuję...

— Ani żadnych innych książek oprócz regulaminu walki artylerii i pierwszych piętnastu stron *Prawa rzymskiego*... Był na szesnastej stronie, kiedy zaczęła się wojna, więc dał sobie spokój...

— Tere-fere, nie słuchajcie go. Pańska godność — Łarion Iwanowicz? Łariosik wyjaśnił, że właściwie to Łarion Łarionowicz, ale tak jest mu sympatyczne całe towarzystwo, którego nie nazwałby nawet towarzystwem, raczej już kochającą się rodziną, że pragnąłby bardzo, żeby mówiono mu po imieniu, po prostu — Łarion... Jeśli, rzecz jasna, nikt nie ma nic przeciwko temu.

— Wygląda na sympatycznego chłopca — szepnął do Szerwińskiego powściągliwy Karaś.

— No, cóż... Poznamy się jeszcze bliżej... Czemu nie?... A on łże, jeśli już chcecie wiedzieć, to czytałem *Wojnę i pokój*... To jest książka, to rozumiem. Przeczytałem od deski do deski i to z przyjemnością. A dlaczego? Bo ją napisał nie jakiś byle chłystek, tylko oficer artylerii. Pan ma dziesiątkę? Więc ja z panem... Karaś z Szerwińskim... Nikołka, jesteś wychodzący.

— Tylko, błagam, nie wymyślajcie mi — jakoś tak nerwowo poprosił Łariosik.

— Ależ, co też pan, doprawdy!... Nie jesteśmy przecież Papuasami! To widocznie tam u pana, w Żytomierzu, są tacy zajadli inspektorzy podatkowi, którzy napędzili panu strachu... U nas to nie jest przyjęte, jesteśmy powściągliwi.

— Na litość, może pan być o to spokojny — powiedział siadając Szerwiński.

— Dwa piki... Ta-ak... O, to był pisarz ten Lew Nikołajewicz Tołstoj, porucznik artylerii... Szkoda, że rzucił służbę... Pas... dosłużyłby się generała... Ale co mu tam, miał dobra na wsi... Z nudów można nawet napisać powieść... W zimie nie ma co robić... We własnym majątku nic prostszego. Bez atu...

— Trzy kara — nieśmiało powiedział Łariosik.

— Pas — to Karaś.

— O co chodzi? Pan przecież świetnie gra. Należy pana chwalić, a nie rugać. Na trzy kara to my powiemy cztery piki. Sam bym teraz z

przyjemnością pojechał do majątku...

— Cztery kara — odpowiedział Łariosikowi Nikołka zaglądając mu w karty.

— Cztery? Pas.

— Pas.

Przy migotliwym świetle świec stearynowych, w dymie papierosów, zdenerwowany Łariosik dokupił. Myszłajewski rzucił partnerom po karcie, jakby wyrzucał łuski z karabinu.

— M-mały w piki — oświadczył i pochwalił Łariosika. — Bardzo dobrze. Karty leciały z rąk Myszłajewskiego bezgłośnie niczym klonowe liście. Szerwiński dorzucał akuratnie. Karaś — karta mu nie szła — z pasją, Łariosik wzdychając ostrożnie wykladał karty jak legitymacje.

— Król singiel na ręku. ho! ho! — powiedział Karaś. Myszłajewski nagle spurpurowiał, cisnął karty na stół i ryknął jak lew wybałuszając się na Łariosika:

— Po kiego licha przebijasz moją damę? Łarion!

— Nieźle. Ha-ha-ha! — krwiożerczo ucieszył się Karaś. — Bez jednej!

Straszny wszczął się przy zielonym stoliku tumult, zakołysały się płomyki świec. Nikołka psykając i wymachując rękami poskoczył zamykać drzwi, zaciągać portierę.

— Myślałem, że Fiodor Nikołajewicz ma króla — martwiejąc sumitował się Łariosik.

— Co to znaczy — myślałeś?... — Myszłajewski starał się nie krzyczeć, więc z jego gardła wydobywał się syk, który czynił go jeszcze straszniejszym. — Przecież sam kupiłeś króla, sam mi go rzuciłeś. Tak czy nie? Przecież to diabli wiedzą... — Myszłajewski zwracał się do wszystkich po kolei — przecież to... Szuka spokoju! Tak? Ładny mi spokój — leżeć bez jednej! Gramy przecież z zapisem! To nie wiersze, tu trzeba myśleć!

— Poczekaj. Być może Karaś...

— Co być może? Nic nie może być, oprócz zawracania głowy. Proszę wybaczyć, łaskawco, może tak się gra w Żytomierzu, ale to jest zawracanie głowy, a nie gra!... Niech pan się nie obraża, ale Puszkina czy Łomonosowa, choć pisali wiersze, na pewno nigdy by czegoś takiego nie zrobili. Albo taki na przykład Nadson...

— Uspokój się. Czegoś na niego naskoczył? Każdemu może się zdarzyć.

— Wiedziałem — mamrotał Łariosik... — Mam pecha...

— Cicho! Ci...

I od razu zapadła cisza absolutna. Z daleka, zza wielu zamkniętych drzwi, z kuchni, dobiegł trzepot dzwonka. Milczeli. Rozległ się stukot obcasów,

drzwi otworzyły się, stanęła w nich Aniuta. Mignęła w przedpokoju głowa Heleny. Myszłajewski zabębnił palcami w sukno, powiedział:

— Jakby trochę za wcześnie? Prawda?

— Tak, za wcześnie — odpowiedział Nikołka, uważany za najwybitniejszego specjalistę od problematyki rewizji.

— Otworzyć? — niespokojnie zapytała Aniuta.

— Nie, panno Aniuto — odpowiedział Myszłajewski. — Momencik. — Odchrząknął i wstał z fotela. — W ogóle teraz ja będę otwierał...

— Pójdziemy razem — powiedział Karas.

— No — odezwał się Myszłajewski i od razu popatrzył tak, jakby stał przed frontem plutonu. — Tak. — A zatem, po kolei... Doktor ma tyfus plamisty i tak dalej. Ty, Lena, jesteś siostrą. Karas może od biedy udawać medyka, studenta... Szoruj do sypialni... Weź tam jakąś strzykawkę... Dużo nas. No, nic...

Powtórzył się zniecierpliwiony dzwonek, Aniuta drgnęła, wszyscy spoważniali jeszcze bardziej.

— Zdaży się — powiedział Myszłajewski i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni mały czarny rewolwer, który wyglądał jak zabawka.

— No, wiesz — powiedział czerwieniejąc Szerwiński. — Dziwię ci się. Właśnie ty powinieneś być ostrożniejszy. Jak możesz chodzić z tym po ulicach?

— Tylko spokojnie — poważnie i uprzejmie odparł Myszłajewski. — Wszystko będzie dobrze. Trzymaj to, Nikołka, i wal do kuchennych drzwi albo do lufcika. Jeżeli to archaniołowie Petlury, zakaszlę, wtedy to spławisz, byle tak, żebyśmy potem znaleźli. To pamiątka, jeździła ze mną pod Warszawę. U ciebie wszystko w porządku?

— Spokojna głowa — zabierając rewolwer odparł spec od rewizji.

— A zatem — Myszłajewski wskazał palcem Szerwińskiego i powiedział:

— śpiewak, przyszedłeś w gości; Karasia — medyk; Nikołkę — brat; Łariosika — student, jesteś tu na stacji. Masz dokumenty?

— Mam carski paszport — powiedział Łariosik blednąc — i indeks, ale z Charkowa.

— Cesarski do pieca, pokażesz indeks. Łariosik zaplątał się w kotarę, a potem wybiegł.

— Reszta to głupstwo, kobiety... — ciągnął Myszłajewski — no więc jak, wszyscy macie dokumenty? Żadnych zbytecznych przedmiotów w kieszeniach?... Hej. Łarion!... Zapytaj no go, czy nie ma broni.

— Hej, Łarion! — zawołał w jadalni Nikołka. — Masz broń?

— Nie, skąd, uchowaj Boże — odkrzyknął z głębi mieszkania Łariosik.

Trzeci dzwonek, natarczywy, długi, niecierpliwy.

— No, pobłogosław Panie Boże — powiedział Myszłajewski i poszedł. Karaś zniknął w sypialni Turbina.

— Kładliśmy pasjansa — powiedział Szerwiński i zdmuchnął świece. Do mieszkania Turbinów prowadziło troje drzwi. Jedne z przedpokoju na schody, drugie, oszklone, oddzielające, jeśli tak można powiedzieć, terytorium Turbinów. Na dole za oszklonymi drzwiami była ciemna zimna sień frontowa, w niej z boku drzwi do mieszkania Lisowiczów; z korytarza ostatnie już drzwi prowadziły na ulicę. Drzwi trzasnęły, Myszłajewski na dole zawołał:

— Kto tam?

Za plecami, na górze, na schodach, wyczuł jakieś postacie. Przytłumiony głos zza drzwi powiedział:

— Dzwoni człowiek i dzwoni... Tu mieszka Talberg-Turbina? Depesza do niej... Pan otworzy...

„Ta-ak” — pomyślał Myszłajewski i zaniósł się chorobliwym kaszlem. Jedna sylwetka zniknęła ze schodów. Myszłajewski ostrożnie odciągnął zasuwę, przekręcił klucz i otworzył drzwi, ale nie odpiął łańcucha.

— Gdzie ta depesza? — powiedział, stając bokiem, tak że drzwi go zasłaniały. W szparę wsunął się szary rękaw, podał mu małą kopertę. Zdumiony Myszłajewski zobaczył, że to rzeczywiście depesza.

— Pan pokwituje — gniewnie powiedział głos za drzwiami. Myszłajewski rzucił okiem, zobaczył, że na ulicy jest tylko jeden człowiek.

— Aniuta, Aniuta — rześko zawołał cudownie uleczony z bronchitu. — Daj no ołówek.

Zamiast Aniuty zbiegł do niego Karaś, podał. Na oderwanym od kwadratu paseczku Myszłajewski nabazgrał: „Tur”, szepnął do Karasia:

— Daj dwadzieścia pięć... Drzwi stuknęły... Zamknęły się na klucz... Oszołomiony Myszłajewski wrócił z Karasiem na górę. Zgromadzili się wszyscy. Helena rozłożyła blankiet i machinalnie przeczytała na głos:

„Straszne nieszczęście spotkało Łariosika stop aktor operetki Lipski...”

— Boże wielki — zawołał szkarłatny Łariosik. — To ta depesza!

— Sześćdziesiąt trzy słowa — jęknął z zachwytu Nikołka. — Patrzcie, zapisane z obu stron.

— Jezus Maria! — zawołała Helena. — Cóż to takiego? Ach, proszę mi wybaczyć, Łarion... że zaczęłam czytać. Na śmierć zapomniałam o tej depeszy...

— Cóż to znowu? — zapytał Myszłajewski.

— Żona go rzuciła — szepnął mu na ucho Nikołka. — Upiorna historia...

Okropny łomot w oszklone drzwi zwałił się na mieszkanie jak lawina. Aniuta pisnęła, Helena zbladła, wsparła się o ścianę. Łomot był tak potworny, tak straszliwy, tak niedorzeczny, że nawet Myszłajewski zmienił się na twarzy. Szerwiński podtrzymał Helene, sam był blady... Z sypialni Turbina dobiegł jęk.

— Drzwi... — krzyknęła Helena.

Zapominając o *ordre de bataille* pomknął na dół Myszłajewski, za nim Karaś, Szerwiński i śmiertelnie przerażony Łariosik.

— To już gorzej — mruzczał Myszłajewski. Za oszklonymi drzwiami miotła się samotna czarna sylwetka, łomot ustał.

— Kto tam? — Myszłajewski zagrzmiął jak w cekhauzie.

— Na Boga... Na Boga... Otwórzcie, to Lisowicz... Lisowicz! — wrzasnęła sylwetka. — To Lisowicz... Lisowicz.

Wasyliś był przerażający... Rzadkie włosy, spośród których przeświecała różowawa łysinka. sterczały na boki. Krawat był przekrzywiony, poły marynarki powiewały jak wyłamane drzwi szafy. Oczy miał Wasyliś zmętniałe, szalone, jakby zażył truciznę. Wdarł się na ostatni stopień, zachwiał się, padł w ramiona Myszłajewskiego. Myszłajewski ledwie go złapał, ledwie utrzymał, sam przysiadł na schodku, zawołał ochryple, panicznie:

— Karaś! Wody...

15

Był wieczór. Dochodziła jedenasta. Z powodu zachodzących wydarzeń znacznie wcześniej niż zwykle opustoszała i tak na ogół niezbyt ludna ulica.

Padął drobny śnieżek, śnieżynki rytmicznie przemykały za szybą, a gałęzie akacji koło chodnika, która latem ocieniała okna Turbinów, coraz niżej obwisały pod ciężarem śniegowych czap.

Zaczęło się tak od obiadu, potem nadciągnął niedobry przygaszony wieczór, mnóstwo nieprzyjemności, zgryzota w sercu. Kiedy zapalili światło, żarówka nie wiadomo dlaczego ledwie się świeciła, a Wanda dała na obiad mózdzek. Mózdzek to z natury swojej straszne świństwo, a w wykonaniu Wandy — paskudztwo w ogóle niejadalne. Przed mózdzkiem była jeszcze zupa, którą Wanda okrasiała olejem, i ponury Wasyliś wstał od stołu w ogóle nie mając wrażenia, że jest po obiedzie. Wieczorem zaś mieli mnóstwo zajęć i to zajęć nieprzyjemnych, męczących. W stołowym leżał do góry nogami stół jadalny, na podłodze leżał plik Lebid'-Jurczyków.

— Kretynka — powiedział do żony Wasylisa. Wanda zmieniła się na twarzy i odpowiedziała:

— Już od dawna wiem, że jesteś chamem. Ale ostatnimi czasy twoje chamstwo sięgnęło szczytów Himalajów.

Wasylisa chciwie zapragnął strzelić ją z całej siły w pysk, ale tak, żeby poleciała i rąbnęła się o kant kredensu. A potem jeszcze raz, jeszcze, i tłuc ją, dopóki ta przeklęta, koścista istota nie zamilknie, nie uzna się za pokonaną. On, Wasylisa, jest przecież zmęczony, ostatecznie haruje jak wół i żąda, żąda, żeby w domu go słuchano. Wasylisa zgrzytnął zębami i opanował się, bowiem zaatakowanie Wandy nie było wcale tak bezpieczne, jakby się z pozoru wydawać mogło.

— Rób tak, jak mówię — powiedział przez zęby. — Zrozum, że kredens mogą odsunąć, i co wtedy? A to nikomu nie przyjdzie do głowy. Całe Miasto tak robi.

Wanda podporządkowała się mężowi i oboje zabrali się do pracy — przypinali banknoty pinezkami do wewnętrznej strony blatu.

Niebawem cały stół od spodu rozkwitł, przypominał teraz wzorzysty jedwabisty kobierzec.

Wasylisa sapiąc, z purpurową twarzą, wstał, ogarnął wzrokiem łąkę banknotów.

— Niewygodne — powiedziała Wanda. — Ile razy będzie potrzebne porę groszy, trzeba przewracać stół.

— Przewrócisz, korona ci z głowy nie spadnie — ochryple odparł Wasylisa. — Lepiej przewracać stół niż wszystko stracić. Słyszałaś, co się dzieje w mieście? Gorszi od bolszewików. Podobno rewidują dom po domu. szukają oficerów.

O jedenastej Wanda przyniosła z kuchni samowar i pogasiła światło w całym domu. Wyjęła z kredensu papierową torbę z czerstwym chlebem i kawałek zielonego sera. Zwisająca nad stołem żarówka w jednej z trzech opravek trójramiennego żyrandola sączyła ze słabo żarzących się drucików wątłe czerwone światło.

Wasylisa żuł kawałek bułki paryskiej, zielony ser irytował go do łez, był jak ból świdrujący w zębie. Przy każdym ugryzieniu mdły proszek osypywał się na marynarkę, na krawat. Nie pojmując, co go tak drażni. Wasylisa spojrzał spode łba na przeżuwającą Wandę.

— Aż się dziwię, jakie oni mają szczęście — patrząc w sufit mówiła Wanda. — Byłam pewna, że któregoś zabiją. Ale wrócili wszyscy i znowu dom pełen oficerów.

Kiedy indziej słowa Wandy nie wywarłyby na Wasylisie najmniejszego

wrażenia, teraz jednak, kiedy smutek ścisnął mu serce, wydało mu się, że są to słowa nieznośnie podłe.

— A ja się tobie dziwię — odpowiedział i popatrzył w bok, żeby się nie denerwować. — Wiesz doskonale, że zachowali się tak, jak powinni. Ktoś przecież musiał bronić Miasta przed tymi (tu Wasylisa ściszył głos) łajdakami. Mylisz się zresztą, jeśli sądzisz, że mieli takie szczęście... Wydaje mi się, że on...

Wanda wpatrzyła się w Wasylisę, potakiwała ruchem głowy.

— Od razu się sama domyśliłam, sama... Oczywiście, że jest ranny...

— No więc, z czego tu się cieszyć?... „Mają szczęście...” Wanda oblizła wargi.

— Ja się nie cieszę, powiedziałam tylko, że mieli szczęście. O nic mi nie chodzi, tylko ciekawa jestem, co będzie, jeśli nie daj Panie Boże, przyjdą do nas i zapytają ciebie, jako przewodniczącego komitetu domowego, co to za jedni, ci z góry. Czy byli u hetmana? Co wtedy powiesz?

Wasyliśa spochmurniał. spojrzął w bok:

— Zawsze mogę powiedzieć, że to lekarz... Zresztą skąd mam wiedzieć? No, skąd?

— Właśnie, właśnie, skąd?...

Wpół słowa przerwał jej dzwonek z przedpokoju. Wasyliśa zbladł, Wanda odwróciła głowę na żylastej szyi.

Wasyliśa pociągnął nosem, wstał z krzesła, powiedział:

— Wiesz co? Może by skoczyć do Turbinów, poprosić ich tu?

Wanda nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tejże chwili dzwonek zadzwonił znowu.

— Ach, Boże drogi — z niepokojem powiedział Wasyliśa. — No, cóż, trzeba otworzyć.

Wanda spojrzała ze strachem, ruszyła za nim. Otworzyli drzwi z mieszkania do wspólnej sieni. Wasyliśa wyszedł na korytarz, powiało zimnem, wyjrzała ostra twarz Wandy, oczy rozszerzone, przerażone. Nad jej głową po raz trzeci w błyszczącym kołpaczku natarczywie zaterkotał prąd.

Przez sekundę Wasyliśa myślał o tym, żeby zapukać do oszklonych drzwi Turbinów — ktoś od nich natychmiast by wyszedł, nie byłoby tak strasznie. Ale nie powążył się na to. Bo jeśli: „Po coś pukał? Co? Czego się boisz?” — a poza tym błysnęła mu słaba, co prawda, nadzieja, że może to jednak nie oni, może po prostu ktoś, zwyczajnie...

— Kto... tam? — wykrztusił Wasyliśa przy drzwiach.

I natychmiast ochryplym głosem odezwała się prosto w brzuch Wasyliśie dziurka od klucza, a nad Wandą znowu rozterkotał się dzwonek.

— *Widczyniaj* — chrypnęła dziurka od klucza — ze sztabu. *Ta ne odchody*, bo strzełę przez drzwi...

— Ach. Boż... — wykrztusiła Wanda.

Wasyliśa zdrętwiałymi dłońmi odsunął rygiel, zdjął masywny hak, sam nie wiedział, jak odpiął łańcuch.

— *Skorisz...* — grubiańsko powiedziała dziurka od klucza. Uliczna ciemność wionęła na Wasyliśę skrawkiem szarego nieba, gałęzi akacji, śnieżynkami. Weszło ledwie trzech, ale Wasyliśie wydało się, że jest ich bardzo wielu.

— Można wiedzieć... w jakiej sprawie?

— Rewizja — wilczym głosem odpowiedział ten, który wszedł pierwszy, i jakoś tak od razu natarł na Wasyliśę. Korytarz odwrócił się, twarz Wandy w oświetlonych drzwiach wyglądała jak obficie upudrowana.

— A, przepraszam, w takim razie proszę. — Głos Wasyliśy brzmiał blado, bezradnie. — Macie może panowie nakaz? Prawdę mówiąc, jestem spokojnym obywatelem... Nie wiem, czemu akurat do mnie? U mnie nic — Wasyliśa za wszelką cenę chciał powiedzieć coś po ukraińsku i powiedział — *nema*.

— *Nu, my pobaczymo* — powiedział pierwszy.

Cofając się jak we śnie pod naporem wchodzących w drzwi, jak we śnie widział ich Wasyliśa. W pierwszym z nich wszystko było wilcze, tak przynajmniej, nie wiadomo dlaczego, wydawało się Wasyliśie. Twarz miał pociągłą, oczka maleńkie, osadzone głęboko, skórę wyszarzałą, wąsy kępczaste; zapadnięte, nie golone, pobrużdżone policzki; dziwnie jakoś zezował, patrzył spode łba i nawet tu, na tym maleńkim skrawku przestrzeni, potrafił zademonstrować swój nieczłowieczy, skradający się chód bestii nawykłej do przemykania wśród traw i śniegów. Mówił straszliwym, niepoprawnym językiem — mieszając słowa rosyjskie z ukraińskimi — język ten dobrze znali ci mieszkańcy Miasta, którzy bywali na Podole, nad brzegiem Dniepru, tam, gdzie latem skrzypią kołowroty na przystani, tam gdzie latem obdartusy wyładowują z galarów arbuzy... Wilk miał na głowie papacnę, zwiślał z niej na bok skrawek granatowego materiału obszyty złocistym galonem.

Drugi, olbrzymi, w przedpokoju Wasyliśy sięgał nieomal powały. Miał krągłe, wesołe, babskie rumieńce, był młody, bez zarostu. Na głowie baszłyk z wyjedzonymi przez mole uszami, na ramionach szary szynel, na niewiarygodnie małych stopach żałosne, przeraźliwie zdarte buciory.

Trzeci miał kaczy, zapadnięty nos nadzarty z boku ropiejącym wrzodem. zeszytą wargę zniekształcała blizna. Na głowie stara czapka oficerska z czerwonym otokiem i śladem po oznace, staroświecka dwurzędowa żołnierska kurtka mundurowa z miedzianymi, zaśniedziałymi guzikami,

czarne spodnie, na nogach grube, szare wojskowe skarpety i łapcie. W świetle żarówki twarz jego mieniła się dwiema barwami — woskowożółtą i fioletową. oczy patrzyły cierpiętnicze i złowieszczo.

— *Pobaczymo, pobaczymo* — powtórzył wilk. — Jest i nakaz. Mówiąc to sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął zmiętoszony papier i podetknął go Wasylisie. Jedno jego oko przewierciło serce Wasylisy, drugie, lewe, zezowate, pobieżnie przeszło kufry w przedpokoju. Na pogniecionym świstku z pieczętką:

Sztab Pierwszego Kurenia Siczowego, krzywo, wielkimi kulfonami, napisane było chemicznym ołówkiem:

Predpisujetsa zrobić rewizję u Wasilia Lisowicza na Aleksiejewskim Zjeździe 13. Stawianie oporu karane będzie *rozstrilom*.

Szef Sztabu Procenko Adiutant Mikłun W lewym dolnym rogu przybita była nieczytelna niebieska pieczęć.

W oczach Wasylisy z lekka zatańczyły zielone kwietne bukiety z tapet, a kiedy wilk znowu zawładnął dokumentem. Wasylisa powiedział:

— Wchodźcie, *panowe*. proszę, ale u mnie nic nie ma... Wilk wyjął z kieszeni czarny, naoliwiony browning i wycelował w Wasylisę. Wanda cichutko tchnęła: „Oj!” Lśniący od oliwy długi, strzelisty colt znalazł się w dłoni tego ze szramą. Pod Wasylisą ugięły się kolana, przysiadł jakby, zrobił się niższy. Światło nie wiadomo dlaczego akurat teraz rozjarzyło się jasno, białło, wesoło.

— *Chto* w mieszkaniu? — ochryple zapytał wilk.

— Nie ma nikogo — odpowiedziały zbielełe wargi Wasylisy. — *Ja, ta žinka*.

— Ano, chłopcy, zobaczcie, *ta szwydsze* — chrypnął wilk zwracając się do swoich kompanów. — *Nema* czasu.

Olbrzym natychmiast potrząsnął kufrem jak pudełkiem, ten ze szramą poskoczył do pieca. Pistolety schowali. Szramowaty ostukał pięścią kafle, zgrzytliwie otworzył drzwiczki, z czarnego paleniska wionęło skąpe ciepło.

— Broń *je* — zapytał wilk.

— Słowo daję... Boże uchowaj, jaka broń...

— Nie mamy — jednym tchem potwierdził cień Wandy.

— Przyznaj się lepiej, *a to baczysz: rozstril!* — sugestywnie powiedział wilk.

— Jak Boga kocham... skąd?...

W gabinecie zapaliła się zielona lampa i wstrząśnięty do głębi żelaznej duszy Aleksander II popatrzył na całą trójcę. W zieleni gabinetu Wasylisa

po raz pierwszy w życiu doświadczył, jak to jest, kiedy nadchodzi w groźnych zawrotach głowy przecucie utraty przytomności. Wszyscy trzej przede wszystkim zabrali się do tapet. Olbrzym lekko, od niechcienia. wygarnął z półek książki, całymi rzędami, sześcioro rąk zaczęło opukiwać ściany, miejsce koło miejsca... Tup... tup... głucho postukiwał mur. Tuk — odezwała się nagle płytka zamykająca skarbcezyk. W wilczych oczach zabłysła radość.

— *Szczo ja kazaw?* — bezgłośnie szepnął wilk. Olbrzym ciężkimi nożyskami rozdarł skórę fotela, wydzwignął się nieomal do sufitu, coś chrząknęło pod jego palcami, coś trzasnęło, wyrwał blachę ze ściany. Zawinięta w papier przewiązana sznurkiem paczka znalazła się w rękach wilkowatego. Wasylisa zachwiał się, oparł o ścianę. Wilk zaczął kiwać głową i długo tak nią kiwał wpatrując się w na wpół martwego Wasylisę.

— Co ty, zarazo? — powiedział z rozgoryczeniem. — *Szczo ż ty? Nema, nema, ach, ty, suczyj chwist.* Mówiłeś *nema*, a *broszy* w ścianie chowasz? Ubić by cię *treba*

— Nie! — wrzasnęła Wanda.

Z Wasylisą stało się coś dziwnego, wybuchnął nagle spazmatycznym śmiechem, a śmiech to był koszmar, ponieważ w błękitnych oczach Wasylisy płąsała zgroza, a śmiały się tylko wargi, nos i policzki.

— Na Boga, *panowe*, żadnego dekretu nie było. Tu są tylko jakieś papiery bankowe i trochę drobiazgów... Pieniędzy niedużo... Uczciwie zapracowane... Teraz przecież carskie pieniądze wycofano z obiegu...

Wasylisa mówił to i patrzył na wilka tak, jakby ten wprawiał go w upiorny zachwyty.

— Warto by cię przyaresztować — szyderczo powiedział wilk, potrząsnął paczuszką i wepchnął ją w bezdenną kieszeń obszarpanego szynelu. — Ano, chłopcy, bierzcie się do szuflad.

Z szuflad, które otwierał sam Wasylisa, poleciały pliki papierów, stemple, stempelki, zdjęcia, pióra, papierośnice. Papiery zasłały zielony dywan i czerwone sukno na biurku, szeleszcząc opadały na podłogę. Degenerat przewrócił do góry nogami kosz na śmieci. W bawialni opukiwali ściany pośpiesznie, jakby od niechcienia. Olbrzym ściągnął dywan i parokrotnie tupnął w podłogę zostawiając na posadzce wymyślne, jak gdyby wypalone ślady. Światło, im było później, tym jaśniejsze, świeciło wesoło, błyszczał kwiatusek gramofonu. Wasylisa powłócząc nogami łąził w ślad za tamtymi trzema. Ogarnął go tępy zobojętniały spokój, myśli płynęły teraz jakby składniej. W sypialni w mgnieniu oka — chaos: z lustrzanej szafy wyleciały na stertę koce, prześcieradła, materac przewrócił się brzuchem do góry. Olbrzym nagle znieruchomiał,

rozpromienił się w nieśmiałym uśmiechu, zajął pod łóżko. Spod skotłowanej pościeli wyjrzały nowe giemzowe kamaszki Wasylisy z lakierowanymi nosami. Olbrzym uśmiechnął się, nieśmiało obejrzał się na Wasylisę.

— *Jake harne* buciki — powiedział piskliwie. — Może czasem na mnie będą pasowały?

Wasylisa jeszcze nie wymyślił, co odpowiedzieć, a już olbrzym schylił się i czule podniósł kamasze. Wasylisa zadrżał.

— To giemza, panowie — powiedział, sam nie rozumiejąc, co mówi. Wilk odwrócił się doń, w zezowatych oczkach błysnęła gorycz i gniew.

— Milcz, gnido — powiedział posępnie. — Milczeć! — powtórzył z nagłą irytacją. — Podziękuj nam, *szczo my tebe* nie rozstrzelali jak złodzieja i bandytę za ukrywanie kosztowności. Milcz — ciągnął nacierając na bladego jak kreda Wasylisę i miotając pioruny z oczu. — Nazbierałeś dobytku, mordę upasłeś, różowutki jesteś jak świnia, a *baczysz*, w czym porządni ludzie chodzą? *Baczysz?* On nogi ma odmrożone, pocierane, w okopach za ciebie gnił, a ty sobie siedziałeś w domciu, na gramofonach grałeś. U-uch, twoja mać. — Łysnęło mu w oczach pragnienie, żeby przysunąć Wasylisie w ucho, zamachnął się. Wanda wrzasnęła: „Nie!” Wilk nie poważył się na uderzenie okazałego Wasylisy, trącił go tylko pięścią w pierś. Poblady Wasylisa zatoczył się, pchnięty kanciastym kułakiem poczuł w piersiach szarpiący ból, bezsilność.

„Masz tobie rewolucję — wybuchło w jego różowutkiej i pedantycznej głowie. — Ładna mi rewolucja. Trzeba ich było wszystkich powywieszać, ale teraz już za późno...”

— *Wasilko, obuwajs* — tkliwie powiedział wilk do olbrzyma. Tamten siadł na sprężystym materacu i ściągnął buciory. Kamaszki nie wchodziły na grube szare pończochy. — Wydadź Kozakowi skarpetki — surowo polecił wilk Wandzie. W mgnieniu oka przykucnęła przed dolną szufladą żółtej szafy, wyjęła skarpetki. Olbrzym ściągnął szare skarpety, zademonstrował stopy o czerwonych palcach, czarną, nadzartą skórę, wciągnął skarpetki. Kamasze weszły z trudem, sznurowadło lewego urwało się z trzaskiem. Olbrzym w zachwyceniu, z dziecinnym uśmiechem związał je, wstał. I od razu jakby pękło napięcie panujące między pięciorgiem tych dziwnych osób chodzących za sobą krok w krok po mieszkaniu. Wszystko stało się proste. Degenerat spojrzął na kamaszki na nogach olbrzyma i nagle zgrabnie zdjął z gwoździa przy umywalce spodnie Wasylisy. Wilk tylko raz jeszcze podejrzliwie obejrzał się na

Wasylię — czy nie powie czegoś? — ale ani Wasyliśa, ani Wanda, nic nie mówili, twarze ich były identycznie białe, oczy jednakowo ogromne. Sypialnia przypominała teraz sklep z gotowymi ubraniami. Szramowaty stał w samych kałesonach, pasiastych, podartych na strzepy, i oglądał spodnie pod światło.

— Droga rzecz, szewiot... — powiedział przez nos, usiadł na granatowym fotelu, zaczął wciągać portki. Wilk wymienił brudną bluzę na szarą marynarkę Wasyliśy, zwrócił przy tym Wasyliśie jakieś papierki z kieszeni ze słowami: *Jakiś bumazki, bierzcie, pane. może potrzebne.* — Wziął ze stołu szklany zegarek w kształcie globusa, w którym pyszniły się grube, czarne rzymskie cyfry.

Wilk włożył szynel, nawet spod szynelu słychać było tykanie zegarka. — Zegarek to rzecz potrzebna. Bez zegarka jak bez ręki — mówił wilk do pokiereszowanego i coraz był grzeczniejszy dla Wasyliśy — w nocy człowiek popatrzy, która godzina, niezastąpiona rzecz.

Po czym wszyscy ruszyli z powrotem przez bawialnię do gabinetu.

Wasyliśa i Wanda obok niego w milczeniu szli za nimi. W gabinecie wilk zezując zadumał się nad czymś, potem powiedział do Wasyliśy:

— Wy, *pane.* dajcie nam kwit... (Dręczyła go jakaś myśl, marszczył czoło w harmonijkę.)

— Co? — szepnął Wasyliśa.

— Kwit, *szczo* wy nam rzeczy wydali — patrząc w podłogę wyjaśnił Kozak.

Wasyliśa zmienił się na twarzy, policzki mu poróżowiały.

— Ale jak to... Ja przecież... (Chciał krzyknąć: „Jak to, jeszcze pokwitowanie!?” — ale nie wydobyły się z niego te słowa, wydobyły się inne.) Wy... to wy macie pokwitować, że tak powiem...

— Oj, *ubyty tebe treba jak sobaku.* U-u, krwiopijco... Wiem ja, co ty myślisz. Wiem. Ty byś, jakby twoja władza była, pod paznokieć nas wziął jak wszy. U-u, chcący z tobą po dobremu, widzę, się nie dogada. Chłopcy, postawcie go pod mur. U, jak przysunę...

Rozsierdził się i nerwowo przyparł Wasyliśę do ściany, chwytając go za gardło, skutkiem czego Wasyliśa w mgnieniu oka zrobił się czerwony.

— Aj! — krzyknęła przerażona Wanda i chwyciła wilka za rękę. — Co pan robi! Na litość boską!... Wasia, napisz, napisz...

Wilk puścił gardło inżyniera i z chrzęstem odskoczył na bok jak kołnierzyk na gumce. Wasyliśa sam nie wiedział, jak i kiedy znalazł się w fotelu. Ręce mu latały. Wyrwał z notesu kartkę, umoczył pióro. Zapadła cisza, a w ciszy słychać było, jak w kieszeni wilka tyka szklany globus.

— Ale jak napisać? — słabym, chrapliwym głosem zapytał Wasyliśa.

Wilk zadumał się, pomrukał powiekami.

— *Pyszit'*... na polecenie sztabu kurenia siczowego... przedmioty... rzeczy... w takiej i takiej ilości... *u ciłosti* zdałem...

— W ta... —jakoś skrzytnął Wasylisa i zaraz ucichł.

— ...zdałem przy rewizji, i pretensji żadnych *ne maju*. *I pidpyszit'*...

Tu Wasylisa zebrał ostatnie resztki kołaczącej się jeszcze odwagi i odwodząc spojrzenie zapytał:

— Ale komu?

Wilk podejrzliwie popatrzył na Wasylisę, ale powściągnął niezadowolenie i tylko westchnął.

— *Pyszit'*: otrzymawszy... otrzymali *u ciłosti* Nemoijaka (zadumał się, popatrzył na potwora)... Szurpaty i *otoman* Uragan.

Wasylisa, mętnie spoglądając na papier, pisał pod jego dyktando. Napisawszy, czego żądano, zamiast podpisu położył rozdygotane „Wasylis”, podał papier wilkowi. Ten wziął kartkę i zaczął się w nią wpatrywać.

Tymczasem daleko na schodach, na górze zadzwoniły oszklone drzwi, słychać było kroki, zagrzemiał głos Myszłajewskiego.

Wilk gwałtownie zmienił się na twarzy, pociemniał. Poruszyli się jego towarzysze. Wilk poszarzał, po cichu zawołał: „Sza!” Wyciągnął z kieszeni browning, wycelował do Wasylisy, Wasylisa uśmiechnął się cierpiętniczo. Na korytarzu za drzwiami słychać było kroki, nawoływania. Potem usłyszeli, jak zagrzemiała zasuwa, hak, łańcuch — zamykano drzwi. Znowu przebiegły kroki, doleciał śmiech mężczyzny. Potem stuknęły oszklone drzwi, oddaliły się na górę zamierające kroki, wszystko ucichło. Degenerat wyszedł do przedpokoju, nachylił się do drzwi, nasłuchiwał. Kiedy wrócił, zamienili z wilkiem znaczące spojrzenia i wszyscy, tłocząc się w drzwiach, wyszli do przedpokoju. Tam wielkolud pogmerał palcami w przyciasnych kamaszkach i powiedział:

— *Chołodno bude*. I włożył kalosze Wasylisy.

Wilk odwrócił się do Wasylisy i powiedział łagodnie, oczy miał rozbiegane:

— *Wy ot szczo, pane...* Wy ani słowa, *szczo* my byli u was. Bo jak wy i *nakapajete*, to was nasi chłopcy *wbjut'*. Z mieszkania do rana nie wychodźcie, *za ce strogo* *wzyskujetsia*.

— Przepraszamy najuprzejmiej — nadgniłym głosem powiedział zapadnięty nos.

Rumiany wielkolud nie powiedział nic, tylko nieśmiało spojrzął na Wasylisę i z ukosa, radośnie — na błyszczące kalosze. Od drzwi Wasylisy przez korytarz do drzwi na ulicę szli, nie wiadomo dlaczego, na palcach, pośpiesznie, popychając się wzajem. Zagrzmiały rygle, zerknęło ciemne niebo i Wasylisa zimnymi dłońmi pozamykał zasuwy, kręciło mu się w

głowie i natychmiast wydało mu się, że śni. Serce mu w mgnieniu oka zamarło, potem szybko, szybko załomotało. W przedpokoju szlochala Wanda. Upadła na kufer, uderzyła głową o ścianę, wielkie łzy zalały jej twarz.

— Boże! Co ja przeżyłam!... Boże! Boże! Wasia... W biały dzień. Do czego to doszło?...

Wasyliśa dygotał przed nią jak liść, twarz miał wykrzywioną.

— Wasia — krzyknęła Wanda. — Wiesz co... To nie żaden sztab, pułk... Wasia! To byli bandyci!

— Sam, sam się tego domyśliłem — mamrotał Wasyliśa rozkładając w desperacji ręce.

— Jezus Maria! — zawołała Wanda. — Trzeba natychmiast, natychmiast złożyć meldunek, gonić ich! Matko Najświętsza! Cały dorobek!

Wszystko! Wszystko! I żeby chociaż ktoś, żeby chociaż ktoś... Sam powiedz!... — Zatrzęsła się, spadła z kufra na podłogę, ukryła twarz w dłoniach. Włosy się jej rozsypały, bluzka rozpięła się na plecach.

— Ale dokąd, dokąd?... — pytał Wasyliśa.

— Boże drogi, do sztabu, do warty! Złóż meldunek! Prędzej! Co to się nie wyrabia?!

Wasyliśa dreptał w miejscu, nagle rzucił się do drzwi. Wpadł na oszkloną przegrodę i zaczął łomotać w nią pięściami.

Wszyscy prócz Szerwińskiego i Heleny tłoczyli się w mieszkaniu Wasyliśy. Poblady Łariosik stał w drzwiach. Myszłajewski rozstawił nogi, popatrzył na zdarte buciory, na porzucone przez anonimowych gości łańchmany i odwrócił się do Wasyliśy.

— Szukaj wiatru w polu. To bandyci. Niech pan dziękuje Bogu, że pan żyje. Prawdę mówiąc, jestem zdumiony, żeście się państwo wymigali tak małym kosztem.

— Boże... co oni z nami zrobili! — powiedziała Wanda.

— Grozili mi śmiercią!

— Chwalić Boga nie spełnili groźby. Pierwszy raz widzę coś takiego.

— Czysta robota — cicho przytaknął Karaś.

— Co teraz robić?... — zapytał Wasyliśa zamierając. — Lecieć na skargę?... Dokąd?... Na miłość boską, panie Wiktorze, niech pan coś poradzi.

Myszłajewski odchrząknął, pomyślał.

— Nie radziłbym panu nigdzie chodzić na skargę — powiedział. — Nie złapią ich, to raz. — Zagiął długi palec. — Po drugie...

— Wasia. pamiętasz? Powiedzieli, że jeżeli zameldujesz, to zabiją.

— No, to są bzdury — nachmurzył się Myszłajewski. — To nie wchodzi w rachubę, ale, powtarzam, nie złapią ich, nikt nawet nie będzie próbował łapać, a po drugie — zagiął następny palec — będzie pan przecież musiał

zeznać, co panu zabrali, a słyszę, że carskie ruble... A więc pan złoży meldunek w tym ich sztabie czy gdzie tam, a oni panu, jak dobrze pójdzie, zrobią jeszcze jedną rewizję.

— Możliwe, bardzo możliwe — potwierdził wybitny specjalista Nikołka. Udręczony, polany podczas cucenia wodą Wasylisa zwiesił głowę, wsparta o filong Wanda zapłakała cicho. Wszystkich ogarnęła litość. Łariosik w drzwiach westchnął ciężko, wybałuszył mętne oczy.

— Tak to jest, każdy ma własne zgryzoty — wyszeptał.

— Jak byli uzbrojeni? — zapytał Nikołka.

— Mój Boże... Dwaj mieli rewolwery, a trzeci... Wasia, ten trzeci nic nie miał?

— Dwaj mieli rewolwery — zwięźle przyświadczył Wasylisa.

— Nie zwróciliście państwo uwagi, jakie? — rzeczowo nalegał Nikołka.

— Ja się przecież nie znam — westchnął Wasylisa. — Nie znam się na broni. Jeden był duży, czarny, drugi mały, czarny, z łańcuszkiem.

— Łańcuszek — westchnęła Wanda.

Nikołka sposepniał, przekrzywił głowę i jak ptak z ukosa spojrział na Wasylisę. Przez chwilę dreptał w miejscu, potem niespokojnie ruszył, zwinnie dopadł drzwi. Łariosik podążył za nim. Nie dotarł jeszcze do salonu, kiedy z pokoju Nikołki dobiegł brzęk szkła i krzyk. Łariosik pomknął tam. W pokoju Nikołki paliło się jasne światło, w otwarty oberluft wdzierał się ziąb, ziała olbrzymia dziura, którą Nikołka wygniótł kolanami, kiedy z rozpaczy spadł z parapetu. Nikołka miał błędne oczy.

— Czy być może? — wznosząc ręce zawołał Łariosik. — To istne czary!

Nikołka wypadł z pokoju, przemknął przez bibliotekę, przez kuchnię, obok oszołomionej Aniuty, która krzyczała: „Nikoł, Nikoł. dokąd bez czapki? Boże, czy znowu coś się stało?...” I wyskoczył przez sień na podwórze. Aniuta przeżegnała się znakiem krzyża, zamknęła drzwi w sieni na haczyk, uciekła do kuchni i przypadła do okna, ale Nikołka momentalnie zniknął z oczu.

Ostro zawrócił na lewo, zbiegł i zatrzymał się przed zaspą zagradzającą dostęp do szpary pomiędzy domami. Zaspą była nienaruszona. „Nic nie rozumiem” — mamrotał zdesperowany Nikołka i mężnie dał nura w zaspę. Myślał, że się udusi. Długo miesił śnieg, parskął i pluł, aż wreszcie sforsował śniegową zaporę i cały ubielony wcisnął się do dzikiego wąwozu, spojrział w górę i zobaczył, że na górze, tam, gdzie z fatalnego okna jego pokoju wylewało się światło, czernią się haki i ich mroczne wyostrzone cienie, pudełka jednak nie było.

Miał jeszcze resztki nadziei, że może urwał się sznurek, co chwila padając na kolana obmacywał potłuczone cegły. Pudełka nie było.

A wtedy nagle ostre światło oświetliło Nikołową głowę: „A-a” — krzyknął i pobrnął dalej, w stronę płotu zamykającego szparę od ulicy. Doczołgał się, spróbował ręką, deski ustąpiły, wyrzała szeroka dziura na czarną ulicę. Wszystko jasne... Oderwali zamykające wawóz deski, byli tutaj, a nawet, r-o-zumiem, chcieli wleźć do Wasylisy przez spiżarkę, ale tam jest krata w oknie.

Nikołka, cały w śniegu, w milczeniu wszedł do kuchni.

— Jezus Maria, niech cię choć otrzępię... — zawołała Aniuta.

— Daj mi, na miłość boską, święty spokój — odparł Nikołka i poszedł do mieszkania rozcierając o spodnie zgrabiałe dłonie. — Łarion, daj mi, w mordę — zwrócił się do Łariosika. Ten zamrugął oczyma, potem wytrzeszczył je i powiedział:

— Co ty, Nikołka? Jak można wpadać w taką rozpacz? — Zaczął nieśmiało wodzić dłońmi po plecach Nikołki, strzepywać rękawem śnieg.

— Pomijam już to, że Alosza urwie mi głowę, jeżeli, da Bóg, wyzdrowieje — ciągnął Nikołka. — Ale przede wszystkim... colt Naj-Tursa! Wolałbym, żeby mnie samego zabili, słowo daję! To Pan Bóg mnie pokarał za to, że drwiłem z Wasylisy. Wasylisy też mi szkoda, ale rozumiesz, załatwili go tym właśnie pistoletem. Chociaż bez żadnych pistoletów można go oskubać jak perliczkę... Taki to już facet. Ech... Ładna historia. Bierz papier, Łarion, będziemy zaklejać okno.

Późnym wieczorem wyleźli z wawozu Nikołka, Myszłajewski i Łariosik z gwoździami, siekierą i młotkiem. Wawóz został na głucho zabity krótkimi deskami. Sam Nikołka zapamiętale wbijał długie, grube gwoździe z takim wyliczeniem, żeby ostrza powyłaziły na zewnątrz. Jeszcze później chodzili ze świecami po werandzie, a potem przez zimną spiżarnię wleźli na strych. Po stryszkach nad mieszkaniem łazili wszędzie ze złowieszczym tupotem, schylając się pod rozwieszonym między ciepłymi kominami praniem i zabili dymnik.

Wasyliś, dowiedziawszy się o wyprawie na strych, zdradził najżywsze nią zainteresowanie, przyłączył się do nich i także łaził między belkami akceptując wszystkie działania Myszłajewskiego.

— Jaka szkoda, że pan nam jakoś nie dał znać. Trzeba było kuchennymi schodami przysłać do nas Wandę Michajłównę — kapiąc stearyną mówił Nikołka.

— No, bracie, nie wiem — odezwał się Myszłajewski. — Kiedy byli już w mieszkaniu, to, mój przyjacielu, sprawa wyglądała kiepsko. Myślisz, że by się nie bronili? Jeszcze jak! Zanim wszedłbyś do mieszkania, miałbyś

kulę w brzuchu. I cześć. Tak to jest... Co innego nie wpuścić.

— Grozili, że strzelą przez drzwi, panie Wiktorze — tkliwie powiedział Wasylisa.

— Nigdy w życiu by nie strzelili — łomocąc młotkiem powiedział Myszłajewski. — Mowy nie ma. Całą ulicę mieliby na karku.

Jeszcze później w nocy Karaś zażywał wywczasu w mieszkaniu Lisowiczów niczym Ludwik XIV. Poprzedziła to taka rozmowa:

— Dziś przecież nie przyjadę, co też pan! — mówił Myszłajewski.

— Nie, nie, nie — na wyścigi odpowiadali na schodach Wanda i Wasylisa. — Błagamy, prosimy, pana albo Fiodora Nikołajewicza. prosimy!...

Cóż to panu szkodzi? Wanda zaparzy herbatkę. Przygotujemy wygodne posłanie. Bardzo prosimy i jutro także. Zlitujcie się, bez mężczyzny w mieszkaniu!

— Za nic nie zasnę — otulając się puszystą chustką potwierdziła Wanda.

— Mam koniaczek. rozgrzejemy się — nagle nieoczekiwanie hulaszczko powiedział Wasylisa.

— Idź, Karaś — powiedział Myszłajewski.

I właśnie w rezultacie tego Karaś zażywał wywczasu. Mózdzek i okraszona olejem zupa, jak należało oczekiwać, były jedynie symptomami owej obrzydliwej choroby, sknerstwa, którym Wanda zaraziła się od Wasylisy. Okazało się, że w czeluściach mieszkania kryły się skarby znane jednej tylko Wandzie. Na stole w jadalni zjawił się słój marynowanych grzybków, cielęcinka, konfitury wiśniowe i prawdziwy, słynny koniak Szustowa z dzwonem. Karaś zażądał kieliszka dla Wandy i nalał jej.

— Nie do pełna, nie do pełna — wołała Wanda.

Wasylisa machnął ręką, sobie na pohybel, i, posłuszny Karasiowi, wypił jeden kieliszek.

— Nie zapominaj, Wasia, że koniak ci szkodzi — czule powiedziała Wanda.

Po autorytatywnym wyjaśnieniu Karasia, że koniak nikomu absolutnie zaszkodzić nie może i że daje się go nawet chorym na anemię, z mlekiem, Wasylisa wypił drugi kieliszek, policzki mu poróżwiały, krople potu wystąpiły na czoło. Karaś wypił pięć kieliszków i wprawiło go to w bardzo dobry humor. „Gdyby ją podkarmić, to wcale nie byłaby taka szpetna” — myślał patrząc na Wandę.

Potem pochwalił mieszkanie Lisowiczów za rozkład i ustalił plan sygnalizacji do Turbinów: jeden dzwonek z kuchni, drugi z przedpokoju. Jak tylko co — dzwonek na górę. I, proszę bardzo, wyjdzie otwierać

Myszlajewski, a z nim już zupełnie inna sprawa.

Karaś bardzo chwalił mieszkanie: i przytulne, i umeblowane ładnie, szkoda tylko, że tak zimno.

W nocy Wasylisa sam przydźwigał naręczę drewna i własnoręcznie napalił w piecu w bawialni. Rozebrany Karaś leżał na tapczanie między dwoma wspaniałymi prześcieradłami i było mu bardzo dobrze i przytulnie. Wasylisa w koszuli, w szelkach, odwiedził go i przysiadł na fotelu ze słowami:

— Wie pan, jakoś nie mogę spać, nie ma pan nic przeciwko temu, że sobie trochę pogawędzimy?

W piecu dogasało. Wasylisa krągły, uspokojony, siedział w fotelu, wzdychał i perorował:

— A więc tak to jest, Fiodorze Nikołajewiczu. Dorobek całego pracowitego życia w ciągu jednego wieczora znalazł się w łapach takich rzezimieszków... Przemoc, rozbój... Proszę nie sądzić, że jestem przeciwnikiem rewolucji, o, nie, doskonale rozumiem przyczyny historyczne, które to wszystko spowodowały.

Purpurowy odblask pełgał po twarzy Wasylisy, po sprzączkach jego szelek. Karaś cudownie znużony koniakiem zapadał w drzemkę starając się, by jego twarz zachowała wyraz uprzejmego zainteresowania...

— Ale sam pan przyzna. U nas, w Rosji, w kraju bez wątplenia najbardziej zacofanym, rewolucja już się wyrodziła w pugaczowszczyznę... Co to się dzieje... Od dwóch lat jesteśmy pozbawieni jakiegokolwiek oparcia w prawie, minimalnej obrony naszych praw człowieka i obywatela. Anglicy powiadają...

— M-me, Anglicy... oni rzeczywiście — wymamrotał Karaś, czując, że miękka ściana zaczyna oddzielać go od Wasylisy.

— ...a tymczasem jakież to *my home is my castle*, skoro zamknięty na siedem spustów we własnym mieszkaniu nie ma pan gwarancji, że szajka podobna do tej, która była dziś u mnie, nie pozbawi pana nie tylko dobytku, ale i. Boże uchroni, życia?

— Cała nadzieja w sygnalizacji i w okiennicach — niezbyt fortunnie odparł sennym głosem Karaś.

— Ależ, Fiodorze Nikołajewiczu! Chodzi, kochaneczku, nie o sygnalizację! Żadną sygnalizacją nie powstrzyma pan tego zepsucia, tej deprawacji, które obecnie uwiły sobie gniazdo w ludzkich duszach. Bardzo przepraszam, ale sygnalizacja to przypadek jednostkowy, a jeśli się przypuścimy, zepsuje?

— Naprawimy — odpowiedział uszczęśliwiony Karaś.

— Ależ nie można przecie całego życia budować na sygnalizacji i jakichś tam rewolwerach. Nie o to chodzi. Ja mówię w ogóle, uogólniając, że tak

powiem, dany przypadek. Istota sprawy zasadza się na tym, że zanikło najważniejsze: szacunek dla własności. A skoro tak, to koniec z nami. Jeżeli tak — to zginęliśmy. Jestem z przekonania demokratą, sam wywodzę się z ludu. Mój ojciec był zwyczajnym rewizorem na kolei. Wszystko, co pan tu widzi, i wszystko, co mi dziś zabrali ci szubrawcy... wszystkiego tego dorobiłem się wyłącznie pracą własnych rąk. I proszę mi wierzyć, że nigdy nie byłem zwolennikiem starego reżymu, przeciwnie, wyznam panu w sekrecie, że jestem kadetem, teraz jednak, kiedy na własne oczy zobaczyłem, do czego to wszystko prowadzi, przysięgam panu, nabieram złowieszczej pewności, że uratować nas może tylko jedno... — Skądś, z miękkiej przesłony otulającej Karasia, dobiegł szept... — Samodzierzawie. Tak... — Najbezwzględniejsza dyktatura, jaką tylko można sobie wyobrazić... Samodzierzawie...

„Ale go rozebrało — myślał w błogostanie Karaś. — Hmm, tak, niezły figiel — to samodzierzawie." E-hm... — powiedział w wate.

— Ach, du-du-du-du *habeas corpus*, ach, du-du-du-du... Oj, du-du... — dudnił zza tej waty głos — aj, du-du-du, myślą się, jeśli sądzą, że taki stan rzeczy może potrwać długo, aj du-du-du, i hukną *Mnogaja leta*. Nie-e. Mnogie lata to to trwać nie będzie, śmiech pomyśleć, że...

— Forty Iwanogrodu — znienacka przerwał Wasylisie zabity komendant w papasze.

— *Mnogaja leta!*

— I Kars, i Ardagan — przytaknął Karaś we mgle.

— *Mnogaja leta!*

Z dali dobiegł rzadziutki, pełen rewerencji śmiech Wasylisy.

— *Mnogaja leta!!!* — radośnie odśpiewały głosy w Karasiowej głowie,

16

Mnogaja le-eta. Mnogaja leta. Mnoo-o-o-o-ga-aja le-e-el-a... — zaintonowało dziesięć basów z przesławnego chóru Tołmaszewskiego.

Mn-o-o-o-o-o-o-o-o-gaja le-e-e-e-e-ta... — rozdrobniły kryształowe dyszkanty.

Mnogaja... Mnogaja... Mnogaja... — rozsypując się na sopranów wparł się aż w samą kopułę chór.

— *Bacz! Bacz!* Sam Petlura...

— *Bacz, Iwan...*

— U, dureń... Petlura już na placu...

Setki głów na chórze wtaczały się jedna na drugą, gniotły się nawzajem, zwisały z balustrady pomiędzy antycznymi kolumnami pokrytymi

czarnymi treskami. Obracając się, falując, prąc, napierali na balustradę starając się zajrzeć w otchłań soboru, ale setki głów jak żółte jabłka zwisały ciasnym, potrójnym szeregiem. W otchłani kołysała się tysięcznogłowa ludzka fala. rozgrzewając się płynął nad nią opar potu, dym kadzidlany, swąd setek świec, kopeć ciężkich lamp oliwnych kołysanych na łańcuchach. Ocieżała szaroniebieska tkanina antependium sunęła poskrzypując kółkami, zasłaniała rzeźbione, plecionkowe carskie wrota z wiekowego metalu, ciemnego i posepnego jak ten cały posepny sobór Świętej Zofii.

Potraskiwały ogniste ogony świec w cerkiewnych panikadłach, chwiały się, dymne nitki pięły się ku górze. Brakowało powietrza. Przy przednim ołtarzu panował niebotyczny zamęt. Z bocznych drzwi ikonostasu wysuwały się po startych granitowych płytach złote ornaty, wzlatywały stuły. Z cylindrycznych pudeł na kapelusze dobywały się fioletowe kłobuki, chwiały się zdejmowane ze ścian chorągwie. Straszliwy bas protodiakona Sieriebriakowa ryczał gdzieś w gęstwie. Wygarbił się ponad tłumem bezgłowy, bezręki ornat, potem utonął w ciżbie, potem wyrzuciło na powierzchnię jeden rękaw pikowanej riasy, drugi. Trzepotały kraciaste chustki, skręcały się w powrósła.

— Ojciec Arkadiuszu, proszę staranniej obwiązać policzki, okropny mróz, proszę pozwolić, ja pomogę.

Chorągwie skłaniały się w drzwiach niczym pokonane sztandary, płynęły brunatne oblicza i tajemnicze złote słowa, wstęgi rozmiatało po podłodze.

— Odsuńcie się...

— Jezusie, gdzie?

— Mańka! Zagniotą...

— O kim więc? (bas, szept) O Ukraińskiej Republice Ludowej?

— Diabli wiedzą... (szept)

— Jak nie pop, to diakon...

— Ostrożnie...

Mnogaja leta!!! — zadzwonił, rozniósł się po całym soborze chór... Otyły, szkaradny Tołmaszewski zgasił wodnistą woskową świeczkę i schował kamerton do kieszeni. Chór w brązowych, ze złotymi galonami, szatach do samej ziemi, kołysząc płowymi, jak gdyby łysymi głowinami dyszkantów, chwiejąc grdykami i końskimi łbami basów, jał spływać z ciemnego, mrocznego chóru. Lawinami ze wszystkich wyjść, gęstniejąc, gniotąc się nawzajem, zawrzał w wirach, zahuczał lud.

Z przedniego ołtarza wypływały komże, głowy obwiązane jak przy bólu zębów, głowy o rozbieganych oczach, fioletowe, karnawałowe tekturowe kłobuki. Ojciec Arkadiusz, duszpasterz tutejszego soboru katedralnego,

maleńki i szczupły człowieczek, na szarą kraciatą chustę nasadził iskrzącą się kamieniami mitrę i płynął, drobiąc nóżkami w potoku. W oczach miał desperację, bródka mu się trzęsła.

— Będzie procesja. Wal, Mitka.

— Uwaga tam! Gdzie się pchacie? Podusicie popów...

— No i na zdrowie!

— Ludzie prawosławni!! Dziecko zgnetli...

— Nic nie rozumiem...

— *Jak wy ne rozumijete, to wy by jszły do domu, bo tui wam robyt nema czoho...*

Portmonetkę rąbnęli!!!

— Przepraszam, przecież to socjaliści. Chyba się nic mylę? Więc skąd tu popi?

— *Wybaczajte.*

— Daj popom setkę, a diabłu będą do mszy służyć.

— Teraz by warto na bazar i po żydowskich straganach pohulać.

Najlepsza pora...

— Ja na waszej *mowi ne rozmowlaju.*

— Zadepczą kobietę, kobietę zadepczą...

— Ha-a-a-a... Ha-a-a-a...

Z pobocznych zakolumiennych przestrzeni, z chóru, schodek po schodku, ramię przy ramieniu, ani się odwrócić, ani się poruszyć, niosło ku drzwiom, kręciło. Brązowe skomorochy o grubych łydach, błazny z niewiadomego stulecia mknęły, przytupywały, tańczyły, przygrywały na dudkach na starych freskach ścian. Spomiędzy kolumn w rozgwarze i szumie wygniatało na wpół zaduszoną, odurzoną dwutlenkiem węgla, dymem i kadzidłem rzeszę. Coraz to buchały w gęstwie krótkie boleściwe okrzyki kobiet. Doliniarze w czarnych apaszkach na szyi pracowali w skupieniu a ciężko przesuwali zwinne, wprawne ręce wirtuozów wśród sklejonych brył prasowanego ludzkiego mięsa. Chrzęściły tysiące nóg, szeptała, szumiała cizba.

— Boże święty...

— Jezus Maria... Królowo niebieska, matko droga...

— Żałuję, że przyszedłem. Co się tu dzieje?

— A żebyś się, ścierwo, rozpukł...

— Zegarek, kochani, srebrny zegarek, bracia mili. Wczoraj kupiłem...

— Podliturgili, można powiedzieć...

— Po jakimu to, ojczulkowie moi, odprawiali mszę, bo nie wyrozumiałam?

— Po bożemu, ciotucho.

— *Ot stroho zaboroniał, szczob ne buło bilsz moskowskoj mowy.*

— Cóż to, zaraz, zaraz, jakże to tak? To już w ojczystym prawosławnym języku rozmawiać nie wolno?

— Z korzeniami wydarli kolczyki. Pół ucha oberwali...

— Trzymajcie bolszewika. Kozacy! Śpieg! Bolszewicki śpieg!

— *Ce wam ne Rossija. dobrodiju.*

— Och. Boże mój, z chwastami... Patrz jakie galony, Marusia.

— Sła... bo mi...

— Kobiecie niedobrze się zrobiło.

— Komu dziś dobrze, matko? Wszystkim nadzwyczajnie źle. Oko, oko mi wydłubiecie. nie pchać się. Cośta się tak zbiesili, piekielnicy?!

— *Het'! W Rossiju! Het' z Ukrainy!*

— Iwanie Iwanowiczu. teraz by tu kordon policyjny, pamięta pan, jak to bywało w cerkiewne święta?... Ech, ho, ho.

— Za Mikołajem Krwawym tęsknicie? Wiemy, wszyscy wiemy, co wam chodzi po głowach.

— Odczep się pan ode mnie, na rany Chrystusa. Ja się pana nie czepiam...

— Boże, żeby prędzej wyjść, łyknać świeżego powietrza.

— Nie dojdę. Umrę ja tu.

Przez główne wejście parło naporem i wygniatało tłum, kręciło nim, miotało, gubili czapki, huczeli, zegnali się znakiem krzyża. Przez drugie, boczne wejście, w którym momentalnie wygnieciono dwie szyby, wyleciała srebrna ze złotym, dziękczynna, zduszona i oszalała procesja z chórem. Złote plamy płynęły w czarnym mięsiwie, wysterczały kłobuki i mitry, chorągwie pochyło wypełzały zza szkła, prostowały się. płynęły sztorcem.

Był tęgi mróz. Miasto dymiło oparami. Deptany tysiącami nóg dziedziniec soborowy chrześcij dźwięcznie a nieustannie. Mroźna mgielka płynęła przez wystygłe powietrze, wspinała się na dzwonnice. Ciężki dzwon od Świętej Zofii bił na głównej kołokolni usiłując przelicytować całą tę straszną, rozwrzeszczaną kotłowanąinę. Małe dzwony naszczekiwały bez ładu i składu, ujadały chaotycznie, jakby na dzwonnice wlaź szatan, sam diabeł w ornacie, i bił na trwogę ku własnej uciezce. W czarnych prześwitach wielopiętrowej kołokolni, co niegdyś zatrwożonym dzwonieniem witała skośnookich Tatarów, widać było, jak miotają się i krzyczą malutkie dzwony niczym rozwścieczone psy na łańcuchach. Mróz chrześcij, dymił. Uspokajało to, przynosiło ulgę i czarno, czarniuteńko rozlewała się ciżba po katedralnym dziedzińcu.

Starcy boży mimo lutości mrozu z obnażonymi głowami, to łysymi jak dojrzałe dynie, to pokrytymi nieprzebytym pomarańczowym włosiem. zasiedli już rzędem, po turecku, wzdłuż brukowanej alei, co prowadziła do wielkiej bramy w starosoborowej dzwonnicy, i śpiewali głosami niemiłosiernymi.

Ślepcy-lirnicy bezlitośnie dręczyli pieśń rozpaczłą o sądzie ostatecznym i leżały denkami ku ziemi obszargane ich czapki, i padały jak liście zmiętoszone karbowańce, i wyzierały z czapek wytarte dziesiątaki.

Gdy wybije godzina, wezwie nas Przedwieczny

Przed tron Bożego Syna. na sąd ostateczny...

Straszliwe, chwytające za serce tony płynęły z chrześliwej ziemi, nikczemnie. piskliwie rwały się z żółtozębnych bandur o zakrzywionych gryfach.

— Braciszku, siostrzyczki w Chrystusie, wejrzyjcie na ubóstwo moje. Wspomóżcie mnie, biednego, przez Chrystusa Pana. Co łaska.

— Trzeba biec na plac. Fiedosieju Piotrowiczu, bo się spóźnimy.

— Będzie uroczyste nabożeństwo.

— Procesja.

— Modły o zesłanie zwycięstwa i powodzenie rewolucyjnego oręża ludowej armii ukraińskiej.

— Co też pan mówi? Jakie powodzenie, jakie zwycięstwo? Zwyciężyli już.

— Jeszcze będą zwyciężali!

— *Pochod bude.*

— *Kudy pochod?*

— Na Moskwę.

— Na jaką Moskwę?

— A zwyczajną.

— Za krótkie ręce.

— *Jak wy kazały? Powtorit', jak wy kazały? Chłopci, słuchajcie, szczo win kazaw!*

— Ja nic nie mówiłem!

— Trzymać, trzymać go, złodzieja, trzymać!

— Leć, Marusia, przez te wrota, tędy nie przejdziem. Petlura już na placu, mówią. Zobaczym Petlurę.

— Głupia. Petlura w soborze.

— Sama głupia. Na białym koniu, mówią, jadzie.

— *Sława Petluri!* Ukraińskiej Ludowej Republice sława!!! Don... don... don... Don-don-don... Tirli-bom-bom. Don-bom-bom — biesiły się dzwony.

— Okażcie zmiłowanie sierotom, obywatele prawosławni, ludzie dobrzy... Niewidomemu... Ubogiemu...

Czarny, z zadem obszytym skórą, jak nadgnieciony żuk, czepiając się rękawicami zdeptanego śniegu, sunie beznogi pośród nóg. Kalecy, proszalnicy wystawiali wrzody na zsiniałych goleniach, trzęśli głowami

niby w tiku i paraliżu, udając ślepców wywracali białka oczu. Przejmując do żywego, targając za serce, przypominając o nędzy, uludach, rozpaczy, beznadziejnej dzikości stepów skrzypiały niczym koła teleg, jęczały, wyły w ciżbie potępieńcze liry.

— *Wernysia, sirotko, dalekij swit zijdziesz...*

Kudłate, trzęsące się staruchy z kosturami wyrzucały przed siebie wyschłe pergaminowe ręce, wołały:

— Sokole jasny! Nich ci Bóg da zdrowie!

— Paniusieczko, uzał się nade mną, starą, nad sierotą nieszczęsną.

— Bóg zapłać, kochani. Pan Bóg wam nie zapomni..

Płaskostope dziadówki w salopach, świtki w uszytych czepcach, chłopci w czapach barankowych, rumiane dziewczuchy, emerytowani urzędnicy z płowymi śladami po oznakach, leciwe kobiety o brzuchach wypuczonych jak przylądki, zwinni chłopaczkowie, kozacy w sołdackich płaszczach, w czapkach z chwastem, z kolorowym denkiem, błękitnym, czerwonym, zielonym, malinowym, ze srebrnymi i złotymi galonami, z frędzlami złotymi jak z trumiennej kapy. wszyscy niczym czarne morze rozlewali się po cerkiewnym dziedzińcu, a odrzwia soboru nadal wylewały coraz to nowe ich fale. Na świeżym powietrzu procesja dziękczynna okrzepla, podniesiona na duchu przeformowała się, uporządkowała, i popłynęły w uładowym ordynku obnażone głowy w kraciastych chustkach, mitry i kłobuki, bujne grzywy diakonów, mnisie krymki, ostroramienne krzyże na pozłacanych drzewcach, chorągwie ze Zbawicielem i z Matką Boską z Dzieciątkiem, i popłynęły rozcinane, okuwane, złote, malinowe, rozmalowane słowiańskim haftem chwaściste płótniska.

To nie szara chmura o smoczym brzuchu rozlewa się po mieście, to nie bure, zmętniałe rzeki płyną starymi ulicami — to nieprzebrana potęga Petlury ciągnie na plac starej Zofii na defiladę.

Pierwsza poszła w zwartych szeregach rykiem trąb wysadzając w powietrze mróz, bijąc w lśniące czynele, rozdawszy czarną rzekę ludu błękitna dywizja.

W błękitnych żupanach, w dziarsko załamanych barankowych czapkach z błękitnymi denkami szli haliczanie. Dwa pochylone między obnażonymi szablami dwubarwne proporce płynęły w ślad za zawieszistą orkiestrą dętą, a za proporcami, miarowo depcząc rozchrzęszczony śnieg, zuchowato grzmiały szeregi odziane w mocne acz niemieckie sukno. Za pierwszym batalionem walili czarni w długich, przepasanych pasami chałatach, w miskach na głowach, i brunatne zarośla bagnetów niczym koleczasta chmura sunęły na defiladę.

Nieprzeliczonym tłumem szły szare obszarpane pułki strzelców siczowych. Szły kurenie hajdamaków pieszych, kureń za kureniem, i wysoko w lukach między batalionami tańczyli w siodłach dziarscy

dowódcy pułków, kureni i rot. Chwackie marsze, zwycięskie, grzmiące, wyły złotem w kwietnej rzece.

Za pieszymi szeregami stępa, z lekka podskakując w kułbakach, ciągnęły pułki konne. Miękkie, załamane papachy z błękitnymi, zielonymi, czerwonymi denkami, ze złotymi chwaścikami olśniewały oczy zachwyconego tłumu.

Temblaki pik na prawym przegubie, piki podskakiwały jak igły. Wesole dźwięczne buńczuki powiewały wśród szyków konnicy, rwały się do przodu płoszone rykiem trąb wierzchowce dowódców i trębaczy. Tęgi, wesolutki jak piłka Bołbotun toczył się przed swym kureniem, wystawiał na mróz lśniące od sadła niskie czoło i rozradowane pyzate policzki. Ruda kobyła toczyła przekrwionym okiem, gryzła munsztuk, ronila pianę, coraz to stawała dęba wstrząsając sześciopudowym Bołbotunem i grzmiąco klaskała pochwa krzywej szabli, i leciutko kłuł pułkownik ostrogami spadziste, nerwowe boki.

Bo starszyny z namy.

Z nmy, jak z bratamy! —

zawodzili jadąc stępa i podskakując w siodłach zawadiaccy hajdamacy, i rozwiewały się barwiste oseledce.

Trzepocąc postrzelanym żółto-błękitnym sztandarem, grzmiąc harmonią, przejechał pułk czarnego, ostrowąsego, siedzącego na roslym koniu pułkownika Kozyr-Leszki. Pułkownik był ponury, toczył gniewnym okiem, chłostał ogiera pejczem po kłębach. Miał pułkownik powody do niezadowolenia — Naj-Tursowe salwy wybiły tego mglistego ranka na szosie Brzesko-Litewskiej najlepsze Kozyrowe plutony, i kłusował teraz pułk, i wytaczały się na plac szeregi przeredzone, zeszlusowane.

Za Kozyrem nadciągnął zadzierzysty, przez nikogo nie pobity konny kureń czarnomorski imienia hetmana Mazepy. Imię przesławnego hetmana, który o mało co nie stał się przyczyną zguby imperatora Piotra pod Połtawą, jaśniało wyszyte pozłocistymi literami na niebieskim jedwabiu.

Cizba falą omywała szare i żółte mury domów, tłum wzdymał się i włąził na słupy ogłoszeniowe, dzieciaki wdrapywały się na latarnie, siedziały na belkach, stały na dachach, gwizdano, wołano: Ura!... Ura!...

— Sława! Sława! — krzyczano z trotuarów. Naleśniki twarzy przyklejały się do szyb w oknach, w drzwiach balkonowych.

Woźnice balansując włązili na kozły sań, wymachiwali batami.

— *Oto kazały bandy... Macie bandy... Hurra!*

— Sława! Sława *Petluri!* Sława naszemu *Bat'ko!*
— Hu-ra...
— Mańka, patrz, patrz... Sam Petlura, patrz, na tym szarym. Jaki przystojny...
— *Szczo wy, madom, ce polkownyk.*
— Ach, czy być może? A gdzie Petlura?
— Petlura przyjmuje w pałacu posłów francuskich z Odessy.
— *Szcza wy, dobrodiju, zduriely? Jakych posłów?*
— Petlura, Piotrze Wasilewiczu, jak powiadają (szepem), jest w Paryżu. i co pan na to?
— No i macie bandy... Milion wojska.
— Gdzie ten Petlura? Gdzie Petlura, najmilejsi? Dajcie choć jednym okiem spojrzeć.
— Petlura, łaskawa pani, przyjmuje teraz na placu defiladę.
— Nic podobnego. Petlura w Berlinie składa wizytę prezydentowi z okazji zawarcia sojuszu.
— Jakiemu prezydentowi? Czego wy, *dobrodiju.* rozpowszechniacie prowokacje.
— Berlińskiemu prezydentowi... Z okazji republiki...
— Widzieliście? Widzieliście? *Jakij ważnyj... Win Rylskym Perewułkom przejechał u kareti.* Szóstka koni...
— Przepraszam, czy oni wierzą w archijereja?
— *Je ne kažu,* wierzą — nie wierzą... *Kažu,* przejechał, nic więcej. Niech pan sam wyrozumie fakt...
— Fakt jest taki, że popy teraz odprawiają nabożeństwo...
— Z popami zawsze pewniej...
— Petlura. Petlura. Petlura. Petlura. Petlura...
Dudniły straszne ciężkie koła, turkotały jaszczce, za dziesięcioma konnymi kureniami szły nie kończące się wstęgi artylerii. Jechały tępomorde grube haubice, toczyły się smukłe działka polowe, działony siedziały na jaszczach, wesole, syte, zwycięskie, statecznie i godnie jechali przodownicy zaprzęgów. Szły wyprężone, wymusztrowane sześciocalówki, odkarmione konie, krzepkie, szerokokłębe i chłopskie, nawykłe do roboty mierzyny jak ciężarne pchły. Cicho turkotała lekka konna wysokogórska, otoczone przez dziarskich jeźdźców armatki podskakiwały.
— Ech... ech... masz tobie piętnaście tysięcy... Co to nam nałgali... Piętnaście... bandyci... demoralizacja... Boże, ilu ich jest? Jeszcze bateria... jeszcze i jeszcze...
Tłum gniótł i gniótł Nikołkę, aż wreszcie, chowając ptasi nos w kołnierz studenckiego płaszcza, wdrapał się do jakiejś wnęki w murze i tam się

umocnił. Jakaś wesoła babina w walonkach była już w tej niszy, powiedziała do Nikołki radośnie:

— Niech się panicz mnie trzyma, a ja za cegłę, inaczej spadniemy.

— Dziękuję — smętnie sapnął Nikołka w oszroniały kołnierz. — Za hak się przytrzymam.

— *Deż sam Petlura?* — terkotała gadatliwa babina. — Oj, *choczu pobaczyt' Petluru. Kazut', win krasowiec neopysujemyj.*

— Taa... — wymyślał nieokreślenie Nikołka w barankowy kołnierz. — Nieopisany. — „Jeszcze jedna bateria... O, cholera... No, no, teraz wszystko rozumiem...”

— *Win awtomobilem, kazut', projichaw. Wy ne baczyły?*

— On jest w Winnicy — oschłym, grobowym głosem odparł Nikołka poruszając w butach zdrętwiałymi palcami. „Czemu, u diabła, nie włożyłem walonek. Ależ mróz.”

— *Bacz, bacz, Petlura.*

— *Ta jakyj Petlura, ce naczałnyk warty.*

— *Petlura maje rezydenciju w Bilij Cerkwi. Teper Biła Cerkow' bude stołyceju.*

— *Czyżby miał nie przyjechać do Miasta, jeśli wolno zapytać?*

— Przyjedzie w swoim czasie.

— Tak, tak, tak...

Jazg, jazg, jazg. Głuche dudnienie niosło się z placu Zofii, a ulicą pełzły już tymczasem, grożąc ze strzelnic cekaemami, kołysząc ciężkimi wieżami, cztery straszliwe pancerki. Ale rumianego entuzjasty Straszkiewicza już w nich nie było. Leżał dotąd jeszcze nie zabrany i zupełnie już nie rumiany, tylko brudnowoskowy, nieruchomy Straszkiewicz na Pieczersku. w Parku Mariańskim, zaraz za bramą. Miał Straszkiewicz w czole dziurkę i drugą. zakrzepłą, za uchem. Bose nogi entuzjasty sterczały spod śniegu i patrzył entuzjasta szklistymi źrenicami wprost w niebo przez nagie gałęzie klonów. Dookoła było bardzo cicho, w parku — żywej duszy, i na ulicy rzadko ktoś się pokazywał, muzyka od starej Zofii nie docierała tutaj, dlatego też twarz entuzjasty była absolutnie spokojna.

Pancerki grzechocząc i rozcinając tłum odpłynęły w potok, tam gdzie siedział Bohdan Chmielnicki i czerniejącym na tle nieba buzdyganem wskazywał w północno-wschodnią stronę. Dzwon spływał jeszcze zgęstniałą oleistą falą po ośnieżonych wzgórzach i dachach Miasta i buchał, buchał bęben w ciżbie, i wspinali się oszalali z radosnego podniecenia chłopaczkowie ku kopytom czarnego Bohdana. A ulicami grzmiały już zgrzytające łańcuchami ciężarówki, jechały na platformach

dziewczęta w ukraińskich kozuszkach, spod których przezierwały różnobarwne płachty, jechały w słomianych wiankach na głowach, jechali chłopcy w niebieskich szarawarach pod kozuchami, śpiewali melodyjnie a półgłosem...

A w Rylskim Pierieulku gruchnęła tymczasem salwa. Nim gruchnęła, zawirowały jak kurzawa babskie piski w tłumie. Ktoś biegł, wrzeszczał:

— *Oj, łyszeczko!* — Krzyczał czyjś nadrywający się, spieszny, schrypnięty głos:

— Ja ich znam. *Trymaj jich! Oficery. Oficery. Oficery... Ja jich baczyw w pohonach!*

W plutonie dziesiątego kurenia imienia Rady, który czekał na wejście na plac, pośpiesznie zeskoczyło z koni kilku chłopców, wdarli się w tłum, chwyтали kogoś. Kobiety krzyczały. Schwytany za rękę kapitan Pleszko wołał słabym, urywanym głosem:

— Nie jestem oficerem. Nic podobnego. Nic podobnego. Panowie! Jestem urzędnikiem bankowym...

Obok niego chwycili jeszcze kogoś, biały jak papier milczał i wił się w rękach...

Potem chlusnęło w zaułek jak z rozdartego worka, tratując się nawzajem uciekał oszalały z przerażenia tłum. Oczyszcziło się miejsce najzupełniej białe, z jedną tylko plamą — czyjaś porzuconą czapkę. W Pierieulku błysnęło, trachnęło, i kapitan Pleszko, który po trzykroć się zaparł, zapłacił za swoją słabość do defilad. Legł przy skwerku przed soborowym domem przycerkiewnym na wznak, z rozrzuconymi rękoma, a ten drugi, milczący, upadł mu na nogi i uderzył czołem w trotuar. W tejże chwili zajazgotały czynele z kąta placu, znów naparł tłum, rozszumiała się, rozbuchała orkiestra. Szczeknął zwycięski głos: „*Krokom rusz!*” I szereg za szeregiem, łyskając chwaściami galonami ruszył konny kureń Rady.

Najzupełniej niespodziewanie rozdarło się w prześwicie między kopułami szare tło i w mętnej mgłę ukazało się nieoczekiwane słońce. Było wielkie, równie wielkiego nikt na Ukrainie nigdy jeszcze nie widział, i bardzo czerwone, jak czysta krew. Od kuli z trudem jaśniejącej przez przesłone chmur rytmicznie a daleko ciągnęły się smugi zaschniętej krwi i osocza. Słońce zabarwiło krwawo centralną kopułę Świętej Zofii, rzuciło na plac dziwaczny cień i Bohdan w tym cieniu zrobił się fioletowy, a tłum miotającego się ludu stał się jeszcze czarniejszy. jeszcze gęstszy, jeszcze niespokojniejszy. I widać było, jak na skałę wspinali się po drabinie jacyś szarzy, dziarsko przepasani, i bagnetami próbowali podważyć widniejący na czarnym granicie napis. Ale bagnety bezsilnie ślizgały się i

odskakiwały od granitu. Galopujący zaś Bohdan wściekle podrywał konia do skoku ze skały, chciał odsądzić się od tych, którzy ciężko zwiśli na kopytach rumaka. Jego twarz skierowana wprost w czerwoną kulę była wściekła, a buzdyganem po staremu wskazywał dalekie dale.

I w tym samym momencie nad huczącym, rozplywającym się tłumem naprzeciw Bohdana czyjeś ręce wyniosły kogoś na zamarzną, śliską czaszę fontanny. Człowiek ten miał na sobie ciemny paltot z futrzanym kołnierzem, czapkę mimo mrozu zdjął i trzymał w ręku. Plac nadal huczał i roił się niczym mrowisko, ale dzwonnica u Świętej Zofii zamilkła już i orkiestry rozchodziły się mroźnymi ulicami w różne strony. U podnóża fontanny zebrał się ogromny tłum.

— Piet'ka. Piet'ka. Kogo tam podnieśli?...

— *Kazyś, Petlura.*

— Petlura przemawia...

— *Szczo wy breszete... Ce prostyj orator...*

— Marusia, orator. Patrz... Patrz...

— Deklarację proklamują...

— *Ni, ce uniwersał będą czytać.*

— *Chaj żywe wilna Ukrajina!*

Podniesiony człowiek natchnionym wzrokiem spojrzał ponad głowami tysięcznej ciżby w dal, gdzie słoneczny krąg wyłuskiwał się coraz wyraziściej i złocił zawieszonym, czerwonym złotem krzyże, podniósł ramię i cicho zawołał:

— Ludowi sława!

— Petlura... Petlura.

— *Da jakyj Petlura? Szczo wy skazytyś?*

— Petlura by włąził na fontannę?

— Petlura w Charkowie.

— Petlura dopiero co pojechał do pałacu na bankiet...

— *Ne breszit', żadnych bankietów ne bude.*

— Sława ludowi! — powtórzył człowiek i kosmyk jasnych włosów natychmiast podskoczył, opadł mu na czoło.

— Ciszej!

Głos jasnowłosego okrzepł i słyhać go było wyraźnie poprzez rozgwar i chrzęst nóg, poprzez szum i napierający łoskot, poprzez dalekie bicie w kotły.

— Widzieliście Petlurę?

— Pewnie, Jezus Maria, dopiero co.

— Ach, szczęściara. No i jaki on jest? Jaki?

— Wąsy czarne, podkrecone, jak Wilhelm, i hełm ma. O, jest, pani patrzy, pani patrzy, Mario Fiodorowno, pani zobaczy, jedzie...

— *Szczo wy prowokaciju robyte! Ce naczalnik Miejskiej Straży Pożarnej. Łaskawa pani, Petlura jest w Belgii.*

Po co on pojechał do Belgii?

Zawierać sojusz z aliantami...

Ta ni. Win teraz z eskortom pojechał do Dumy.

Czoho!

Prisiaha...

On będzie przysięgał?

Jak to — on? Jemu będą przysięgali.

No prędzej umrę (szept), niż przysięgnę...

Ta wy i nie musicie... Kobiet nie ruszą.

Gudłajów za to ruszą, jak dwa a dwa cztery...

I oficerów. Wszystkim flaki wyprują.

— I obszarników. Precz!

— Spokój tam!

Jasnowłosy z jakąś straszliwą smętnicą, a zarazem ze zdecydowaniem w oczach wskazał słońce.

— *Wy czuły, hromadiany, braty i towarzyszczi — zaczął — jak kozaki spiwały: „Bo starszyny z namy, z namy, jak z bratamy.” Z namy. Z namy wony! — mówca uderzył się czapką w pierś, na której szkarłatniała wielka fala kokardy. — Z namy. Bo tiji starszyny z narodu, z nym rodyłyś, z nym i umrut. Znamy wony merzły w snihu podczas oblężenia Miasta i oto chlubnie my uziaty je i prapor czerwony j nad tymi hromadamy...*

— Ura!

— *Jakij czerwony]? Szczo win każe? Żowto-błakytnyj.*

— *U bolszakow też czerwony j.*

— Ciszej! Sława!

— *A win pohano rozmowlaje na ukraińskiej mow...*

— Towarzysze! Stoi teraz przed wami nowe zadanie — podnieść i umocnić nową niezależną republikę dla szczęścia *usich* pracujących elementów — *raboczich i chliborobiw*, bo *tilky wony*, którzy zrosili swoją świeżą krwią i potem *naszu ridnu zemiju, majut'* prawo nią władać!

— Słusznie! Sława!

— Słyszysz, towarzyszami nas nazywa! Świat się kończy...

— Ci-isza.

— Dlatego też, drodzy obywatele, przysięgnijmy tu, w tej radosnej godzinie ludowego zwycięstwa — oczy mówcy rozjarzyły się, w coraz większym uniesieniu wznosił ręce ku zgęstniałemu niebu i coraz mniej było w jego mowie ukraińskich słów — złożmy tu przysięgę, *szczo ne złożym brony, doky czerwonyj prapor* — symbol wolności — *ne bude powiewać nad całym światem ludu pracującego.*

— Ura! Ura! Ura! Wyklęty pow...

— Waśka, stul pysk. Zgłupiałeś?

— Szczur, co znowu, cicho!

— Jak Boga kocham. Michale Siemionowiczu, nie mogę wytrzymać. Wyklęty... pows...

Czarne onieginowskie baczki skryły się w gęstym bobrowym kołnierzu i tylko widać było, jak z niepokojem błysnęły w stronę ugrzęzłego w tłumie rozentuzjasmowanego motocyklisty oczy zadziwiająco podobne do oczu świętej pamięci praporszczyka Szpolanskiego, poległego w nocy na czternasty grudnia. Wyciągnęła się dłoń w żółtej rękawiczce, ścisnęła rękę *Szczura*...

— Dobra. Dobra, już nie będę — mamrotał Szczur pożerając wzrokiem jasnowłosego.

Ten zaś, panując już nad sobą i nad najbliższymi szeregami tłumu, wykrzykiwał:

— *Chaj żywut' sowiety raboczich, selanskich i kozaczich deputatiw*. Niech żyje...

Słońce zagasło nagle, na Zofii i na kopułach legł cień, wyraźniej wyrysowała się twarz Bohdana, wyraźniej — twarz mówcy. Widać było, jak podskakuje nad jego czołem jasny kosmyk...

— Ga-a. Ga-a-a — zaszumiała ciżba...

— ...*sowiety robotniczych, chłopskich i czerwonoarmiejskich delegatów*. Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

— Co? Jak? Co takiego?! Sława!

W ostatnich rzędach kilka męskich głosów, oraz jeden głos dzwięczny i wysoki, zaintonowało: *Jak umru, to...*

— Ur-ra! — zakrzyczano zwycięsko w innym miejscu. Zakłębiło się nagle jeszcze gdzie indziej.

— *Trymaj joho! Trymaj!* — zawrzęsnał głos męski, nadpęknięty, wściekły i płaczliwy. — *Trymaj! Ce prowokacija*. Bolszewik! Moskal! *Trymaj! Wy słuchali, szczo win kazaw...*

Czyjeś ręce wleciały w powietrze. Mówca skoczył w bok, zniknęły jego nogi, brzuch, potem nakrywając się czapką zniknęła także i głowa.

— *Trymaj!* — wtórował pierwszemu inny dzwięczny tenor. — *Ce fałszywy orator*. Łapcie go, chłopcy, *bierit' hromadianie*.

— Ha, ha, ha. Stój! Kto? Kogo złapali? Kogo? *Ta* nikogo!!! Właściciel tenorku rzucił się naprzód, w kierunku fontanny, wykonywał rękoma takie ruchy, jakby łapał wielką śliską rybę. Ale nieokielznany Szczur w półkożuszku i uszance zawinął się koło niego z wrzaskiem:

„*Trymaj* — i nagle ryknął:

— Stój, bracia, zegarek rąbnęli!

Jakiejś kobiecie nadepnęli na nogę, zawyła strasznie.

— Jaki zegarek? Komu? Szkoda gadać, nie zwiejesz!

Ktoś od tyłu złapał za pas właściciela dźwięcznego głosu, przytrzymał go, wielkie, zimne łapsko zakleiło mu jednocześnie nos i usta półtorafuntowym ciosem.

— Ap! — krzyknął wysoki głos i zrobił się blady jak śmierć, i poczuł, że ma gołą głowę, że nie ma czapki. W tejże sekundzie piekielnie wstrząsnął nim drugi cios i ktoś zawył pod niebiosami:

— To ten bandzior, *marwicher*. sukinsyn! Łać go!

— *Szczo wy?* — zawył tenorek. — *Szczo wy mnie bijecie? Ce ne ja! Ne ja! Ce bolszewika derżat' treba! O-o!* — zalamantował...

— Oj. Boże mój. Boże mój. Marusia, prędko uciekajmy, co się tu dzieje? W tłumie tuż przy fontannie zawirował, zakotłował się wir, kogoś bito, ktoś krzyczał, ludzie się rozbiegali, i, co najważniejsze.. przepadł orator. Przepadł w tak diabelski, czarnoksięski sposób, jakby się pod ziemię zapadł. Wir kogoś wyrzucił, ale nie, gdzie tam, nic podobnego, fałszywy orator był w czarnej czapce, a ten wyskoczył w papasze. A po trzech minutach wir sam się uspokoił, jakby go nigdy nie było, bo podnoszono już na krawędź fontanny nowego mówcę i już parła ze wszystkich stron, by go słuchać, już obrastała centralną grupkę ciżba, kto wie, czy nie dwutysięczna.

Koło skwerku, w białym zaułku, skąd tłum ciekawskich odpłynął już w ślad za rozchodzącym się wojskiem, wesolek Szczur nie wytrzymał i z rozmachem usiadł wprost na trotuarze.

— Oj, nie mogę — zawołał chwytając się za brzuch. Śmiech popłynął zeń kaskadami, łyskały przy tym białe zęby. — Zdechnę ze śmiechu jak pies. Ależ oni go bili, Jezu Chryste!

— Nie rozsiadajcie się tak, Szczur — powiedział jego towarzysz, nieznajomy w bobrowym kołnierzu, podobny jak dwie krople wody do znamienitego nieodżałowanej pamięci praporszczyka i prezesa „Magnetycznego Trioletu” Szpolanskiego.

— Już, już — poderwał się Szczur.

— Daj pan papieroska, Michale Siemionowiczu — powiedział drugi towarzysz Szczura, wysoki mężczyzna w czarnym palcie. Zsunął papacę na tył głowy i jasny kosmyk włosów opadł mu na brwi. Dyszał ciężko i sapał, jakby mu było gorąco na tym mrozie.

— Co? Trudno było? — uprzejmie zapytał nieznajomy, odwinął połę

palta, wyciągnął małą złotą papierośnicę, poczęstował jasnowłosego niemieckim papierosem bez mundsztuka; tamten osłaniając dłońmi płomyček zapalki zapalił i, dopiero kiedy wydmuchiwał dym, powiedział:

— Uch! Uch!

Po czym wszyscy trzej spiesznie ruszyli, skręcili za róg i zniknęli.

Z placu szybkim krokiem weszło w zaułek dwóch studentów. Jeden był malutki, zgrabny, schludny, w błyszczących gumowych kaloszach. Drugi wysoki, barczysty zamiatał długimi nogami, każdy krok — sążeń prawie. Obaj kołnierze mieli postawione, aż po otoki czapek, wysoki nawet wygoloną twarz przewiązał szalikiem; nic dziwnego — mróz. Obaj jak na komendę odwrócili głowy, popatrzyli na trupy kapitana Pleszko i tego drugiego, co leżał twarzą ku ziemi z rozrzuconymi nogami, przeszli bez słowa.

Potem, kiedy skręcili z Ryńskiego w ulicę Żytomierską, wysoki odwrócił się do niskiego i powiedział zachrypniętym tenorem:

— Widziałeś? Dobrze się przyjrzałeś?

Mały nic na to nie odpowiedział, ale tak się wzdrygnął, tak zamyczał, jakby go nagle rozbolał ząb.

— Póki życia nie zapomnę — idąc zamaszystym krokiem ciągnął wysoki.

— Póki życia.

Mały podążał za nim w milczeniu.

— Dzięki za nauczkę. No, niech no mi kiedyś wpadnie w ręce ta kanalia... hetman... — Spod szalika dobiegł syk. — Ja go... — Wysoki puścił straszliwą trzypiętrową wiąchę, nie dokończył. Wyszli na Wielką Żytomierską, a tam zagroziła im drogę procesja zmierzająca w stronę wieży strażniczej staromiejskiego oddziału straży ogniowej. Z placu procesja miała, prawdę mówiąc, prosto jak strzełił, ale Włodimirską tarasowała jeszcze kawaleria, która nie zdążyła odejść po defiladzie, więc procesja skręciła jak wszyscy.

Otwierała ją zgraja chłopaczków. Biegli tyłem, podskakiwali, gwizdali przeraźliwie. Za nimi środkiem zdeptanej jezdni szedł w rozpiętej, porwanej bekieszy, bez czapki, mężczyzna o oczach błędnych z bezsilnego przerażenia. Twarz miał pokrzwawioną, zalaną łzami. Otwierał szerokie usta i krzyczał cienkim, ale doszczętnie ochrypłym głosem, mieszał rosyjskie słowa z ukraińskimi:

— *Wy ne majete prawa!* Jestem znany ukraiński poeta. Moje nazwisko Gorbołaz. Napisałem antologię ukraińskiej poezji. Poskarżę się przewodniczącemu Rady i ministrowi. *Ce neopysujemo*

— Bić go, ścierwo, doliniarza — wołano z chodników.

— Ja — z rozpaczliwym wysiłkiem krzyczał pokrwawiony odwracając we wszystkie strony — *zrobiw* próbę zatrzymania bolszewickiego prowokatora...

Co, co, co — huczało na trotuarach.

Kogo to tak?

Zamach na Petlurę

Nie może być!

Strzelał, sukinsyn, do naszego batki.

— *Tak win że Ukrainiec.*

— Swołocz, nie Ukrainiec! — dudnił czyj bas. — Doliniarz.

— F-iuch! — pogardliwie gwizdali chłopczkowie.

— Co takiego? Jakim prawem?

— Bolszewika złapali, prowokatora. Zabić gnidę na miejscu. Za pokrwawionym pełzł wzburzony tłum, łyskał na papasze złotogalonowy chwast, błyskały lufy dwóch karabinów. Jakiś ściśnięty w talii barwnym pasem szedł obok pokrwawionego przewalając się z nogi na nogę i od czasu do czasu, kiedy tamten krzyczał szczególnie głośno, machinalnie uderzał go pięścią po karku; wówczas niefortunny aresztant, który chciał uchwycić to, co nieuchwytnie, przycichał i zaczynał szlochać gwałtownie, ale bezgłośnie.

Dwaj studenci poczekali, aż procesja ich minie. Kiedy przeszła, wysoki ujął pod rękę niziutkiego i szeptał ze zjadliwą radością:

— Dobrze mu tak, dobrze mu tak. Lżej mi się zrobiło na sercu. No, jedno ci, Karaś, powiem: bolszewicy to zuchy. Słowo daję, zuchy! To się nazywa czysta robota, to mi się podoba! Widziałeś, jak gracko spławili tego krzykacza? Odważni ludzie. Kocham odwagę, mać ich za nogę.

Malutki powiedział cicho:

— Teraz tylko albo się upić, albo powiesić.

— To jest myśl. To myśl — z ożywieniem przytaknął wysoki. — Ile masz?

— Dwieście.

— Ja sto pięćdziesiąt. Chodźmy do Tamarki, weźmiemy półtora...

— Zamknięte.

— Otworzy.

Skręcili we Władimirską, doszli do piętrowego domku z szyldem:

„Towary kolonialne”, a obok: „Piwnica — Zamek Tamary”.

Dali nura po schodkach, delikatnie zapukali do podwójnych oszklonych drzwi.

17

Cel, który Nikołka poprzysiągł sobie osiągnąć, o którym myślał nieustannie przez te trzy dni, gdy wydarzenia spadały na rodzinę niczym kamienie, cel związany z zagadkowymi ostatnimi słowami rozkrzyżowanego na śniegu, cel ten Nikołka osiągnął. Musiał jednak po to

przez cały poprzedzający defiladę dzień biegać po mieście, był pod dziewięcioma przynajmniej adresami. Wielokrotnie w ciągu tej bieganiny Nikołka tracił wiarę w siebie, upadał na duchu i znowu brał się w garść, i jednak osiągnął w końcu, czego chciał.

Na dalekim przedmieściu, na ulicy Litewskiej, w małym domku odszukał w końcu chłopaka z drugiego oddziału drużyny i od niego dowiedział się adresu, imienia i imienia ojca Naja.

Dwie godziny walczył Nikołka z burzliwymi falami tłumu usiłując się przedrzeć przez plac Świętej Zofii. Ale nie sposób było przejść przez ten plac, no, po prostu nie sposób! A więc przemarznięty Nikołka stracił mniej więcej półtorej godziny na to, by się wydostać z zaciśniętych cęgów i wrócić do punktu wyjścia, pod Michajłowski monaster. Stamtąd, Kościelną, zataczając wielki łuk próbował przedostać się na dół, na Kreszczatik, a z Kreszczatiku dołem, okrężną drogą, na Mało-Prowalną. Ale to także okazało się niemożliwe! Kościelną w górę, jak zresztą wszystkimi ulicami, szło zwartym węzłem wojsko na defiladę. Wówczas Nikołka zatoczył łuk jeszcze większy, jeszcze bardziej wypukły i wreszcie znalazł się sam jak palec na Władimirskiej Gorce. Alejami, z tarasu na taras, między ścianami białego śniegu, biegł naprzód. Napotykał placyki, gdzie śniegu było nie tak dużo. Z tarasów widać było zalegający w śnieżnym morzu na przeciwległych wzgórzach Carski Park, a dalej, na lewo, bezkresne czernichowskie przestwory w bezruchu zimowym, zupełnym, za rzeką, za Dnieprem, białym w dostojęństwie jego zimowych brzegów.

Był bezruch i spokój zupełny, ale Nikołka nie myślał o spokoju. Walcząc ze śniegiem pokonywał taras za tarasem i tylko czasem dziwił się, że śnieg tu i ówdzie jest już zdeptany, że widać na nim czyjeś ślady, a więc widocznie i w zimie ktoś na Gorkę przychodzi.

Wreszcie zbiegł na dół aleją, westchnął z ulgą widząc, że na Kreszczatiku nie ma wojska, i ruszył do upragnionego, poszukiwanego miejsca. „Mało-Prowalną 21.” Tak brzmiał zdobyty przez Nikołkę adres i ten nie zapisany adres dobrze wrył mu się w pamięć.

Nikołka denerwował się, onieśmielony... „Kogo i jak najlepiej będzie zapytać? Bóg raczy wiedzieć...” Zadzwoił do drzwi oficynki przytającej na dolnym poziomie ogrodu. Długo nie było żadnej reakcji, ale wreszcie zaczęły kroki, uchyliły się trzymane na łańcuchu drzwi. Wyjrzała kobieca twarz w pince-nez, zapytała surowo z mroku przedpokoju:

— Czego pan sobie życzy?

— Przepraszam... Czy tu mieszkają Naj-Tursowie? Kobieca twarz zrobiła się do reszty nieżyczliwa i chmurna, błysnęły szkiełka.

— Żadnych Tursów tu nie ma — basowo powiedziała kobieta. Nikołka poczerwieniał, zmieszał się i zasmucił.

— To mieszkanie numer pięć?

— Pięć — niechętnie, podejrzliwie odparła kobieta. — A w jakiej pan sprawie?

— Powiedziano mi, że Tursowie mieszkają tutaj...

Twarz wychyliła się nieco bardziej, badawczo omiotła spojrzeniem ogródek, starając się zobaczyć, czy za plecami Nikołki nie ma kogoś jeszcze... Nikołka zauważył wówczas pulchny, podwójny podbródek damy.

— Ale czego pan chce?... Proszę powiedzieć mnie. Nikołka westchnął, rozejrzał się i powiedział:

— Ja w sprawie Feliksa Feliksowicza... Mam pewne wiadomości. Twarz gwałtownie się zmieniła. Kobieta zamrugła i spytała:

— Kim pan jest?

— Studentem.

— Proszę tu poczekać. — Drzwi zamknęły się, kroki ucichły. W pół minuty później zastukały za drzwiami obcasy, drzwi otworzyły się na oścież i wpuściły Nikołkę. Do przedpokoju padało światło z saloniku i Nikołka zobaczył poręcz puszystego wyściełanego fotela, a potem damę w pince-nez. Zdjął czapkę i natychmiast zjawiała się przed nim inna, zasuszona, niewysoka dama ze śladami minionej urody na twarzy. Coś nieuchwytnego, coś ledwie dostrzegalnego w jej rysach, może skronie, a może odcień włosów, podpowiedziało Nikołce, że to matka Naja; przeraził się — jakże on jej powie?... Dama skierowała nań błyszczące, natarczywe oczy i Nikołka stracił się do reszty. Z boku zjawił się ktoś jeszcze, zdaje się. jakaś młoda i też bardzo podobna.

— No, proszę mówić, no... — nalegająco powiedziała matka... Nikołka zmiął czapkę, podniósł oczy na damę i wyjąkał:

— Ja... ja...

Zasuszona dama — matka — cisnęła w Nikołkę spojrzenie czarne i, jak mu się wydało, nienawistne, i nagle krzyknęła dźwięcznie, tak, że echem odezwały się oszklone drzwi za plecami Nikołki:

— Zabili Feliksa!

Zacisnęła pięści, machnęła nimi przed twarzą Nikołki, zakrzyczała:

— Zabili... Ireno, słyszysz? Zabili Feliksa!

Nikołce oczy ze strachu przesnuła mgła, pomyślał zdesperowany: „Boże... Ja przecież nic nie powiedziałem!” Gruba w pince-nez błyskawicznie

zatrzasnęła za Nikołą drzwi. Potem szybko, szybko podbiegła do szczupłutkiej damy, objęła ją za ramiona i pospiesznie zaszeptała:

— No, pani Mario, no, gołąbeczko, proszę się uspokoić... — Pochyliła się do Fikołki, zapytała: — Ale może to nic pewnego?... Boże... Niech mi pan powie... Czy doprawdy?...

Nikołka nic na to odpowiedzieć nie mógł... Spojrzał tylko rozpaczliwie przed siebie i znowu zobaczył krawędź fotela.

— Proszę się uspokoić, pani Mario, proszę się uspokoić... Na miłość boską... Usłyszą... Wola boska... — uciszała gruba. Matka Naj-Tursa przechylając się w tył krzyczała:

— Cztery lata! Cztery lata! Czekam, ciągle czekam... Czekam! — Tu młoda zza ramienia Nikołki rzuciła się ku matce i podtrzymała ją. Nikołka powinien był pomóc, ale nagle rozbeczał się spazmatycznie, gwałtownie, i nie mógł nic na to poradzić.

Okna pozasłaniane, w saloniku półmrok i cisza absolutna, cisza nieprzyjemnie pachnąca lekarstwem...

Wreszcie przerwała milczenie młoda, właśnie ta siostra. Odwróciła się od okna i podeszła do Nikołki. Nikołka wstał z fotela, ciągle jeszcze trzymając w dłoniach czapkę, której nie umiał się pozbyć w tej okropnej sytuacji. Siostra machinalnie poprawiła czarny lok, usta jej się skrzywiły, zapytała:

— Jaką miał śmierć?

— Umarł — odpowiedział Nikołka najwspanialszym swoim głosem — umarł, wie pani, jak bohater... Jak prawdziwy bohater... Wszystkich junkrów w porę przepędził, w ostatniej chwili, a sam — Nikołka płakał opowiadając — a sam osłaniał ich ogniem. Mnie także o mało co nie zabili razem z nim. Dostaliśmy się pod ostrzał karabinów maszynowych. — Nikołka i płakał, i opowiadał jednocześnie. — My... zostaliśmy tylko we dwóch, a on mnie odpędzał i wymyślał mi, i strzelał z karabinu maszynowego... Ze wszystkich stron nadjechała konnica, bo posłali nas w potrzask. No, dosłownie ze wszystkich stron.

— A może go tylko ranili?

— Nie — kategorycznie odparł Nikołka brudną chustką wycierając oczy i nos, i usta. — Nie, zabili go. Sam go obmacałem. Dostał w głowę i w pierś.

Ściemniło się jeszcze bardziej, z sąsiedniego pokoju nie dobiegał żaden dźwięk, bo pani Maria ucichła, a w saloniku szeptało ze sobą ich troje: siostra Naja, Irena, ta gruba w pince-nez, właścicielka mieszkania Lidia Pawłowna, jak się Nikołka zdążył dowiedzieć, i sam Nikołka.

— Nie mam przy sobie pieniędzy — szeptał Nikołka. — Jeżeli trzeba, to

zaraz pobiegnę po pieniądze, a potem pojedziemy.

— Pieniądze zaraz dam — huczała Lidia Pawłowna. — Pieniądze to głupstwo, tylko niech pan, na litość boską, to załatwi. Ireno, matce ani słówka, gdzie i co... Nie wiem wprost, co począć...

— Ja z nim pojedę — szeptała Irena — i wszystko załatwimy.

— Niech pan powie, że on leży w koszarach i że trzeba mieć zezwolenie, żeby go zobaczyć.

— Tak, tak... To dobrze... Dobrze...

Gruba zaraz podreptała do sąsiedniego pokoju, dobiegł stamtąd jej głos. szepczący, przekonujący:

— Pani Mario, no, proszę leżeć, na Boga... Oni zaraz pojedą i wszystkiego się dowiedzą. Junkier mówi, że on leży w koszarach.

— Na pryczy?... — zapytał dźwięczny i, jak się znowu Nikołce wydawało, nienawistny głos.

— Ale skąd, pani Mario, w kaplicy, w kaplicy...

— A może leży na ulicy i psy go szarpia?

— Ach, pani Mario, co też pani mówi... Proszę leżeć spokojnie, błagam...

— Mama w ciągu tych trzech dni zrobiła się zupełnie nienormalna... — szepnęła siostra Naja i znów odgarnęła niesforny kosmyk, i popatrzyła gdzieś w dal za plecami Nikołki. — Zresztą teraz to wszystko nie ma znaczenia.

— Pojedę z nimi — dobiegło z sąsiedniego pokoju... Siostra momentalnie poderwała się, pobiegła.

— Mamo, mamó, nigdzie nie pojedziesz. Nigdzie nie pojedziesz. Junkier odmawia pomocy, jeżeli pojedziesz. Mogą go aresztować. Leż, leż, proszę Cię...

— Och, Ireno, Ireno, Ireno, Ireno — dobiegło z sąsiedniego pokoju — zabili go, zabili, a ty co? Co teraz?... Ty, Ireno... Co ja teraz pocznę, kiedy Feliksa zabili? Zabili... I leży na śniegu... Czy myślisz... — I znowu rozległ się szloch, skrzypnęło łóżko, dobiegł głos gospodyni:

— No, pani Mario, no, moja biedna, cierpliwości, odwagi...

— Ach, Boże, Boże — powiedziała młoda i pośpiesznie przebiegła przez salonik. Przerażony Nikołka pomyślał w popłochu ze zgrozą i rozpaczą:

„A jeżeli nie znajdziemy? Co wtedy?”

Tuż przed tymi najstraszliwszymi drzwiami, tam, gdzie mimo mrozu czuło się okropny, ciężki odór, Nikołka zatrzymał się i powiedział:

— Może pani zaczeka tutaj... Bo tam jest taki zapach, że mogłoby się pani zrobić niedobrze.

Irena popatrzyła na zielone drzwi, potem na Nikołkę i odpowiedziała:

— Nie, pójdę z panem.

Nikołka ujął za klamkę ciężkich drzwi, weszli. Najpierw było ciemno. Potem zamajaczyły nieskończone szeregi pustych wieszaków. U góry wisiała mroczna lampa.

Nikołka niespokojnie obejrzał się na swoją towarzyszkę, ale wszystko było w porządku, szła obok niego i tylko zbladła, nachmurzyła brwi. Tak je nachmurzyła, że przypomniała Nikołce Naj-Tursa, podobieństwo było zresztą złudne: Naj miał twarz żelazną, prostą, męzną, ona zaś była bardzo piękna i nie wyglądała na Rosjankę, raczej na cudzoziemkę. Zdumiewająca, niezwykła dziewczyna.

Woń, której tak się obawiał Fikołka, była wszędzie. Wydzielały ją podłogi, ściany, drewniane wieszaki. Zapach to był tak przerażający, że można go było nieomal zobaczyć. Wydawało się, że ściany są tłuste i lepkie, że wieszaki błyszczą, że podłoga jest zatłuszczona, a gęste, zawiesiste powietrze cuchnie padliną. Do samego zapachu przywyka się zresztą bardzo szybko, lepiej jednak nie przyglądać się niczemu i nie myśleć. Grunt — nie myśleć, bo inaczej zaraz się dowiesz, co to znaczy mieć mdłości. Przemknął student w palcie, zniknął. Z lewej strony za wieszakami skrzypnęły drzwi, wyszedł stamtąd mężczyzna w butach z cholewami. Nikołka spojrzał na niego i szybko odwrócił oczy, żeby nie widzieć jego marynarki. Marynarka błyszczała jak wieszaki, błyszczały i dłonie mężczyzny.

— O co chodzi? — surowo zapytał mężczyzna.

— Przyszliśmy — zaczął mówić Nikołka — z pewną sprawą, chcielibyśmy z kimś z kierownictwa... Szukamy zabitego... Pewnie jest tutaj?...

— Jakiego zabitego? — zapytał mężczyzna i popatrzył spode łba...

— Trzy dni temu, na ulicy, zabili go...

— Aha, pewnie junkier albo oficer... No, trafiali się i hajdamacy. Co za jeden?

Nikołka nie odważył się powiedzieć, że Naj-Turs był właśnie oficerem, więc powiedział tak:

— No właśnie, jego też zabili...

— To był oficer zmobilizowany przez hetmana — powiedziała Irena — Naj-Turs — i podeszła do tamtego bliżej.

Tamtemu najwyraźniej było zupełnie obojętne, kim był Naj-Turs, spojrzał zatem na Irenę i odparł, kaszląc i spluwając na podłogę:

— Nie wiem, jak *tut byt'*. Zajęcia już się skończyły, nikogo na salach *nema*. Reszta stróżów już poszła. Trudno szukać. Bardzo trudno. Bo trupy znieśli na dół. Trudno, *duże* trudno...

Irena Naj otworzyła torebkę, wyjęła banknot, podała stróżowi. Nikołka

odwrócił się, bał się, że stróż, jako człowiek uczciwy, zaprotestuje. Ale stróż nie protestował.

— Dziękuję, panienko — powiedział i ożywił się. — Znaleźć można. Tylko zezwolenie potrzebne. Jak profesor pozwoli, to trupa można zabrać.

— A gdzie jest profesor?... — zapytał Nikołka.

— Być to jest, tylko że zajęty. Sam nie wiem... zameldować?

— Bardzo proszę, bardzo proszę, zameldujcie mu natychmiast — poprosił Nikołka. — Ja go od razu rozpoznam, zabitego...

— Zameldować można — powiedział stróż i poprowadził ich. Przeszli po schodach na korytarz, gdzie odór był jeszcze straszliwszy. Potem korytarzem, potem w lewo, odór zelżał, zrobiło się widniej, nad korytarzem — szklany dach. Drzwi i po prawej, i po lewej stronie pomalowane na biało, Przed którymiś drzwiami stróż zatrzymał się, zapukał, potem zdjął czapkę i wszedł. W korytarzu było cicho, poprzez dach sączyło się światło. W rogu, w dali, zaczynało się zmierzchać. Stróż wyszedł, powiedział:

— Proszę wejść.

Nikołka wszedł, za nim weszła Irena Naj. Nikołka zdjął czapkę, zobaczył przede wszystkim czarne plamy lśniących zasłon w olbrzymiej sali i snop strasznego, ostrego światła padającego na stół, a w tym snopie czarną brodę i zmęczoną twarz pokrytą zmarszczkami, i garbaty nos. Potem, przygnębiony, spojrział na ściany. W półmroku pobłyskiwały nie kończące się szafy, majaczyły w nich jakieś potwory, ciemne i żółte, niczym straszliwe chińskie posążki. Nieco dalej zobaczył jeszcze wysokiego mężczyznę w skórzanym kapłańskim fartuchu i w czarnych rękawiczkach. Pochylał się nad długim stołem, na którym jak armaty stały mikroskopy połyskujące lusterkami i złotem w świetle opuszczonej żarówki pod zielonym kloszem.

— Czym mogę służyć? — zapytał profesor.

Ta zmęczona twarz i ta broda powiedziały Nikołce, że ma do czynienia właśnie z profesorem, tamten zaś kapłan jest jakimś mniej ważnym asystentem.

Nikołka odkaslnął, ciągle patrząc na jaskrawy snop wydobywający się z dziwnie wygiętej błyszczącej lampy i na inne rzeczy — na pożółkłe od tytoniu palce, na leżący przed profesorem przerażający, ohydny przedmiot — ludzką szyję z podbródkiem złożoną z żył i włókien upstrzonych. obwieszonych dziesiątkami błyszczących haczyków i szczypiec...

— To krewny państwa? — zapytał profesor. Głos miał głuchy, pasujący do zmęczonej twarzy i do tej brody. Podniósł głowę i zmrużonymi oczyma patrzył na Irenę Naj. jej futerko i botki.

— Jestem jego siostrą — powiedziała Naj starając się nie patrzeć na to, co leżało przed profesorem.

— No i widzi pan, Siergieju Nikołajewiczu, jakie powstają kłopoty. To już nie pierwszy wypadek... Zresztą może go wcale u nas nie ma. Do miejskiej przecież też zwożono trupy...

— Możliwe — powiedział wysoki i odrzucił na bok jakieś narzędzie...

— Fiodor! — zawołał profesor...

— Nie, tam... Tam pani nie powinna... Ja sam... — nieśmiało mówił Nikołka.

— Zemdleje panienka — potwierdził stróż. — Tutaj — dodał — można zaczekać.

Nikołka odprowadził go na bok, dał mu jeszcze dwa papierki, poprosił, żeby posadził panienkę na czystym taborecie. Stróż dymiąc machorkę wyniósł taboret skądś, gdzie stały kościotrupy i zielona lampa.

— Pan nie medyk, paniczu? Medyki to tego zwyczajni — otworzył wielkie drzwi i szcęknął kontaktem. U góry pod oszklonym sufitem zapaliła się żarówka. Z pomieszczenia buchał ciężki smród. Bieląły rzędy ocynkowanych stołów. Nic na nich nie leżało, gdzieś z szumem lala się do zlewu woda. Pod nogami dźwięczała kamienna posadzka. Fikołka, cierpiąc z powodu zapachu, który utrwalił się tu chyba na wieki, szedł i starał się nie myśleć. Wyszli ze stróżem przez przeciwległe drzwi na ciemny korytarz, stróż zapalił tam słabą żarówkę, przeszli trochę dalej. Stróż odsunął ciężki rygiel, otworzył żelazne drzwi i znowu szcęknął. Nikołkę owionął chłód. W rogach czarnego pomieszczenia stały wielkie cylindry wypełnione po brzegi, z czubem, strzępami i obrzynkami ludzkiego mięsa, płatami skóry, palcami, kawałkami rozpiłowanych kości. Nikołka przełykając ślinę odwrócił się, a stróż powiedział:

— *Punycz powącha.*

Nikołka zamknął oczy, chciwie wciągnął nosem nieznośnie ostry zapach amoniaku z flaszeczki.

Jak w półśnie Nikołka mrużąc oczy widział rozżarzający się w fajce Fiodora ogieniek, czuł błogi zapadł tlejącej machorki. Fiodor długo nie mógł sobie poradzić z zamkiem przy siatce windy. Otworzył go wreszcie, obaj z Nikołką stanęli na platformie. Fiodor pociągnął za rączkę, platforma zgrzytając zaczęła się opuszczać. Od dołu ciągnął lodowaty ziąb. Winda stanęła. Weszli do wielkiej kostnicy. Nikołka jak przez mgłę widział to, czego nie widział jeszcze nigdy. Jedne na drugich jak polana w sągach leżały nagie zwłoki ludzkie i płynął od nich nieznośnie mdlący,

duszający mimo amoniaku smród. Sterczały stopy sztywnych albo zwiotczałych nóg. Głowy kobiet były potargane, włosy rozrzucone, piersi wymięte, ciastowate, pokryte sińcami.

— No, teraz będziemy ich odwracać, a pan niech patrzy — pochylając się powiedział stróż. Chwycił za nogę zwłoki kobiety, a ona, oślizgła, jakby naoliwiona, ześliznęła się ze stukotem na podłogę. Nikołce wydało się, że jest lepka i straszliwie urodziwa, niczym wiedźma. Jej otwarte oczy patrzyły wprost na Fiodora. Nikołka z trudem odwrócił wzrok od szramy, która przepasywała ją jak czerwona wstęga, starał się patrzeć gdzie indziej. Mdlilo go, czuł zawrót głowy na myśl, że trzeba będzie rozciągać te zwały splątanych, sklejonnych ciał.

— Chwileczkę. Nie trzeba — słabo powiedział do Fiodora i wsunął buteleczkę do kieszeni. — To on. Znalazłem. Leży na wierzchu. O, ten.

Fiodor zaraz ruszył, balansując, żeby nie pośliznąć się na podłodze, złapał Naj-Tursa za głowę i mocno szarpnął. Na brzuchu Naja twarzą na dół leżała płaska, szerokobiodra kobieta, w jej włosach matowo jak odprysk szyby świecił się na karku taniutki, zapomniany grzebyk. Fiodor zręcznie, mimochodem, wyciągnął ten grzebyk, wpuścił go do kieszeni fartucha i chwycił Naja pod pachy. Głowa zabitego wysunęła się z sąga, zakołysała się, obwisła; ostry, zarośnięty podbródek zadarł się ku górze; opadła jedna ręka.

Fiodor nie rzucił Naja tak, jak przedtem cisnął kobietę, ale delikatnie, ujmując pod pachy, zginając zwiotczałe już ciało odwrócił je twarzą do Nikołki; nogi Naja zaszurały po podłodze. Fiodor powiedział:

— Pan patrzy, to on? Żeby nie było omyłki...

Nikołka popatrzył Najowi prosto w oczy, otwarte, szklane oczy Naja odpowiedziały martwo. Lewy policzek już ledwie dostrzegalnie pozieleniał. a na piersiach i brzuchu rozlały się i zastygły ciemne, szerokie plamy, zapewne krwi.

— On — powiedział Nikołka.

Fiodor wciągnął Naja, ciągle trzymając go pod pachy, na platformę i opuścił go u stóp Nikołki. Zabity rozrzucił ramiona i znowu zadarł podbródek. Fiodor wszedł do windy, szarpnął za dźwignię, platforma poszła do góry.

Tej samej jeszcze nocy wszystko w kaplicy zostało zrobione tak, jak chciał Fikołka, i sumienie Nikołki było zupełnie spokojne, ale odrętwiąłe i posępne. W nagiej i mrocznej kaplicy przy prosektorium zrobiło się jaśniej. Stojącą w kącie trumnę z kimś nieznanym przykryto wiekiem i

przygnębiający, niemiły, straszny, obcy nieboszczyk-sąsiad nie zamącał spokoju Naja. Sam Naj stał się bez porównania pogodniejszy i poweselał w trumnie.

Naj umyty przez zadowolonych i rozmownych posługaczy, Naj czysty, we frenczu bez naramienników, Naj w wianku na czole pod trzema płomykami, a przede wszystkim Naj z arszynem jaskrawej wstęgi orderowej Świętego Jerzego, własnoręcznie przez Nikołkę włożonej mu na zimną jego i kleistą pierś pod koszulą. Staruszka matka odwróciła trzęsącą się głowę od trzech płomyków w stronę Nikołki i powiedziała doń:

— Synu mój. Dziękuję ci.

A na to Nikołka znów zapłakał i wyszedł z kaplicy na śnieg. Dookoła nad podwórzem prosektorium była noc, śnieg, i krzyżyki gwiazd, i biała Droga Mleczna.

18

Turbin zaczął umierać dwudziestego drugiego grudnia w dzień. Dzień to był mglisty, zabelony i przeszyty na wylot odblaskiem świąt, do których pozostawały dwa dni. Odblask ten wyczuwało się szczególnie w blasku parkietu w salonie, wylśnionego wspólnymi wysiłkami Aniuty, Nikołki i Łariosika, którzy bezszelestnie froterowali go dnia poprzedniego. Tak samo tchnęło Bożym Narodzeniem od wyczyszczonych przez Aniutę klosików lampek oliwnych. A wreszcie pachniało igliwie i zieleń rozświetliła kąt przy feerycznym Walentym, jakby na wieki zapomnianym nad otwartą klawiaturą...

...dla siostry mej...

Helena wyszła koło południa z pokoju Turbina niezbyt pewnym krokiem i bez słowa przeszła przez jadalnię, gdzie siedzieli w milczeniu Karaś, Myszłajewski i Łariosik. Żaden z nich nie drgnął nawet, kiedy przechodziła, lękali się jej twarzy. Helena zamknęła za sobą drzwi swego pokoju, a ciężka kotara natychmiast zwiśla nieruchomo.

Myszłajewski poruszył się.

— Tak — powiedział schrypniętym szeptem. — Dowódca wszystko dobrze wymyślił, ale Aloszkę urządził niefortunnie...

Karaś ani Łariosik nic do tego nie dodali. Łariosik zamrugał powiekami, lila cienie legły mu na policzkach.

— E... do diabła — dorzucił jeszcze Myszłajewski, wstał i chwiejnie podszedł do drzwi, ale zatrzymał się, niezdecydowany, mrugnął w

kierunku drzwi Heleny. — Słuchajcie, chłopcy, miejcie na oku... Bo...

Zwłóczył jeszcze przez chwilę, wyszedł do biblioteki, tam kroki jego zamarły. Po pewnym czasie dobiegł jego głos i jeszcze jakieś dziwne zawodzące dźwięki z pokoju Nikołki.

— Płacze Nikoł — wyszeptał zrozpaczonym głosem Łariosik, westchnął, podszedł na palcach do drzwi Heleny, schylił się do dziurki od klucza. ale nic nie zobaczył. Bezradnie obejrzał się na Karasia, zaczął dawać mu jakieś znaki, bezgłośnie pytać go o coś. Karaś podszedł do drzwi, zawahał się, ale potem jednak parokrotnie cichutko stuknął paznokciem w drzwi i powiedział półgłosem:

— Heleno, Heleno...

— Ach, nie bójcie się — dobiegł zza drzwi przygłuszony głos Heleny. — Proszę tu nie wchodzić.

Karaś cofnął się pośpiesznie, Łariosik także. Wrócili obaj na swoje miejsca — na krzesła pod piecem Saardamu - i znieruchomieli.

Turbinowie ani ludzie z Turbinami blisko i serdecznie związani w pokoju Aleksieja nie mieli nic do roboty. Obecność trzech mężczyzn sprawiała, że i tak było tam zbyt ciasno. Był tu ten złotooki niedźwiedź i drugi, młody, wygolony i smukły, wyglądający raczej na gwardzistę niż na lekarza, i wreszcie trzeci, siwy profesor. Jego kunszt ujawnił i jemu, i rodzinie Turbinów niewesołe prognozy od razu, kiedy tylko zjawił się szesnastego grudnia. Wszystko było dla niego jasne, od razu wtedy powiedział, że Turbin ma tyfus. I zaraz ta rana na przetrzał koło lewej pachy odeszła na drugi plan. To właśnie profesor przed godziną wyszedł z Heleną do saloniku i tam, na jej natarczywe pytanie, pytanie nie tylko wypowiedziane. ale i zdradzone przez suche oczy i spierzchnięte wargi, i rozsypane włosy, odrzekł, że nadziei jest niewiele, i dodał patrząc w oczy Heleny oczyma bardzo, bardzo doświadczonego i dlatego też litującego się nad wszystkimi człowieka — „nader niewiele”. Każdy wie dobrze, i Helena także, iż znaczy to, że nie ma żadnej w ogóle nadziei, że Turbin umiera. Helena przyszła potem do sypialni brata i długo stała wpatrzona w jego twarz, aż sama zrozumiała doskonale, że naprawdę nie ma nadziei. Nie trzeba było kunsztu siwego, dobrotliwego staruszka, żeby zrozumieć, że doktor Aleksiej Turbin umiera.

Leżał buchając jeszcze gorączką, ale gorączką już chybotliwą i nietrwałą, gorączką, która lada moment spadnie. Na jego twarzy także zaczynały już występować jakieś dziwne woskowe cienie i nos mu się zmienił, zaostrzył, i rys jakiejś beznadziei ukazał się właśnie przy wygarbieniu nosa, teraz szczególnie uwydatnionym. Helena poczuła chłód w nogach,

zrobiło jej się mgliście-markotnie w ropnym, kamforowym, zgęstniałym zaduchu sypialni. Ale to zaraz minęło.

Turbina w piersiach coś jakby przywaliło kamieniem, oddychał z przyświstem wciągając przez wyszczerzone zęby lepka, nie docierającą do płuc strugę powietrza. Od dawna już był nieprzytomny, nie widział ani nie rozumiał tego, co się wokół niego działo. Helena powstała, popatrzyła. Profesor dotknął jej ręki i szepnął:

— Proszę iść, Heleno Wasiliewno, sami wszystko zrobimy. Helena posłusznie wyszła w tejże chwili. Ale profesor niczego już nie robił. Zdjął fartuch, tamponami ze zwilżonej waty otarł ręce i raz jeszcze popatrzył na Turbina. Sinawe cienie zagęszczały się w kącikach ust i wokół nosa.

— Stan beznadziejny — cichuteńko powiedział profesor do ucha wygolonego. — Niech pan, doktorze Brodowicz, zostanie tu przy nim.

— Kamforę? — szeptem zapytał Brodowicz.

— Tak, tak, tak.

— Normalną dawkę?

— Nie. — Popatrzył w okno, podumał. — Od razu po trzy gramy, i częściej. — Zamyślił się, dorzucił: — W razie nieszczęścia — takie słowa profesor szeptał ze szczególną ostrożnością, by nie dotarły do Turbina nawet przez zasłonę maligny i mgły — proszę zadzwonić do mnie do kliniki. A jeśli to się nie stanie, przyjadę tu zaraz po wykładzie.

Każdego roku, jak daleko sięgała pamięć Turbinów, lampki oliwne zapalały się w ich mieszkaniu dwudziestego czwartego grudnia o zmierzchu, a wieczorem ciepłymi, migotliwymi płomykami zapalały się w saloniku zielone choinkowe gałęzie. Teraz jednak podstępny postrzał i chrypliwy tyfus pokrzyżowały wszystko i zwickły, przyspieszyły bieg życia i pojawienie się płomyka lampki. Helena zamknawszy drzwi do jadalni podeszła do nocnego stolika przy łóżku, wzięła z niego zapałki, weszła na krzesło i zapaliła ciężką lampkę zwisającą na łańcuszkach przed starą ikoną w ciężkiej rizie. Kiedy płomyk zmeźniał i rozjarzył się, diadem nad smagłym obliczem Matki Bożej przeistoczył się w złoto, w oczach jej zabłysła życzliwość. Przechylona głowa spoglądała na Helenę. W dwóch kwadratach okien widniał biały, grudniowy, bezgłośny dzień, w kącie chwiejny jęzorek ognia stwarzał już przedświąteczny wieczór. Helena zeszła z krzesła, zrzuciła z ramion chustkę, osunęła się na kolana. Odchyliła skraj dywanu zwalniając połąć wyfroterowanej podłogi i w milczeniu wybiła pierwszy pokłon do ziemi.

Przeszedł przez jadalnię Myszłajewski, za nim Nikołka ze zbielełymi powiekami. Byli w pokoju Turbina. Wróciwszy do stołowego, Nikołka powiedział do rozmawiających:

— Umiera... — I zaczerpnął tchu.

— Ot co — odezwał się Myszłajewski. — Czy nie posłać po popa? Co, Niko! Jakże to on tak, bez rozgrzeszenia...

— Trzeba powiedzieć Lenie — odpowiedział wystraszony Niko!ka. — Nie możemy bez niej. Jeszcze się z nią coś stanie...

— A co mówi doktor? — zapytał Karaś.

— A co ma mówić? Nie ma już o czym mówić — wychrypiął Myszłajewski.

Długo szeptali ze sobą trwożnie i słyhać było, jak wzdycha blady, otumaniony Łariosik. Raz jeszcze poszli do doktora Brodowicza. Doktor wyjrzał do przedpokoju, zapalił papierosa i wyszeptał, że to już agonia, że kapłana oczywiście można wezwać, dla chorego to nie ma znaczenia, tak czy tak jest nieprzytomny, więc zaszkodzić mu to nie może.

— Rozgrzeszenie w obliczu śmierci...

Szeptali, szeptali, ale na razie nie zdecydowali się na wezwanie popa, a do Heleny pukali, ale ona głucho przez drzwi odpowiedziała im: „Nie teraz... potem wyjdę...”

Więc odeszli.

Helena na klęczkach, z pochylonym czołem, patrzyła na zębaty diadem nad szerniałym jasnookim obliczem i wyciągając ramiona mówiła szeptem:

— Zbyt wiele nieszczęść zsyłasz nam naraz. Orędowniczko nasza. Rok nie minął, a nie ma już rodziny. Za co?... Zabrałaś nam matkę, męża nie mam i nie będę miała, dobrze to wiem. Teraz już wiem na pewno. A teraz zabierasz nam i najstarszego. Za co?... Co pocniemy sami z Niko!em?... Spójrz, co się dzieje dookoła, spójrz tylko... Orędowniczko. Poczycielko, czyż nie zmiłujesz się nad nami?... Jesteśmy może niewiele warci, ale za jakie to grzechy tak nas karzesz?

Znów się pokłoniła, chciwie dotknęła czołem podłogi, przeżegnała się i znowu wyciągając ręce błagała:

— W Tobie jedyna nadzieja. Panno Przczysta. W Tobie. Ubłagaj Syna Twojego, ubłagaj Pana Boga, niechaj uczyni cud...

Szept Heleny stał się namiętny, słowa się plątały, ale mówiła nieprzerwanie, potoczyście. Coraz częściej przypadała do parkietu, potrząsała głową, aby odrzucić kosmyk, który wymykał się spod grzebyka i spadał na oczy. Zniknął dzień w kwadratach okien, zniknął i biały sokół, przebrzmiał nie usłyszany roztańczony gawot o trzeciej po południu i całkiem już niedosłyszalnie przyszedł ten. o wstawiennictwo u którego błagała Helena smagłą dziewicę. Zjawił się obok odwalonej płyty grobowej zupełnie wskrzesły z martwych, i dobrotliwy, i bosy. Helena odetchnęła głęboko, pełną piersią, na policzkach jej wystąpiły plamy,

oczy wypełniło światło, suchy płacz bez łez. Czołem, policzkiem przywarła do podłogi, a potem całą duszą rwała się ku płomykowi i nie czuła już pod kolanami twardych klepek. Ogieniek okrzepł, ciemna, wrzeźbiona pod diadem twarz najwyraźniej ożywała, a oczy wydobywały z Heleny coraz to nowe i nowe słowa. Absolutna cisza władała za drzwiami i za oknami, dzień ciemniał strasznie szybko i raz jeszcze ukazało się widzenie — szklane światło kopuły niebieskiej. jakieś nigdy nie widziane żółtoczerwone bryły piaskowca, drzewa oliwne, czarnym wiekowym zaciszem i chłodem powiał w serce sobór.

— Matko, Orędowniczko nasza — cała w ogniu mamrotała Helena — ubłagaj Go. Oto On. Cóż to dla Ciebie. Zlituj się nad nami. Zmiłuj. Nadchodzą Twoje dni. Twoje święto. Może On uczyni coś takiego, a i Ciebie przebłagam za grzechy. Niechaj Siergiej nie wraca... Odbierz, skoro masz odebrać, ale jego nie karz śmiercią... Wszyscyśmy winni tej krwi, ale Ty nie karz. Nie karz. Oto On. Oto On...

Płomyk zaczął pełgać, jeden łańcuszkowy promień pobiegł daleko, daleko, aż do samych źrenic Heleny. I szalone jej oczy zobaczyły, że usta na okolonej złotą chustą twarzy rozchylają się, a oczy stają się tak niesłychane, że strach i pijana radość rozdarły Helenie serce, przypadła do podłogi i już się więcej nie podnosiła.

Jak suchy wiatr przemknęła po całym mieszkaniu trwoga, ktoś przebiegł na palcach przez jadalny. Ktoś inny poskrobał w drzwi, rozległ się szept: „Heleno... Heleno... Heleno...” Helena ocierając wierzchem dłoni zimne, śliskie czoło, odrzuciła kosmyk włosów, wstała, spoglądając przed siebie ślepo jak dzikuska, nie patrząc więcej w jaśniejący kąt, z sercem zaiste stalowym, podeszła do drzwi. Te, nie czekając przyzwolenia, same się otworzyły, na tle portiery stanął Nikoł. Wytrzeszczył na Helenę przerażone oczy, nie mógł złapać powietrza.

— Wiesz, Heleno... Tylko nie bój się... Nie bój się... Idź tam... Zdaje się... Doktor Aleksiej Turbin, woskowy jak połamana, zmiętoszona w spotniałych rękach świeca, wyrzucił spod kołdry kościste dłonie o nie obciętych paznokciach i leżał zadzierając ostry podbródek. Ciało jego opływał lepki pot, a śliska wychudła pierś wzdymała się w rozcięciu koszuli. Opuścił głowę, wsparł brodę na piersiach, rozwarł pożąłkłe zęby, rozchylił powieki. W oczach chwiała się jeszcze poszarpana zasłona mgły i maligny, ale już przez strzępy czerni przezierało światło. Bardzo słabym, ochrypłym i cienkim głosem powiedział:

— Kryzys, Brodowicz. Co, wyżyję?... A-ha.

Karaś w trzęsących się dłoniach trzymał lampę, oświetlała zmiętą pościel, skopane prześcieradła, szare cienie w ich załamaniach.

Wygolony lekarz niezbyt pewnymi palcami zebrał resztki mięśni i wbił Turbinowi w ramię igłę małej strzykawki. Na czoło wystąpiły lekarzowi drobne kropelki. Był wzruszony i wstrząśnięty.

19

Peturra. Zagarnął Miasto na czterdzieści siedem dni. Przemknął nad Turbinami zakuty w lód i przyprószoney śniegiem styczeń roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego, nadleciał i zawirował w zamieci luty.

Drugiego lutego przeszła przez mieszkanie Turbinów czarna postać z ogoloną głową w czarnej, jedwabnej czapeczce. Był to sam zmartwychwstały Turbin. Bardzo się zmienił. W kącikach ust zapewne na zawsze zaległy mu dwie bruzdy, skóra miała barwę wosku, oczy zapadły w cieniach, już na zawsze mroczne i obce uśmiechom.

W salonie Turbin, jak przed czterdziestoma siedmioma dniami, wsparł się o szybę i nasłuchiwał, i teraz tak samo jak wtedy w oknach widać było ciepłe światelka, śnieg, operę, ledwie docierało dalekie echo wystrzałów armatnich. Nasepiwszy się surowo, Turbin całym ciężarem ciała wsparty na lasce patrzył na ulicę. Widział, że dnie wydłużyły się jak zaczarowane, światła było więcej, mimo że za szybą buszowała rozsypując się na miliony strzępów śnieżna zawierucha.

Pod jedwabną czapeczką płynęły myśli surowe, jasne, nieradosne. Głowa wydawała się lekka, opustoszona, jakby jakieś obce pudło na ramionach, a myśli te przychodziły skądś z zewnątrz, w dowolnie przez siebie ustalonym porządku. Turbin rad był tej samotności przy oknie, patrzył...

„Peturra... Najpóźniej dziś w nocy dokona się to, i nie będzie już więcej Peturry... A czy w ogóle był?... Czy może mi się tylko śniło? Nie wiadomo, nie można sprawdzić. Łariosik jest bardzo sympatyczny. Nie przeszkadza w rodzinie, nie, jest raczej przydatny. Trzeba mu podziękować za opiekę... A Szerwiński? A, diabli go wiedzą... Skaranie boskie z tymi babami. Helena bez wątplenia zwiąże się z nim, to nieuniknione... A co on wart? Chyba tylko ten głos... Głos ma wspaniały, ale głosu można przecież posłuchać i tak, nie wychodząc za mąż, prawda?... Zresztą, nieważne. A co jest ważne? Tak, to właśnie Szerwiński mówił, że mają na papachach czerwone gwiazdy... Z pewnością w Mieście dzieć się będą straszne rzeczy. O, tak... A więc — dziś w nocy... Pewnie jadą już ulicami tabory... Ale jednak pójdę, jutro pójdę... Odniosę... Bryń. *Trymaj!* Jestem mordercą. Nie, zastrzeliłem go w

walce. A może postrzeliłem... Z kim ona mieszka? Gdzie jej mąż? Bryń. Małyszew. Gdzie on teraz? Zapadł się pod ziemię. A Maksym... Aleksander I?"

Pływały myśli, ale przerwał je dzwonek. W domu nie było nikogo oprócz Aniuty, wszyscy wyszli do Miasta, śpieszyli pozajątwiać swoje sprawy za dnia.

— Jeżeli to pacjent, to przyjmij, Aniuto.

— Dobrze, proszę pana.

Ktoś wszedł z Aniutą po schodach, zdjął w przedpokoju palto na kozim futerku i przeszedł do salonu.

— Proszę — powiedział Turbin.

Wstał z fotela szczupły, żółtawy młody człowiek w szarym frenczu. Oczy miał mętne i skupione. Turbin w białym fartuchu odsunął się, wpuścił go do gabinetu.

— Proszę, niech pan siada. Czym mogę służyć?

— Mam syfisy — chrapliwie powiedział przybyły i popatrzył na Turbina otwarcie i posepnie.

— Leczył się pan?

— Leczyłem się, ale źle i niesystematycznie. Leczenie niewiele pomogło.

— Kto pana do mnie skierował?

— Ojciec Aleksander z cerkwi Mikołaja Dobrotliwego.

— Co?

— Ojciec Aleksander.

— Przepraszam, to pański znajomy?...

— Spowiadałem się u niego i rozmowa z tym świątobliwym starcem przyniosła mi ulgę — patrząc w niebo wyjaśnił gość. — Nie powinienem był się leczyć... Tak sądziłem. Powinienem cierpliwie nieść krzyż, który Bóg mi zesłał za mój straszliwy grzech, ale ojciec duchowny przekonał mnie, że rozumiem niewłaściwie. Jestem mu posłuszny.

Turbin uważnie przyjrzał się źrenicom pacjenta, zbadał refleksy. Ale okazało się, że właściciel koziego futerka źrenice ma normalne, tyle, że wypełnione bezbrzeżną smutną czernią.

— A więc tak — odkładając młoteczek powiedział Turbin. — Jest pan, jak widzę, człowiekiem religijnym.

— Tak, dniem i nocą rozmyślam o Panu Bogu i modłę się doń. On jest jedyną moją pociechą i ucieczką.

— To, oczywiście, bardzo pięknie — nie spuszczać oczu z jego oczu powiedział Turbin. — Mam dla takiej postawy wiele szacunku, ale

radziłbym panu na czas kuracji zrezygnować z tych nieustannych rozmyślań o Bogu. Obawiam się, że zaczyna to u pana przechodzić w *idee fixe*. A w pańskim stanie to bardzo szkodliwe. Panu potrzebne jest powietrze, ruch i sen.

— Nocami modłę się.

— O, nie, to trzeba zmienić. Czas modlitwy będzie pan musiał ograniczyć. Modły są męczące, a pan potrzebuje spokoju. Pacjent kornie spuścił oczy. Stał obnażony przed Turbinem i poddawał się oględzinom.

— Kokaina?

— Wśród nieprawości i wszeteczeństw, którym ulegałem, było i to. Teraz już nie.

„Diabli go wiedzą... a nuż to oszust.. i symuluje. Trzeba będzie przypilnować, żeby z przedpokoju nie zginęły futra.”

Turbin narysował trzonkiem młotka na piersi chorego znak zapytania. Białą znak przemienił się w czerwony.

— Niech pan przestanie zgłębiać kwestie religijne. W ogóle jak najmniej przygnębiających rozmyślań. Może się pan ubrać. Od jutra będę panu wstrzykiwał rtęć, za tydzień zaczniemy wlewki.

— Dobrze, doktorze.

— O kokainie nie ma mowy. O piciu nie ma mowy. O kobietach także...

— Wyrzekłem się kobiet i trucizn. Wyrzekłem się także ludzi nieprawych

— zapinając koszulę mówił chory. — Zły geniusz mego życia, prorok antychrysta, przeniósł się do miasta szatana.

— Mój drogi, tak nie można — jęknął Turbin. — Przecież pan skończy w szpitalu psychiatrycznym. O jakim antychryście pan mówi?

— Mówię o jego zwiastunie, Michale Siemionowiczu Szpolanskim. To człowiek o oczach żmii, z czarnymi baczkami. Wyjechał do królestwa antychrysta, do Moskwy, aby dać tam sygnał i poprowadzić na Miasto zastępy szatańskie, które ukarzą je za grzechy jego mieszkańców. Jak niegdyś Sodomę i Gomerę...

— Ma pan na myśli bolszewików? Zgoda. Ale tak jednak nie można... Będzie pan pił brom. Łyżka stołowa trzy razy dziennie.

— Jest młody. Ale tyle w nim nikczemności, co w tysiącletnim szatanie. Niewiasty nakłania do rozpusty, młodzieniaszków do występku i grzmią już, grzmią surmy bojowe grzesznych hufców i widać już nad polami oblicze szatana, który idzie za nim.

— Trockiego?

— Tak, takie jest imię, które przybrał. Ale prawdziwe jego imię brzmi po hebrajsku Abaddon, a po grecku Apollon, a znaczy to wytraciciel.

— Mówię panu poważnie: jeżeli pan z tym nie skończy, to niech pan ma pretensje do samego siebie. Pan wpada w manię...

— Nie, doktorze, jestem normalny. Ile pan, doktorze, bierze za pański zbożny trud?

— Na litość, czemu do wszystkiego miesza pan Boga? Niczego

szczególnie zbożnego w mojej pracy nie widzę. Biorę za kurację tyle, ile wszyscy. Jeżeli będzie pan się u mnie leczył, proszę zostawić zadatek.

— Doskonale. French rozchylił się.

— Jeżeli chwilowo brak panu pieniędzy... — mruknął Turbin patrząc na wyświecone kolana. „Nie, to nie oszust... nie... ale w końcu zwariuje.”

— Nie, doktorze, znajdują się. Pan na swój sposób niesie ulgę cierpiącej ludzkości.

— Czasem nawet z dobrym skutkiem. Ale proszę regularnie pić brom.

— Całkowite ukojenie, szanowny doktorze, czeka nas dopiero tam. — Pacjent wskazał w natchnieniu bielutki sufit. — A teraz czekają nas wszystkich próby dotąd nie zaznane... Nastąpią rychlej, niż myślimy.

— No, serdecznie dziękuję. Ja już nacierpiałem się dość.

— Nie trzeba się zarzekać, doktorze, och, nie trzeba — mamrotał chory wkładając w przedpokoju kozie futro. — Powiedziane jest bowiem: i wylał trzeci Anioł czasę swoją na rzeki i źródła wód i stała się krew.

„Gdzieś to już słyszałem... Ach, oczywiście, pogawędki z ojcem Aleksandrem. Ale się dobrali w korcu maku.”

— Usilnie radzę, żeby pan rzadziej czytywał Apokalipsę... Powtarzam, to panu szkodzi. Mam honor pożegnać. Jutro o szóstej, jeśli łaska. Aniuta, bądź tak dobra, wyprowadź pana...

— Nie odmówi mi pani przyjęcia tego... Chciałbym, żeby ta, która ocaliła mi życie, miała coś ode mnie na pamiątkę... To bransoletka mojej nieboszczki matki...

— Nie trzeba. Po co to? Ja nie chcę... — odpowiadała Reiss i ramieniem osłaniała się przed Turbinem, on jednak nalegał, aż zapiął na bladym przegubie ciężką, kutą, ciemną bransoletę. Uczyniło to rękę jeszcze piękniejszą, Julia wydała się jeszcze ładniejsza... Nawet o tej szarej godzinie widać było, jak różowieje jej twarz.

Turbin nie wytrzymał, prawą ręką objął ją za szyję, przyciągnął do siebie i kilkakrotnie pocałował w policzek... Z osłabłych rąk wypuścił przy tym łaskę, upadła ze stukotem koło nogi stołu.

— Proszę już iść... — szepnęła Reiss. — Już czas... czas. Ulicami jada tabory. Musi pan uważać, żeby pana nie zaczepili.

— Dobrze mi z panią — wyszeptał Turbin. — Proszę mi pozwolić przyjść tu jeszcze.

— Proszę...

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego pani jest sama i czyje to zdjęcie na biurku? Czarny, z baczkami...

— To mój brat przyrodni... — odpowiedziała Reiss i spuściła oczy.
— Jak się nazywa?
— Po co to panu?
— Pani mnie uratowała... Chcę wiedzieć.
— Uratowałam, więc ma pan prawo wiedzieć? Nazywa się Szpolanski.
— Jest tu?
— Nie, wyjechał. Do Moskwy. Jakiż pan jest ciekawy. Coś w Turbinie drgnęło, długo patrzył na czarne baczki, czarne oczy... Niemiła ssąca myśl trwała dłużej niż inne, kiedy tak studiował czoło i usta prezesa „Magnetycznego Trioletu”. Ale była to myśl niejasna... Zwiastun. Ten nieszczęśnik w kozim futerku... Co tak niepokoi? Co dręczy? Cóż mnie to obchodzi? Zastępy szatańskie... Ach, wszystko jedno... Byleby tylko przyjść tu jeszcze, do tego dziwnego, cichego domku, gdzie na portrecie złote epolety...
— Proszę iść. Już czas.

— Nikoń? To ty?

Bracia wpadli na siebie na niższym poziomie tajemniczego ogrodu, przed następnym domkiem. Nikońka nie wiadomo dlaczego zmieszał się, jakby przyłapano go na gorącym uczynku.

— Ja tu, Alosza, chodziłem do Naj-Tursów — wyjaśnił, a wyglądał, jakby go kto złapał na płocie z kradzionymi jabłkami.

— No cóż, słusznie. Miał matkę?

— I siostrę, widzisz, Alosza... W ogóle...

Turbin spojrział na Nikońkę i więcej go już nie wypytywał.

Przez pół drogi bracia szli milcząc. Potem Turbin przerwał milczenie.

— Widzę, bracie, że nas obu Peturra rzucił na Mało-Prowalną. Co?

No, cóż, będziemy tu przychodzić, skoro tak. A co z tego wyniknie, to się okaże. Prawda?

Nikońka z najwyższym zainteresowaniem wysłuchał tego zagadkowego monologu i z kolei zapytał:

— Toś ty też kogoś odwiedzał, Alosza? Na Mało-Prowalnej?

— Uhm — odparł Turbin, postawił kołnierz palta, zniknął w nim i aż do samego domu nie powiedział już ani słowa.

W ów doniosły i historyczny dzień jedli u Turbinów obiad wszyscy — i Myszłajewski z Karasiem, i Szerwiński. Była to pierwsza wspólna uczta od czasu, kiedy zległ ranny Turbin. I wszystko było jak dawniej, oprócz jednego — nie stały na stole mroczne, upalne róże, bowiem od dawna już nie było rozgrabionej cukierenki Markizy; Markiza odeszła w nieodgadnioną dal, tam zapewne, gdzie spoczywa i madame Anjou.

Żaden też z siedzących przy stole nie miał naramienników, naramienniki odpłynęły gdzieś daleko, rozwiały się w zamieci za oknami.

Wszyscy z otwartymi ustami słuchali Szerwińskiego, nawet Aniuta przysła z kuchni i oparła się o framugę.

— Jakie znowu gwiazdy? — posępnie wypytywał Myszłajewski.

— Małe, jak nasze oznaki, pięcioramienne — opowiadał Szerwiński — na papachach. Idzie ich cała chmara, powiadają... Krótko mówiąc, o północy tu będą.

— Skąd ta dokładność: o północy.

Ale Szerwiński nie zdołał odpowiedzieć skąd, ponieważ rozległ się dzwonek i w mieszkaniu zjawił się Wasylisa.

Wasylisa, kłaniając się na prawo i na lewo i serdecznie ściskając ręce wszystkim, a zwłaszcza Karasiowi, poskrzypując przyszwami, ruszył wprost do pianina. Helena ze słonecznym uśmiechem podała mu dłoń, Wasylisa dziwnie jakoś tak podskoczył i przypadł do tej dłoni. „Ten Wasylisa, u diabła, zrobił się nawet sympatyczny, od kiedy mu rąbnęli forszę — pomyślał Nikołka i pofilozofował w myśli. — Może pieniądze nie pozwalają być sympatycznym? Tu, na przykład, nikt pieniędzy nie ma i wszyscy są sympatyczni.”

Wasylisa nie chce herbaty. Nie, dziękuje najuprzejmiej. Bardzo, bardzo dobrze. He, he. Jak tu u was zawsze przytulnie mimo takich okropnych czasów. E... he... Nie, dziękuje najuprzejmiej. Do Wandy przyjechała ze wsi siostra, więc powinien zaraz wracać do swoich. Przyszedł tylko po to, żeby oddać pani Helenie list. Zajrzał właśnie do skrzynki na drzwiach i znalazł go tam. „Uważałem, że jest moim obowiązkiem. Mam zaszczyt pożegnać państwa.” I Wasylisa, podskakując, pożegnał się.

Helena poszła z listem do sypialni...

„List zza granicy? Czy być może? Zdarzają się przecież takie listy. Wystarczy wziąć do ręki kopertę, żeby wiedzieć, co w nim jest. Jak on doszedł? Poczta nie działa. Nawet z Żytomierza do Miasta, nie wiadomo dlaczego, list posłać można tylko przez okazję. Jakie wszystko jest głupie i dzikie w tym kraju. Przecież taka okazja sama też jedzie pociągiem. Czemu więc listy nie mogą jechać, czemu giną? Ale ten doszedł. Spokojna głowa, taki list dojdzie, odnajdzie adresata. War... Warszawa. Warszawa. Ale to nie Talberg pisał. Jak nieprzyjemnie bije serce.”

Chociaż na lampie był abażur, w sypialni Heleny zrobiło się tak niemilo, jakby ktoś zdarł z żarówki kwiecisty jedwab, a rażące w oczy światło przywołało chaos pakowania. Twarz Heleny zmieniła się, była teraz podobna do odwiecznej twarzy Matki Bożej, co patrzyła z rzeźbionych

ram. Usta drgnęły, ale skrzywiły się pogardliwie. Arkusik szarego prążkowanego papieru wypełził z rozdartej koperty i leżał w snopie światła.

...Dopiero tu powiedziano mi, że rozwiodłaś się z mężem. Ostroumowowie widzieli Siergieja Iwanowicza w ambasadzie — wyjeżdża do Paryża razem z całą rodziną Hertzów, mówią, że ma się żenić z Lidką Hertz; jak dziwną koleją toczy się wszystko w tym zamęcie. Szkoda, że nie wyjechałaś. Boleję nad wami wszystkimi, zdanymi na łaskę chłopstwa. Piszą tu gazety, że podobno Petlura naciera na miasto. Miejmi nadzieję, że Niemcy go nie wpuszczą...

W głowie Heleny automatycznie podrygiwał, postukiwał Nikołkowy marsz zza ściany, zza drzwi zawieszonych na głucho Ludwikiem XIV. Ludwik śmiał się, odstawiał rękę wspartą na owitej wstążkami laseczce. Stuknęła w drzwi rączka laski, postukując wszedł Turbin. Spojrzał na twarz siostry, usta mu drgnęły tak samo jak jej przedtem, zapytał:

— Od Talberga?

Helena milczała, było jej wstyd, było jej ciężko. Ale zaraz się opanowała, podała arkusik Turbinowi: „Od Oli... z Warszawy...” Turbin uważnie wpił się oczyma w litery, źrenice biegały mu, póki nie przeczytał wszystkiego do końca, potem raz jeszcze odczytał nagłówek:

Droga Helenko, nie wiem, czy dojdzie...

Twarcz jego mieniła się wielością barw. Przewaga szafranu, różowo w okolicy skuł, oczy, dotąd niebieskie, poczerniały.

— Z jakąż przyjemnością... — wyszeptał przez zęby — dałbym w mordę...

— Komu? — zapytała Helena i pociągnęła nosem, w którym gromadziły się już łzy.

— Sobie — konając ze wstydu odparł doktor Turbin — za to, że się wtedy z nim pocałowałem.

Helena rozplakała się momentalnie.

— Zrób to dla mnie — ciągnął Turbin — wyrzuć toto w diabły — wskazał laską portret na biurku. Helena chlipiąc podała portret bratu.

Błyskawicznie wyrwał z ramki zdjęcie Siergieja Iwanowicza i podarł je na drobne kawałki. Helena rozszlochała się po babsku, trzęsąc ramionami, przypadła do wykrochmalonego gorsu Aleksieja. Przesądnie spozierała z ukosa na brunatną ikonę, przed którą ciągle jeszcze paliła się lampka oliwna w połączanym koszyczku.

„Wymodliłam sobie... Sama uczyniłam ślub... No cóż... nie gniewaj się... nie gniewaj się. Matko Boża” — pomyślała przesądna Helena. Turbin przestraszył się:

— Uspokój się, no, uspokój... Oni usłyszą, po co ci to? Ale w salonie niczego nie słyszeli. Pianino pod palcami Nikołki bluzgało dziarskim marszem *Dwugłowy orzeł*, dobiegały stamtąd śmiechy.

20

Pamiętny to był rok i straszny to był rok, ten od narodzin Chrystusa Pana tysiąc dziewięćset i osiemnasty, ale tysiąc dziewięćset dziewiętnasty był jeszcze straszniejszy.

W nocy z drugiego na trzeciego lutego u wjazdu na Most Łańcuchowy przez Dniepr dwóch hajdamaków wlokło po śniegu mężczyznę w podartym czarnym palcie, o sinej i czerwonej, złanej krwią twarzy, a pan kurennij biegł obok i bił go wyciorem po głowie. Głowa odskakiwała po każdym uderzeniu, ale zakrwawiony nie krzyczał już, stękał tylko. Wycior ciężko, ostro wrzynał się w podarte na strzępy palto, a każdemu uderzeniu wtórowało głuche:

- Uch... a...

— Ach, ty parchu! — darł się pan kurennij. — Pod sąg go, i rozwalić! Ja ci pokażę, jak się chować po ciemnych kątach. Ja c-ci pokażę! Coś *robiw* za sągami? Szpieg!

Ale zakrwawiony nie odpowiadał zagniewanemu panu kurennemu. Wobec tego pan kurennij zabiegł od przodu, hajdamacy odskoczyli, żeby i ich nie zawadziło wzniesione, błyszczące żelazo. Pan kurennij nie obliczył ciosu i wycior jak błyskawica spadł na głowę. Coś w niej chrustnęło, czarny nie powiedział już „uch"... Wykręcił ramię, targnął głową, zwałił się z klęczek na bok, szeroko zamachnął się drugą ręką, wyrzucił ją, jak gdyby chciał zagarnąć dla siebie jak najwięcej zdeptanej, ugnojonej ziemi. Palce zgięły się haczykowato, drapały brudny śnieg. Potem leżący w ciemnej kałuży parokroć szarpnął się w konwulsjach i znieruchomiał.

Syczała nad powalonym latarnia elektryczna przy wjeździe na most, wokół zwłok miotaly się spłoszone cienie hajdamaków z chwastami na głowach, a wyżej były czarne niebiosa i rozmigotane gwiazdy.

I w tejże chwili, kiedy leżący wyzionął ducha, planeta Mars nad Słobodką pod Miastem eksplodowała na zamarzniętych wysokościach, chlusnęła ogniem i huknęła ogłuszająco.

W ślad za planetą Mars czarna dal zadnieprzańska, dal wiodąca ku Moskwie, ozwała się ociężałym, przeciągłym gromem. I zaraz łupnęła druga gwiazda, ale już niżej, tuż nad pogrzebanymi pod śniegiem dachami.

I zaraz błękitna dywizja hajdamacka ruszyła z mostu i pomknęła do Miasta, przez Miasto i na wieki wieków won.

W ślad za błękitną dywizją wilczym truchtem przejechał na zziębniętych koniach kureń Kozyr-Leszki, przetańczyła jakaś kuchnia... potem wszystko zniknęło, jakby nigdy nie istniało. Został tylko stygnący trup Żyda w czarnym palcie przy wjeździe na most i poroztrzāsane, zdeptane siano, i koński nawóz.

I tylko ten trup świadczył, że Peturra to nie mit, że był tu naprawdę... Dzyń... Treń... Gitara, Turek... Żeliwna latarnia na Bronnej... Zamiatające śnieg dziewczęce warkocze, rany postrzałowe, zwierzęce wycie po nocy, mróz... A więc było.

On, *Hryć, do roboty...*

W Hrycia porwani czoboty...

A po co to było? Nikt na to nie odpowie. Czy ktoś zapłaci za krew?

Nie. Nikt.

Po prostu roztaje śnieg, wszędzie zielona ukraińska trawa, porośnie ziemię... Bujnie zakłosi się zboże... Zadrży nad polami upał i nie zostanie po krwi nawet ślad. Tania jest krew na czerwonych polach i nikt płacić za nią nie myśli.

Nikt.

Z wieczora dobrze napalili w saardamskim piecu i do tej pory, do późna w noc, piec ciągle jeszcze trzymał ciepło. Napisy z *Cieśli z Saardamu* zmyto, został tylko jeden:

...Len... mam bilet na *Ai...*

Dom na Aleksiejewskim Zjeździe, dom nakryty czapą białego generała spał od dawna, spał w cieple. Senna drzemota snuła się za storami, chwiała się w cieniach.

Za oknami coraz to bardziej zwycięsko rozkwitała wyziębiona noc, płynęła bezgłośnie ponad ziemią. Skrzyły się gwiazdy, kurczyły się i nabrzmiewały, a szczególnie wysoko na niebie stała gwiazda czerwona i pięcioramienna — planeta Mars.

W ciepłych pokojach zamieszkały sny.

Turbin spał w swojej sypialni, a sen wisiał nad nim jak zamacony obraz. Chwiejnie płynął westybul i imperator Aleksander I palił w piecyku listę dywizjonu... Przeszła Julia, pokiwała na niego, roześmiała się, przemknęły cienie, krzyczały; ..*Trymaj! Trymaj!*"

Strzelały bezgłośnie i Turbin usiłował uciec przed nimi, ale nogi nie chciały się oderwać od trotuaru na Mało-Prowalnej i Turbin we śnie

musiał zginać. Obudził się z jękiem, usłyszał z saloniku chrapanie Myszłajewskiego, ciche poświsty Karasia i Łariosika z biblioteki. Otarł z czoła pot, oprzytomniał, uśmiechnął się pod nosem, sięgnął po zegarek.

Na zegarku była trzecia.

— Już na pewno odeszli... Peturra... Już nigdy go nie będzie.

I zasnął znowu.

Noc rozkwitała. Miało się już ku porankowi i dom pogrzebany pod mechatym śniegiem spał. Umęczony Wasylisa spoczywał w zimnej pościeli, rozgrzewał prześcieradła własnym wychudłym ciałem. Śnił się Wasylisie sen niedorzeczny i wyokrąglony. Że żadnej rewolucji nie było, wszystko to bzdura, brednie. Sen. Spływało na Wasylisę niepewne, chwiejne szczęście. Było jakoby lato i Wasylisa właśnie kupił ogródek. Momentalnie wyrosły w nim warzywa. Grządki pokryły się wesołymi wąsami, spomiędzy wąsów przezierały zielone wrzeciona ogórków. Wasylisa w spodniach z żaglowego płótna stał i patrzył na miłe, zachodzące słońeczko i drapał się po brzuchu...

Tu się Wasylisie przyśnił kulisty globus utraconego zegarka. Wasylisa chciał, żeby mu było żal tego zegarka, ale słońeczko przygrzewało tak przyjemnie, że na żal zdobyć się nie umiał.

I oto w owej miłej chwili jakieś krągłe, różowe prosięta wpadły do ogrodu i natychmiast swymi tępymi ryjami rozryły grządki. Wzleciały fontanny ziemi. Wasylisa chwycił leżący na ziemi kij i zamierzał przepędzić prosiaki, ale wtedy stało się jasne, że prosiaki są przerażające — mają ostre kły. Natarły na Wasylisę, podskakiwały przy tym na arszyn ponad ziemię, miały bowiem w środku sprężyny. Wasylisa zawył przez sen. Czarna lawina wychynęła z boku, wchłonęła prosięta, zapadły się pod ziemię, i zjawiała się przed Wasylisa jego czarna, wilgotna sypialnia.

Noc rozkwitała. Senne odrętwienie przeszło nad Miastem, przeleciało niepostrzeżonym białym ptakiem, wyminęło krzyż Włodzimierza, zapadło za Dnieprem w sam gąszcz nocy i popłynęło wzdłuż łuku torów kolejowych. Dopłynęło do stacji Darnica i zatrzymało się na niej. Na trzecim torze stał pociąg pancerny. Na głucho, aż po same koła, platformy przyodziane były w szare płyty pancerne. Czerniała kraciasta bryła parowozu, wywalał się z brzucha ognisty płat, leżał na szynach i patrzącemu z boku wydawało się, iż wnętrze lokomotywy pełne są rozżarzonych węgli. Parowóz syczał cichutko i gniewnie, coś się za jego bocznymi osłonami sączyło, jego tępy ryj milczał, wpatrywał się w naddnieprzańskie bory. Z ostatniego wagonu celowała w czarne i

granatowe niebo szeroka lufa w szczelnym kagańcu, na dwanaście wiorst wprost w północny krzyż.

Stacja zamarła z przerażenia. Nasunęła ciemność na czoło i świeciła z niej osowiały od wieczornych huków źrenicami żółtych ogni. Mimo przedrannej godziny na peronach stacji nieprzerwanie trwała krzątania. W niskim, żółtym baraku telegrafu jasno świeciły się trzy okna, zza szyb docierał nieustanny stukot trzech aparatów. Po peronie tam i z powrotem, nie bacząc na palący mróz, biegały ludzkie postacie w półkożuszkach do kolan, w szynelach i czarnych kurtkach marynarskich. Z dala od pociągu pancernego i nieco bardziej z tyłu czuwał, nawoływał się i łomotał drzwiami ciepłuszek eszelon.

A przed pociągiem pancernym, przed parowozem i żelaznym cielskiem pierwszego wagonu chodził jak wahadło człowiek w długim żołnierskim płaszczu, w dziurawych walonkach i szpiczastym kapturze-baszłyku. Karabin troskliwie piastował na ręku jak umęczona matka piastuje niemowlę, a wraz z nim chodziła między szynami, pod wątlą latarnią, po śniegu, ostra drzazga czarnego cienia z bezgłośnym bagnetem. Człowiek ów był ogromnie zmęczony i zwierzęco, nie po ludzku, przemarzł. Sine i zimne ręce daremnie szukając schronienia gmerały zdrewniałymi palcami w strzępach rękawów. Z obramowanego białym mechatym szronem i szędzielizną nierównego wycięcia baszłyka odsłaniającego kosmate, odmrożone usta, patrzyły oczy w śnieżnych kudłach rzęs. Oczy to były niebieskie, męczeńskie, senne, znużone.

Człowiek ów chodził metodycznie, ze zwieszonym bagnetem, i myślał tylko o jednym — kiedy wreszcie dobiegnie końca mroźna godzina tortury i będzie mógł odejść z oszalałej ziemi pod dach, tam, gdzie boskim żarem dyszą ogrzewające eszelon rury, gdzie w ciasnej norze można się zwalić na wąską prycę, wtulić się w nią, zasnąć. Człowiek i cień chodzili od ognistego rozbłysku opancerzonego brzucha do ciemniejącej ściany pierwszej skrzyni bojowej, do owego miejsca, w którym czerniał napis:

Pociąg pancerny „Proletariusz”.

Cień, to wyrastając, to garbiąc się potwornie, nieodmiennie jednak ostrogłowy, rył śnieg czarnym swoim bagnetem. Niebieskawe promienie latarni zwisały za plecami człowieka. Dwa niebieskawe księżyce, nie grzejące, drażniące, świeciły na peronie. Człowiek szukał jakiegokolwiek ognieńka i nie znajdował go nigdzie; zaciskając zęby, straciwszy nadzieję na rozgrzanie palców u nóg, poruszając tymi palcami wyrywał się

spojrzeniem ku gwiazdom. Najwygodniej mu było patrzeć na Marsa, który jaśniał na niebie przed nim, nad Słobodką. Patrzył więc na Marsa. Spojrzenie biegło od jego oczu poprzez miliony wiorst, człowiek ani na minutę nie spuszczał oka z czerwonawej, żyjącej gwiazdy. Gwiazda kurczyła się i rozkurczała, żyła najwyraźniej i była pięcioramienna. Niekiedy, zmęczony, przystawał, wpierał kolbę karabinu w śnieg, momentalnie, leciutko zasypiał i czarna ściana pociągu pancernego nie umykała z tego snu, nie uciekały także niektóre odgłosy ze stacji. Ale dołączały się do nich nowe. Wydźwigał się we śnie niebywały nieboskłon. Czerwony był, roziskrzony, pełen Marsów w ich żywym migotaniu. Duszę człowieka momentalnie wypełniła błogość. Nadciągał nieznany, niepojęty jeździec w kolczudze i bratersko napływał nań. Zdało się, że czarny pociąg pancerny zamierza w ogóle zniknąć we śnie, zamiast niego wyrastała zakopana w śniegach wieś — Małyje Czugry. On, człowiek, stoi przy ostatnich chatach Czugrów i idzie mu na spotkanie sąsiad i ziomek.

— Żylin? — mówił bezgłośnie, bez udziału warg, mózg człowieka i natychmiast groźny czuwający głos w piersiach wystukiwał trzy słowa:

Posterunek... wartownik... zamarzniesz...

Człowiek doprawdy już nadludzkim wysiłkiem odrywał karabin, podrzucał go na ramię, zataczając się oddzierał od ziemi stopy i znowu ruszał.

Tam i z powrotem, i z powrotem. Znikał senny nieboskłon, znów granatowy jedwab nieba odziewał cały mroźny świat, niebo przedziurawiała czarna, niszczycielska, słoniowa trąba działa. Migotała czerwonawa Wenus i w niebieskiej poświacie księżyca latarni niekiedy na piersi człowieka pobłyskiwała gwiazda jak odzew. Była malutka i także pięcioramienna.

Miotało się i miało zaniepokojone odrętwienie. Leciało wzdłuż Dniepru. Minęło martwe przystanie i zapadło nad Podolem. Bardzo dawno pogasły tu światła. Wszyscy spali. Tylko na rogu Wołyńskiej, w dwupiętrowym murowanym domu, w mieszkaniu bibliotekarza, w pokoju wąskim jak tani pokój w taniutkim hoteliku, niebieskooki Rusakow siedział przy lampie pod szklanym garbem szkiełka. Przed Rusakowem leżała ciężka księga oprawna w żółtą skórę. Oko sunęło po wersetach powolnie a uroczyście.

„I widziałem umarłe, wielkie i małe, stojące przed oblicznością Bożą, a księgi otworzone są, i druga księga także otworzona jest, która jest księgą

żywota. I osądzono umarłe według tego, jako napisano było w onych księgach, wedle uczynków ich.

I wydawało morze umarłe, które w niem byli, i śmierć i piekło dali umarłe swe, korzy w nich byli, i sądzono każdego wedle uczynków jego.

i który się nie znalazł napisany w księgach żywota, wrzucon jest w jezioro ogniste.

potemem widział niebo nowe i ziemię nową, albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, a morza już niemasz."

W miarę tego, jak czytał wstrząsającą tę księgę, umysł jego stawał się niczym jaśniejący miecz, co przeszywa ciemność.

Choroby i cierpienia zdały mu się nieważne, nieistotne. Niemoc spadała zeń, jak narodził z zapomnianej w lesie uschniętej gałęzi. Widział zgranatowiałą, bezbrzeżną mgłę wieków, korytarz tysiącleci. I nie czuł lęku, ale mądrą pokorę i uwielbienie. Pokój utwierdzał się w jego duszy i w pokoju doszedł do słów:

„...wszelką łzę z oczów ich, a śmierci dalej nie będzie, ani smętku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie, albowiem pierwsze rzeczy przeminęły."

Rozstąpiła się niewyraźna mgła i przepuściła do Heleny porucznika Szerwińskiego. Wypukłe jego oczy uśmiechały się zuchwale.

— Jam demon — powiedział, trzasnąwszy obcasami — a Talberg nie wróci. I śpiewam dla pani...

Wyjął z kieszeni ogromną wyzłoconą gwiazdę i przypiął ją sobie na lewej piersi. Mgły snuły się wokół niego, z oparów wзираła jego landrynkowa lalkowata twarz. Śpiewał przejmująco, nie tak, jak na jawie:

— Będziemy żyć, będziemy żyć!

— A gdy nadejdzie śmierć, umrzemy... — zanucił Nikołka i wszedł. Trzymał w ręku gitarę, ale całą szyję miał we krwi, a na czole żółtą trumienną opaskę z podobiznami świętych pańskich. Helena błyskawicznie zrozumiała, że Nikołka umrze, zatkała gorzko i obudziła się z krzykiem w środku nocy:

— Nikołka. Och, Nikołka!

I pochlipując długo słuchała mamrotania nocy. A noc ciągle płynęła.

I, wreszcie. Piet'ce Szczegłowowi w oficynie śnił się sen.

Piet'ka był malutki i dlatego nie interesowali go ani bolszewicy, ani Petlura, ani Demon. A sen śnił mu się zwyczajny i wesoły jak krąg

słoneczny.

Śniło się Piet'ce, że idzie po wielkiej zielonej łące, a na tej łące leży roziskrzona diamentowa kula, większa od Pietki. Dorośli, kiedy we śnie przyjdzie im biec. więzną w ziemi, jęczą i miotają się próbując wyrwać nogi z grzędzawiska. Natomiast dziecięce nogi rześkie są i wolne. Piętka dobiegł do diamentowej kuli i zaśmiewając się radośnie objął ją ramionami. Kula opromieniła Pietkę roziskrzonym blaskiem. I to cały sen Piet'ki. Piet'ka z radości roześmiał się w ciemnościach. I przygrywał mu wesoło świerszcz za kominem. Pietce śnić się zaczęły inne zwiewne i radosne sny, a świerszcz ciągle śpiewał i śpiewał swoją piosenkę, gdzieś w szparze, w białym kącie za wiadrem, ożywiał senną mamrotliwą noc rodziny.

Rozkwitła ostatnia noc. Nad ranem cała ciężka granatowa czerń osłaniającej świat kurtyny Boga okryła się gwiazdami. Wyglądało na to, że na niezmiernych wysokościach za tym granatowym podniebieniem odprawiano przed carskimi wrotami całonocne nabożeństwo. Zapalano świece na ołtarzu, ich płomyki przebijały przez zasłonę tworząc całe krzyżyki ze świateł, krzewy, kwadraty. Nad Dnieprem z grzesznej i skrwawionej, i śnieżnej ziemi wspinał się w czarne, mroczne wyżyny północny krzyż Włodzimierza. Z daleka wydawało się, że ramiona krzyża zniknęły — zlały się z pionem, krzyż przemienił się w ostry wzniesiony do ciosu miecz.

Ale miecz to niestraszny. Wszystko przeminie. Cierpienia, męki, krew, głód i mór. Szczególnie miecz, ale gwiazdy pozostaną także i wtedy, kiedy nawet cień naszych ciał i spraw nie pozostanie już na ziemi. Nie ma człowieka, który by tego nie wiedział. Czemuż więc nie chcemy zwrócić ku nim naszych oczu? Czemu?

1923—1924, Moskwa

Postowie

Złożone były losy zarówno *Białej gwardii*, jak i jej autora, którego można by przypisać do owego „szwadronu”, co — jak pisze Michał Swietłow w *Grenadzie* — „wciąż grał bez wytchnienia na skrzydłach epoki smyczkami cierpienia”. Od współtowarzyszy pióra różnił się jednak

melodią.

Podjmując pierwsze próby literackie Michał Bułhakow (1891—1940) dobiegał trzydziestki. Należał do pokolenia, któremu bezpośrednio przypadło dziedzictwo wielkiej XIX-wiecznej literatury rosyjskiej. Od niej też przyjęło ono ideały, którym starało się być wierne z różnym powodzeniem przez całe życie, wpływające w naszym wyjątkowo burzliwym stuleciu. Pochodząc z nieźle sytuowanej inteligentkiej rodziny miał Bułhakow względnie beztraskie dzieciństwo i wczesną młodość, którym zresztą z czasem nadał cechy wręcz bukoliczne. Okres ten zakończyła w 1907 r. przedwczesna śmierć ojca, profesora Kijowskiej Akademii Duchownej. Skomplikowała się wówczas sytuacja materialna rodziny, a na Michała, jako najstarszego, spadła częściowa odpowiedzialność za wychowanie sześciorga rodzeństwa. Nie zawiodło jednak środowisko, spiesząc z pomocą, sprawdziły się też koleżeńskie więzy i młodzieńcze przyjaźnie. Fakt ten wyidealizowała pamięć pisarza, wypełniając świat jego młodości niemal wyłącznie postaciami mądrych, szlachetnych, prawych ludzi. Podczas pierwszej wojny światowej, po ukończeniu studiów medycznych w 1916 r. Bułhakow skierowany został do pracy na Smoleńszczyźnie, gdzie praktykował jako lekarz wiejski, a równocześnie poznawał wieś i prowincję rosyjską. W lutym 1918 r. powrócił do Kijowa z zamiarem podjęcia na stałe prywatnej praktyki lekarskiej, uniemożliwiły mu to jednak wydarzenia wojenne.

Działo się to w momencie, gdy Niemcy w wyniku traktatu brzeskiego zajęli Ukrainę. Był też przyszły autor *Białej gwardii* świadkiem zamachu stanu dokonanego w kwietniu 1918 r. przez generała carskiego i dowódcę tzw. Wolnego Kozactwa, Pawła Skoropadskiego. W grudniu tegoż roku, po ewakuacji wojsk okupacyjnych i ucieczce samozwańczego hetmana, do Kijowa weszła armia Semena Petlury, głównego atamana nacjonalistycznego rządu ukraińskiego. Utrzymała się ona w mieście do początków lutego 1919 r. kiedy to zajęła je Armia Czerwona. Ta z kolei opuściła Kijów 30 sierpnia pod naporem wojsk denikinowskich. Łącznie w „pramacierzy grodów ruskich” podczas wojny domowej czternastokrotnie zmieniały się rządy, dziesięć spośród nich Bułhakow przeżył osobiście.

Jesienią 1919 r. pisarz po różnych perypetiach znalazł się na Północnym Kaukazie, by później w pierwszych miesiącach 1920 r. osiąść na dłużej we Władykaukazie (obecnie Ordżonikidze). Tam opublikował w miejscowej prasie swe najwcześniejsze szkice literackie, a następnie, już po ustanowieniu władzy radzieckiej, prowadził ożywioną działalność

kulturalno-oświatową, występując m. in. z odczytami i pisząc sztuki wystawiane przez teatr rewolucyjny. U schyłku 1921 r. przeniósł się do Moskwy, w której mieszkał do śmierci. Początkowo miał się różnych prac zarobkowych, utrzymując się jednak głównie z dziennikarstwa (najdłużej związany był z gazetą dla kolejarzy „Gudok”). Nie zrezygnował przy tym z ambitnych planów literackich.

W pierwszej połowie lat dwudziestych ogłaszał Bułhakow w periodykach moskiewskich oraz w wydawanej w Berlinie rosyjskiej gazecie „Nakanunie” drobne utwory; niektóre ukazały się w postaci odrębnych tomików, wiele weszło później do zbiorów *Notatki młodego lekarza* oraz *Notatki na mankietach*. Znalazły w nich odbicie jego wspomnienia i przeżycia z lat spędzonych na Smoleńszczyźnie i na Kaukazie. Cięte felietony, barwne reportaże, większe i mniejsze opowiadania utrzymane w konwencji groteskowo-satyrycznej (m.in. *Fatalne jaja* i *Diaboliada*) przyniosły mu rozgłos, ale nie zaspokoili aspiracji literackich, których spełnienie widział w stworzeniu wielkiej powieści o wojnie domowej. Pracę nad nią rozpoczął, sądząc z różnych źródeł, już w 1921 r., a opublikował w 1925 r. w czasopiśmie „Rossija”. Była to niepełna wersja *Białej gwardii*, wydawnictwo bowiem przed wydrukowaniem całości zostało zlikwidowane, rękopis zaś wywieziono bez wiedzy autora za granicę. Tam też wydawano powieść z dopisywanym samowolnie zakończeniem i w tej postaci tłumaczono na różne języki. Radziecka edycja *Białej gwardii*, uwzględniająca szereg wprowadzonych przez autora uzupełnień, ukazała się dopiero w czterdzieści lat później, to jest w 1966 r.

Jednakże poważniejsze zainteresowanie Bułhakowem jako pisarzem wzbudziła nie *Biała gwardia*, lecz osnuta na jej tle sztuka *Dni Turbinów*, którą wystawił w 1926 r. Moskiewski Teatr Artystyczny (MCHAT). Przyniosła ona autorowi sławę, co prawda mocno zaprawioną goryczą. Utwór ten napisany z ogromnym wyczuciem dramaturgicznym po raz pierwszy po rewolucji ukazywał obiektywnie, ze zrozumieniem, wręcz sympatią, tragedię białej armii, a ściślej młodych inteligentów rosyjskich, których wojna przyodziła w oficerskie mundury. Była to wówczas niezwykle odważna próba przedstawienia racji zwyciężonych i przywrócenia godności ludziom potępionym w czambuł jako symbole carskiej przeszłości. Finał sztuki zbudowanej na tworzywie *Białej gwardii* w sposób bardziej zdecydowany niż w powieści potwierdzał proces odnajdywania siebie przez bohaterów Bułhakowa w nowej rzeczywistości. *Dni Turbinów* cieszyły się ogromnym powodzeniem, a o

wrażeniu, jakie wywoływały wśród publiczności, można sądzić na podstawie faktu, że jeszcze w rok po premierze w teatrze dyżurowało pogotowie ratunkowe, udzielające pomocy zbyt wrażliwym na emocje widzom. Z oburzeniem i odrazą przyjęli natomiast sztukę kombatanci wojny domowej, którzy odczuli ją jako osobistą zniewagę. Przerazającą nietolerancję zademonstrowała zaś oficjalna krytyka, która dopatrywała się w utworze apologii białych i szkalowania ideałów rewolucyjnych. Autorowi nie szczędzono inwektyw i pouczeń, gromiono go na specjalnie organizowanych dyskusjach, a nawet wprowadzono w obieg pogardliwe określenie o wyrażnie ujemnym politycznie zabarwieniu: „bułhakowszczyzna”. Były to wręcz kuriozalne popisy myślenia dogmatyczno-sekciarskiego. Jak skrupulatnie obliczył Bułhakow, gromadzący wszystkie opinie o swych utworach „... w ciągu dziesięciu lat mojej pracy pojawiło się na mój temat w prasie radzieckiej 301 wzmianek. Z tego — trzy pochwalne i 298 obelżywie wrogich. Tych 298 dokładnie odzwierciedla mój los jako pisarza.” (Z listu do rządu ZSRR, 28 III 1930 r.) Większość owych „wzmianek” dotyczyła *Dni Turbinów*.

W atmosferze histerycznej nagonki szybko, zaledwie po paru przedstawieniach, zeszły ze scen moskiewskich inne sztuki Bułhakowa: *Szkarłatna wyspa* i *Mieszkanie Zojki*. Dramat *Ucieczka* pomyślany jako ostatnie ogniwo cyklu o klęsce białej gwardii został zdyskwalifikowany przez główną komisję repertuarową i nigdy za życia autora nie pojawił się na scenie. Nie pomogła nawet pozytywna opinia Maksyma Gorkiego. Natomiast o dalszym scenicznym żywocie *Dni Turbinów* przesądziło zainteresowanie Stalina, który wielokrotnie oglądał to przedstawienie. Jak wynika z relacji i wspomnień, przychodził on tylko na jeden akt, aby obejrzeć scenę w gimnazjum, kulminacyjną również i w powieści, kiedy to Aleksy Turbin zwalnia junkrów z przysięgi wojskowej zakazując im stawiania oporu przeważającym siłom petlurowskim. Epizod ten wyjątkowo sugestywnie obrazował konflikt pomiędzy honorem oficerskim, nakazującym wierność przysiędze a niepotrzebną w gruncie rzeczy ofiarą życia.

Od końca lat dwudziestych pozbawiony możliwości publikowania swych utworów Bułhakow pisał do szuflady. Nigdy też nie ujrzał w druku *Psięgo serca*, *Powieści teatralnej*, *Życia pana Moliera*, wreszcie najznakomitszego ze swych dzieł — *Mistrza i Małgorzaty*. Więcej szczęścia miały dokonywane przez niego przeróbki sceniczne, adaptacje, libretta, zwłaszcza teatralna wersja *Martwych dusz*. Z oryginalnych sztuk Bułhakowa jedynie *Zmowa świętoszków* pojawiła się na krótko na

deskach MCHAT-u, lecz i ją po czterech latach prób, a sześciu zaledwie przedstawieniach, pospiesznie w 1936 r. zdjęto z afisza. Nie dożył Bułhakow do premiery *Ostatnich dni* w 1943 r., które miały być wystawione w stulecie śmierci Puszkina.

Jak mocno tkwił Bułhakow w epoce, dowodzi fakt, że uogólniając, w pierwszym dziesięcioleciu swej twórczości za najważniejszy uznał problem uczciwego rozrachunku z odchodzącą Rosją oraz humanistycznej postawy wobec pokonanych przeciwników, dla których domagał się miejsca w porewolucyjnym świecie. W drugim dziesięcioleciu absorbowały go relacje pomiędzy polityką a sztuką, mecenatem władzy a wolnością twórczą, narastało też przecucie kształtowania się mechanizmów reżimu administracyjno-nakazowego. Los oszczędził Bułhakowowi drastycznych represji, lecz przeprowadził go za to przez piekło nienawiści, zapoznania, niezrozumienia. Przekonany o swoim literackim posłannictwie i w ogóle posłannictwie literatury, o ile potrafi ona dochować wierności prawdzie życia, uporczywie pisał, choć odebrano mu możliwość dotarcia do czytelnika. Co może być większą tragedią dla pisarza?

Nawet z pobieżnie naszkicowanej biografii Bułhakowa wynika kluczowe znaczenie *Białej gwardii* w jego twórczości, przynajmniej tej z lat dwudziestych, podobnie jak *Mistrza i Małgorzaty* w odniesieniu do lat trzydziestych.

Książka ta była sprawdzianem talentu pisarskiego, a zarazem kronikarskim zapisem i studium psychologicznym działań i postaw ludzi, którzy znaleźli się na straconych pozycjach. Utrwalił w niej Bułhakow nie tylko określony epizod historyczny, ale i wszystkie bliskie mu, drogie jego sercu wartości. Były nimi: dom rodzinny. Kijów — miasto beztróskich lat dzieciństwa i młodości oraz Rosja z całym bogactwem jej dziejów, kulturą i tradycjami. Fabuła i akcja powieści oparte są na autentycznych realiach oraz osobistych przeżyciach i wspomnieniach Bułhakowa. Stąd postacie powieściowe mają rysy i cechy osób z kręgu rodziny i przyjaciół pisarza. Chociażby nazwisko Turbinów, którym obdarzył swych bohaterów, wzięte zostało z rodzinnego drzewa matki. Wielu z nich miało zresztą konkretne prototypy.

Dom, rodzina, przyjaźnie środowiskowe urosły w *Białej gwardii* do wymiaru opoki, ostoji spokoju, najmocniejszych uczuć ludzkich, gwarancji trwania. W nich też znajdują schronienie przed nawałnicą dziejową znużeni, zdezorientowani, rozdarci wewnętrznie bohaterowie powieści. Im większa odległość w czasie i przestrzeni dzieliła Bułhakowa

od domu, tym silniej pragnął upamiętnić jego obraz ze wszystkimi przypisywanymi mu wartościami.

Kijów — jakim ukazuje go nam w dygresjach lirycznych autor — był najpiękniejszym miastem na ziemi, przyjaznym, życzliwym, w którym ton nadawali prawi, szlachetni, zacni ludzie. Świat ten zniszczyła pożoga wojenna i rewolucja. Nie chciał przy tym, czy też nie mógł Bułhakow dostrzec przeprowadzanej przed 1917 r. w cieniu Złotej Bramy rusyfikacji, czarno-secinnych pogromów, agresywnej ideologii monarchistycznej. Mówiąc szczerze, nie wchodził głębiej w kwestie narodowe i nie zawsze chyba wykazywał zrozumienie dla wzmagającej się wraz z rewolucją ukrainizacji miasta, które tak ukochał. I dlatego chyba tak sugestywnie odmalował w *Białej gwardii* wojsko i rządy petlurowców.

W spokojną, jak sugeruje to bułhakowska pamięć, egzystencję wdziera się nawałnica działań wojennych. Miasto zalewa lawina uciekinierów zmierzających na południe, byle dalej od rewolucji, byle bliżej wymarzonej wolności. Przekazany przez Bułhakowa obraz jakże bardzo koresponduje ze wspomnieniami Aleksandra Wertyńskiego i innych naocznych świadków wydarzeń. Podczas jednak gdy ludzie ci stopniowo zaczęli ulegać demoralizacji, bohaterowie Bułhakowa: Aleksy Turbin i jego brat Nikołka oraz przyjaciele — junkrzy i oficerowie, uczestnicy z wyboru bądź przypadku tych wydarzeń, zachowują uczciwość i godność, a perypetiami swych losów spłacają dług wierności i zobowiązań wobec odchodzącej formacji. A że jest też *Biała gwardia* powieścią psychologiczną, poznajemy także ich świat wewnętrzny w chwili najbardziej dla nich dramatycznej, kiedy nie mogą zaaprobować rodzącej się rewolucyjnej rzeczywistości i ideologii wykraczającej poza ich liberalizm, demokratyzm, a zarazem promonarchistyczne poglądy, stawiają rozpaczliwe pytanie o perspektywy. O to, jak mają dalej żyć. Sam autor nie daje odpowiedzi, nie ukrywa jednak, że niektórzy z nich jeszcze w ramach akcji powieściowej, a nie poza granicami fabuły, gdzieś w mglistej przyszłości dokonają wyboru na rzecz nowych czasów (np. kapitan Myszłajewski).

Podjmując próbę określenia formalnego charakteru powieści, w której epika, liryka, psychologia zajmują tyleż samo miejsca, wspomnijmy, że jest *Biała gwardia* — jak określają ją niektórzy krytycy — swoistym requiem, a zarazem historią utraconych złudzeń, rozczarowań, nawet tragedii części inteligencji rosyjskiej. Bohaterowie Bułhakowa, których przed rozstaniem się z nimi obserwujemy w rodzinnym świątecznym

domu, wychodzą z pożogi wojennej (nie została ona jeszcze zakończona ostatecznie) znużeni, zdezorientowani, zubożeni o pewne duchowe wartości, jako że ich materialny stan posiadania nie został na razie uszczuplony, mieścił się bowiem w ramach dozwolonych przez nowe normy społeczne.

Rozporządzamy dzisiaj wieloma przekazami o przebiegu wojny domowej na Ukrainie, a i sama kanwa, kalendarium historyczne jest w *Białej gwardii* faktograficznie i topograficznie ściśle. Czas powieściowy określają następujące zdarzenia i daty. Po wycofaniu się wojsk niemieckich z Ukrainy i ucieczce wraz z nimi hetmana Pawła Skoropadskiego 14 grudnia 1918 r. wojska tzw. Dyrektoriatu, zwane od nazwiska ich dowódcy atamana Semena Petlury — petlurowskimi, zajęły Kijów. Ich pobyt zapisał się w pamięci mieszkańców miasta gwałtami, pogromami, rabunkami. W początkach lutego 1919 r. pod Kijów podeszły wojska bolszewickie, na których przyjście wyczekiwała sterroryzowana przez petlurowców ludność. Pod koniec 1918 r. w mieście przebywało około dwudziestu tysięcy oficerów armii carskiej, którzy nie uznając zarówno radzieckiego rządu ukraińskiego rezydującego w Charkowie, jak i Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (która zaakceptowała Dyrektoriat), masowo uciekali do działających na południu formacji białogwardyjskich. Bohaterowie Bułhakowa — bracia Turbinowie. podobnie jak większość ich przyjaciół-oficerów nie próbowali jednak przedostać się nad Don, lecz zostali w Kijowie, próbując bronić go przed nacjonalistycznymi wojskami ukraińskimi. Za desperacki ten pomysł wielu z nich zapłaciło życiem, ginąc w walce bądź padając ofiarą petlurowskich samosądów. Wypadki te znalazły właśnie odbicie w *Białej gwardii*. Ze szczególnym dramatyzmem autor przedstawił m.in. próbę wciągnięcia do owego beznadziejnego oporu junkrów zgromadzonych w budynku gimnazjum, które sam niegdyś ukończył. Gdy w 1925 r. Bułhakow opublikował pierwszą część swej powieści (druga nie ukazała się), zdawało się, że ukazuje się ona zbyt wcześnie. Żywe i niewygasłe były jeszcze wówczas ślady krwawych zmagania dwóch wrogich sobie sił białych i czerwonych. Jest w tym stwierdzeniu nie zarzut, lecz raczej aprobata, pochwała prekursorstwa autora w torowaniu w literaturze radzieckiej drogi bolesnej, lecz wciąż jeszcze drażliwej tematyce, niemniej uczynienie w połowie lat dwudziestych z przeciwników rewolucji postaci sympatycznych rozmijało się z oficjalną propagandą i odczuciami znacznej części społeczeństwa radzieckiego. Dowodzą tego zarówno pierwsze powściągliwe opinie o *Białej gwardii*, jak i z czasem

zdecydowanie krytyczne, wręcz napastliwe o napisanej dla potrzeb MCHAT-u scenicznej wersji *Dni Turbinów*. Wszak dopiero po Bułhakowie Aleksy Tołstoj przedstawił w *Drodze przez mękę* rozterki i rozdarcia wewnętrzne tych spośród białych oficerów, którzy ostatecznie opowiadają się za rewolucją, zaś Szołochow w *Cichym Donie* zamykał wędrówkę donikąd miotającego się i komplikującego pokrętnie swój los Grigorija Melechowa. Bułhakow nie ukrywa zachowawczych poglądów oficerskiego środowiska Turbinów, sam uznaje natomiast realny stan rzeczy traktując go jako tragiczny, ale nieunikniony rozdział w dziejach swej ojczyzny, równie wiecznej jako owo niebo, o którym pisze w pierwszych i ostatnich zdaniach powieści. Ma ono zresztą nie tylko sens kompozycyjny, ale i głęboko filozoficzny. Dwie rozjaśniające niebo planety Wenus i Mars symbolizują odwieczną miłość i walkę. Dla Bułhakowa nieprzystawalne są dobro i zło, wojna i zacisze rodzinnego domu; może właśnie w rozgwieżdżonym firmamencie szukał harmonii i ukojenia kierując w jego stronę spojrzenia zagubionych bohaterów.

Na rewolucję i przebieg wojny domowej patrzą Turbinowie i ich przyjaciele przez pryzmat Rosji carskiej, wobec której gotowi są spełnić do końca swe patriotyczne i obywatelskie obowiązki. Jednakże bieg wydarzeń uzewnętrzniający kryzys tradycyjnych wartości zmusza ich do głębszych refleksji i w konsekwencji do zdecydowanego samookreślenia. Część z nich pójdzie wraz z białymi armiami drogą donikąd, inni zaś przyjmując rewolucję jako nowy rozdział w dziejach swej ojczyzny podejmą próbę odbudowania normalnego życia. Tak jak uczynił to Michał Bułhakow. Jednocześnie ani jemu, ani większości z nich nie było to dane. W literackim rodowodzie *Białej gwardii* można bez trudu doszukać się pogłosów wielkich dzieł pisarzy rosyjskich, a nawet europejskich. Podobnie w jej historiozoficznej warstwie łatwo dostrzec zbieżności z wyznawaną przez Błoka koncepcją „rewolucji-zamieci”, czy też z tak często spotykaną w literaturze o czasach potężnych wstrząsów społecznych filozofią przemijania, a także relacjami pomiędzy prawem jednostki do indywidualnych postaw i wyborów a logiką i racjami procesu historycznego. Talent Bułhakowa sprawił, że we fresku historycznym, jakim jest *Biała gwardia*, znalazło się miejsce na miłość, liryzm, pochwałę kobiecości, romantyzm i humor sytuacyjny. Osobliwie przeplata się w powieści realizm z idealizacją, racjonalizm ze szlachetną donkiszoterią. Niemalą też rolę odgrywają w niej symbolika, sny, przeczucia i zwidy. Zadziwia i różnorodność narracji oraz stylistyki zaczerpniętej z Apokalipsy, *Słowa o wyprawie Igora* bądź

wielogłosowości ulicznego tłumy.

Przywracanie Bułhakowa literaturze radzieckiej było procesem długotrwałym. Po wielu usilnych zabiegach od końca lat pięćdziesiątych zaczęły ukazywać się kolejne tomy jego prozy, wybory najlepszych jego sztuk, zaczęła lawinowo narastać poświęcona mu literatura krytyczna. Na fali przeobrażeń zachodzących w Związku Radzieckim epoki „przebudowy” można mówić o pełnej prezentacji jego dorobku, który potępiany niegdyś za błędy i niedojrzałość ideologiczną, staje się dziś powszechnie znany, stanowi wręcz kryterium oczytania, zwłaszcza w środowisku inteligencji i wśród młodzieży.

Być może w związku z włączeniem do radzieckiego obiegu literackiego dzieł wielu wybitnych pisarzy, skazanych uprzednio na zapomnienie, twórczość Bułhakowa zostanie odczytana w szerszym kontekście i bardziej wielowymiarowe. Niemniej *Biała gwardia* na zawsze pozostanie prekursorską próbą odważnego przekazania w artystycznym kształcie prawdy o jednej z dróg przez mękę rosyjskiej inteligencji.

W Polsce pierwszy przekład nie zakończonej jeszcze *Białej gwardii* ukazał się w 1928 r. i przyjęty został — obok tłumaczonych równolegle utworów Konstantego Fiedina, Michała Słonimskiego i Wiery Inber — jako opowieść o rozterkach białych Rosjan, którzy pośród ogólnego chaosu i rozprzężenia, odrzucając dialektykę wydarzeń ponoszą klęskę. Powieść ta nie miała wówczas szerszego rezonansu, być może dlatego, iż krąg jej bohaterów był jeszcze zbyt złowrogo zakodowany w świadomości Polaków; dla Polski przecież koniec świata carskich oficerów był warunkiem odzyskania niepodległości. Dopiero przyszłe burze dziejowe, z których wyłoniła się w 1944 r. nowa powojenna rzeczywistość, stawiająca tym razem przed polską inteligencją konieczność samookreślenia się, pogłębić miały nasze rozumienie racji bohaterów *Białej gwardii*.

Już wcześniej jednak, w dwudziestoleciu międzywojennym, z uwagą śledzono zarówno powieściowe, jak i sceniczne losy Turbinów. Pierwsze pełne wydanie *Białej Gwardii* ukazało się dopiero w 1972 r. Książka wzbudziła duże zainteresowanie, które potwierdza, jak wciąż żywa jest jej problematyka — historia sprowadzona do wymiaru ludzkich przeżyć, doznań i cierpień.

Biała gwardia kończy się słowami: „Wszystko przeminie. Cierpienia, męki, krew, głód i mór. Szeźnie miecz, ale gwiazdy pozostaną także i wtedy, kiedy nawet cień naszych ciał i spraw nie pozostanie już na ziemi. Nie ma człowieka, który by tego nie wiedział. Czemuż więc nie chcemy

zwrócić ku nim naszych oczu? Czemu?"

Banalna to chyba refleksja, odwołująca się od miałości spraw codziennych do wieczności, ale nie zapominajmy, że w czasie, gdy ją Bułhakow formułował, społeczeństwo, w którym żył, „szturmowało niebo”.

Jadwiga Śliszowa